VIA APPIA
KWARTALNIK LITERACKO - KULTURALNY
WWW.VIA-APPIA.PL
NR 7&8 / 06.2012

PODWÓJNE WIDZENIE ŚWIATA
GDY JEDEN PUNKT WIDZENIA TO ZA MAŁO

WYNIKI
KONKURSU LITERACKIEGO
LITTERA SCRIPTA!
POZNAJ ZWYCIĘZCÓW PIERWSZEJ EDYCJI

KICZ W SZTUCE
BO SZTUKA TO NIE TYLKO PIĘKNO

KUŹNIA TALENTÓW PRZEDSTAWIA:
ROSSIE MANNING AND A GHOST

ARTYSTA
RECENZJA FILMU

WSTĘPNIAK

WWW.VIA-APPIA.PL

Na wstępie zawsze ktoś siada, otwiera sobie piwo i zastanawia się jak zacząć kolejny numer pisma. Skrobie kilka zdań, po czym kasuje je, uznając że pisze bzdury. Znów zaczyna. I tak w kółko przez kilka kwadransów. Piwo kończy się szybciej niż pojawia jeden mądry akapit. Dziecko zacznie płakać szybciej niż się je uśpiło, a biometr i wszelkie okoliczności flory i być może fauny są oczywiście niekorzystne. Nie inaczej byłoby i w tym przypadku, gdyby nie fakt, że ja mam o czym pisać!

Niniejszy numer Magazynu Literacko-Kulturalnego Via Appia pęka w szwach, a jeśli dobrze nim potrzęsiesz wypadną spomiędzy jego kartek czarno - białe zdjęcia miejsc zbrodni i ofiar. Poczujesz zapach prochu, usłyszysz metalicznych zgrzyt stalowej kraty w ciemnej bramie podwórza, pośpieszne kroki uciekającego złodziejaszka, strzały w oddali. Kryminał nadaje nam kierunek w tym podwójnym numerze Via Appii. Oprócz tego znajdziesz interesujące wywiady z ludźmi sztuki, stałe działy magazynu, takie jak Inkubator, Kreatorium i Inkspiracja, teksty literackie i wiele, wiele innych, zebranych specjalnie dla Ciebie materiałów. Tak, właśnie dla Ciebie!

Na koniec powtórzę się, pisząc na początku tego numeru o zmianach. Idzie ich dość sporo, część już wprowadzono na forum, część dostrzeżecie w tym piśmie, inne czekają na wdrożenie. Zmiana jest nieodłączną częścią naszego życia. Ktoś, kto się nie zmienia, stoi w miejscu, ponieważ tylko ten kto się zmienia może powiedzieć, że staje się kimś lepszym. Forum Inkaustus zmieniło się w Forum Magazynu Literacko-Kulturalnego Via Appia, samo pismo zmienia swój wygląd, tworzy się standard, profesjonalny design, wspinamy się na kolejny szczebelek drabiny jakości. Dzieje się tak dzięki wam i dla was, drodzy czytelnicy, i za to pragnę wam w imieniu Redakcji podziękować.

Dość tych sentymentów! Oto masz przed sobą najnowszy numer Via Appii. Udanej lektury!

Z pozdrowieniami

WSTĘPNIAK 2

SPIS TREŚCI 3

NEWSY 4
CO W TRAWIE PISZCZY 4

TEMAT NUMERU - KRYMINAŁY 7
DZISIEJSZEJ NOCY KSIĘŻYC BYŁ WYJĄTKOWO OGROMNY 7
KRYMINALNE KRONIKI ASGARDU 18

TEKSTY MIESIĄCA 24
J. 24
ODBIERZ TELEFON, A OPOWIEM CI BAJKĘ 32
Z. 36

INKUBATOR 38
PRZYSTANEK LIGHT ROCK 38
ROSIE MANNING AND A GHOST 40

INSPIRATIO 43
(NIE)WIARYGODNOŚĆ ZEZNAŃ ŚWIADKÓW 43

LITTERA SCRIPTA I 53
LITTERA SCRIPTA 53
I MIEJSCE - CALINECZKA 58
II MIEJSCE - ŚCIEŻKA 74
III MIEJSCE - BOGOWIE NIE UMIERAJĄ 84

KREATORIUM 101
KICZ W SZTUCE 101
O POSTACIACH HYBRYDOWYCH 106
W OCIEKAJĄCYCH ŚLINĄ MOPSA KAJDANACH WYZNACZNIKÓW GATUNKOWYCH 112
MALUJEMY SŁOWAMI 118

POEZJA 124
ORMUZ 124
PIES 125
ZUZIA RODZI KIEDY ZMIERZCHA 126
OBIETNICA 128

POGRANICZA 133
PODWÓJNE WIDZENIE ŚWIATA 133
MUZOWIZJOTURA 150
TAM I Z POWROTEM 158
KLUB FANTASTYKI - ZARDZEWIAŁY TOPÓR 160
CHRZANOWSKIE DNI FANTASTYKI 2011 164
„PRL FANTASY” MARCINOS - RECENZJA 166

DZIAŁ FILMOWY 168
HITY CZY KITY? 168
ARTYSTA - RECENZJA 170

CO W TRAWIE PISZCZY

Konkurs literacki LitteraScripta

Miło nam zakomunikować, że po początkowych trudnościach, oficjalna strona konkursu już działa. Przyjmowanie tekstów rozpoczęliśmy od 1 maja 2012, a zakończenie planowane jest na 30 czerwca 2012. Tematyką przewodnią II edycji jest marynistyka. Uczestnicy przystąpią do batalii, której zadaniem będzie napisanie tekstu prozatorskiego odwołującego się swoją treścią do tematu „Za horyzontem". W jury zasiądzie polski powieściopisarz literatury grozy p. Stefan Darda, kapitan Witold Zamojski – autor słynnej „Umbriagi" oraz kapitan Janusz Zbierajewski – legenda polskiego żeglarstwa. Na zwycięzców czekają atrakcyjne nagrody, które można zobaczyć na oficjalnej stronie konkursu. Oficjalnym sponsorem II edycji konkursu LitteraScripta zostało wydawnictwo Oficynka. Życzymy uczestnikom pomyślnych wiatrów i powodzenia w trakcie pisania!

Likwidacja rangi Krytyka

W związku ze zmianą strategii rozwoju forum, w marcu została zlikwidowana ranga Krytyków. Na ich miejsce powołani zostali Redaktorzy, którzy swoją uwagę skupiają od tamtej pory na tworzeniu i rozwijaniu magazynu literacko-kulturalnego Via Appia, który powstaje pod egidą forum. Dokładamy wszelkich starań, by treści prezentowane na łamach magazynu cechowały się jak najwyższą jakością oraz prezentowały odpowiedni poziom merytoryczny. Krytycy udają się zatem na zasłużoną emeryturę, a wszystkim osobom, które kiedykolwiek współtworzyły tę elitarną grupę serdecznie dziękujemy!

Zmiana nazwy forum

W ramach wprowadzanych zmian dokonaliśmy również modyfikacji czegoś, co, wydawałoby się, jest z forum nierozerwalne – nazwy. Z dniem 24 marca 2012 Forum Literackie Inkaustus zostało przemianowane na Forum Magazynu Literacko-Kulturalnego Via Appia. Odtąd nie ma już wątpliwości, iż to właśnie magazyn stał się priorytetem dla naszej Ekipy i jednocześnie jednym z głównych celów istnienia samego forum. Do każdej zmiany trzeba się oczywiście przyzwyczaić, lecz mamy nadzieję, że aklimatyzację w nowym środowisku macie już za sobą .

Sala Zasłużonych

Chcąc uhonorować osoby, których praca oraz poświęcenie sprawiły, iż forum się rozwijało i wchodziło na coraz to nowe poziomy jakości, stworzyliśmy miejsce pamięci o ich dokonaniach będące swoistym pomnikiem wdzięczności. Sala Zasłużonych jest naszym hołdem dla tych osób.Dziękujemy za Wasz trud i ofiarę na rzecz rozwoju Forum Literacko-Kulturalnego Via Appia! Wraz z powstaniem tego działu, zostały zlikwidowane rangi Przyjaciela oraz Zasłużonych.

Zbrodnia w Bibliotece

najlepszy serwis dla miłośników kryminałów!

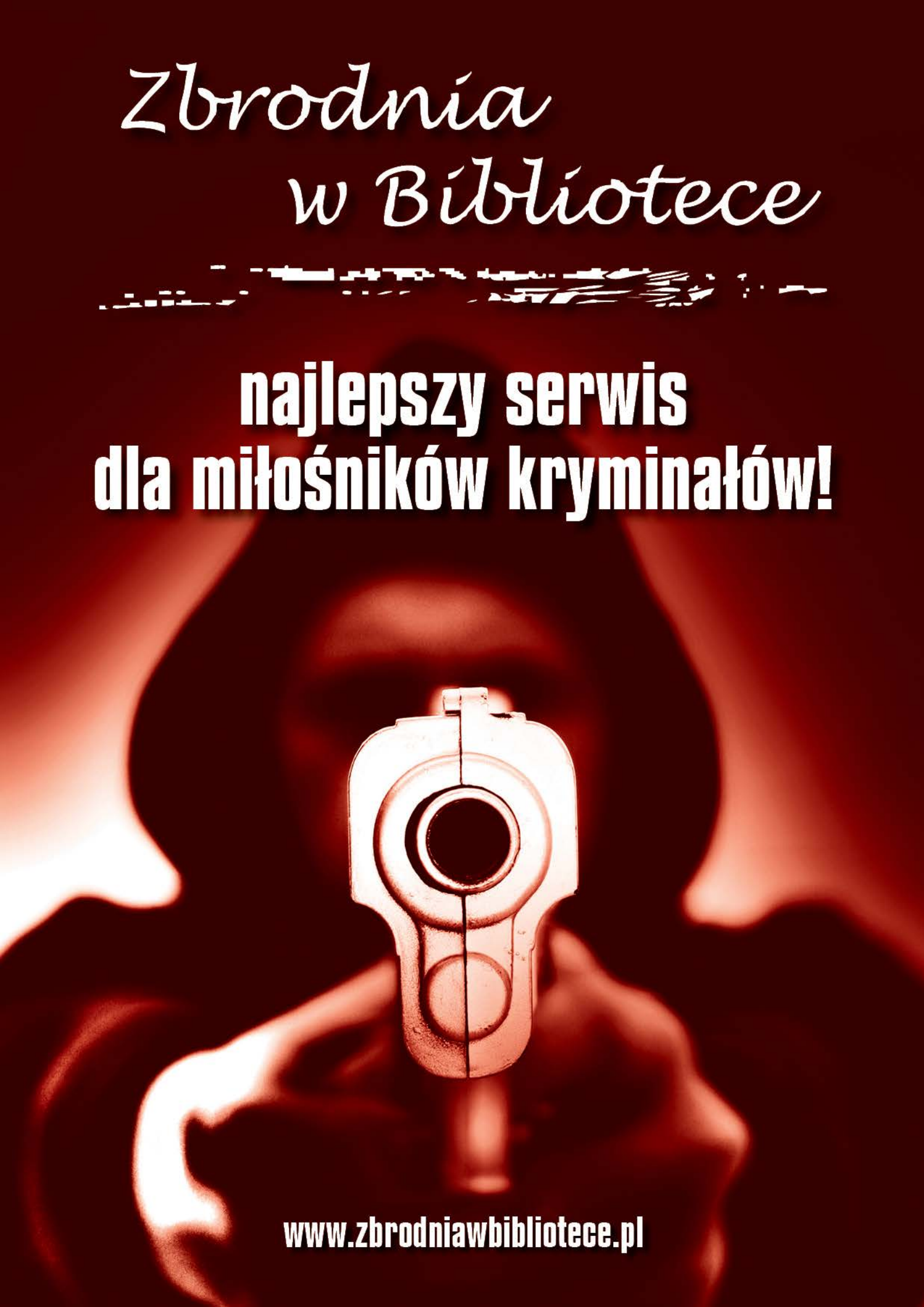

www.zbrodniawbibliotece.pl

TEMAT NUMERU

KRYMINALY

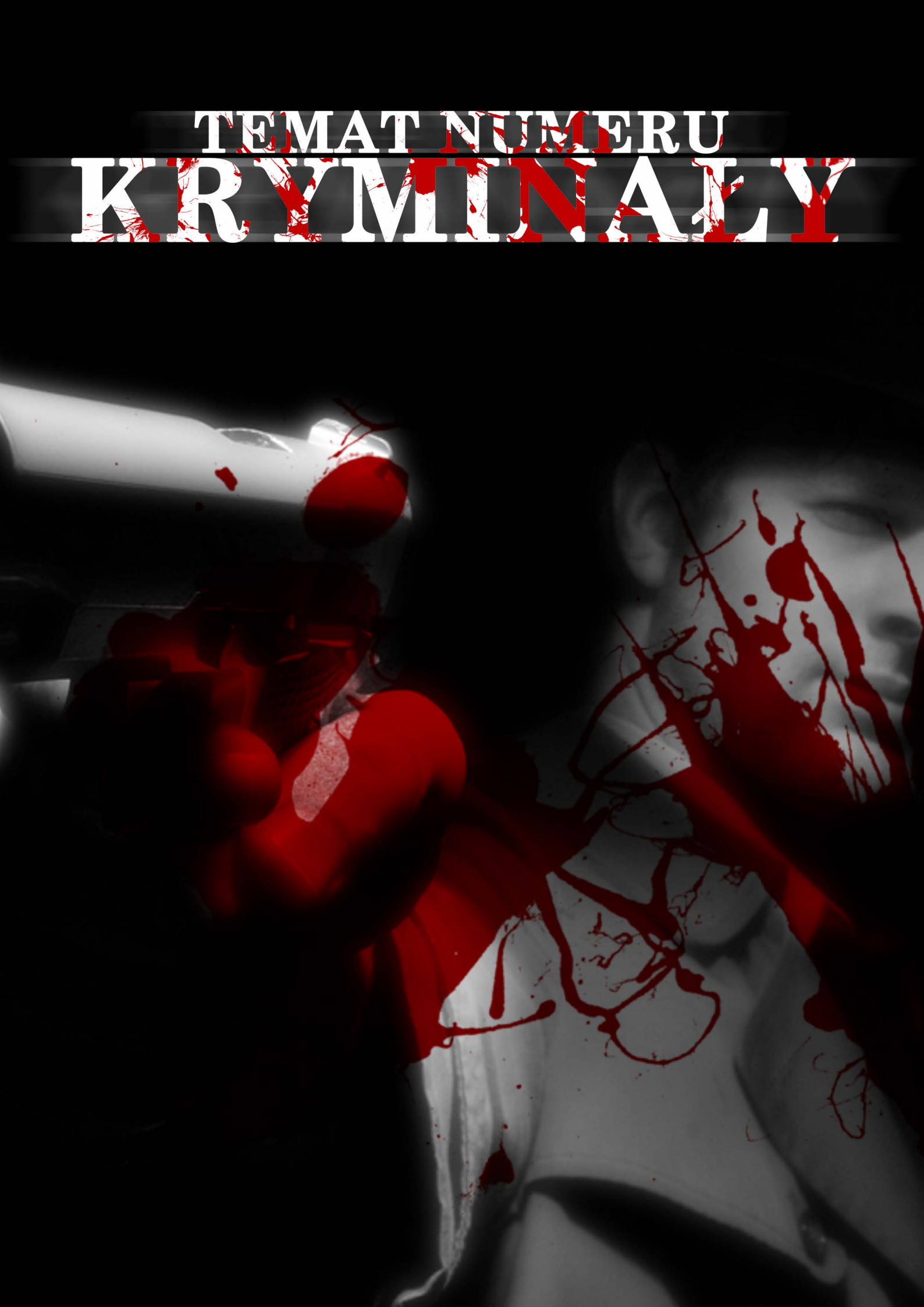

SILOE

DZISIEJSZEJ NOCY KSIĘŻYC BYŁ WYJĄTKOWO OGROMNY

Tej nocy księżyc był wyjątkowo ogromny, świecił bladym, czerwonawym światłem. Śnieg skrzypiał pod nogami a staw w parku skuł lód.

- Musi leżeć tu już od kilku godzin – stwierdził lekarz sądowy, pochylając się nad zwłokami dziewczyny.

- Wygląda na to, że ktoś ją tu podrzucił. – Detektyw Q zmarszczył brwi. Sprawa wydawała się prosta: młoda kobieta porzucona w parku w samej koszulce nocnej, wszystkie poszlaki wskazywały na narzeczonego. Ale... to był już drugi taki przypadek.

- Teraz będziesz musiał wypuścić pana N. W tej chwili dałeś mu żelazne alibi.

- Niby jakie?! – Obruszył się detektyw. Nie miał ochoty przyznawać się do błędu. Zwłaszcza po burzy rozpętanej przez media po znalezieniu pierwszej ofiary.

- Na pierwszy rzut oka ta kobieta zginęła w ten sam sposób, co Laura. Spójrz – lekarz wskazał ciało. Włosy ofiary ułożono na kształt aureoli. Prawa dłoń spoczywała na lewej piersi, zasłaniając ranę postrzałową, a lewa ręka była odchylona do tyłu. Głowę nieznacznie skierowano ku stopom.

- Żadna z gazet nie podawała, w jaki sposób było ułożone ciało, gdy je znaleziono. Zresztą jak wolisz – stwierdził, wstając. - Raport będziesz miał najpóźniej koło południa. Szczegółowy.

- Sugerujesz coś? – Warknął cicho, zirytowany.

- Tym razem lepiej skorzystaj z czyjejś pomocy. O ile wiem, twoja siostrzenica jest dobra w te klocki. Jeśli nie zamkniesz sprawy, nie tylko burmistrz będzie miał ochotę urwać ci łeb.

- O czym ty teraz mówisz? – Q wyraźnie nie rozumiał, co jego towarzysz ma na myśli.

- Spójrz na nią jeszcze raz.

Detektyw przyjrzał się uważniej twarzy, ale nie zauważył niczego szczególnego. Lekko zniecierpliwiony lekarz stuknął zeszytem o nogę.

– To córka Mordoka! Tak, tego Mordoka – odpowiedział na niezadane pytanie.

Czym to pachnie...

Aura tajemniczości wokół zbrodni to bardzo charakterystyczna cecha powieści detektywistycznej. Morderstwo to zagadka, którą detektyw musi rozwiązać przy użyciu własnego intelektu. My, czytelnicy, razem z bohaterami odkrywamy poszlaki, przesłuchujemy świadków i staramy się dotrzeć do sprawcy, jednak do ostatniej chwili nie jesteśmy pewni rozwiązania.

Q rzucił papiery na stół. Zawsze zabierał pracę do domu. Kolejne zdjęcia ozdobiły zawieszoną na ścianie korkową tablicę. Tę sprawę trzeba zamknąć szybko. Detektyw zdawał sobie sprawę, że miejscowy mafioso nie będzie siedział bezczynnie: sam podejmie odpowiednie działania. Był zdolny wymordować pół miasta w imię „sprawiedliwości".

- Widzę, że ożeniłeś się z robotą, wujaszku – rozległ się kobiecy głos. Detektyw odwrócił się gwałtownie.

- Dobrze wiesz, że nie znoszę, kiedy się skradasz, Saro.

- Nie skradam się – dziewczyna wzruszyła lekceważąco ramionami i ugryzła jabłko.

- Jesteś zbyt podobna do matki – stwierdził sarkastycznie, wracając do przerwanego zajęcia.

- Dzięki! – odparła radośnie.

W skupieniu oglądała każde ze zdjęć. Wiedziała jak ciężko pracuje wuj. Zwłaszcza od śmierci jej matki.

– Mogę ci pomóc.

Odpowiedziało jej pełne rezygnacji westchnienie.

– Spójrz na te zdjęcia – wskazała na fotografie dziewcząt w pozycjach, w jakich je znaleziono. – Co ci to przypomina?

Przez chwilę spoglądał to na jedno, to na drugie. Nie powiedział nic, tylko pokręcił przecząco głową.

– No tak – burknęła karcąco. – Twardogłowy konserwatysta.

- Co ma piernik do wiatraka?!

Nieco poirytowany Q wstał. Powolnym krokiem podszedł do ekspresu i zrobił sobie kawę.

Kiedy znów spojrzał na tablicę, zauważył, że Sara przyczepiła do niej obrazek. Widniała na nim kobieta otoczona świetlistą poświatą. Została uwieczniona dokładnie w takiej pozycji jak zamordowane dziewczyny.

– Widzisz? To jeden z wizerunków Maryi. Te dziewczyny są ułożone właśnie w taki sposób jak na obrazku– umilkła i chrząknęła znacząco.

Q spojrzał na nią ze zdumieniem.

– Powinieneś zacząć od kościoła pod wezwaniem Niepokalanego Serca Najświętszej Maryi Panny – stwierdziła autorytatywnie Sara. – Właśnie tam znajduje się oryginał tego obrazu.

- Pozwolisz mi najpierw wypić kawę? – zapytał zrezygnowany.

- Pozwalam, wujaszku. – Roześmiała się.

„Nic w nim nie widzę."

Pierwszym fikcyjnym detektywem, rozwiązującym zagadki kryminalne metodą dedukcji, był C. Auguste Dupin, amator rozwiązujący kryminalne zagadki dla rozrywki. Po raz pierwszy pojawił się w noweli „Zabójstwo przy Rue Morgue" z 1841 roku. Odcięty od dawnych kontaktów, żył w zupełnym odosobnieniu. W swoich dochodzeniach próbuje wejść w umysł przestępcy, myśleć tak, jak on. To pomaga mu odgadywać jego wcześniejsze zachowania. Dupin posiada nie do końca ludzki charakter - wydaje się wręcz wyprany z emocji. Jego praca przypomina pracę logicznie myślącej maszyny. Jego jedynym towarzyszem w nocnych eskapadach był przyjaciel-narrator, który w późniejszych powieściach detektywistycznych stał się stylem prowadzeni narracji.

Twórcą ekscentrycznego Dupina jest Edgar Alan Poe – znany ze swych niekiedy

groteskowych, często przepełnionych grozą opowiadań i noweli. Ich tematyka na ogół krążyła wokół śmierci. Był niedoścignionym mistrzem nastroju. Pragnął opisywać rzeczywistość duszy, świata ukrytego w podświadomości.

Uważał, że utwór powinien być krótki i zwięzły, aby przekazać treść czytelnikowi bez żadnych zniekształceń. Chętnie używał zapomnianych, dziwnie brzmiących wyrazów, które według niego były ciekawe. Pasjonowało go tworzenie bohaterów szalonych lub dotkniętych chorobą.

- Szczęść Boże – Sara przywitała grzecznie proboszcza, gaszącego świece na ołtarzu. – Jestem Sara, a to mój wujek...

- ...detektyw Q – wtrącił starszy człowiek. – Głośno ostatnio o panu.

- To ksiądz na pewno wie, w jakiej sprawie przychodzimy – przerwała dziewczyna.

- Owszem, ale nie bardzo wiem, jak mogę wam pomóc.

- Czy widział ksiądz te dziewczyny? – Q wyciągnął zdjęcia ofiar. Duchowny obejrzał dokładnie fotografie. Sara nie spuszczała z niego oka, obserwowała twarz starca.

- Wie pan, detektywie, te dziewczęta są tutaj dość znane – rzucił wymijająco.

- Proboszcz znał je osobiście – stwierdziła siostrzenica policjanta. Mężczyzna spojrzał na nią zaskoczony, jakby na czymś go przyłapała. – Proszę nie ściemniać. Z pańską pozycją nie przystoi.

- Sara – warknął ostrzegawczo detektyw. Zapomniał przez chwilę, jak bezpośrednia potrafi być ta jego siostrzenica. Staruszek westchnął głęboko.

- Kłamstwa nigdy nie były moją mocną stroną – odparł zrezygnowanym głosem. – Tak. Znałem te duszyczki i to bardzo dobrze. One też znały siebie nawzajem. Łączyła je głęboka przyjaźń. Często pomagały dzieciom w parafii, pochodzącym z ubogich rodzin.

- Córka bandziora i burmistrza przyjaźniły się? – Brzmiało to dość niedorzecznie. Tym bardziej, że ojcowie dziewcząt byli zapiekłymi wrogami.

- Dobrze wiem, jak to brzmi – powiedział ksiądz. – Mówię prawdę. Laura i Anastazja były sobie bardzo bliskie, aż dziw bierze, że ich ojcowie nic o tym nie wiedzieli. – Zostawił ich w opustoszałym kościele.

- Bliskie... - Powtórzyła Sara. Proboszcz wyraźnie dał do zrozumienia, że relacja kobiet była głębsza, niż zwyczajna, damska przyjaźń.

- Nad czym tak główkujesz młoda? – Zagadał ją Q w drodze powrotnej. – Przez całą trasę przeglądasz te akta. Myślisz, że znajdziesz coś więcej niż ja?

- Owszem. – Nie oderwała oczu od tekstu. - Jedyna rzecz, jaka je różni, to sposób w jaki umarły. Laura zginęła w skutek postrzału w serce, ale Anastazja została otruta a ranę postrzałową jest pośmiertna.

- Dlatego uważam, że jest dwóch sprawców.

- Całkiem możliwe. Wyraźnie widać, że w przypadku tej drugiej ktoś chciał wskazać na sprawcę pierwszego morderstwa. Zupełnie, jakby chciał nam coś przekazać.

- Tylko, że ten myk nie wypalił. W chwili jej mordowania dupek siedział w celi.

- On z zawodu jest prywatnym detektywem?

- Nie nazywaj go tak przy mnie! – wycedził przez zęby, zdenerwowany. – Ten śmieć detektywem? Dobre sobie. Ci prywaciarze, dybią na nasze sprawy jak sępy.

- Dobrze, spokojnie. – Uśmiechnęła się. – Rozumiem, że go nie lubisz. Nie sądzę jednak, żeby to on zabił.

Milczeli dłuższą chwilę.

- Wujku? Mógłbyś mi załatwić możliwość rozmowy z burmistrzem, Mordokiem i tym prywatnym detektywem? – Mężczyzna gwałtownie zahamował.

- Zwariowałaś?! – ryknął.

- Jeśli wujaszek nie może, sama to załatwię.

- Tu nie chodzi o „załatwianie". Myślisz, że będą chcieli rozmawiać z tobą?! Myślisz, że to bezpieczne?

- Będą chcieli. Jestem kobietą. I do tego całkiem ładną. – Puściła do niego oczko.

Detektyw - kryminalista

Słowo „detektyw" narzuca skojarzenie z kimś nieskazitelnym, zapalczywie walczącym o sprawiedliwość. Tymczasem okazuje się, że założycielem pierwszej w historii agencji detektywistycznej był przestępca - Eugene François Vidocq. Wielokrotnie trafiał do więzienia za kradzieże, oszustwa i pojedynki, które były jego pasją.

Podczas jednego z kolejnych pobytów w więzieniu pomógł francuskiej policji w rozwiązaniu kilku spraw kryminalnych. Współpraca układała się bardzo dobrze. Po trzech latach stworzył Brygadę Bezpieczeństwa. Vidocq zrewolucjonizował policję francuską. Zdawał sobie sprawę iż policja ma tak słabe wyniki ze względu na zbyt dużą widoczność w tłumie. Sami policjanci, obawiając się o własne bezpieczeństwo, nie zapuszczali się na tereny przestępcze Francji. Nieumundurowani członkowie Brygady, składającej się głównie z więziennych kolegów Vidocq'a, nie mieli takich obaw, byli więc skuteczniejsi w działaniu. Pracowali pod przykrywką, a dzięki swej kryminalnej przeszłości łatwo zyskiwali zaufanie im podobnych.

Jednak Vidocq roztaczał wokół siebie sporo skandali. Dlatego w 1832 roku odszedł z pracy w policji i rok później założył własne biuro detektywistyczne. Na jego metodach pracy wzorowała się policja z krajów Europy i Ameryki.

Do podejrzanych podchodził w inny niż powszechnie w tamtych czasach uznany sposób. Zamiast ich maltretować, znęcać się nad nimi czy też zastraszać, zjednywał ich sobie. Jego pracownicy udawali przestępców i przenikali do podejrzanych środowisk. Odważnym posunięciem, jak na początek XIX wieku, było także zatrudnianie w tej roli kobiet.

Eugene Vidocq uważany jest niekiedy za ojca współczesnej kryminologii. W swojej pracy korzystał z laboratorium chemicznego, wiedzy z zakresu nauki o ruchu pocisków, a nawet stosował odlewy odcisków stóp. Prowadził kartoteki, w których opisywał dokładne szczegóły dotyczące przestępców.

W 2001 roku powstał film pod tytułem „Vidocq", w którym rolę tytułowego bohatera zagrał Gérard Depardieu. Nie jest to film biograficzny czy typowo detektywistyczny – to raczej fantastyka z dużą domieszką steampunku. W tej historii nasz detektyw bada dziwne okoliczności śmierci trzech mężczyzn. Ślady doprowadzają go do Alchemika, który za pomocą swojej lustrzanej maski pozbawia ludzi dusz.

Choć dla mnie film jest trochę za bardzo przesycony efektami specjalnymi, a gra aktorka niekoniecznie zachwyca, to ekranizacja stanowi kąsek dla osób chcących nieco przybliżyć sobie metody działania pierwszego w historii detektywa. Vidocq jest jak groteska życia. Najskuteczniejszym stróżem prawa okazuje się ten, który sam notorycznie je łamał.

Sara zawsze realizowała to, co zamierzyła. Umiejętnie wykorzystywała swój dziewczęcy wdzięk tak, by nikt nie potrafił jej odmówić. Siedząc w biurze burmistrza bawiła się długopisem, przekładając go między palcami.

- Bardzo przepraszam, że musiałaś czekać. – Mężczyzna dla kobiet był aż nazbyt uprzejmy. Swoim chytrym spojrzeniem oceniał walory młodej dziewczyny.

- Nic się nie stało. – Posłała mu czarujący uśmiech. – Na pewno ma pan masę pracy. Zajmę niewiele czasu. Chciałam porozmawiać o pańskiej córce.

Mężczyzna wcisnął się głębiej w oparcie fotela. Zacisnął palce. Jego spojrzenie diametralnie zmieniło wyraz. Po uśmiechu nie było już śladu, momentalnie spoważniał.

- Co byś chciała wiedzieć? – Zapytał głębokim i pozornie spokojnym głosem.

- Czy wiedział pan o tym, że córka wspomagała biednych w parafii Niepokalanej?

- Wiesz, ona uwielbiała te charytatywne akcje. To była piękna, młoda dziewczyna. Nikt by jej nie odmówił.

- A co pan wie o jej kontaktach z Anastazją?

Wyraźnie zdenerwowało go to pytanie.

- Moja córka nigdy nie przyjaźniłaby się z pomiotami tego ścierwa – wycedził przez zęby. Z trudnością krył wściekłość.

- Co nie zmienia faktu, że dobrze się znały. – Nie dawała za wygraną. Mężczyzna wstał.

- Panienka wybaczy, ale czeka mnie jeszcze konferencja. – Sara podniosła się i bez słowa opuściła biuro.

- Chcąc nie chcąc, powiedziałeś mi dość dużo... - mruknęła do siebie.

Przemierzając skwer przed ratuszem, spostrzegła narzeczonego zmarłej. Rozmawiał z jakimś mężczyzną. Pokornie schylał się przy nim, jak sługa przed panem. Dziewczyna przez chwilę obserwowała tę dziwną sytuację. Starszy człowiek, ubrany na czarno, odwrócony był do niej plecami i nie mogła go rozpoznać. Jedyne, co zapamiętała, to laska wykonana ze złota, którą ten człowiek się podpierał.

- Teraz będzie dobry moment – powiedziała sobie. – Przepraszam! – zawołała. Chłopak spojrzał w jej stronę i mruknął coś do swojego rozmówcy. Pan w czerni nie odwrócił się - poprawił kapelusz i odszedł w przeciwną stronę, zostawiając młodego mężczyznę samego. Ten wyraźnie nie ucieszył się na widok Sary. Na szczęście nie należała do osób, które łatwo spławić.

– Zajmę panu tyko chwilę.

- Wujaszek wysłał smarkulę na przeszpiegi? – syknął jadowicie.

– Mój wujek prowadzi własne śledztwo, a ja własne. Poza tym mam 25 lat, więc daleko mi do smarkuli.

- Cóż to, konkurencja? Rzekomo wy nie lubicie prywatyzacji.

- Ja nie robię tego dla pieniędzy.

Rozumiała jego postawę, Q dał mu się pewnie ostro we znaki.

– Nie musi pan ze mną rozmawiać, ale wtedy proszę liczyć się z tym, że wuj na pewno nie da za wygraną. Ja znajdę prawdziwego mordercę – stwierdziła pewnie. To zaskoczyło mężczyznę. Przez chwilę milczał, jak by kalkulował coś w głowie.

- Niech będzie. Zobaczymy, ile jesteś warta. Zapraszam do mojego biura, pokażę ci coś.

Gabinet Mikołaja był urządzony bardzo nowocześnie, dość minimalistycznie. Widać było dobrą rękę dekoratora wnętrz. Panował tam idealny porządek.

Sara usiadła na wskazanym przez niego fotelu. Wyjął z szuflady kopertę i podał dziewczynie bez słowa.

- Co to jest? – spytała. Zanim jej odpowiedział, podszedł do okna i zapatrzył się na ruchliwą ulicę.

- Moja Laura zerwała ze mną tydzień przed ślubem. – Zaczął, nie odrywając wzroku od okna. – Nie rozumiałem tego. Przecież była ze mną taka szczęśliwa. Potem nagle wszystko się zmieniło. Była smutna, zamyślona. Wiedziałem, że coś ją gryzie, ale nie sądziłem, że to może być moja wina... - Urwał i przez chwilę milczał. - Powiedziała, że nie może mnie już kochać tak jak dotychczas. Nie rozumiałem tego, ale ona nie chciała już nic więcej tłumaczyć. Nie odbierała telefonów. Wyprowadziła się z mieszkania.

- Ale musiałeś mieć dowód, prawda?

– wtrąciła. Westchnął ciężko i usiadł naprzeciwko niej.

- Musiałem poznać prawdę. I poznałem ją... - Spojrzał znacząco na szarą kopertę. – Weź je. Nie chcę na to patrzeć. Może żyłaby, gdybym nie był tak dociekliwy... – Wyszedł do sąsiedniego pokoju zostawiając dziewczynę samą. Otworzyła w końcu pakunek i wyjęła zdjęcia. Były na nich obie ofiary, przyłapane w czułych uściskach. Zraniony mężczyzna mógł to zinterpretować tak jak, sugerował im to proboszcz. Sara widziała jednak tylko bliską przyjaźń.

Na jednej z fotografii zauważyła jeszcze kogoś. Zza filaru wychylał się nie kto inny, jak sam burmistrz.

- Mam cię. – Powiedziała do siebie zadowolona. Schowała wszystko do koperty i wyszła.

„Błędem jest mylić dziwne z tajemniczym"

Wielbiciele kryminałów poznali Sherlocka Holmesa w 1887 roku, kiedy to ukazała się powieść Arthura Conana Doyle'a, „Studium w szkarłacie". Potem stworzył jeszcze trzy powieści i 56 opowiadań o perypetiach angielskiego detektywa, który w towarzystwie swego wiernego przyjaciela-kronikarza rozwiązywał najtrudniejsze zagadki kryminalne. Inspiracją do stworzenia Sherlocka były postacie A. Dupina i Lecoqa z powieści Francuza Gaboriau. Autor utrzymywał, iż Holmes do odkrywania sprawców zbrodni używał metody dedukcji. Holmes to erudyta, posiadał wiedzę z wielu dziedzin, co wykorzystywał w prowadzonych śledztwach. Detektyw, podobnie jak Dupin, był ekscentrykiem, poza tym lubił udowadniać swoją intelektualną wyższość, szczególnie nad nieudolnymi inspektorami, nie potrafiącymi rozwiązać zagadki.

Doktor Watson, wierny przyjaciel i kompan Sherlocka, prowadził kroniki na temat działań geniusza. W opowiadaniach często pełnił funkcję narratora. Postać Holmesa była tak bliska czytelnikom, że nosili żałobę po literackiej próbie uśmiercenia postaci przez swego autora. Ostatecznie Doyle nie uśmiercił angielskiego detektywa. W ostatnich opowiadaniach mistrz dedukcji jest na emeryturze, ale nadal podejmuje się rozwiązywania wielu zagadek. To pozwoliło innym pisarzom tworzyć własne historie z udziałem sławnego detektywa, nie wspominając już o wielu filmach, grach, komiksach czy sztukach teatralnych. Powstało wiele ekranizacji, sztuk teatralnych, komiksów i gier.

Współcześnie ukazały się dwa filmy o przygodach tej niezwykłej postaci. W rolę głównego bohatera wcielił się Robert Downey Jr., odtwarzający postać legendarnego detektywa w niespotykany dotąd sposób.

Filmowy wizerunek detektywa znacznie odbiega od literackiego. Holmes musi mieć świetną kondycję przy niezliczonych ilościach pościgów, ucieczek, wybuchów, strzelanin i wykolejonych pociągów. Sama dedukcja jest tylko schematycznym smaczkiem, który ma utrzymać złudzenie wierności pierwowzorowi.

Drzwi do jej mieszkania były uchylone. Światło było zapalone. Nie dobiegały do niej żadne odgłosy. Ostrożnie weszła do środka. Odbezpieczyła broń, którą zawsze nosiła przy sobie.

- Proszę się nie obawiać, pani Saro. – Dobiegł do niej spokojny, męski głos. Weszła do salonu. W środku siedział starszy mężczyzna o dostojnych rysach. Wspierał dłonie o złotą laskę, która na tle czarnego stroju prezentowała się okazale. Rozpoznała w nim faceta, który rozmawiał rano z Mikołajem.

– Słyszałem, że chciałaś ze mną rozmawiać.

- Owszem. Jednak byłoby miło, gdyby uprzedził pan o odwiedzinach, zamiast

wyłamywać mi zamki.

- Moje drogie dziecko, ja nie muszę wyłamywać drzwi. One zawsze stoją przede mną otworem – odparł z bezgranicznym spokojem.

- Oczywiście. – Sara zdjęła płaszcz i usiadła naprzeciw Mordoka. – Widziałam, że rozmawiał pan z Mikołajem.

- Tak. To mój starszy syn. – Ta informacja zaskoczyła dziewczynę. Prędzej by pomyślała, że to jeden z jego podwładnych. Nikt zresztą nie znał rodziny Mordoka, gangster starannie ukrywał informacje o prywatnym życiu.

- Dlaczego nie powiedział pan o tym policji?

- Wybacz, kochanie, nie ufam naszym mundurowym.

- Więc dlaczego mnie spotkał ten zaszczyt?

Mężczyzna przechylił się w jej stronę i dodał głębokim głosem:

- Bo ty jesteś córką Katarzyny. I wiem, że jesteś bardzo podobna do matki.

- Nie sądziłam, że pan ją znał.

- Znałem. Bardzo dobrze. – Odparł tajemniczo. – Przynajmniej na tyle, by wiedzieć, że jej córka będzie godna zaufania.

Poczuła dziwny dreszcz przebiegający po jej karku. Słowa mafiosa schlebiały dziewczynie, ale z drugiej strony napawały strachem. Nic nie wiedziała o znajomości między matką a Mordokiem, musiała jednak na później odłożyć odkrywanie tajemnic rodzicielki. Teraz najważniejsze były morderstwa.

- Dziękuję. – Skinęła głową. – Chciała bym wiedzieć, czy znał pan Laurę osobiście?

- Tak. Poznałem ją kilka miesięcy temu. Anastazja przyprowadziła ją raz do nas na kolację. Oczywiście w wielkiej tajemnicy. Jak wiesz, nie żyję w dobrych stosunkach z naszym kochanym burmistrzem. – Słowo „kochany" zabrzmiało w jego ustach bardzo ironicznie.

- Nie przeszkadzała panu ta znajomość?

- Nie potrafiłem odmawiać mojej córeczce. – Odpowiedział z czułością i nutą smutku w głosie.

- Więc pomagał pan dziewczynom zachowywać konspirację?

- Konspirację? – Powtórzył rozbawiony. – Tak. Można tak to ująć. Były takie podobne do siebie. Bardzo lubiłem jej towarzystwo.

Przybrał poważną minę i wyprostował się na fotelu.

– Wiesz jednak, że osoba z moją pozycją nie może publicznie okazywać uczuć. To oznaczałoby słabość.

- Dlatego cierpi pan w samotności.

- Mój syn bardzo mnie wspiera. Przeżywa to tak jak ja, choć ma błędne przekonanie o nieżyjących.

- Nie były zakochane?

- Zakochane? Kochały się. I to bardzo, ale miłością inną niż im przypisywano.

- Jest pan tego pewien? – zapytała ostrożnie.

- Takie rzeczy nie ukryją się przede mną.

- Więc dlaczego Laura zerwała z Mikołajem? Jak pan wie, była z nim zaręczona.

- Mikołaj nie mógł z nią być, nawet gdyby bardzo tego chciał.

- Nie pochwalał pan tego związku?

- Mikołaj był moim nieślubnym synem. Począł się jeszcze zanim poznałem moją żonę. O tym, że jestem jego ojcem dowiedziałem się jakieś dziesięć lat temu z listu jaki zostawiła po sobie jego matka. W trakcie związku z Laurą wyniknęła pewna komplikacja, z której syn nie zdaje sobie jeszcze sprawy. – Nagle wstał. – Będę musiał na tym zakończyć naszą rozmowę. – Sara wstała. Chciała zadać kila pytań, ale Mordok swoją postawą wyraźnie dawał do zrozumienia, że nic z tego nie będzie.

- Cóż. Tyle musi mi wystarczyć.

- Jesteś bardzo błyskotliwa. Masz to samo zacięcie w oczach co twoja matka. Poukładaj wszystko, a na pewno odpowiedź ujawni się sama. – Mężczyzna

powędrował korytarzem do drzwi.

Gorąca kawa pachniała intensywnie i kusząco. Sara zamierzała nie przespać tej nocy.

Była przekonana, że całe sedno tkwi w tajemnicy, która łączyła Anastazję, Laurę i Mikołaja. Nie miała jednak nic, co by naprowadziło ją na jakikolwiek trop.

„Młodzi myślą, że starsi są głupi, ale starzy wiedzą, że to młodzi są głupi."

W literaturze detektywistycznej nie tylko mężczyźni potrafią być doskonałymi śledczymi. Również kobiety nie ustępują im na tym polu. Panna Marple - z pozoru tylko wścibska staruszka - bez problemu rozszyfrowuje zagadkowe zbrodnie.

Agatha Christe ożywiła detektywa-amatora w opowiadaniach pisanych na potrzeby magazynów pod koniec lat 20-tych. W 1930 roku wydano pierwszą powieść z udziałem starszej pani – „Morderstwo na plebanii", co pociągnęło za sobą 12 kolejnych powieści.

Rysy postaci autorka wzorowała na swojej babci, która według pisarki „zawsze spodziewała się po wszystkim i po wszystkich najgorszego".

Na pozór Jane Marple to typowa stara panna, uwielbiająca plotki i nowinki. A jednak wprawia w zakłopotanie niejednego stróża prawa.

W przeciwieństwie do swych młodszych kolegów, panna Marple dysponowała ogromnym doświadczeniem. Rozwiązując sprawy, odwoływała się do podobnych wydarzeń z przeszłości. Wychodziła z założenia, że wszelka niegodziwość została już popełniona i wystarczy ją sobie przypomnieć, by znaleźć sprawcę.

Agatha Christe potrafiła perfekcyjnie zaszyfrować ślady w powieści. Podsuwała fałszywe poszlaki, umiejętnie usuwając w cień wskazówki, które doprowadziłyby do rozwiązania zagadki. W swoich książkach wykorzystywała bogatą wiedzę na temat trucizn, które dobrze znała jako farmaceuta. Była czynnym członkiem Klubu Detektywów, zrzeszających do dziś najlepszych autorów kryminału.

Książki z historiami o przygodach starszej pani z drutami i włóczką w ręku tłumaczono na wiele języków. Doczekała się również ekranizacji kinowych i serii telewizyjnych. W 2004 roku panna Marple i Poirot pojawili się w serialu anime, wyprodukowanym w japońskiej telewizji NHK.

Sarę obudził nerwowy dzwonek i walenie w drzwi. Zasnęła nad papierami w kuchni. Półprzytomna, zsunęła się ze stołka. Poczłapała do przedpokoju i otworzyła drzwi.

Do jej mieszkania wparowała bardzo ożywiona Sandra, znajoma dziennikarka.

- Nie zgadniesz co wyniuchałam! – ćwierkała. – Matko! Jak ty wyglądasz!

- No co ty nie powiesz. – Sara zamknęła drzwi. – Zanim cokolwiek mi zdradzisz, pozwól, że się odświeżę. – Skierowała swoje kroki do łazienki, czuła jednak oddech blondynki na karku. – Czemu ze mną idziesz?

- No chyba nie myślisz, że będę tak długo czekać. Ty się chlap, a ja zdam ci relację. – Sara nie protestowała, wiedziała, że nie ma to najmniejszego sensu. Dziennikarka i tak zrobiła by po swojemu. Czasem działała na nerwy, jednak potrafiła zdobywać bardzo cenne informacje.

– Usłyszałam, że zajęłaś się sprawą tych dziewczyn.

- W tym mieście nic już się nie uchowa.

- Zwariowałaś? Zresztą. – machnęła ręką - poszperałam trochę w archiwach gazety i znalazłam kilka ciekawych artykułów. Wyobraź sobie, że Mordok miał tak naprawdę dwie córki. Z tym, że jedna rzekomo zmarła w szpitalu zaraz po porodzie.

- Rzekomo? – powtórzyła Sara. Chwyciła

ręcznik i zaczęła wycierać mokre ciało.

- Dokładnie. Mordok zrobił przy tym sporą wojnę. Utrzymywał, że córkę mu podmieniono. W szpitalu oczywiście zaprzeczono. – Dziennikarka zmierzyła Magdę znaczącym spojrzeniem. – No i co?

- Nic.

- A wiesz kto urodził w tym samym czasie w tym szpitalu? – kobiety wymieniły spojrzenia. Tylko jeden powód mógł być wystarczająco poważny, żeby zerwać zaręczyny.

- Czas na wyłonienie zwycięzcy tej gry. – powiedziała Sara, bardziej do siebie niż do koleżanki.

Może rozwiązać zagadkę, nie ruszając się z krzesła.

Kolejnym znakomitym detektywem, który wyszedł z pod pióra pani Christie, jest Herkules Poirot. Pojawił się w ponad 30-stu powieściach i 51 opowiadaniach. Ich spora liczba pozwoliła nie tyle towarzyszyć czytelnikowi w dochodzeniach, co ujawniała przed nim kolejne fakty z życia bohatera.

Pierwszy raz pojawił się w powieści „Tajemnicza historia w Styles" w 1920 roku i rozwiązuje kolejne zagadki aż do roku 1976, gdzie to w „Kurtynie" Poirot zostaje uśmiercony.

Pochodził z Belgii, tam rozpoczynał swoją karierę oficera śledczego, potem przeniósł się do Anglii. Posiadał znaczny majątek, przez co pracę traktował jako intelektualne wyzwanie. Ubierał się bardzo elegancko, cenił porządek i był niezwykle punktualny. Nie grzeszył jednak urodą i wdziękiem. Był niski, łysiejący, a kształt jego głowy przypominał jajo. Charakterystyczne były też starannie przycięte wąsiki.

Metody pracy detektywa ewoluowały. Z początku techniki pracy przypominały te stosowane przez Holmesa, z czasem kładzie większy nacisk na psychologię zbrodni. Stara się odkryć naturę zarówno ofiary, jak i mordercy. Głównym narzędziem pracy Herkulesa jest rozmowa. W umiejętny sposób wyciąga z rozmówców niezbędne informacje. Starannie wyłapuje niespójności w wypowiedziach świadków i podejrzanych. W finalnym zakończeniu zbiera wszystkich w jednym pomieszczeniu by wyjaśnić ich udział w przestępstwie, zdradza, w jaki sposób doszedł do rozwiązania i demaskuje winowajcę.

Postać Poirota królowała na ekranach kin, ale to seria telewizyjna z lat 90-tych została dostrzeżona i zapamiętana. David Suchet wykreował w nim postać Herkulesa najbardziej bliską literackiemu pierwowzorowi.

Sama autorka wyjaśniała, że uśmierciła belgijskiego detektywa, ponieważ działał jej na nerwy i nie widziała dla niego innego zakończenia.

Sara bardzo lubiła spektakularne zakończenia. Hotele Mordoka były wizytówką miasta i idealną pralnią pieniędzy. Q już domyślał się reakcji burmistrza. Wielkie było jego zdziwienie, gdy wszyscy pojawili się w komplecie.

- Witaj, wujku. – Sara posłała mu serdeczny uśmiech. – Dobrze, że jesteś. Widziałam twoich kolegów za drzwiami. To dobrze. Będą mieli za chwilę co robić. – Puściła do niego oko.

- Sądzisz, że to dobry pomysł? Wolałbym nie musieć sprzątać po jakiejś strzelaninie.

- Bez obaw. – Uspokajała go. – Nie będzie takiej potrzeby. Witam panów. – Zwróciła się do mężczyzn. W pokoju był Mordok, jak zwykle emanujący spokojem. Mikołaj bez słowa spoglądał przez okno. Ksiądz uśmiechał się blado, ale był zaniepokojony wezwaniem go tutaj. Za to burmistrz...

- Mam nadzieję, że ta szopka nie będzie długo trwała - warknął.

- Jeśli dacie dojść mi do słowa powiem

wam kto przyczynił się do śmierci dziewcząt – wtrąciła szybko Sara.

- Wiesz kto je zabił? – Zdziwił się Q.

- Tak. Zacznijmy jednak od tego, kto tego na pewno nie zrobił. Panie Mikołaju? – Zwróciła się do mężczyzny.

- Przecież tyle razy powtarzałem, że nie mógłbym tego zrobić. – Odparł stanowczo.

- Owszem, pan tego nie zrobił.

- To niemożliwe. – Zaperzył się Q.

- Ale to prawda. To nie ulega żadnym wątpliwości. Co prawda sprawca bardzo się postarał, żeby to wyglądało na zemstę za odrzucenie...Tu jednak chodziło o coś innego. – Sara na chwilę zawiesiła głos. – Laura nie mogła za ciebie wyjść. Była twoją siostrą. – Wszyscy zdębieli. Będzie o czym mówić przez miesiące. Burmistrz już widział oczyma wyobraźni nagłówki w gazetach.

– Dziewczyny musiały to odkryć jakiś rok temu. Aby nie wzbudzać podejrzeń swoimi spotkaniami, działały w kościele naszego księdza.

- Ale jak to możliwe? – Niedowierzał Mikołaj. – Moja siostra?

- Wiele lat temu doszło do zamiany dzieci w szpitalu, co próbował udowodnić pan Mordok. Szpital jednak odcinał się od tych oskarżeń.

- Wiedziałem, że podmieniono mi córkę na martwe dziecko. Ojciec wie takie rzeczy. – Powiedział spokojnie Mordok. – Kiedy zjawiła się Laura, zauważyłem podobieństwo dziewcząt niemalże od razu. Potajemnie zrobiłem testy na ojcostwo, co tylko potwierdziło moje przypuszczenia.

- To łgarstwo! – wrzasnął oburzony burmistrz.

- O nie. To szczera prawda. – Spojrzała znacząco w stronę księdza. – W wycinkach gazet z tamtych lat zauważyłam ciekawą fotografię, na której z personelem lekarskim był młody ksiądz... - Urwała. Starszy człowiek westchnął ciężko.

- To ja podmieniłem dziewczynki. Żona burmistrza to moja siostra. Tak bardzo chciała mieć dziecko... Nie potrafiłem jej powiedzieć o śmierci noworodka, to by ją zabiło.

- I dlatego ukradłeś moje dziecko! – warknął groźnie mafiozo. Ksiądz nie potrafił już wydusić słowa.

- Proszę na niego nie wylewać swojej złości. – Uspokajała Sara. – Był tylko zwykłą marionetką w rękach naszego burmistrza. Wiedziałeś doskonale o występku szwagra i było ci to wszystko na rękę, prawda? – Zwróciła się do gburowatego burmistrza.

– Laura chciała to wszystko wyjawić. Ale ty nie mogłeś na to sobie pozwolić, więc ją uciszyłeś.

- Nie mam zamiaru wysłuchiwać tych bzdur! – Burmistrz chciał wyjść, ale policjanci powstrzymali go.

- Nie musi pan już tego wysłuchiwać. Prokurator już podpisuje nakaz przeszukania. Znajdą broń, to pewne. – odpowiedziała Sara. – Z burmistrzem już skończyliśmy. – Zwróciła się do policjantów. Ci skuli podejrzanego i bez słowa zabrali go do aresztu.

- On zabił siostry, bo chciały wyjawić prawdę? – Powtórzył detektyw.

- Niezupełnie. – Sara skupiła spojrzenie na milczącym Mordoku, ściskającym swoją złotą laskę.

- Myślałem, że śpi. – Zaczął. – Zawsze była emocjonalna. Nie potrafiła pogodzić się ze śmiercią siostry. Tyle lat jej szukała... Tyle lat... - Zawiesił głos. Nawet bezduszny gangster czasem okazywał wyższe uczucia.

- Postanowił pan upozorować śmierć córki tak, aby wszystkie podejrzenia spadły na sprawcę pierwszego morderstwa.

- Tak. – Wstał.

- Będziesz musiał złożyć zeznania na komendzie. – Próbował przemówić Q, ale starszy człowiek wyszedł nie reagując na próbę zatrzymania.

- Tylko dlaczego tak ułożono Laurę?

– Dociekał Mikołaj.

- Burmistrz sądził, że w ten sposób, w razie czego, zrzuci podejrzenie na księdza. – Wyjaśniła dziewczyna. – Myślał, że jest sprytny...

Lupa wraca do lamusa?

Jak obecnie wygląda oblicze detektywa? Obecna technika poszła znacznie do przodu, a wiedza związana z kryminalistyką rozszerzyła swoje granice. Mimo tego metody pracy nie zmieniły się znacząco. Zmianie uległy jedynie narzędzia. Można zaobserwować prawdziwy wysyp historii detektywistyczno-kryminalnych, zarówno tych opartych na fikcji, jak i wydarzeniach mających miejsce w rzeczywistości.

Dziś miejsce typowo literackiego detektywa, starszego pana lub pani, którzy rozwiązują zagadki dla rozrywki, często zajmują specjaliści, ludzie zajmujący się przestępstwami zawodowo, jak na przykład genialny naukowiec, rozwiązujący sprawy za pomocą matematycznych wzorów („Wzór"), zespół patologów widzących odpowiedzi w szczątkach („Kości") czy w końcu bardzo inteligentni policjanci trzymający w ryzach wszelkiego rodzaju techniczne wynalazki (wszystkie serie „CSI"). Odbiorca pozostał ten sam – chce poznać rozwiązanie zagadki i zobaczyć, jak wygrywa sprawiedliwość: przestępca zostaje schwytany i ponosi karę.

e-tekst.pl
twoja czytelnia

E-tekst.pl Internetowa Czytelnia, która jest zarazem portalem społecznościowym. Portal powstał, aby każdy mógł się dzielić swoją wiedzą oraz doświadczeniem z innymi poprzez publikowanie swojej twórczości. Oferujemy bazę ponad 7000 ebooków, audiobooków, aktualności ze świata literatury a zarazem bogatą twórczość naszych użytkowników. Próbujemy przełamać ustalone schematy w zakresie dystrybucji słowa pisanego. Dlatego staramy się dać wszystkim możliwość stworzenia wielkiej bazy elektronicznych książek i publikacji. Portal skupia pasjonatów czytania i autorów, zawiera profesjonalny Poradnik Pisarski. Co ciekawsze, płacimy za udostępnianie publikacji oraz regularnie organizujemy konkursy, gdzie do wygrania są e-czytniki i książki.

Lub w skrócie!
E-tekst.pl to:
• Portal społecznościowy dla czytelników i autorów
• Baza ponad 7000 e-booków i audiobooków
• Szansa na promocję własnych publikacji
• Aktualności ze świata literatury
• Porady, konkursy, nagrody

KAPADOCJA

KRYMINALNE KRONIKI ASGARDU

Nasi reporterzy i korespondenci z najróżniejszych zakątków światów położonych wokół Yggdrasila połączyli siły, by wreszcie położyć kres niesprawiedliwościom, jakich wszyscy doznajemy z rąk bogów. Dzisiaj demaskujemy zbrodnie popełnione przez mieszkańców Asgardu. Ku przestrodze i w nadziei, że ludzie wreszcie zrobią coś, aby sytuacja w tym miejscu się poprawiła.

Śmierć Ymera

Jak podaje dziennik „Damesaga", w ubiegły piątek, pomiędzy Muspell a Nilfheim, dokonano brutalnego zabójstwa. Ciało ofiary zostało rozczłonkowane, upuszczono całą krew, zwłoki okaleczono w potworny sposób.

Postanowiliśmy przeprowadzić śledztwo na własną rękę. Jego wyniki są szokujące.

Denatem okazał się być Ymer, syn ognistej krainy Muspell i zlodowaciałego świata, zwanego Nilfheimem. Jak podaje nasz korespondent z Nilfheimu, mordu dokonano najprawdopodobniej na tle rasowym. Ymer był pierwszym z lodowych olbrzymów.

Jak do tego doszło?

Okoliczności, jak i cały możliwy przebieg wydarzeń, są bardzo trudne do ustalenia. Wiadomo tylko, że sprawcy odznaczali się wielką brutalnością. Wielu olbrzymów utonęło w krwi swojego praojca; całe środowisko jest zbulwersowane zaistniałą sytuacją.

- My tego nie darować tym, którzy tak zrobić. My wywrzeć pomsta na zabójca! – Takie oświadczenie złożył jeden z lokalnych przywódców Thursów.

Ymera prawdopodobnie zaatakowano we śnie. Zginął od licznych ran zadanych ostrym narzędziem, prawdopodobnie toporem lub mieczem. Oprawcy rozczłonkowali też jego ciało. Niewykluczone , że Ymer był przed śmiercią torturowany.

Co kierowało sprawcami?

Motywy zdają się być niejasne. Sami oskarżeni podają nieracjonalne powody, które nimi kierowały. Póki co pozostają pod ścisłą obserwacją psychologów i psychiatrów. Prawdopodobnie są niepoczytalni.

Sprawcy twierdzą, że taki los był Ymerowi pisany - oni tylko spełnili wolę przeznaczenia..Zabójcy twierdzą, że zamordowali Ymera, by stworzyć świat. Z ciała olbrzyma uczynili ziemię, z jego krwi stworzyli wodę, a włosy przemienili w trawę. Czaszka Ymera miała im posłużyć za nieboskłon, zaś kości stały się pasmami górskimi. Z mózgu ofiary wyczarowali chmury. W ten sposób wypełniali słowa znanej wszystkim legendy.

Zdejmujemy maski.

Kim są szaleńcy, którzy w tak okrutny sposób rozprawili się z biednym Ymerem? Kto stał po drugiej stronie miecza i topora? Kto dopuścił się tak podłego występku? Wydaje się to absurdalne, jednak po przyznaniu się do winy nie ma żadnych wątpliwości. Trzej bracia, Odyn, Wile i We, synowie Borego i Bestii, bez skrupułów przelali krew olbrzyma. Czy sprawa zostanie odłożona aż po Ragnarok, czy sprawiedliwość dosięgnie sprawców wcześniej? Nie wiadomo: koneksje Odyna bardzo mu pomagają Król bogów nie wyraża skruchy. Mało tego, twierdzi, że uczynił dobro:

- Nie mam sobie nic do zarzucenia. Ludzie powinni być wdzięczni za to, że wraz z moimi braćmi włożyliśmy tyle trudu w to, by stworzyć im świat, Midgard. Lodowych olbrzymów nie należy się, póki co, obawiać. A teraz zejdź mi z drogi, śmiertelniku.

Czy zatem żyjemy w świecie, gdzie bogo-

wie stoją ponad prawem?

Włosy Sif

W noc po zwycięstwie nad wilkiem Fenrisem wydarzyła się istna tragedia. Sif, małżonka Thora, odkryła, że skradziono jej piękne, złote włosy. Wpadłszy w rozpacz, wyznała małżonkowi, iż padła ofiarą okrutnego spisku. Thor gdy tylko dowiedział się o wyrządzonej jego lubej potworności, zapałał takim gniewem, że nad Midgardem przez tydzień szalały burze i sztormy. Straty szacuje się na wiele milionów sztuk złota.

Jak to się mogło stać?

- Gdy wróciłem do domu po walhallijskiej uczcie, wyprawionej z okazji zwycięstwa nad wilkiem Fenrisem, zastałem moją małżonkę we łzach, z głową skrytą pod obszernym kapturem płaszcza. Zapytałem jaka jest przyczyna jej smutku. Ona zaś, miast odpowiedzieć, zrzuciła kaptur, pod którym się skrywała. Była zupełnie łysa. Wpadłem we wściekłość, bowiem włosy Sif zawsze były dla nas obydwojga powodem do dumy. Poprzysiągłem, iż ten, kto dopuścił się tego parszywego występku zapłaci za swój czyn.

Włosy skradziono w czasie, kiedy Sif spała. Odkrycie straty było dla niej okropnym przeżyciem.

- To było straszne – mówi. – Nie mogłam przynieść mężowi hańby swoją łysą głową, nie chciałam, by był on obiektem drwin wśród Asów. Strata ubodła mnie także osobiście. Byłam bardzo przywiązana do mego jasnego warkocza.

- Właściwie od razu wiedziałem, kto stoi za tą obrzydliwością – wyjawia Thor, obejmując małżonkę, wciąż jest w szoku. – Postanowiłem na własną rękę wymierzyć sprawiedliwość sprawcy. Nie mogłem uczynić mu jednak żadnej krzywdy w Asgardzie sprowadziłbym nieszczęście na wszystkich Asów. Gdy już go znalazłem, powiedziałem, iż jestem gotów zanieść jego ohydne cielsko choćby do samego Jotunheimu i tam rozerwać na sztuki, jeśli nie zrekompensuje strat mojej najdroższej Sif.

Dlaczego?

Dlaczego piękną Sif spotkała tak straszna tragedia? Odpowiedź na to pytanie okazała się być zaskakująco prosta. Chodziło o zemstę. Nie była to jednak zemsta zazdrosnej o jej wdzięki kobiety, a odwet ojca, którego dzieci okrutnie pokrzywdzono.

- Nie mogłem pozwolić, by to, co uczynił mojemu biednemu synkowi pozostało bez kary. Thor nie potrafił znieść konkurencji w siłowych zawodach. Wiedział, że Fenris przewyższa go we wszystkich testach. Uwięził więc wilka z zazdrości o jego moc! Do tego ten miecz tkwiący w paszczy mojego małego Fenrirka!

- Bzdura – Thor ucina oskarżenia. – Fenris zagrażał nam wszystkim, to wiadome! Zrobiliśmy, to, co konieczne! On po prostu nie mógł pogodzić się z porażką!

- Faktem jest, że sprawca to podły oszust i kłamca – oświadcza jeden z uczestników afery, który chce jednak pozostać anonimowy .

Kto zawinił?

Nikogo w Asgardzie nie zdziwił fakt, że winnym kradzieży włosów Sif okazał się Loki, bóg kłamstwa. Utrzymuje, iż był to akt zemsty za uwięzienie i pohańbienie jego syna, Fenrisa.

Jak to się skończyło?

- Ten parszywiec wyszedł z całej awantury obronną ręką, jak zawsze – informuje Brokki, mistrz kowalstwa Svaralfheimu. – Przybył do mnie i moich braci, byśmy stanęli w zawodach o to, który z nas wykona podarki dla bogów, w tym nowe włosy dla Sif. Daliśmy się wciągnąć w jego sieć, omamił nas swoim rozdwojonym, gadzim językiem. Założyłem się z nim o głowę, że mój młodszy brat wykuje przedniejsze

prezenty, niż starszy. Nie dość, że próbował nam przeszkodzić w pracy, to po przegranym zakładzie nie chciał spełnić jego warunków!

- Czcze łgarstwa! – oburza się Loki. – Zakład stał o głowę, nie moja wina, że Brokki nie potrafił zdjąć jej z karku nie naruszając szyi, której nasze zawody nie dotyczyły!

- Najważniejsze, że Sif odzyskała swoją świetność, a dzięki całej sprawie bogowie otrzymali przednie artefakty – spokojnie ocenił sprawę Tyr. Loki odmówił dalszych komentarzy, ponieważ zaszyto mu usta, a kaligrafia nigdy nie była jego mocną stroną, nie wspominając już o braku znajomości języka migowego.

Sleipnir

Ta sprawa budzi wiele kontrowersji. Jedni twierdzą, że dokonano nadużycia, inni uważają, że to zwykłe oszustwo. Są też tacy, którzy doszukują się łapówkarstwa, ale znajdują się w zdecydowanej mniejszości.

- W zamian za zbudowanie twierdzy, której nie zdobędą olbrzymy, miał otrzymać piękną boginkę Freyę, słońce i księżyc. Zobowiązał się, że skończy prace nad budowlą do pierwszego dnia lata – informuje nas kuzyn poszkodowanego, który, poza informacją, że jest czarnym kowalem, nie życzy sobie personalizowania tożsamości. Boi się, że podzieli los pobratymca.

- Tak, pamiętam go. Wysnuł absurdalne żądania, ale wówczas skłonni byliśmy na nie przystać, głównie ze względu na niepokoje w klanach Thursów. Ale nie dotrzymał warunków umowy, nieprawdaż? – Odyn nadal pozostaje nieustępliwy w kwestii zapłaty.

Jak było?

Majster nie dokończył swojej pracy, ponieważ jego koń pogalopował w las za klaczą w rui.

- Prawda, pozostało mu tylko wstawienie bramy. Bez ogiera nie miał szans tego dokonać. – Frey nie wydaje się być specjalnie przejęty roszczeniami kowala.

- To musiał być podstęp, jak inaczej mogło się wydarzyć coś takiego? – pyta kuzyn ofiary.

Tylko domysły.

Rozstrzygnięcie sprawy jest tym trudniejsze, że kowal, w szale i furii, postanowił odebrać to, co według niego było mu należne, siłą i wówczas został zgładzony przez Thora.

- Owszem, zabiłem tego pyszałka. Nikt nie ma prawa podnosić ręki na Asów, zapamiętaj to sobie, śmiertelniku! – powiedział Thor naszemu korespondentowi. Na szerszy wywiad w tej kwestii nie wyraził zgody.

Wiemy tylko tyle, że w przeddzień zakończenia budowy ogier kowala zniknął w lesie, podążając za piękną klaczą. Właściciel nie mógł go odnaleźć.

- To na pewno Lok! Zdrajca i oszust, tylko on byłby zdolny do takiej niegodziwości! – zapewnia krewny kowala. Na pytanie, jak niby miałby zawinić Loki, odpowiedział:

- To proste: zamienił się w klacz i uwiódł ogiera, by budowa nie została zakończona. Asowie od początku nie zamierzali dotrzymać warunków umowy i użyli podstępu. Przypomnijcie sobie, że zaraz po tym, jak koń powrócił, z lasu wyszedł Loki, prowadząc ośmionogiego Sleipnira, zwierzę poczęte i powite właśnie tamtej przeklętej nocy!

Loki odmówił komentarza. Nie potwierdził ani nie zdementował plotek o tym, że przemienił się w klacz i stał się matką wierzchowca Odyna. Teraz tylko nieufnie przygląda się koniom i nigdy nie odwraca do nich tyłem.

Uwięzienie Lokiego

Do naszego reportera zgłosiła się zrozpaczona kobieta, której mąż został uprowadzony przez Asów i jest przetrzymywany w strasznych warunkach. Zapłakana wyznała, że nie wie, jak ma mu pomóc ani

do kogo się zwrócić, ponieważ oprawcy nie wystosowali żadnych żądań, jakby samo czynienie krzywdy bliźniemu sprawiało im sadystyczną przyjemność.

- Podli Asowie uwięzili mojego męża z dala od ludzkiego świata, by cierpiał aż po Ragnarok! Pod plecy dali mu ostre kamienie, spętali żelazną, zaklętą parszywymi czarami liną, którą zrobili ze ścięgien jego zamordowanego syna! Nad głową zawiesili węża, a jego jad kapie powoli na czoło, powodując okrutny ból. Trwam tak przy biedaku i próbuję łapać jad do kubka, ale naczynie kiedyś trzeba opróżniać i. Gdy jakakolwiek kropla dotknie ciała, on straszliwie cierpi.

Niewinny początek

Świadkowie zeznają, że Asowie podjęli decyzję o uprowadzeniu ofiary na uczcie w domostwie Agira. Czy więc, ze względu na olbrzymie ilości wypitego alkoholu, można mówić o czynie popełnionym w stanie niepoczytalności?

- Na pewno nie! – Sigyn, żona ofiary, wyraża swoje wątpliwości. – Oni polowali jakby był zwierzęciem! Wiedział, że mają wrogie zamiary, więc ukrył się pod postacią łososia w rzece. Złowili go siecią i zmusili do zrzucenia czaru, a potem spętali!

- Zdawał sobie sprawę z tego, że Asowie są na niego wściekli. Mimo to postanowił zjawić się na dorocznej uczcie w zamku mojego pana – mówi Eldir, kucharz Agira. – Postradał zmysły. Zaczął obrażać wszystkich obecnych, wywlekając jakieś stare sprawy. Nie wiem czemu zachowywał się jak szaleniec.

Głęboka studnia

Zastanowiło nas, dlaczego Asowie mieliby gniewać się na swoją ofiarę. Odpowiedzi na to pytanie udzieliła nam Frigg, żona Odyna.

- W zasadzie każdemu z nas kiedyś wyrządził jakąś krzywdę, taka jego natura. Dopóki nie było to niebezpieczne, przymykaliśmy oko. Póki dało się wszystko naprawić, póty pozwalaliśmy na psikusy. Ale on doprowadził do śmierci mojego syna, a czegoś takiego wybaczyć nie można!

- Ta Asinka łże! – bulwersuje się Sigyn. – Nie ma żadnych dowodów na to, że mój mąż ma cokolwiek wspólnego ze śmiercią Baldra. To zwykłe pomówienia! Poza tym wszyscy widzieli, że zabił Hod!

- Mój syn, Baldr, od pewnego czasu miał powracający sen, dotyczący jego śmierci – wyznaje Frigg. – Postanowiłam nie dopuścić do ziszczenia koszmaru, więc udałam się do wszystkich dziewięciu światów, by przekonać to, co żywe, by nie czyniło krzywdy Baldrowi. Każde stworzenie przystało na moje błaganie. Zapomniałam jednak o jemiole, o czym ten łotr wiedział. Asowie, zachwycając się tym, że Baldra nie można w żaden sposób skaleczyć próbowali przeróżnych rzeczy, ciskając weń przypadkowymi przedmiotami. W końcu ten szubrawiec podał mojemu drugiemu synowi, niewidomemu Hodowi, włócznię, do której wykonania użył właśnie jemioły. Hod rzucił w brata, włócznia przebiła pierś i zabiła Baldra. Ruszyłam więc do Hel, by oddała mi mojego syna. Rzekła, że uczyni to, jeśli każde stworzenie w dziewięciu światach będzie płakało nad stratą boga. Ponownie udałam się na tułaczkę, wybłagałam wszystkich, lecz nie olbrzymkę Thokk, która nie chciała opłakiwać zmarłego. Podejrzewam, że to był przebrany Lok.

Smutny finał

- Nie ma możliwości, by skrócić karę Lokiego. Będzie tak trwał, aż nastąpi zmierzch bogów – mówi twardo Odyn, którego udało nam się spotkać u źródeł Mimira.

Czy wyrok jest zbyt surowy? Czy to faktycznie porwanie, czy po prostu zwykłe, zasłużone więzienie? Niestety, prawda nie ma znaczenia. Liczą się tylko interesy grupy trzymającej władzę.

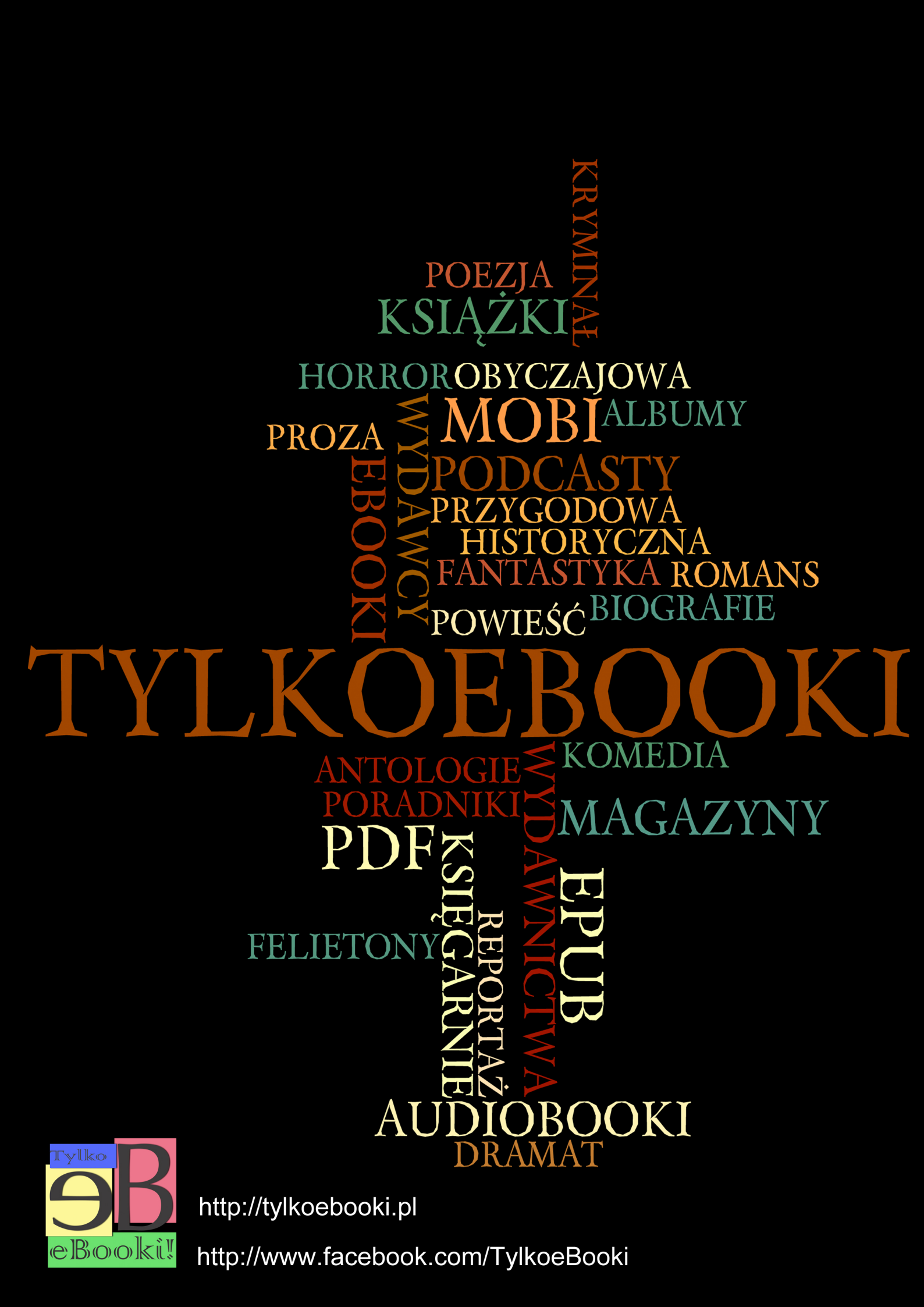
KRYMINAŁ
POEZJA
KSIĄŻKI
HORROR
OBYCZAJOWA
MOBI
ALBUMY
PROZA
WYDAWCY
EBOOKI
PODCASTY
PRZYGODOWA
HISTORYCZNA
FANTASTYKA
ROMANS
BIOGRAFIE
POWIEŚĆ
TYLKOEBOOKI
KOMEDIA
ANTOLOGIE
PORADNIKI
WYDAWNICTWA
MAGAZYNY
PDF
KSIĘGARNIE
EPUB
REPORTAŻ
FELIETONY
AUDIOBOOKI
DRAMAT
Tylko eBooki!
http://tylkoebooki.pl
http://www.facebook.com/TylkoeBooki

„Pałac z lusterkami”

Anna Pasikowska

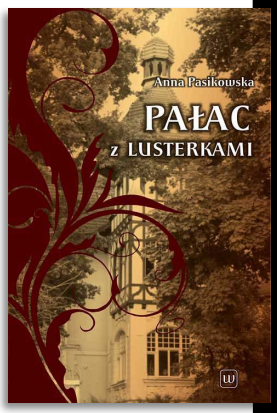

Czy przypadkowe spotkanie może odmienić całe życie? Czy jedna – być może niezbyt rozsądna – decyzja może uruchomić lawinę zdarzeń, które odwrócą los wielu ludzi? Honorata, bohaterka powieści, pewnego dnia wsiada do pociągu relacji Warszawa-Szczecin. Do jej przedziału wchodzi mężczyzna i siada po przeciwnej stronie. Ona, zajęta myślami o swoim niełatwym życiu, nie ma ochoty na jakąkolwiek rozmowę, ale on widząc łzy spływające po jej policzkach nie daje za wygraną i powoduje, że kobieta zaczyna opowiadać mu swoją historię. Powierzyła mu swoje rozterki bo wzbudzał zaufanie, bo wiedziała, że za kilka godzin każde z nich pójdzie w swoją stronę. Pomyliła się. Pociąg do którego wsiadła zawiózł ją zupełnie gdzie indziej. Nieoczekiwanie jej życie zaczęło toczyć się jakby w innym wymiarze...

Format: mobi, PDF, ePub

Cena: 9,10 zł

Do pobrania: **Virtualo (kliknij)**

„Złodziej Dusz. Opowieści niesamowite”

Anna Klejzerowicz

Otaczająca nas rzeczywistość z pozoru wydaje się realna, obiektywna i poddająca się logicznej interpretacji. Pewnie tak właśnie powinno być. Świat ma zapewne stanowić szczelnie zamknięte, rozpoznawalne terytorium, łatwe do uchwycenia poprzez nasze zmysły i umysł. Rodzaj akwarium, poza którym może i coś jest, lecz istnienia innych światów, obcych wymiarów możemy się co najwyżej tylko domyślać.

Jednak czasem coś w tej rzeczywistości pęka, następują jakieś zawirowania czasoprzestrzenne, niewidzialne granice przesuwają się. Powstaje rysa, szczelina, poprzez którą dane jest nam zobaczyć – lub tylko wyczuć – fragment Tajemnicy... I właśnie tropieniem takich szczelin w murze realnej rzeczywistości zajmuje się w swoich opowiadaniach Autorka.

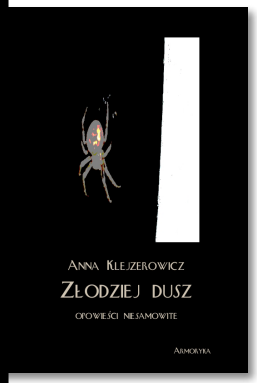

Pełne poezji, ciepła i klimatu opowieści wprowadzają nas w niedopowiedziany i nieuchwytny świat magii, zagadki i tego, czego nie potrafimy nazwać. Czasem grozy, czasem zadumy, ale prawie zawsze – nadziei.

Format: ePUB (ADE), PDF

Cena: 12,33 zł (Promocja)

Do pobrania: **Nexto (kliknij)**

„Kod emocji”

Jolanta Kwiatkowska

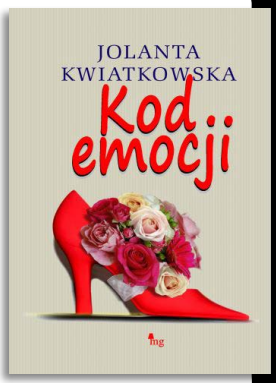

Można by powiedzieć, że Kod emocji to historia czterech zwyczajnych dwudziestoparolatek, którym los kazał się spotkać w jakimś nieistotnym momencie. Można by tak powiedzieć, gdyby nie było to oczywistą nieprawdą. Bowiem nie ma zwyczajnych ludzi – i dlatego też każda z bohaterek tej książki jest na swój sposób nieprzeciętna. A zbieg okoliczności czasami ofiarowuje nam szansę na coś dobrego i tylko od nas zależy, czy ją wykorzystamy. Spotkały się. Polubiły. Zaprzyjaźniły. Wcześniejsze doświadczenia sprawiły, że każda z nich już wiedziała, iż los potrafi plątać nadzieje i marzenia. Były przekonane, że nigdy nikt ani nic ich nie poróżni. Zabrakło im tylko wyobraźni. Za to przeznaczenie miało go zbyt wiele. Bowiem ono tak w literaturze, jak i w życiu jest mistrzem plątania nici osnowy i wątku w tkaninach życia.

Format: ePub, PDF (DRM)

Cena: 24,99 zł

Do pobrania: **T-Mobile (kliknij)**

„Trzy”

Piter Murphy

Trzy różne kobiety, na pozór szczęśliwe, czy raczej pogodzone z losem. Wiele je dzieli, ale być może równie wiele łączy... Historia o nieśmiertelnej prawdzie – że to, czego szukamy, najczęściej znajduje się w najmniej spodziewanym miejscu. Opowieść o miłości, odwadze, o marzeniach, które czasami się spełniają i o wierze, która czyni cuda. Marta, Ewelina i Maria zapraszają do swojego życia. W tej powieści mieszają się ich historie, łącząc w jedną, która przyjmuje zaskakujący obrót. Trzy kobiety, trzy osobowości, trzy różne światy. A jednak wiele wspólnego...

Format: ePub, mobi, PDF

Cena: 9 zł

Do pobrania: **RW2010 (kliknij)**

LAJ J.

Obudził mnie czyjś teatralny szept.

- Wstawaj!

- Mmmm... – wymruczałem pod nosem.

- Co tam mruczysz?

- Wrrrrrrrr!!! - dookreśliłem, przewracając się jednocześnie na drugi bok. Miałem ciężki dzień, ciężką noc; wczesna pobudka była ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzyłem.

Za oknem królowała nieprzenikniona ciemność. Nie będę wstawał na zawołanie niewiadomokogo! Spać będę! A jak się niewiadomokomu nie podoba to niech spieprza.

- Dobranoc – oznajmiłem dobitnie. A co!

ŁUP!

Nagle znalazłem się na podłodze. Nie to, żebym wcześniej się zgubił, chociaż takie odniosłem wrażenie. Nie byłem zadowolony. Po chwili dotarło do mnie, że przyczyna mojego właśnie siniaka na tyłku stoi nade mną. Z moją prywatną kołdrą i prześcieradłem w plugawej dłoni.

- Kto zacz? – zapytałem. Nie mogę mieć stuprocentowej pewności, że w stronę niewiadomokogo nie poleciała cała kawaleria przekleństw. „Kto zacz?" brzmi o wiele dostojniej. W końcu „Gość w dom, koniom lżej" czy jakoś tak.

- Nie ubliżaj mi – odrzekł niespodziewany gość. Widać było, że trochę się obraził. Wychodzi na to, że nie spytałem go jednak „Kto zacz?".

- Kto zacz? – zapytałem, tym razem, siląc się na jak najbardziej przystępny ton głosu, chociaż łeb mi pękał. Tak się musiał czuć Zeus tuż przed urodzeniem Ateny. W ogóle ciekawa historia z tym Zeusem, ale to może kiedy indziej. W każdym razie słuch miałem wyczulony do tego stopnia, że byłbym w stanie usłyszeć jak karaluch wiąże sobie sznurówki w pokoju obok.

- Jam jest Gabryjel – przedstawił się gość, który w tym momencie z „niewiadomokogo" stał się „Gabryjelem niewiadomoskąd".

Dałem sobie spokój z bezsensownymi rozważaniami i przez dłuższy czas uczciwie rozmyślałem nad przyczynami nocnego najścia. Przez chwilę, jak Boga kocham, mignęło mi w głowie powiedzonko cioci Stasi z „Klanu": „A może ja czaju naparzę?", ale powstrzymałem się.

- Super, Gabryjel – rzekłem, chwiejąc się lekko na nogach. – Oddawaj kołdrę i spieprzaj.

No tak, rozegrałem to po mistrzowsku. Nawet mój kac wydawał się zadowolony i na chwilę odpuścił łupanie mnie w czaszkę młotem kowalskim.

- Jam jest Archanioł Gabryjel! Nie lękaj się! Bóg mnie przysłał! – powiedział.

No tak... Trzymam pistolet w drugiej czy w trzeciej szufladzie?

- W trzeciej – pomógł, chociaż moja myśl jeszcze nie pokonała krótkiej drogi między mózgiem a jadaczką.

- Dzięki – podziękowałem wylewnie, chociaż mogłem sobie darować. Otworzyłem trzecią szufladę, wyjąłem broń i strzeliłem do Gabryela, tak ze cztery razy. Na wszelki wypadek. A ten dalej stał jak gdyby nigdy nic z moją kołdrą w dłoni i dziwnie się na mnie gapił. Nie podobał mi się taki obrót spraw.

- Dobra. Czego chce Bóg? – Udawałem, że się poddałem, ale tak naprawdę tylko grałem na czas. Cholera. Nigdy nie pudłowałem z dwóch metrów. Zresztą nie wiem po co w ogóle zadawałem mu to pytanie. Zaczął coś do mnie mówić, a ja słyszałem tylko dzwony kościelne. Powinni dołączyć do opakowania na broń jakieś ostrzeżenie w stylu: „Ministrowie Zdrowia i Obrony Narodowej ostrze-

gają: strzelanie z broni palnej w stanie poalkoholowego kaca nie sprzyja późniejszej komunikacji". Po jakichś trzech minutach łoskot w głowie ustał.

- Coś mówiłeś? – spytałem. Pan Gabryjel nie był zachwycony. Ja też bym nie był, gdybym nawijał z najwyższym poświęceniem przez trzy minuty, a potem ktoś by mnie zapytał, czy przypadkiem czegoś nie mówiłem. - A oddasz mi kołdrę zanim odpowiesz? – Spróbowałem go podejść z tego frontu i wziąć go na litość. Chociaż pewnie gdyby nie kac, to nawet bym tego palanta na ryby nie wziął.

- Nie będzie ci potrzebna tam, dokąd idziemy – powiedział arbitralnie Gabryjel, którego kule się nie imają.

No, po prostu nie mogłem uwierzyć! Wchodzi mi tu takie tałatajstwo do domu w środku nocy, sandałów nawet nie wytrze (podłoga świeżo cyklinowana!), kołdrę mi zabiera, droczy się ze mną, w szufladach mi dziad grzebał, a teraz jeszcze mnie na wycieczkę krajoznawczą chce mnie zabrać? Niedoczekanie!

- Ja z tobą nawet na ryby bym nie poszedł! – odgryzłem się spontanicznie. Dobrze, że nie zna mnie bliżej, bo ja za rybami nie przepadam. Nawet wędki nie mam.

- Ty nawet wędki nie masz – uśmiechnął się pobłażliwie.

Po prostu świetnie! Zdążył mi jeszcze całą chałupę przegrzebać! O tempora! O mores! O cholera! Nigdzie z nim nie idę. Ja to mam szczęście, nie powiem. Całe życie człowiek czeka, żeby jakaś apetyczna dziewica w środku nocy wskoczyła przez okno, obudziła, pogłaskała, w końcu człowiek ciężko całe życie pracuje, a tutaj mi się zwala jakaś przybłęda pijana najwidoczniej, z imieniem co najmniej niepopularnym, ubrany w gigantyczną poszewkę na poduszkę, nóg nie wytrze... Ot, taka sprawiedliwość na tym świecie. Pewnie mi jeszcze wszystkie chipsy zeżarł z szafki, łachmyta. Jeszcze się kiedyś doczeka! Oj, pokażę mu miejsce w szeregu! A żeby wiedział, że sobie kiedyś kupię wędkę! O! I na ryby pójdę. I go nie zabiorę. Zobaczymy komu wtedy będzie głupio. Będzie miał się z pyszna. Przyjdzie takie niewiadomoco niewiadomoskąd i myśli, że będzie mi się w moim własnym domu panoszył. Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz!

- Niemiec? – spytałem znienacka.

Zaprzeczył.

„Pewnie Ruski", pomyślałem.

- Chodź ze mną – powiedział jeszcze raz. No, facet już naprawdę jaja sobie robił. Niech spada. Wyjmę sobie koc z szafy i pod kocem będę spał. Nawet na podłodze, jak będzie trzeba! Niech zna moją determinację, moją zawziętość i – znaną w szerokich kręgach, bohaterską wręcz – nieugiętość (że o niezłomności ducha, tylko przez równie legendarną skromność, nie wspomnę).

Pan Gabryjel wyjął spod pazuchy wielki, ognisty miecz, a nad jego głową zajaśniało potężne światło. Jakby tego było mało, wyrosły mu białe, pokaźnych rozmiarów skrzydła.

- Czekaj, tylko szlafrok włożę.

Nie wiem jak się tam znaleźliśmy, ale coś trzasło, błysło, pierdykło, a po chwili staliśmy przed wielką, złotą bramą, a mi znowu dzwoniło w uszach. Czułem się tak, jakbym stąpał po świeżo rozłożonej wacie. Nic dziwnego. Po krótkich oględzinach doszedłem do jedynego słusznego wniosku.

- Chmura – rzekłem, a na twarzy miałem wypisane „Eureka!".

- Zaiste – odparł Gabryjel, nawet nie zaszczycając mnie spojrzeniem. Coraz bardziej podobał mi się ten gość, mówię wam! – zaraz będziemy u szefa – dodał beznamiętnie, otwierając złotą bramę jakimś małym - pewnie japońskim - pilotem.

Super. O takich wizytach to się powinno jakoś wcześniej informować. U samego Szefa! Szefa wszystkich szefów! A ja taki

nieogolony, na kacu, w starym szlafroku, włosy przetłuszczone i potargane (że o niedoleczonej grzybicy stóp nie wspomnę). Dawno nie czułem się taki... niegodny. Normalnie zabiłbym za butelkę mineralnej...

- Czy ja umarłem? – spytałem dla pewności. Miałem dziwne przeczucie, że jeśli przychodzi do ciebie w środku nocy Archanioł z ognistym mieczem, a potem zrzuca cię z wyra i każe gdzieś iść, to potem raczej czeka cię coś innego niż czytanie sprośnych gazet, podlewanie kwiatów (i tak nie podlewałem. Bo po co, skoro nie mam. Dobra, głupi przykład), wyglądanie przez okno czy skrobanie zaschniętego tłuszczu z patelni. Jednym słowem nie wraca się do siebie w jednym kawałku. W każdym razie nie słyszałem, żeby ktoś ze znajomych opowiadał o czymś takim. Jeśli wrócę, to zapytam sąsiada.

- Ależ skąd. Żyjesz i masz się dobrze – uśmiechnął się dobrotliwie Archanioł.

Cholera jasna. Z jednej strony fajnie coś takiego usłyszeć, ale jakby się nad tym głębiej nad tym zastanowić, powiedział mi to skrzydlaty Gabryjel z ognistym mieczem. Zaczynałem mieć wątpliwości, czy te wczorajsze grzybki to aby na pewno były maślaki...

Przed nami rozsuwały się kolejne drzwi. Jedne były na odcisk palca, drugie na skan siatkówki oka, potem była próbka głosu, aż w końcu stanęliśmy przed ostatnimi drzwiami, których strzegło dwóch strażników z halabardami. Byli ubrani w jakieś kretyńskie stroje w barwach angielskiego klubu piłkarskiego Crystal Palace, co mnie strasznie śmieszyło, ale przypomniał mi się mój szlafrok, więc dałem spokój z nabijaniem się.

- Hasło – zażądał jeden z gwardzistów.

- Masło – odpowiedział Gabryjel, drzwi się otworzyły, rozbrzmiały trąby jerychońskie, chór aniołów śpiewał psalm piętnasty, a jakiś facet w rogu zaczął naparzać w lutnię.

- Mam kaca... – jęknąłem cichutko, ale nikt nie wykazał zrozumienia dla mojego wewnętrznego cierpienia. Co za parszywy dzień. Ciekawe ile płacą temu od lutni, bo moja babcia lepiej grała na gumce od majtek. Cholera! Dostałbym świra nawet, gdyby po podłodze przeszła kawalkada mrówek, a oni mi tu z trąbami wyjeżdżają.

- O Boże... – jęknąłem.

- Bluźnierca! – syknął Gabryjel.

- Gabryjel! – odgryzłem się. To było dziecinnie łatwe, jeśli gadało się z kimś o takim imieniu. Sala była imponujących rozmiarów. Mnóstwo złota, kolumn, ozdób. Przepych, bogactwo i niesamowite echo. Właśnie...

- Echo! – Zawołałem.

Odpowiedziała mi cisza.

- Nie ma echa – powiedział archanioł Gabryjel – Szef je zlikwidował, bo strasznie Go przedrzeźniało. - Trochę byłem zawiedziony, ale nie dałem tego po sobie poznać. Nie wypada marudzić, jak się przyszło w gości. – Szef nadchodzi! Padnij plackiem!

Archanioł mówi, więc trzeba robić. Moje drobiazgowe pomiary odległości, które przeprowadziłem dla zmiennych X – podłoga i Y – moja głowa, okazały się, delikatnie mówiąc, lekko chybione. W związku z czym odzyskałem przytomność pięć minut później, a moje czoło zdobił solidny guz.

- He he – zaśmiał się jakiś mały człowieczek przepasany białą wstęgą z jakimś napisem. Był to pierwszy odgłos, jaki usłyszałem po przebudzeniu, a wiedziony jakimś odległym wspomnieniem z przeszłości, miałem zawsze wrażenie, że jeśli w pobliżu słyszę śmiech, to najprawdopodobniej ktoś nabijał się ze mnie. Intuicja mnie nie zawiodła. Jakiś ktoś o wzroście dochodzącym do półtora metra w kapeluszu, śmiał się z mojego guza. Poczułem się urażony, a jednocześnie zobligowany, by w niezbyt kulturalny sposób wyrazić moje

niezadowolenia, ale język przywarł mi do podniebienia, bo oto ujrzałem napis na szarfie niziutkiego jegomościa, który bezceremonialnie głosił: „Jam jest Jahwe".

Normalnie aż mi kac przeszedł. A więc tak wyglądał Bóg? Metr pięćdziesiąt, rzadkie włosy, gładka twarz dwudziestolatka? No i siedem palców u każdej stopy.

- Trochę inaczej sobie Ciebie wyobrażałem – odezwałem się w końcu – o Panie! Panie Boże! Wasza Ekscelencjo! Wielmożna Czcigodność! Magnificencjo! Wasza Wysokość! – rzuciłem na wszelki wypadek wszystkie grzecznościowe zwroty jakie mi przyszły na myśl, z międzywierszowym dopiskiem: „niepotrzebne skreślić". Miałem nadzieję, że któryś pasował do sytuacji.

- Ja też inaczej sobie ciebie wyobrażałem – przyznał Pan Bóg – i dajmy sobie spokój z tymi ceregielami. Mów mi J. – uśmiechnął się dobrotliwie. – I możesz wstać. Ciężko nam się będzie gadało, jeśli będziesz tak leżał plackiem.

Wstałem z godnością. Tak wtedy myślałem. Potem się okazało, że spod szlafroka widać mi było trzy czwarte tyłka.

Mimo tego wszystkiego wciąż miałem wątpliwości czy to naprawdę Bóg. W końcu Stwórca ma tyle zajęć, że mogli kogoś podstawić. Może chcieli sprawdzić jak zareaguję albo coś w tym dziwacznym guście.

- Na stole jest mineralna, częstuj się – zaprosił Bóg.

- Chwalmy Pana! – wykrzyknąłem, aklamując moją bezgraniczną wiarę. Jakże mógłbym zwątpić? Znany jestem wśród znajomych z żarliwego oddania swemu Stworzycielowi już od wielu lat. Muszę przyznać, że mają tam wyborną mineralną. Jeśli to ma być tylko wstęp, to nie mogę się doczekać własnej śmierci. Teraz tylko pozostaje pytanie, co ja tu robię? Czyżby była to nagroda za moje oddanie, religijność i wiarę? Może dostanę jakiś medal z napisem „Dobry człowiek" albo „Jego słuchajcie, dobrze gada".

- Strzelałeś do mojego archanioła? – zapytał Pan Bóg.

Świetnie. Jeden do zera dla Niego. Przytaknąłem nieśmiało. Moje niezdobyte ordery przemaszerowały mi przed oczami.

- Wybraliśmy ciebie spośród całej ludzkości – zaczął J. – jako iż jesteś jej statystycznym, przeciętnym przedstawicielem, średnio wierzącym, średnio inteligentnym, średnio przystojnym i ogólnie w każdym calu średnim. Tak ogólnie mówiąc, muszę przyznać, że nie wyszedłeś mi zbytnio.

Nagle zrobiło mi się bardzo przykro.

- Właśnie dlatego stoisz tu przed moim majestatem, aby reprezentować ludzkość.

Wypiąłem pierś do orderu, ale nikt nie nadchodził z zamiarem wręczenia mi pucharu, wyróżniania, czy choćby głupiej laurki. Właśnie do mnie dotarło, że raczej nikt mi nie uwierzy, że byłem w niebie i gadałem z J., więc stwierdziłem, że warto by było wziąć coś na pamiątkę. Zacząłem rozglądać się za jakimiś fajnymi sztućcami.

- Jesteś tu, bym mógł zapytać cię o radę – powiedział wreszcie Pan Bóg.

Ha! Super. W środku nocy ze snu wyrwany, jakiś anioł mi się wtarabania z brudnymi sandałami, pościel zabiera, mieczem macha, w szufladach grzebie... Jakby już listu nie można było wysłać. Chętnie bym odpisał. Ciekawe jaka to rada. Może miałbym doradzić w co się lepiej ubrać na spotkanie z Cesarzem Rzymu? Nie znam się na modzie. Wystarczy spojrzeć na mój szlafrok.

- Postanowiłem zmienić kilka rzeczy na świecie w związku z religią, bo ludzie trochę stracili wątek w tym wszystkim – wyjaśnił J.

- Rzeczywiście – przytaknąłem służalczo. Nie wiedziałem do czego zmierza i po co ja tu jestem, ale jak będę przytakiwał to może sobie jakichś punktów więcej nazbieram i szybciej do łóżka wrócę.

- Powiedz mi zatem, człowiecze, jak mnie tam na dole postrzegają? – zapytał Bóg z grubej rury i trochę się zląkłem, bo teraz się zwykłym potakiwaniem nie wykręcę.

- No więc cóż, ludzie, jak to ludzie, po stereotypach lecą – zacząłem dość odważnie – że srogiś, groźnyś, ale jednocześnie mądrość Twa nieskończona, a i Sprawiedliwość we wszystkich zakątkach Ziemi znana i chwalona. Poza Chinami, zdaje się, bo tam gorzej ze znajomością Twego majestatu.

- A boją się mnie? – dociekał.

- A boją – odpowiedziałem ośmielony, choć wiedziałem, że zdania nie powinno się zaczynać od „A", ale skoro wszedłeś między wrony...

- To niedobrze – zafrasował się J., a mi się zrobiło przykro, że to przeze mnie. Spojrzałem w kierunku archanioła Gabryjela, który z kolei poczęstował mnie takim wzrokiem, jakby chciał powiedzieć: „I widzisz? Przykro się zrobiło Szefowi przez ciebie, nędzniku". No tak. Ja zawsze muszę coś palnąć. – A powiedz mi, śmiertelniku, jak odbiera się moje ingerencje w życie ludzkie na Ziemi?

- Z tym to różnie – to była delikatna kwestia, więc starałem się wybadać sytuację. Poczułem jednak, że kłamstwo nie będzie najlepszym rozwiązaniem. – Ludzie nie są zbyt zadowoleni jeśli chodzi o potop. Kilka domów nie wytrzymało tego, były spore zniszczenia i w ogóle. Trochę też psioczyli na czterdziestoletnie krążenie po pustyni w poszukiwaniu Ziemi Obiecanej. Ale doszli i im przeszło. Bardzo im się podobały plagi egipskie. Zwłaszcza szarańcza. Przeważnie chwalą Cię, Panie.

- Z wdzięczności czy strachu?

No i tu mnie ma. Ja sam prawie popuściłbym w gacie, gdybym akurat je miał pod szlafrokiem, ale jeszcze bardziej bałem się kłamstwa.

- Ze strachu – powiedziałem cichutko. Pan Bóg znowu posmutniał. Niedobrze. Wylecę stąd szybciej niż przybyłem, albo od razu mnie do piekła wtrącą. Och, co ja bym dał, żeby teraz chłodne piwko w cieniu pić.

- A jak oddają mi cześć? – dopytywał się Stwórca.

- Głównie to zwierzęta palą – powiedziałem zgodnie z prawdą.

- Co? Myszy, koty, szczury, chomiki, żyrafy?

- Nie, woły, koze, owce i baranki przeważnie – odparłem bez namysłu. Mam nadzieję, że Bóg nie należy do jakiegoś Green Peace, bo pewnie nie byłby zbyt szczęśliwy.

- Poważnie? – wyglądał na zszokowanego – ale czemu? To widziałem, że coś palą, ale dym do góry leciał i mi zasłaniało.

- No tak, Panie J. – znowu mogłem przytaknąć, z czym poczułem się nadzwyczaj dobrze – coś im się uda w życiu, ktoś się z choroby wyleczy, zbiory się udadzą, albo jakieś wesele w rodzinie, to zaraz ludzie biegną i palą zwierzęta z radości. – Zdałem krótką relację, a Bóg wpatrywał się we mnie zdumiony. Ha! Wreszcie ktoś się liczy z moimi słowami. Następnym razem dwa razy się zastanowią, zanim mi anioła z brudnymi sandałami do domu wyślą.

- To tylko potwierdza, że czas na zmiany – rzekł po długim namyśle Pan – Po licznych konsultacjach postanowiłem wprowadzić Nowy Testament – oznajmił z dumą w głosie. Dziwne. Może nie zawsze jestem na bieżąco, ale nie słyszałem nigdy o Starym Testamencie. – Od tej pory Tora będzie nazywana Starym Testamentem – wyjaśnił, uprzedzając moje pytanie.

„No cóż, przydałoby się chyba będzie zabrać za przeczytanie tego Starego Testamentu, skoro już ma nowy niedługo wejść w życie", pomyślałem zapobiegawczo.

- Chciałbym znieść trochę zakazów i bardziej umilić mój wizerunek – kontynuował, więc nie śmiałem mu przerywać.

Zgadnijcie, co robiłem. Tak jest. Przytakiwałem. – Chcę, aby nie uważano mnie za surowego sędziego, tylko za dobrego i miłosiernego ojca.

Byłem lekko zdziwiony, bo szykowała się naprawdę duża zmiana. Nie wiem, czy ludzie to łykną, ale z pewnością woły, kozy, owce i baranki z radością powitają Nowy Testament.

- Co o tym sądzisz? – zagadnął Bóg.

- Obawiam się, że może się wytworzyć podział na tych, którzy będą zwolennikami Starego Testamentu i na tych od Nowego – zakomunikowałem swoje wątpliwości. To chyba było najmądrzejsze zdanie jakie w życiu powiedziałem. Wizja medali i orderów przybierała coraz wyraźniejsze kształty.

- Czas zacząć Nową Erę! – ogłosił potężnie Stwórca.

- Erę Wodnika! – zawołałem, ale najwyraźniej nie o to chodziło, bo wszyscy patrzyli na mnie jak na dzikusa, który przyszedł do swojej wioski i oznajmił, że jedzie do Ameryki robić karierę.

- Erę Miłości – poprawił mnie Bóg. Jak dla mnie nazwa była trochę mniej chwytliwa, ale też całkiem niezła. Szkoda, że mój pomysł nie przeszedł, bo już widziałem jak drukują w milionowych nakładach Nowy Testament z moim motto na okładce: „Nowy Testament. Czas zacząć Erę Wodnika!". No trudno. Może kiedy indziej.

- Ale jak ludzie się zorientują, że nowe czasy nadeszły? – zapytałem, bo ogarnęła mnie wątpliwość, że rozpoczęcie nowej ery bez jakiejś porządnej kampanii promocyjnej nie przejdzie.

- Ześlę na Ziemię Zbawiciela, na którego czekają ludzie! – rzekł tryumfalnie Bóg, uważnie przypatrując się mojej reakcji. Dobrze, że nie powiedziałem tego, co wtedy mi przyszło na myśl, bo nie wiem jak J. zareagowałby na sugestię, aby upewnić się, czy ten cały Zbawiciel będzie miał czyste sandały, bo ludzie są dość drażliwi w takich sprawach, o czym w niebie chyba nie mają pojęcia.

- Świetny pomysł – powiedziałem jednak – a kim on będzie? Ten Zbawiciel.

- Mesjaszem.

- No, tyle to wiem, ale tak konkretnie? – dociekałem, ale nie mogłem się powstrzymać przed wtykaniem nosa w nie swoje sprawy. Ale skoro mnie już tu zaprosili, to mam prawo domagać jakichś szczegółów.

- Mojego syna – powiedział wreszcie Bóg, co wydało mi się genialnym pomysłem, bo ludzie wiedząc, że sam Stwórca zsyła swojego syna, który zbawi świat, będą urzeczeni jego miłosierdziem i natychmiast przestaną palić zwierzęta. Wszyscy będą zadowoleni, nastąpi pokój, miłość, równość, braterstwo, zabrzmią chóry anielskie, trąby jerychońskie, wszyscy będą śpiewać psalmy, hymny pochwalne i niech tylko zmienią tego gościa, co brzdęka na lutni, bo jest beznadziejny i może całą boską sielankę i harmonię posłać do diabła.

- A jak ma na imię syn? – spytałem bardzo uprzejmie. Wtedy właśnie wszedł On. Przystojny, dobrze zbudowany, długie kasztanowe włosy, broda. Naprawdę świetny kandydat na Mesjasza.

- Właśnie się zastanawiam, czy posłać go między ludzi z tym imieniem co ma, czy lepiej mu zmienić, żeby się ludzie nie czepiali. – Zastanawiał się J.

- No ale jak ma na imię? – moja niecierpliwość może była zbyt ryzykowna, ale gra była warta świeczki.

- Stewart.

- Jezu Chryste!

- O, to nawet lepiej brzmi – przyznał Pan Bóg i zapisał moją propozycję na kartce. Dobrze mieć wkład w rozwój religii na świecie. Sąsiedzi pozielenieją z zazdrości. Zapytają gdzie byłem, a ja najpierw machnę lekceważąco ręką, a potem skromnie (jak to zwykle ja) przyznam się, że mój dobry kumpel, J., pytał o radę w sprawie modernizacji religii. No i żeby zrobili sobie miejsce

na półce, bo niedługo ma wyjść Nowy Testament, ale niech nikomu o tym nie mówią, bo to taka mała tajemnica między mną, a J.

- Planuję też stworzyć instytucję Trójcy Świętej, żeby ludziom trochę zamieszać w głowach, czyli będę ja, Stewart i Duch Święty jako jedna osoba – rzekł Bóg.

- Nie rozumiem...

- I bardzo dobrze – ucieszył się J., zacierając ręce.

Ja naprawdę nie rozumiałem! Czyli że co? Ojciec z Synem i jeszcze jakiś Duch Święty? Trzech dorosłych facetów będzie się przedstawiać jako jedna osoba? Co na to Urząd Skarbowy?

- No więc aby zbawienie dokonało się całkowicie – mówił dalej Bóg – jeden z jego uczniów go zdradzi, a ludzie go zabiją.

- Co? – byłem zszokowany. To najpierw się chucha na owieczki, kozy, woły i baranki, żeby potem, tak z czapy, zabić własnego syna? Żal mi było Stewarta, ale przecież Stwórcy nie mogę się sprzeciwiać.

- Nie martw się – uspokajającym tonem mówił J., - mój syn powstanie z martwych i wróci do nieba, gdzie zbudujemy mu krzesełko i będzie siedział po mojej lewicy.

- Może lepiej prawicy? Zgrabniej brzmi – zasugerowałem nieśmiało.

Ten pomysł z powstawaniem ze zmarłych też mi się nie podobał. Już o czymś takim słyszałem. Zombie, czy jakoś tak. Chodzi toto w obdartych szmatach z łapami wywalonymi do przodu, jakby do pianina szedł polkę jakąś zagrać, burczy coś pod tym swoim kikutem nosa, straszy biednych ludzi, zabija i strasznie śmierdzi. Jeśli mam być szczery, niezbyt przypadła mi do gustu taka wizja Zbawiciela,

- Zostało nam tylko pomyśleć nad sposobem śmierci, bo potem ludzie zrobią z tego symbol religijny, więc warto, żeby to jakoś porządnie wyglądało – powiedział J., więc wysiliłem swoje obolałe neurony do wzmożonej aktywności.

- Zrzucenie ze skały raczej nie wchodzi w grę – myślałem na głos. Pomaga. Spróbujcie. Tylko może nie przy ludziach, których nie znosicie. – Rozciągnięcie przez konie mogłoby wyglądać dość ciekawie, ale byłoby trudne do odtworzenia. Trucizna to też raczej zły pomysł.

- A ukamienowanie? – zapytał Bóg. Stewart przyglądał się naszej wymianie zdań z niepokojem. Coś mi się wydaje, że nie polubi za bardzo Ziemi.

- Trudno będzie nosić scenę z ukamienowania nosić na szyi, albo zawiesić w szkole – rzekłem po namyśle. Wtedy przyszła mi do głowy genialna myśl.

- Ukrzyżuj – powiedziałem.

- Trochę zbyt barbarzyńsko – zastanawiał się Bóg – co o tym sądzisz, Stewart?

- A nie mógłbym na grypę, czy coś? – Zapytał nieśmiało przyszły Zbawiciel. Szybko mu to odradziliśmy, bo nie wypada, żeby przedstawiać Syna Bożego jako kaszlącego faceta z czerwonym, zakatarzonym nosem. Przez chwilę się zastanawiałem, czy jeśli Stewart zachoruje na grypę, to czy w ramach Trójcy Świętej wszyscy będą chorzy, ale od tego całego myślenia rozbolała mnie już głowa. Marzyłem tylko o ciepłym łóżku.

- Drogi śmiertelniku – zaczął podejrzanie miło J. – a nie chciałbyś być tym, który zdradzi Stewarta i wyda go na śmierć krzyżową?

- Ja? – ręce zaczęły mi się pocić i dostałem gęsiej skórki. Ktoś tu wymagał ode mnie zbyt dużej odpowiedzialności. A co ludzie powiedzą? Zdradzę im Zbawiciela, to nawet jak będę tłumaczył, że taki był plan Boży i tak musi być, to w najlepszym wypadku uznają mnie za wariata i w ramach kuracji wrzucą mnie do jaskini z lwami, tak jak tego Daniela. Tyle, że ja mogę nie mieć tyle szczęścia. – Ja to niekoniecznie, ale mój sąsiad, Judasz, to własną matkę by sprzedał za trzydzieści srebrników – zaśmiałem się nerwowo. – Mogę wam dać numer – dodałem konspiracyjnie i już po chwili wszystko wróciło do normy. Pan Bóg i Stewart podziękowali mi za pomoc i kazali Archaniołowi Gabryjelowi wziąć mnie z powrotem do domu. I bardzo dobrze.

- Gotowy? – zapytał Gabryjel, a złota brama zamknęła się za nami z cichym trzaskiem.

- Najpierw sandały wyczyść – zasugerowałem.

Obudziłem się nad ranem ze strasznym bólem głowy. Czułem się nieświeżo, wyglądałem nieświeżo i miałem dobijająco głupawy sen. Poza tym było mi strasznie zimno. Nigdzie nie mogłem znaleźć mojej kołdry. Porozglądałem się trochę po pokoju, znalazłem cztery tajemnicze ślady w mojej ścianie. Jakby po jakiejś strzelaninie. „Ta impreza naprawdę musiała się wymknąć spod kontroli", pomyślałem lekko oszołomiony. Nie pamiętałem absolutnie nic. Boże, zabiłbym za butelkę wody mineralnej...

No tak, na stoliku stała butelka wody mineralnej i wazon z kwiatami. Szybko napiłem się kilka łyków i zacząłem szukać aspiryny. Woń kwiatów drażniła mnie bardziej niż pies sąsiada. „Ale skąd te kwiaty?", uderzyła mnie nagle myśl. Sięgnąłem po leżącą przy nich karteczkę.

„Dziękuję. J.", pisało na niej. Nie miałem pojęcia kim był, lub była „J.". Ale jeśli miałaby się okazać jakąś fajną dziewczyną, to mam nadzieję, że zostawiłem jej swój numer telefonu.

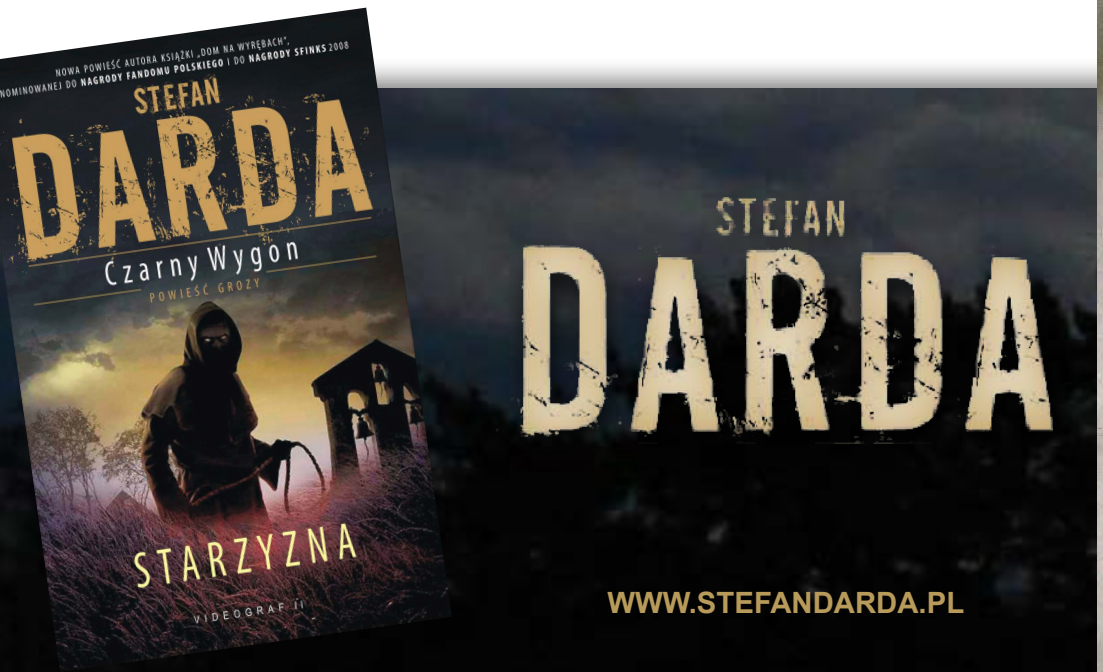

ALEKSANDRA ANDRUKOWICZ

ODBIERZ TELEFON, A OPOWIEM CI BAJKĘ

Może nie powinnam tego opowiadać - bynajmniej nie tak często, jak to teraz robię. Zawsze, kiedy się nudzę (w końcu ileż można rzucać woreczkami z wodą w bezdomne koty?) dzwonię pod przypadkowy numer i opowiadam. Zwykle ludzie szybko się rozłączają, co strasznie mnie irytuje. Ciskam wtedy słuchawką o podłogę i odsyłam nieszczęśnika do wszystkich diabłów.

Teraz już nikt nie chce słuchać bajek. Wszyscy się ich wstydzą, uważają za niepoważne. Ale co to ja miałam? Ach tak, opowiedzieć tę nieszczęsną historię.

Jestem Halka, a ty? Tak wiem, mam dziwne imię, ale to wszystko przez zamiłowanie taty do opery. Swoją drogą, co ciekawego jest w zdzieraniu sobie gardła i psuciu innym słuchu piskliwym świergotem?

Dlaczego nic nie mówisz? No tak, przecież czytasz, a normalni ludzie (za jakiego zapewne w swej zarozumiałości śmiesz się uważać) nie mówią do siebie podczas czytania. Może zrobisz wyjątek i powiesz jak masz na imię? Nie? No cóż, szkoda.

Najwyraźniej zaliczasz się do tych nudziarzy, którym fantazję wypaczyła już kolorowa telewizja i Internet, w którym wyobraźnia jest gotowa do pobrania i w dodatku darmowa! Właśnie - miałam ci opowiedzieć historię. Chyba musisz się przyzwyczaić do tego, że często gubię wątek. To moja słaba strona. Czasami zapisuję to, co mówiłam na żółtej karteczce samoprzylepnej i przyczepiam do okna. Zapominam o niej kiedy wychodzę do innego pokoju. Do rzeczy, bo pewnie już cię (może wolisz pana/panią, bo dalej nie znam twojego imienia?) szlag trafia. Mam rację?

Ile ja mogłam mieć wtedy lat? Może dziesięć, może dwanaście... Na pewno nie wierzyłam już w Świętego Mikołaja, ale dalej lubiłam sukienki w motylki (sukienka - głupi wynalazek. Nie można w niej grać w piłkę, wygląda się na ułożoną i grzeczną. Wtedy wszystkie starsze panie, słuchające radia przy otwartych oknach krzyczą na ciebie, że rzucanie woreczkami z wodą jest niebezpieczne. Tam naprawdę nikogo nie było, a ja przypadkiem trafiłam w tego grubego jamnika pani Sulskiej!). Pojechałam z rodzicami nad morze. Do Sopotu. Chociaż nie, chyba to był Kołobrzeg... A może Łeba albo Złote Piaski? Zresztą nieważne, bo plaża i tak była pełna bladych ludzi, który bezczelnie pokazywali się prawie bez ubrania, uważając to za normalne. Przecież to ekshibicjonizm w czystej formie, takie plażowanie powinno być karalne! Mieszkaliśmy w jakimś pensjonacie, gdzie podawali paskudne śniadania (rzadka jajecznica i gumowate parówki z plastiku, silikonu i innych śmieci).

Pewnej nocy nie mogłam spać. Była pełnia, a na mnie to jakoś dziwnie działa. Wyszłam do ogródka i postanowiłam posiedzieć na plastikowym placu zabaw ze zjeżdżalnią wysokości jednego metra. Co to za frajda zjeżdżać, kiedy siedząc na szczycie dotykasz stopami ziemi?! Usiadłam na huśtawce, ale i tak musiałam podciągnąć kolana pod brodę. Studiowałam z bliska liczne strupy i zadrapania na moich nogach (o, tu mam na przykład bliznę, która została mi po bójce z psem ciotki. Naprawdę, podłe zwierzę, jakaś krzyżówka wilczura, owczarka, wilka i Bóg wie czego jeszcze. A zęby pożyczył chyba od tygrysa szablozębnego!). Nagle usłyszałam dziwny krzyk. Ktoś wydzierał się jakby go obdzierali ze skóry. Trochę się przestraszyłam, w końcu byłam sama

w ogródku jakiegoś szemranego pensjonatu, a niedaleko być może kogoś zabijali (widziałam coś podobnego w jednym filmie z czerwonym kwadracikiem w rogu ekranu - jednym z tych, po których mam koszmary przez tydzień). Wstałam z tej nieszczęsnej huśtawki i poszłam w stronę, z której dobiegał krzyk. Nie mam dobrej orientacji w terenie, więc zgubiłam się i zaszłam aż na samą plażę, która o tej porze dnia była śliczna, taka niebiesko- srebrna.

Krzyk rozbrzmiewał blisko, coraz bliżej. Poszłam więc w stronę skał, takich dużych, szarych i ostrych (trochę przypominały jakiś pałac albo warowną twierdzę. Świetnie by się tam urządzało bazę przy bitwie na śnieżki. Szkoda tylko, że jest lato, a w dodatku bezśnieżne! Śnieg w zimie, przy tej temperaturze jest naprawdę bezsensowny, o wiele bardziej przydałby się w lipcu!). Wspięłam się po tych głazach i znalazłam małą wnękę, w której leżała jakaś dziewczyna.

Była śliczna: miała zielone włosy (nie takie zielone jak butelka po piwie, bardziej w kolorze soczystego jabłka) i bladą cerę. Od pasa w górę była naga, a zamiast nóg miała rybi ogon! Zakryłam usta ręką z wrażenia, bo takie rzeczy zdarzają się przecież tylko w kreskówkach albo w filmach fantastycznych, które sprawiają wrażenie bajek, a wcale nimi nie są. Swoją drogą - od tego jej ogona niemiłosiernie śmierdziało rybą, a między łuski wplątało jej się kilka glonów. Siedziała na kamieniu i wrzeszczała wniebogłosy.

Zapytałam, czemu tak krzyczy. Odpowiedziała, że przypływ wyrzucił ją właśnie tutaj. Zasnęła, a w tym czasie woda odpłynęła. Ona nie może przebywać zbyt długo na lądzie i potrzebuje pomocy.

Zaproponowałam, że mogę ją trochę ochlapać, co przyjęła z wdzięcznością. W miseczkę utworzoną z rąk nie udało mi się jednak nabrać dużo wody; poświęciłam się i wzięłam trochę tej słonej, brudnej substancji (woda to naprawdę nienajlepsze określenie dla tej podejrzanej cieczy) do ust i najzwyczajniej w świecie oplułam stwora.

- A nie boisz się, że gdyby znalazł cię jakiś naukowiec, wysłałby cię do jakiegoś laboratorium, gdzie pokroiliby cię na kawałki i zbadali, a następnie zasuszyli i wkleili do encyklopedii?

-Ach nie!- Roześmiała się. - Uwierz, że umiem się świetnie bronić. Znam wschodnie sztuki walki, lata praktyki.

Postanowiłam, że zepchnę ją z tych skał. Jej skóra, dotkliwie odczuwająca brak wody, zwiotczała. Musiała ją przytrzymywać i naciągać palcami. Nawet oczy wywróciła na lewą stronę, żeby całkiem nie wyschły. Stanęłam za nią i popchnęłam ją z całej siły.

Stoczyła się po ostrych skałach wprost do wody. Trochę ja poraniłam, ale nawet nie otworzyła oczu, gdy dryfowała na plecach w ciemnej wodzie upstrzonej plamami jej krwi(czy to na pewno była krew? Przypominała raczej tę dziwną ciecz w kolorze atramentu, którą wypuszczają kałamarnice. Wiem, bo babcia gotuje na tym tuszu czy atramencie zupę, pochorowałam się po niej).

Zbiegłam do niej i uderzyłam w twarz. Podobno to powoduje ocucenie. Ale w tym przypadku było tylko gorzej. Siedziałam nad jej wątłym ciałkiem do rana, kiedy to przyszła grupa dziennikarzy i naukowców z pęsetami i pipetami.

Zabrali ją! Mnie uczyniono bohaterką nauki. Potem zorientowali się, że zabiłam to stworzenie i zamknęli mnie w poprawczaku na dwa lata. Poznałam tam zepchniętych na margines, zdemoralizowanych i wychowanych w tak zwanych trudnych rodzinach młodych - wyrzutków społeczeństwa. Straszna historia, zniszczyła mi życie.

Skąd wiesz, że kłamię?! To niemożliwe, że zauważyłeś to wyłamywanie kostek! Jak mogłeś to zauważyć przez papier? A może to przez ten twój chory realizm

i brak wiary w bajki? Tak, to pewnie to.

Masz rację, kłamię. Wymyśliłam wszystko w tej historii, wszyściutko.

Wpadłam na ten pomysł pewnego deszczowego dnia, gdy byłam chora. Nudziło mnie już farbowanie obiadu barwnikiem spożywczym i rzeźbienie w ogryzku jabłka. Wtedy poszperałam w szufladach. W końcu znalazłam mocno już pognieciony kolorowy papier (na innym nie spisuje się bajek, to byłoby okropnie smutne!) i korektor (na początku było ciężko, ale jakoś dałam radę). Zapisałam koślawymi literami to wspomnienie - nie wspomnienie. Potem schowałam kartkę do koperty w misie i spaliłam nad kuchenką (kuchenka gazowa to zbawienie! Nad czym piekłabym pianki, gdybym takiej nie miała?).

To doprawdy romantyczne i powinnam czuć się jak w starych książkach mamy, zakupionych za bajońskie sumy przed denominacją waluty. Czułam jednak tylko zapach palonego papieru i nieprzyjemną woń palonego korektora. Potem wszystko ładnie zmiotłam na szufelkę i wrzuciłam do plastikowego kubeczka po twarogu, w którym kot dostaje jedzenie.

Teraz opowiadam tę historię ludziom, żeby w ich poważnym i nudnym życiu, w którym wyobraźnię ściąga się z Internetu, a marzenia kupuje w kolorowych katalogach, wydrukowanych na śliskim papierze pozostało choć odrobinę miejsca na bajkę.

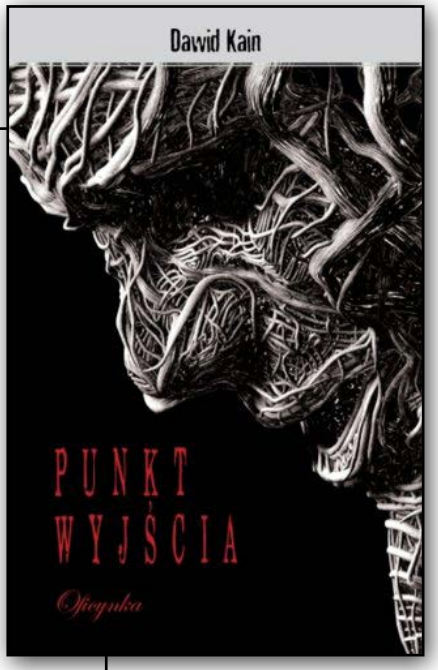

PUNKT WYJŚCIA

Dawid Kain

Zaskakujący horror metafizyczny!

Punkt wyjścia to historia trzech mężczyzn, których losy zbiegły się w pewnej białej chacie – tajemniczym miejscu, gdzie nawet najcięższe choroby zmieniane są w literaturę. To mroczna opowieść o neurotycznym pisarzu Damianie, żyjącym na krawędzi Rafale i bezimiennym uzdrowicielu, który jest w stanie wyleczyć każdą dolegliwość z taką samą łatwością, z jaką zaraża ludzi strachem i odbiera im duszę.

Podejrzane kluby nocne, w których główną atrakcję stanowią tortury, ukryte w leśnych gęstwinach pradawne sekrety, szokująca terapia sztuką i słowa potrafiące zainfekować szaleństwem...

Informacje otrzymane dzięki uprzejmości
Wydawnictwa Oficynka www.oficynka.pl

NAPISZ
WYŚLIJ
PRZECZYTAMY.PL

Prześlijcie swoje prace literackie, a my je PRZECZYTAMY i nagramy w profesjonalnym studio.

www.przeczytamy.pl

ELS

Z.

Krew smakuje inaczej, kiedy leży się na plecach albo stoi na wolnym powietrzu. Za każdym razem smakuje inaczej. Przygryzam język, przygryzam jego prawą cześć, a potem patrzę na zachód słońca. Z. mówił, że nie ma dwóch takich samych zachodów. Mylił się, dzisiejszy jest prawie taki sam jak wczorajszy, a wczorajszy był taki jak przedwczorajszy, tylko krew smakowała inaczej. Wczoraj miała bardziej cierpki smak, dziś jest słodsza i gęściejsza, toczy się wolno i daje złudzenie zawieszającego się czasu.

Z. zabił swoją matkę, ale tylko w myślach. Patrzył jak wolno uchodzi z niej życie, a potem to wszystko wymalował na ścianie. Wcześniej tę ścianę przygotował, położył tak zwany podkład i kiedy tylko matka umierała w jego myślach, zaczął kreślić, szybko, coraz szybciej aż w końcu był tak szybki, że nie wiedział, czy to, co się dzieje, dzieje się naprawdę, czy było tylko złudzeniem albo snem.

Z. miał dwie siostry, jedna miała na imię Marta, druga też była Martą. Obie Marty siadały naprzeciw niego przy stole i patrzyły jak Z. je. A Z. jadł dużo, czasem nawet ponad wymiary swojego żołądka. I rzygał. Do woli rzygał. To było jego życie. Potem pojawiła się Matylda. Miała długie włosy i pieprzyk na lewym policzku. Z. lubił Matyldę, a Matylda lubiła Z.
Siadywali często pod drzewem i mówili o pierdołach. Potem Matylda zniknęła. Nie nagle, zaczęła znikać wolno. Kiedy Z. na nią patrzył pierwszego dnia znikania była tylko nieco niewyraźna, jakby zamazana, potem stopniowo robiła się przezroczysta, a najbardziej przezroczysta była jej twarz. Z. dziwnie się czuł, kiedy na nią patrzył.

Z. przypuszczał, że Matylda stanie się jedną z wielu.

— Kto to są ci jedni z wielu? — zapytałem pewnego dnia.

Z. chrząknął, a potem poprawił krawat (tego dnia wystroił się jakby szedł na imprezę, chociaż wcale na nią nie szedł) i powiedział:

— To ci wszyscy — zatoczył ręką półkole, a ja spojrzałem na otaczający nas tłum.

No tak. Z. miał wszystko, albo nawet za dużo tego wszystkiego (w swojej głowie), dlatego wymyślał te dziwne malowane ściany. Kwiaty miały ludzkie nogi, a zwierzęta ludzkie części ciała. Tylko matka Z. była normalna. Prawdziwa albo nawet bardziej niż prawdziwa i prawdziwie umierała, bo na ścianie nigdy nie umarła całkowicie, była tuż przed ostatecznym krokiem, stała na progu i wołała.

— To nie tak! — powiedział Z.

— Co to nie tak? — spytałem.

— Wszystko nie tak. Spójrz na to jezioro, powinno być większe, a gdyby było większe, powinno być mniejsze, nigdy nic nie osiągnie takiej jak trzeba wielkości, ani nic nigdy nie osiągnie takiej jak trzeba konsystencji i kształtu. Ludzie nigdy nie będą mieli takich jak trzeba charakterów, nigdy też nie będą tak jak trzeba wyglądali. Rozumiesz?

Nie rozumiałem, mimo to przytaknąłem. A Z. znowu poprawił krawat i poszli-

śmy przed siebie. I było dziwnie, bo Z. co chwila się potykał i mówił, że to są niewidzialne przeciwności, a ja widziałem widzialne płytki, kamienie, albo coś innego. A potem było zachmurzone niebo, lunęło nagle i Z. powiedział, że ta chwila naprawdę nas podzieli.

Nie rozumiałem. Odniosłem wrażenie, że Z. chce żebym sobie poszedł i kropka, więc poszedłem, chociaż potem tego bardzo żałowałem, bo dzień później, przez telefon, Z. poinformował mnie, że zacząłem znikać i że nie chce na to moje znikanie patrzeć.

— Wyjeżdżam! — krzyknął i tyle go widziałem.

Teraz patrzę na zachód słońca i przypominam sobie Z. Patrzę na zachód słońca i przygryzam wargi, by poczuć smak krwi i wiedzieć, że istnieję.

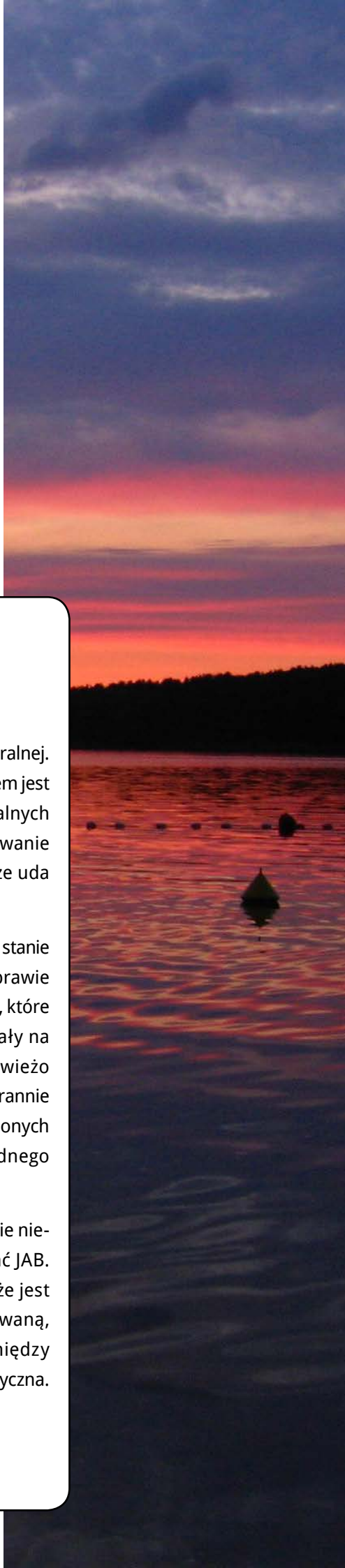

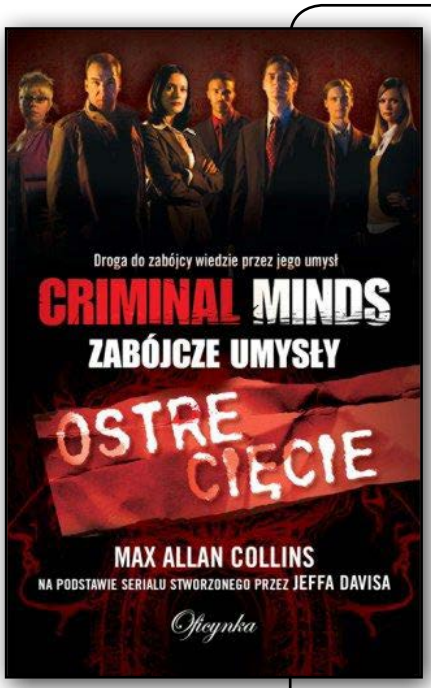

OSTRE CIĘCIE

Max Allan Collins

Oto członkowie Jednostki Analizy Behawioralnej. Elita zespołu profilerów FBI, której zadaniem jest rozpracowywanie najbardziej nieobliczalnych zabójczych umysłów w kraju i przewidywanie ich następnych posunięć – zanim jeszcze uda im się powtórnie uderzyć.

Zespół JAB zostaje wezwany do Lawrence w stanie Kansas, by przeprowadzić śledztwo w sprawie serii zabójstw wśród bezdomnych. Ofiary, które zginęły w wyniku pchnięcia nożem, miały na sobie czyste ubrania, były zadbane i świeżo wykąpane. Według profilera Jasona Gideona są to starannie zaplanowane morderstwa, dokonywane w odosobnionych miejscach i będące realizacją chorych fantazji jednego bądź większej liczby nieznanych sprawców.

Uprowadzenie młodej dziewczyny to druga, pozornie niepowiązana z pierwszą, sprawa, którą ma rozwiązać JAB. Gideon, wbrew opiniom patologów, domyśla się, że jest między nimi ponury związek. Trzeba znaleźć porwaną, zanim i ona zginie. Psychologiczna rozgrywka między sprawcą a profilerami staje się coraz bardziej dramatyczna.

Informacje otrzymane dzięki uprzejmości
Wydawnictwa Oficynka www.oficynka.pl

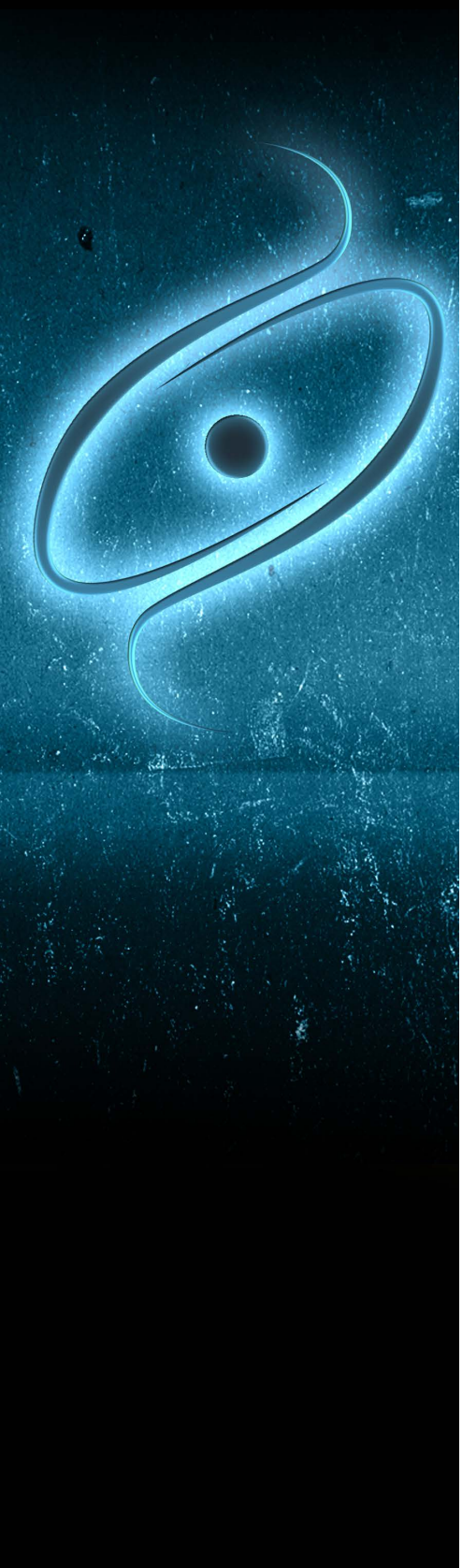

KAROLINA DYJA

PRZYSTANEK LIGHT ROCK

Lubię muzykę. Radio gra nawet kiedy pracuję. Jako odbiorca mam wielki szacunek dla artystów. Poszukuję dwóch rzeczy: dobrych wrażeń słuchowych oraz – przede wszystkim - pasji u tych, którzy muzykę tworzą.

Pracowałam nad tym artykułem z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Znalazłam dobrą muzykę i – co najważniejsze – ludzi z pasją.

Zatrzymajmy się więc na chwilę. Przystanek: Light Rock.

Kim jest „fantastyczna czwórka"?

Piotr Pietrzyba (lider), Damian „Dimatheus" Matuszewski (realizator audio, instrumenty klawiszowe, programowanie instrumentów perkusyjnych, wokal pomocniczy), Dariusz Kabus (flet poprzeczny) i Samuel „Sami" Matuszewski (gitara basowa). Jako zespół funkcjonują od 2005 roku.

Nasza „fantastyczna czwórka" to na co dzień normalni ludzie mający rodziny, swoje zwyczajne troski i radości – mówi Piotr Pietrzyba. – Na przykład Samuel Matuszewski na co dzień jest ratownikiem medycznym, a dodatkowo udziela się też w Ochotniczej Straży Pożarnej. Hutnik, konserwator, praca przy komputerze – ot, takie zwyczajne zawody, niczym niewyróżniające się wśród tysiąca innych.

Pierwsze muzyczne kroki członkowie zespołu stawiali samodzielnie (wyjątkiem jest tu Dariusz Kabus, który uczył się w szkole muzycznej). Zaczynali grać z różnych powodów. Z czasem niewinne „brzdąkanie" przerodziło się w prawdziwą muzyczną pasję.

W tym miejscu warto wspomnieć o Damianie „Dimatheusie" Matuszewskim, który w warunkach domowych wyprodukował kilka albumów: między innymi „Sentimental Love Song II" i „In the race".

Kilka słów o inspiracji

„Wolny z Tobą" to połączenie nutki profesjonalizmu ze sporą dozą fantazyjnej

amatorszczyzny; to jasno wytyczony kierunek, a jednocześnie poszukiwanie swojego muzycznego „ja". To też czerpanie z wielu źródeł, ale tak, by wciąż pozostać sobą.

Słowa zawarte w notce potwierdza Piotr Pietrzyba:

Wiele rzeczy nas inspiruje, czasem pojedyncza „nuta" w jakiejś piosence, którą staramy się przemycić do naszej muzyki, bo jest fajna, kolokwialnie mówiąc. Czasem spodoba się coś innego.

Przepis na piosenkę według lidera Light Rock?

Najczęściej i zarazem najlepiej jest po prostu siąść z instrumentem. Bardzo często zwykłe „brzdąkanie", kilka strun czy klawiszy daje zaczątek czemuś, co potem daje wiele radości przy tworzeniu. Z takiego zwykłego dźwięku powstaje naprawdę COŚ!

W podobny sposób powstają teksty piosenek zespołu. Próżno szukać tu „tekściarza na etacie": każdy członek zespołu ma wkład w ten proces (Piotr Pietrzyba szczególnie wyróżnia tu Darka

Kabusa). Sam proces tworzenia określa jako wynikający z potrzeby serca i wyrażenia czegoś poprzez muzykę: radość lub cokolwiek, co go zainteresowało.

Jaką muzykę tworzy Light Rock?

To, co gramy to wybrany przez nas styl muzyczny. Chyba dosyć mało popularny, bo obecnie na topie są albo rytmy klubowe, albo cięższe rockowe granie. (...) Nie stoimy w miejscu jeśli chodzi o muzykę i nie da się nas określić jednym słowem (...).

Zaczyna się obiecująco, prawda? Zachęcona, ruszyłam na poszukiwania muzyki. Ludzi z pasją już znalazłam. Na słowo nie warto wierzyć, więc...

...pora na kącik Subiektywnych Wrażeń

Pierwszą rzeczą, jaka przyszła mi na myśl to „masz ci los". Wsiąkłam. Po chwili odpłynęłam, zapominając, że mam do czynienia z amatorami.

Brzmienie Light Rock jest tak różnorodne, że każdy znajdzie coś dla siebie. Spokojnie i lirycznie? Nie ma sprawy – „Wolny z tobą" pozwala się zamyślić i zastanowić nad kilkoma sprawami. Szukasz czegoś dynamiczniejszego? Proszę bardzo: posłuchaj „A gdyby"(po trzecim odsłuchaniu nuciłam z przeogromnym bananem na twarzy - niesamowicie wpada w ucho).

Ulubione piosenki? Po dłuższym namyśle wyróżniłam trzy. „Wolny z tobą" urzekła mnie niesamowitym klimatem, „A gdyby" dynamiką i brzmieniem, a „Szara Rzeczywistość" słowami - prostymi, a jednocześnie niesamowicie życiowymi.

Odezwa do „fantastycznej czwórki" i Poszukiwaczy Dobrej Muzyki

Co mogę powiedzieć? Chyba tylko jedno: chłopaki, grajcie dalej! Ja waszą płytę kupię bardzo chętnie.

A Wy, drodzy Poszukiwacze Dobrej Muzyki, po prostu posłuchajcie. Naprawdę warto.

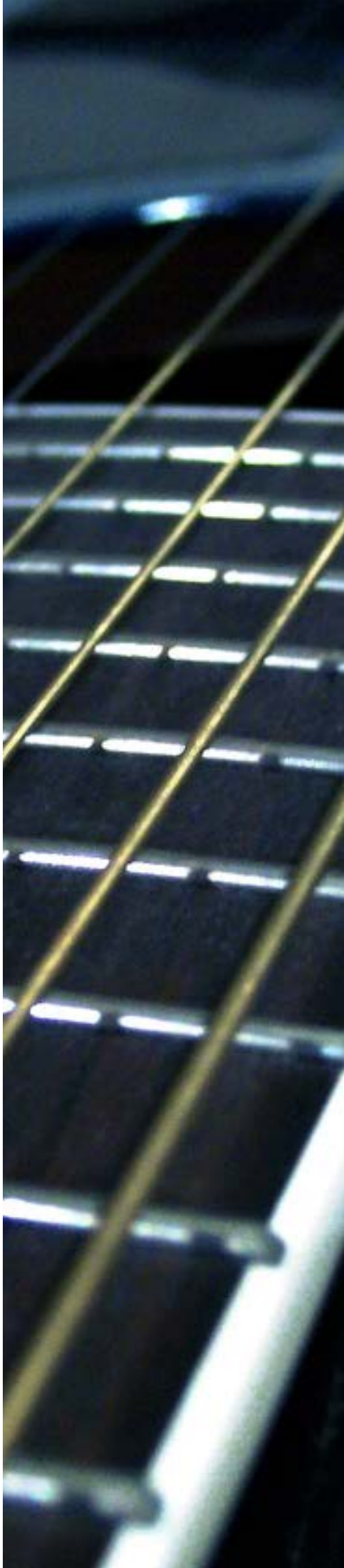

SIMI MANKU

ROSIE MANNING AND A GHOST

Simran Manku to dziewięciolatka mieszkająca w Wielkiej Brytanii. Jej wujek, Amrit Panesar, pracuje ze mną w jednym biurze – i to właśnie od niego dowiedziałem się o Simi. Uwielbia ona pisać krótkie historyjki o duchach, wampirach, zombi i Amrit podsyła mi jej opowiadania co jakiś czas. Pewnego razu zaproponowałem, żeby Simi napisała jakieś opowiadanie dla Via Appii, coby nasi młodsi czytelnicy z Polski mogli przeczytać, o czym też piszą ich rówieśnicy zza granicy, a przy okazji potrenować trochę język angielski.

Simran z niemałym entuzjazmem zgodziła sie napisać opowiadanie specjalnie dla naszego magazynu – i już po kilku dniach zawitało ono do mojej skrzynki e-mailowej.

Z dumą prezentujemy Wam straszną historię Rosie Manning i zapraszamy do lektury oraz trenowania języków obcych!

Simran Manku is a 9 year old girl living in Great Britain. Her uncle, Amrit Panesar, works with me and that's how I found out about her. Simran loves to write short stories about ghosts, vampires and zombies. Every now and then Amrit sends me her stories. One time I proposed for Simran to write a short story for Via Appia, so that our younger readers from Poland could see what their foreign peers write about and also to practice foreign languages.

Simran enthusiastically agreed to write a story especially for our magazine and after a few days it was sent to my e-mail inbox. Therefore, we proudly present you a very spooky story of Rossie Manning and a ghost! We encourage you to read it and practice your English!

A FEW WORDS ABOUT THE AUTHOR:

NAME: SIMRAN MANKU

AGE: 9 YEARS OLD

WHERE SHE LIVES: BRAINTREE, UK

WHAT SHE LIKES: DISNEY CHANNEL, READING, LISTENING TO MUSIC, JUSTIN BIEBER, HOUSE OF ANUBIS, MOVIES, FAMILY TIME

SCHOOL NAME: LYONS HALL PRIMARY SCHOOL

BROTHERS AND SISTERS: TWO SISTERS JAIPREET AGED 8, DAMINI AGED 4 AND ONE BROTHER NAVRAJ AGED 4

It was dark, spooky night. Rosie was walking through the woods, when she suddenly started to hear noises.

"What was that?" she thought to herself. There it went again, the wind was howling stronger than ever and the wolves were howling louder than ever! Then she heard rustling noises in the woods.

"It must be the bushes being blown over by the wind" she whispered to herself. But then she saw something moving in the bushes. What was it...? It had now stopped, but then she felt something was following her. She turned round and saw... A ghost!

Rosie started running as fast as she could. She took a shortcut into the woods and had lost the ghost... But the ghost soon found her and was chasing her again. She tripped and fell. The ghost had got her! He took Rosie back to his gravestone and he killed her. He placed her in a gravestone, which said: R.I.P. Rosie Manning.

But it turned out that Rosie had only pretended to be dead! While the ghost was busy making the gravestone, Rosie left a dummy version of her where she was, and she ran away! She went home and was safe there and the ghost buried dummy Rosie!

And the real Rosie did live happily ever after!

INSPIRATIO

KRZYSZTOF MACHULEC

(NIE)WIARYGODNOŚĆ ZEZNAŃ ŚWIADKÓW

CZĘŚĆ 1: CZY CZŁOWIEK WIDZI TO CO MYŚLI, ŻE WIDZI?

Kryminalistyk chce wierzyć, że każde ludzkie działanie pozostawia ślad w otoczeniu. Czy ma ku temu podstawy? Skoro tak twierdzi, to pewnie tak jest, powiesz. Ale co z tego? Zróbmy eksperyment.

Przypomnij sobie proszę ostatnią zimę, kiedy to spadł śnieg. Wyobraź sobie łąkę po obfitych opadach. Przez całą noc spadło tyle śniegu, że zmieniła się w gładką powierzchnię, z której gdzieniegdzie wystają tylko co dłuższe źdźbła traw. W jaki sposób przejść, nie pozostawiając śladów? Nie da się. Trzeba by przefrunąć, odpowiesz.

Słusznie. Idąc pieszo, zostawimy w śniegu widoczne nawet ze sporej odległości ślady. Pozostaną tam, dopóki coś lub ktoś ich nie zatrze. Odciski stóp, roztrącony śnieg, nierówności i zagłębienia. Ślady te powiedzą bardzo wiele o tobie i sytuacji w jakiej się znajdowałeś idąc tym nieszczęsnym polem. Wielkość odcisku buta pozwoli określić w przybliżeniu twoją wagę i wzrost, rozstaw śladów, oraz dokładność odcisku wskaże, z jaką prędkością się poruszałeś – czy np. biegłeś. Rozłożenie pomoże przewidzieć, czy bałeś się czegoś, czy oglądałeś za siebie. Wzorek na podeszwie może nam zdradzić coś o twojej płci, a bardziej biegłym, co nieco o twoim guście, zainteresowaniach czy muzyce jakiej słuchasz. Linia odcisków wyjawi, czy byłeś trzeźwy, czy coś niosłeś i czy było to dla ciebie ciężkie, czasem dowiemy się nawet tego, w której ręce trzymałeś pakunek.

Tak wiele informacji z tak prostej czynności. Przeszedłeś zimą przez pole. Dla kryminalistyka podjąłeś się jednak działania, wszedłeś tym samym w interakcję z otoczeniem – podłożem, śniegiem. Zostawiłeś ślady swojego działania, a więc i swojej obecności w danym miejscu. Stopień zatarcia śladów powie również o czasie, kiedy w określonym miejscu byłeś, a ich kierunek zdradzi pośrednio, dokąd zmierzałeś, czy wróciłeś i jaki w przybliżeniu dzielił te czynności czas. Po co to wszystko? Przecież to, którędy wędrujesz, poza tobą nie powinno nikogo interesować. Gdy idziesz z ciastem od babci do chorej sąsiadki, rzeczywiście nikt sobie nie będzie tym zawracał głowy. Ale gdy ktoś w tamtej okolicy zostanie znaleziony martwy, wtedy wszystko co dookoła, wszystkie ślady mogące świadczyć o czyjejś obecności, planach i działaniach są źródłem informacji dla śledczych. To tylko przykład, w dodatku przejaskrawiony, aby uzmysłowić ci jedną fundamentalną zasadę. Każde działanie zostawia ślady, mniej lub bardziej widoczne, takie które specjaliści są w stanie odkryć i takie, których jeszcze nie – co nie znaczy, że nie będą w przyszłości, że nie zrobią o tym filmu, albo popularnego serialu.

No dobrze, skoro to mamy już wyjaśnione – do celu. Po co ta cała gadka o śladach, środowiskach, interakcjach i innych? Przypuśćmy, że gdy szedłeś z pakunkiem przez pole w kierunku domu, gdzie znaleziono ciało zamordowanej kobiety, ktoś cię widział. Co wtedy? Wtedy mamy świadka. A twoje działanie weszło w interakcję z najbardziej złożonym, słabo zbadanym, rządzącym się specyficznymi zasadami środowiskiem – ludzkim umysłem. Konkretniej zaś z zachodzącymi w nim niesłychanie złożonymi strukturalnie i zmiennymi procesami psychologiczno-fizjologicz-

nymi, na które składa się - uogólniając - spostrzeganie, zapamiętywanie, przechowywanie w pamięci i odtwarzanie. Na potrzeby tego artykułu przyjrzymy się nieco dokładniej pierwszemu z nich, spostrzeganiu. Wybrałem je nie przypadkowo. To bardzo ciekawy proces, warunkujący pozostałe dwa. W dodatku analiza mechanizmów w nim funkcjonujących, może być pomocna dla początkujących pisarzy.

Wróćmy do naszego sąsiada. Człowiek ten, zagorzały wielbiciel CSI i Malanowskiego, zgłosił się na policję, aby ujawnić ciekawe szczegóły, które mogą pomóc organom ścigania znaleźć sprawcę. Opowiedział o podejrzanym osobniku, który pod wieczór szedł przez pole w kierunku domu zamordowanej. „Niósł ten osobnik jakieś podejrzany pakunek. Tak, to chyba było długie i dość szerokie. Wyglądał na ostrożnego, jakby coś ukradł? Albo chciał ukraść? Było to w ogóle dziwne, czemu nie szedł miedzą, przeca odśnieżona. Traktorem żech jeździł. Ten tajemniczy gość jakby chciał żeby nikt go nie widział. Jak wyglądał? No był ubrany w ciemne ubranie, miał czapkę na głowie i rękawiczki, zamaskowaną twarz. Dziwnie się rozglądał, wyglądał jakby upewniał się, że nikt na niego nie patrzy. Na szczęście mnie nie widział!"

Dlaczego ten drań opowiedział o tobie tyle kłamstw? Przecież miałeś w ręku talerz z szarlotką, nie zabrałeś nawet rękawiczek, bo wyszedłeś tylko na chwilę. Nic nie ukradłeś, a tak w ogóle to szedłeś trzy domy dalej, a rozglądałeś się, bo przecież gdzieś do lotu zerwał się jakiś ptak, takiego czegoś można się ostro wystraszyć, szczególnie, gdy zmierzcha. W dodatku, do licha, twoja kurtka nie jest ciemna ani czarna, tylko popielata! Babcia zrzędziła całe dopołudniowe, że pani Frania chora i zrobiła dla niej ciasto, trzeba było pójść. Wścibski i pokręcony sąsiad na pewno chce ci zaszkodzić. Chodzi pewnie o ten samochód, który parkujesz na ulicy pod jego domem.

Łatwo o podobny wniosek. Szczególnie, gdy rzeczywiście mamy z sąsiadem na pieńku. Lecz z punktu widzenia psychologii zeznań jest on najprawdopodobniej bezpodstawny. Dlaczego? Napisał o tym Mieczysław Ciosek w swojej pracy na temat psychologii sądowej. Zaznaczył, że człowiek nie jest tak racjonalny i logiczny oraz bezbłędny w swojej percepcji świata, jak to się zwykle sądzi, a jego sądy o sobie i o świecie oraz jego spostrzeżenia, a także reguły wnioskowania są często błędne, subiektywnie zdeformowane i selektywne. W świetle tych informacji, jak również biorąc pod uwagę, że sam proces spostrzegania jest procesem złożonym, a każdy złożony proces jest w wielu miejscach narażony na błędy, warto się zastanowić, czy sąsiad rzeczywiście celowo wpakował cię w kłopoty. Sądzę, że w tym przypadku, twój sąsiad nie miał nawet pojęcia, że opis który podał na policji dotyczy ciebie i że to ciebie będę potem ciągać po komisariatach celem złożenia zeznań.

Wiemy już, że spostrzeganie to złożona sprawa. Dzieje się tak dlatego, że ma ono charakter wielozmysłowy. Widzimy, dotykamy, smakujemy, wąchamy, słyszymy. Odbieramy wszystkie te informacje jednocześnie, choć nie wszystkie jesteśmy w stanie zarejestrować. Nasz mózg filtruje te dane, „powiadamiając" nas o tych, które uważa dla nas za istotne. Ten proces odbywa się nieświadomie i jest zależny od naszej konstrukcji psychiczno-fizjologicznej. Świadomie mamy do czynienia jedynie z jego rezultatem, z subiektywnym, przetworzonym wycinkiem otaczającego nas świata. Ciekawe jest to, że jak sądzą naukowcy, gdybyśmy nagle zdali sobie sprawę z wszystkich informacji, które

do nas docierają za pomocą naszych zmysłów, w najlepszym wypadku nie bylibyśmy w stanie normalnie funkcjonować, choć bardziej prawdopodobne, że po prostu zwariowalibyśmy. Totalnie by nam odbiło.

Potrzebne informacje świadomie wychwytujemy ze świata celowym działaniem naszej uwagi. Przypomnij sobie sytuację, gdy nagle zacząłeś szukać usługi albo specjalistycznego sklepu (zielarskiego dajmy na to, babcia choruje i wysyła cię po walerianke) którego wcześniej nigdy nie potrzebowałeś. Zdziwiłeś się zapewne wtedy, że na sąsiedniej ulicy jest taki czy inny sklep, o którym nie miałeś pojęcia, choć przechodziłeś obok niego przez wiele lat, chodząc do pracy, szkoły czy na zakupy. Potem powiedziałeś sobie nawet, no tak, faktycznie, wydawało mi się, że tam coś chyba takiego było, ale jakoś nigdy nie zwróciłem na to uwagi. Szukając informacji, skierowałeś swoją uwagę na określone wycinki otaczającego cię środowiska, na przykład na witryny sklepów, reklamę zielarza. Spenetrowałeś je dokładniej, pomijając w tej sytuacji inne informacje, które w odmiennych okolicznościach zapewne byś zarejestrował, np. idącego z naprzeciwka kolegę, albo przyjaciółkę, która potem zrobiła ci burę, dlaczego nawet się z nią nie przywitałeś? To już ją totalnie olewasz? A mieliście być przyjaciółmi! Chodzi o tą Aśkę, tak?

To, co spostrzegasz i zapamiętujesz, zależy w dużej mierze od tego, co jesteś gotów lub co spodziewasz się zobaczyć. W przykładzie powyżej szukasz zielarza. Ale teraz czas na chwilę szczerości. Nigdy nie zdarzyło ci się, że szukałeś czegoś lub kogoś i zdarzyło ci się nadrobić kawał drogi, wygłupić się, wpakować w korek, tylko dlatego, że wydawało ci się, że coś lub kogoś widziałeś lub że coś gdzieś jest? Nie? Nie wierzę.

Istnieje w nas bowiem coś takiego jak gotowość do zauważania pewnych informacji, która jest dość mocno skorelowana z gotowością do pomijania innych danych. Jerome S. Bruner nazwał to zjawisko gotowością percepcyjną, czyli subiektywną oceną prawdopodobieństwa zajścia zdarzeń, od której zależy dostępność kategorii. Mówiąc prościej, mając gotowość percepcyjną nastawioną na spostrzeżenie kumpla idącego drogą, bo na niego czekamy, ma przyjść z piwem, zapewne wypatrując go przez okno zdarzy nam się zobaczyć go z daleka kilka razy w osobach zupełnie obcych, jedynie podobnych. Dlaczego? Bo mamy ułatwioną dostępność do kategorii opisujących naszego kumpla i dopasowujemy je dość automatycznie do rzeczywistości: mężczyzna, średni wzrost, reklamówka z czymś (piwem), kurtka czarno-czerwona, itp. Czemu służy gotowość? Pomaga nam szybciej dostrzegać ważne dla nas informacje. Jest to niezwykle pomocne zjawisko, ponieważ jak wynika z definicji Brunera, osoba o dużej gotowości percepcyjnej potrzebuje minimalnej informacji na wejściu do spostrzegania przeszkód, innych ludzi, zjawisk oraz do przewidywania wystąpienia innych podobnych lub współzależnych. To spostrzeganie przy minimalnej ilości informacji i wyciąganie wniosków w oparciu o te spostrzeżenia rodzi jednak błędy, szczególnie gdy pojawiają się różnego rodzaju dystraktory (przeszkadzające rozpraszacze - powiedz to szybko dziesięć razy, będziesz lepszy ode mnie).

Ciekawostką jest fakt, że zjawisko to z powodzeniem wykorzystują iluzjoniści i wszelkiego rodzaju sztukmistrze. Doskonale zaznajomieni z mechanizmem kierowania uwagą oraz gotowości percepcyjnej, manipulują

nią w mistrzowski sposób. Pokazują nam coś niezwykłego, cud, czary. Tak naprawdę, w krytycznej sytuacji, kiedy dokonują najzwyklejszego w świecie podstawienia, podłożenia przedmiotu lub innej czynności warunkującej magiczny efekt, bardzo często kierują naszą uwagę w zupełnie inne miejsce. Skupiają ją na czymś niezwykłym i absorbującym. Mało tego, ustawiają naszą gotowość percepcyjną nadzwyczajną atmosferą, przemową i bełkotliwym zaklęciem, które dodatkowo budują w publiczności chęć zobaczenia czegoś niezwykłego, nie z tej ziemi. Niemal automatycznie pominęliśmy więc wszystko to, co dookoła, a im normalniejsze i bardziej pospolite to były rzeczy, tym pewniejsze, że w tej sytuacji ich nie dostrzeżemy. Zostaliśmy oszukani. Iluzjonista wprowadził nasze zmysły w błąd. Zastosował dystraktory, elementy odciągające uwagę, zmanipulował naszą percepcję.

Na pewno zdarzyło ci się czytać jakąś powieść, na przykład kryminalną lub oglądać film. Byłeś przekonany że już dawno odgadłeś zagadkę, że doskonale wiesz, kto zabił, albo co się tak naprawdę wydarzyło. Pod koniec jednak, bohater odkrywa coś zupełnie innego, coś, co jest zaskakującym zakończeniem, takim, którego się nie spodziewałeś. Pamiętasz taką powieść? Padłeś wtedy ofiarą sprytnego iluzjonisty, świadomego narratora, który udzielał ci informacji w sposób tendencyjny, odwracał uwagę absorbującymi wydarzeniami od kluczowych faktów, wodząc cię za nos jak mistrzowski prestidigitator.

Dotarliśmy więc teraz do ciekawego miejsca. Dlaczego? Ponieważ poszukiwanie tego naszego sklepu zielarskiego, podobnie jak dostrzeżenie prawdy w triku iluzjonisty, czy przejrzenie matactw narratora w powieści kryminalnej, może być utrudnione na bardzo wiele sposobów. Spotykasz wcześniej przyjaciółkę lub przyjaciela; niedaleko jest liceum, a letnią porą licealistki mają krótkie spódniczki; jesteś zdenerwowany bo babcia naprawdę kiepsko wygląda, a nie chce wezwać lekarza; leje deszcz, tak, że przemokły ci buty i marzysz tylko o tym, aby znaleźć się w domu, w fotelu z ciepłą herbatką (kielonkiem wódeczki) w ręku; jest ciemno, bo przecież w nocy zazwyczaj jest ciemno; myślisz tylko i wyłącznie o grze, od której oderwała cię prośba babci. Zauważ więc, że w procesie spostrzegania pośredniczą czynniki intelektualne (to, jak i o czym myślisz), poznawcze (kwestia zmysłów, warunków, w jakich one działają, gotowość percepcyjna, uwaga) i uczuciowe (np. twój nastrój, zabarwienie emocjonalne informacji), a każdy z nich wpływa na końcowy efekt, każdy z nich może na wiele sposobów zniekształcić spostrzeżenia, a nawet w bezwzględny sposób cię oszukać. Wiesz co? Coraz bardziej wydaje mi się, że twój sąsiad nie chciał cię uwalić, on po prostu najprawdopodobniej uległ oszustwu. Funkcjonuje w nas co najmniej paru iluzjonistów, a myślę, że nie dopuszczę się nadużycia gdy powiem, że największym z nich jest nasz własny mózg. To on interpretuje otrzymane przez zmysły informacje i to on nadaje im znaczenie zgodnie z posiadanymi przez nas schematami poznawczymi, wykorzystując dostępne sobie mechanizmy i techniki.

Jak już wiemy, spostrzeganie nie jest biernym rejestrowaniem tego, co nas otacza. Może być zakłócone. Możemy popełnić błąd zbyt szybko wnioskując na podstawie niepełnych informacji, możemy dać się oszukać naszym zmysłom, które w niektórych warunkach po prostu zawodzą, jak również procesom towarzyszącym poznaniu. Musimy więc liczyć się z mechanizmami, które to spostrzeganie zniekształcają. Trzeba

je poznać, a zdobytą wiedzę wykorzystywać wraz ze zdobyczami psychologii poznawczej – ponieważ jest ona ogromną częścią wiedzy psychologów sądowych i specjalistów od wiarygodności zeznań świadków. Ona też pomoże oczyścić cię z wszelkich podejrzeń, które – najpewniej nieświadomie – rzucił na ciebie sąsiad (coś czuję, że już nigdy nie zaparkujesz samochodu pod jego oknami, tak na wszelki wypadek).

Do wspomnianych wyżej mechanizmów należą: selektywny charakter spostrzeżeń, mechanizm logicznego uzupełniania, postawy, życzenia osobiste i preferencje określonej osoby, oraz wpływ emocji czy nawyków. Spostrzegamy selektywnie, co do tego nie ma chyba wątpliwości (niezauważona przyjaciółka na ulicy). Nasza uwaga może być skierowana w jakiś punkt na zewnątrz nas, lub do środka, skupiamy się wtedy na swoich przeżyciach. Każdy z nas z pewnością zaobserwował, że nie warto kierować tej uwagi zbyt mocno do siebie, gdy idziemy miastem, bo wtedy łatwo wejść pod samochód, albo tramwaj, który gwałtownie zmusza nas do przerzucenia uwagi głośnym dzwonieniem. Skoro więc kierujemy ją w to, czy inne miejsce, pomijamy cały szereg informacji, które w sposób świadomy do nas nie dotrą, część zaś dotrze szczątkowo, mimochodem, ponieważ przepuści je filtr. Przypominamy sobie więc często wiele informacji, które pojawiły się w naszej świadomości tak jakby przy okazji. Szukaliśmy tego biednego zielarza, ale przy okazji zauważyliśmy, że obok jest fajny sklep z ciuchami, albo zapamiętaliśmy kolor samochodu, który o mało co nas nie rozjechał, choć tak naprawdę nie interesował nas kolor samochodów na ulicy, istotny był fakt, że jakiś obiekt chce nas poturbować i trzeba się usunąć z drogi. Są to więc często szczątkowe, czasami oderwane od innych fakty. Najgorsze jest to, że w procesie sądowym, zadawane przez przesłuchujących pytania bardzo często, jeśli nie najczęściej, dotyczą sytuacji, które zaobserwowaliśmy przy okazji. W dodatku pytają nas o to, po dłuższym odstępie czasu, w trakcie którego wydarzyło się bardzo wiele, w trakcie którego widzieliśmy masę różnych osób, masę samochodów, być może nawet mieliśmy podobną sytuację do tej, która interesuje się organ ścigania.

Gdy czegoś nie pamiętamy, lub nie widzieliśmy tego dokładnie, a czujemy się zmuszeni do udzielenia informacji, czy to przez własne ego, autorytet pytającego, czy inny czynnik, zaczyna wtedy działać mechanizm logicznego uzupełniania. W miejsce luk w pamięci wkładamy rzeczy, które w naszej ocenie po prostu musiały wtedy zajść, ponieważ są wynikiem, jakiegoś tam ciągu przyczynowo-skutkowego, który sobie w głowie poukładaliśmy. Nasz sąsiad uległ temu mechanizmowi przynajmniej raz. Wspomniał coś o rękawiczkach, pamiętasz? Dlaczego? Ponieważ opisywał zamaskowanego, na pewno złego sprawcę mordu, a tacy mają rękawiczki, przecież widać w filmach zawsze. Ciekawe nie? Najbardziej jednak prawdopodobnym źródłem tej informacji był powszechnie znany fakt, że jak jest zima i ostry mróz, ludzie zakładają rękawiczki. To jest bardzo prosty przykład. Mało tego, sąsiad, gdy zostanie skonfrontowany z tą informacją, będzie się najprawdopodobniej upierał, że miałeś wtedy rękawiczki, a gdyby śledczy był sprytny i postanowił zdemaskować nieprawdę pogłębioną sugestią, zapytałby: „A czy nie były one czasem skórzane?" Z dużym prawdopodobieństwem sąsiad w takiej sytuacji powiedziałby: „Kurde nie wiem, ale tak, chyba właśnie takie były." Podczas, gdy jedyne rękawiczki skórzane, które są w domu należą do twojej

mamy i są czerwone. Ale przecież na filmach bandyci mają zawsze skórzane rękawiczki, co nie? Kolejny rachunek sumienia. Przypomnij sobie, jak ostatnio w ciekawym gronie opowiadałeś jakąś interesującą historię, która porwała innych. Czy naprawdę wszystko tak doskonale pamiętałeś? Czy też uzupełniłeś, w większości wypadków nie zdając sobie z tego nawet sprawy, opowieść dodatkowymi, w pełni logicznie komponującymi się z opowieścią detalami? Ciekawa funkcjonalność naszego mózgu, nie sądzisz? Ale to między innymi przez nią policjanci często zadają pozornie niezwiązane ze sprawą pytania, pytają o duperele, zadają po kilka razy to samo pytanie, aby zapytać o to jeszcze raz, przy innej okazji.

W jaki sposób na zeznania wpływają postawy zeznającego? Postawa to względnie trwała struktura lub dyspozycja procesów poznawczych, emocjonalnych tendencji do zachowania, w której wyraża się określony stosunek wobec przedmiotu postawy. Charakteryzuje się tym, że ma zawsze jakiś kierunek, określa pozytywne nastawienie (+) lub też negatywne (-). Wyobraź sobie teraz, że świadek zeznaje na temat osoby, która kiedyś zaszła mu za skórę. Jak myślisz, jakie głównie informacje na jej temat będą mu przychodziły na myśl? Masz rację, głównie negatywne. Naukowcy doszli do tego samego wniosku, choć musieli w tym celu zrobić nieco kosztownych badań. Uznali, że postawy są istotnym czynnikiem konstruującym nasze relacje interpersonalne. Znajdują również bardzo duże odzwierciedlenie w tym, jakich informacji na temat obiektu czy osoby udzielimy w procesie przesłuchania. Gdyby nasz sąsiad wiedział, że to ty tam się szwędasz po polu i naprawdę byłby na ciebie wkurzony, pewnie nie oparłby się pokusie dorzucenia na twój temat kilku negatywnych stwierdzeń: chamski, zostawia babkę i jeździ po świecie, w ogóle się nią nie interesuje, źle żyje z sąsiadami, z wszystkimi skłócony, itd. Działa to też na odwrót. Jeśli nasza postawa w stosunku do kogoś jest bardzo pozytywna, podczas zeznań będziemy bardziej skłonni pomijać często oczywiste, acz negatywne informacje. Zjawisko to stosunkowo łatwo zdemaskować. Postawy ujawniają się po zadaniu kilku sondujących pytań.

Może spotkałeś się z sytuacją, kiedy ktoś powiedział w przybliżeniu coś takiego: „To musiało tak być! Jestem pewien na stówę, ona z nim się przespała". Użyję tego zdania i hipotetycznej sylwetki osoby je wypowiadającej, aby pokazać ci jak mogą zadziałać w aspekcie zeznań świadka jego osobiste preferencje i życzenia. Nasz człowiek ma o czymś silne przekonanie. Jest pewien, nie ważne czy w oparciu o fakty, czy nie, że jego dziewczyna przespała się z jego kumplem. Mało tego, opowiedział ci jak najpewniej do tego doszło, choć tak naprawdę historię tą ułożył w oparciu, jak mu się wydaje o doskonałą znajomość ludzkiej (i jego dziewczyny) natury. Jest na nią wkurzony, uważa, że należy się dziwce kara. Więc kiedy nadarza się okazja złożenia zeznań w sprawie zbrodni, w której ona jest podejrzaną, zrobi to z silnym przekonaniem, że należy się jej to, co jego zeznania złożone pod wpływem osobistych przekonań i życzeń mogą na nią sprowadzić. Nawet się nie domyślasz, jak wielu ludzi wsadziły za kratki zeznania złożone w ten sposób.

Dla organu ścigania ważna jest więc też motywacja do składania zeznań. Gdy śledczy otrzyma bardzo negatywny obraz osoby, którego nie potwierdzają zeznania innych świadków, zada sobie wtedy pytanie: Dlaczego on tak nie lubi podejrzanego? Zacznie grzebać, drążyć, dopytywać. Ponieważ możemy kogoś

lubić i chcieć oczyścić go z podejrzeń, możemy też uważać, że zbrodniarzowi należy się kara i będziemy chcieli pogrążyć gada, gdy tylko nadarzy się okazja. W obu przypadkach dokonaliśmy oceny sami, na podstawie niepełnych informacji i całego szeregu danych, które uzyskaliśmy z niepewnych źródeł naszych zmysłów i które wynikają z przekonania, że skoro go nie lubię, to musi być zły. Ale uwaga. Emocje i postawy są złym doradcą. Jeśli kogoś nie lubisz, to nie oznacza, że ma on większą tendencję do robienia rzeczy złych, niż ty sam. Podobnie jest z sąsiadem. Jest denerwujący, ale przypięcie mu łatki kłamcy, który celowo oczernił cię przed policją, to nadinterpretacja, efekt działania postawy negatywnej i określonego oczekiwania, że jeśli ktoś zrobił coś takiego, to na pewno jest taki a nie inny.

A teraz z ręką na sercu. Ile razy powiedziałeś coś pod wpływem gniewu, coś, czego potem żałowałeś? Mnie osobiście często się to zdarza, bo jestem typem choleryka: powiedzieć, wyrzucić i mieć z głowy. Działać, nie siedzieć i czekać, o tak! Jak widzisz, emocje wpływają na ludzkie działania, a co za tym idzie, mają bezpośredni wpływ na spostrzeganie. W zależności od kierunku i intensywności, wpływają na gotowość percepcyjną, kierują uwagą często w sposób, jaki byśmy sobie nie życzyli, ograniczają dostęp do informacji o środowisku (gdy jesteśmy bardzo zestresowani nie docierają do nas liczne informacje, czasami kumpel musi powtórzyć coś dwa razy abyśmy usłyszeli, miałeś tak?), czasami uwrażliwiają nas na przyjmowanie tylko określonego rodzaju bodźców (np. smutek, bodźce negatywne, nie mów że nigdy nie byłeś w dołku, jak wtedy patrzysz na świat?), skłaniają do działań, które zakłócają, lub całkowicie uniemożliwiają celowe spostrzeganie (np. wybuch gniewu). Co ciekawe, dla zeznań ważne są emocje, które świadek przeżywa w momencie przesłuchania, czy jest zestresowany, czy wściekły itd. oraz te które przeżywał gdy był świadkiem określonego zdarzenia.

Czy sąsiad, widzący jak idziesz wieczorem przez zaśnieżone pole, był wiarygodnym świadkiem? Przecież cię widział. Przecież nie był ślepy ani pijany i najprawdopodobniej nie jest głupi, choć możesz mieć o tym zupełnie inne zdanie. Niczego sobie też raczej nie wymyślił, był szczery. Szczery, z dobrymi chęciami, lecz mało wiarygodny. To absurdalne stwierdzenie nie jest wcale obce specom od wiarygodności zeznań. Ty zaś, myślę, widzisz teraz, że sąsiad nie miał względem ciebie złych intencji. Został oszukany przez swoje procesy poznawcze. Jest żywym (choć wymyślonym na potrzeby artykułu, myślę jednak, że nie musiałbyś długo szukać osoby, która w twoim otoczeniu zachowałaby się podobnie) potwierdzeniem zacytowanego w pierwszej części tekstu stwierdzenia prof. Stanisława Cioska. Człowiek nie jest tak racjonalny i logiczny oraz bezbłędny w swojej percepcji świata, jak to się zwykle sądzi. Ulega iluzji, błędom, własnym słabościom i emocjom. Jego zmysły padają ofiarą dystraktorów, a my, tych mniejszych lub większych oszustw naszej percepcji. Samochód nie tak daleko jak sądziliśmy; dziewczyna nie tak piękna jak nam się wydawało na imprezie; ta osoba we mgle to nie twoja ciotka; ten kolor to jednak żółty, nie popielaty; jadący na ciebie samochód nie jechał aż tak wolno jak sądziłeś, i tak dalej. Jak tu wierzyć opowieści kolegi? Jak dać wiarę usprawiedliwieniu męża, który wrócił o 2.00 a miał przed 22? Mówi prawdę, koloryzuje, nie pamięta bo się urżnął, łże jak pies? Jak wierzyć świadkowi opowiadającemu o jakimś zdarzeniu? W przykładzie mieliśmy do czynienia ze świadkiem szczerym. Ale co, jeśli postanowi on nas okłamać, celowo

wprowadzić w błąd? Wiele z tych rzeczy jesteśmy w stanie odkryć dzięki swojemu doświadczeniu, tzw. wyczuciu i umiejętności obserwacji. Podobnie jak zmysły i one jednak często zawodzą. Z pomocą przychodzi nam wtedy psychologia sądowa i wieloletnie doświadczenie speców od wiarygodności zeznań świadków, liczne badania i eksperymenty, które pozwoliły lepiej zrozumieć procesy zachodzące w umyśle człowieka, genezę takich czy innych błędów, sposób funkcjonowania pamięci. Szczególnie, gdy od tego, czy uznamy kogoś za wiarygodnego czy nie, zależy los, lub nawet życie innych ludzi. Psychologia sądowa pozwoliła również określić typowe oraz bardziej specyficzne symptomy kłamstwa i nieszczerości. Przyjrzymy się im w drugim artykule z tego cyklu. Po co, spytasz. Bo warto, to pierwsze. Po drugie, przyda ci się to w życiu. A po trzecie, pomoże ci wodzić za nos czytelników – a to już coś!

Zagadnienia psychologii sądowej dotyczące wiarygodności zeznań mogą pomóc pisarzowi w pracy nad narratorem literackim. Nie przesadzę, gdy powiem, że narrator powinien być takim (nie)wiarygodnym świadkiem lub też zdolnym i przebiegłym iluzjonistą. Powinny działać na niego te same mechanizmy, które działają na spostrzegającego człowieka, ponieważ zarówno świadek, jak i on, czy czytelnik, wszyscy spostrzegamy wszystkimi na raz, często wprowadzanymi w błąd, zmysłami. Inny narrator – iluzjonista - powinien być świadom psychologicznych aspektów spostrzegania i stosować je na wzór sztukmistrzów i prestidigitatorów. Jak to robić? Jak w praktyce wiedza ta może być przydatna pisarzowi? Zerknij do następnego artykułu. Zdziwisz się. Przypuszczam, że niejeden biegły psycholog sądowy też by się zdziwił.

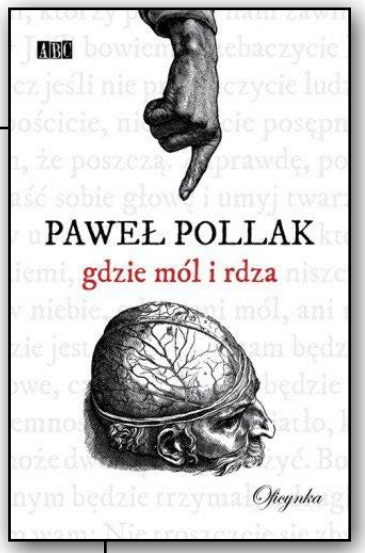

GDZIE MÓL I RDZA

Paweł Pollak

„To nie Nowy Jork, panie komisarzu!"

To Wrocław. Miasto, w którym życie toczy się swoim rytmem, a codzienne sprawy na tyle pochłaniają mieszkańców, że nie zauważają oni, kiedy wśród nich pojawia się morderca: okrutny, bezwzględny i... niezwykle inteligentny. Śledztwo w sprawie serii bardzo dziwnych zabójstw popełnianych na bezbronnych emerytach rozpoczyna komisarz Marek Przygodny z Komendy Wojewódzkiej Policji we Wrocławiu.

Informacje otrzymane dzięki uprzejmości
Wydawnictwa Oficynka www.oficynka.pl

Oficynka

PASJONUJĄCY KRYMINAŁ

w kolorze sepii, niekiedy z przewagą czerni

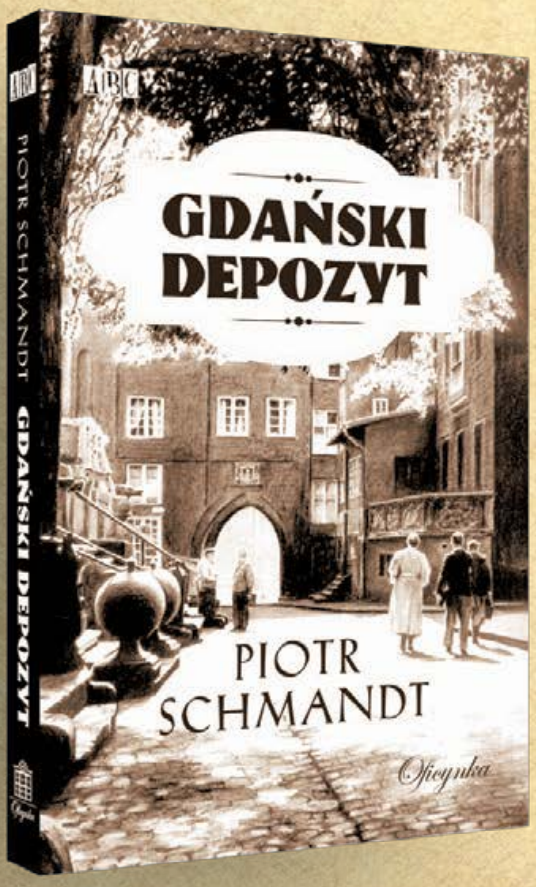

www.oficynka.pl

GILDIA.PL

POLSKA THE TIMES

FANT

Zbrodnia w Bibliotece

firma księgarska J&K Olesiejuk

WYŁĄCZNY DYSTRYBUTOR Firma Księgarska Olesiejuk
spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A.
Magazyn centralny: 05-850 Ożarów Mazowiecki ul. Poznańska 91, tel. (22) 721 30 00/11, www.olesiejuk.pl

amazonka.pl
www.amazonka.pl

Littera Scripta
Konkurs Literacki

DAMIAN NOWAK

LITTERA SCRIPTA

Edycja I

Stało się! I edycja Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego Littera Scripta została zakończona. Wspólnymi siłami Ekipy Forum Literackiego Inkaustus (teraz Portalu VA) oraz partnerów zewnętrznych udało się stworzyć nowe wydarzenie w polskim Internecie, które na samym początku zgromadziło wokół siebie pokaźną grupę pasjonatów literatury.

Czym jest Littera Scripta? Ponad pół roku temu, w tajemniczych i chaotycznych zakamarkach umysłów administratorów Inkaustusa pojawiła się iskra pomysłu. Podsycana przez kolejne osoby, w końcu buchnęła olbrzymim płomieniem, który rozpalił do czerwoności atmosferę wokół nowego konkursu literackiego. Powołano do życia twór, który pozwolił nam ruszyć o krok dalej i rozwijać nasze plany. Powstała nowa jakość, która w sposób niezwykle pozytywny odbiła się szerokim echem w polskim świecie literackim. W swoim założeniu, ma ona promować utalentowanych autorów, którzy pragną zaistnieć na arenie literackiej i zwrócić na siebie uwagę rynku wydawniczego.

Pierwsza edycja Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego Littera Scripta zakończyła się wyłonieniem zwycięskich prac oraz przyznaniem wyróżnienia jednego z naszych jurorów - Stefana Dardy. Najwięcej głosów oraz, co za tym idzie, pierwsze miejsce w ubiegłorocznej edycji uzyskał tekst Pani Karoliny Kwaśniewskiej pt. „Calineczka", praca ta również przyciągnęła uwagę Pana Dardy, który postanowił przekazać jej swoje wyróżnienie. Na drugim miejscu znalazło się opowiadanie Pani Barbary Augustyn, a tuż za nią, obejmując trzecie miejsce, tekst Pani Joanny Radosz.

Podium konkursowe zostało całkowicie sfeminizowane. Nie ma to jednak związku z werdyktami męskiej części jury, gdyż była ona pilnowana przez czujne oko jednej z jurorek. Na łamach magazynu Via Appia chciałbym jeszcze raz pogratulować wszystkim zwycięzczyniom I edycji Littery Scripty!

Skoro mowa już o pracach konkursowych, wypadałoby powiedzieć parę słów o samym temacie. Cofnąć musimy się jednak w czasie o prawie rok wstecz. Wtedy to prowadziliśmy intensywną burzę mózgów, której efektem finalnym było zaproponowanie dwóch tuzinów propozycji tematu konkursowego. Pojawiały się wśród nich takie, których zatwierdzenie prowadziłoby do różnych skojarzeń wśród uczestników, jak i takich, których zrozumienie wymagałoby studiów filozoficznych – administracja do dzisiaj nie rozumie paru pozycji. Spróbowano zatem znaleźć złoty środek i na pierwszy ogień poszedł temat szeroki jak Wisła u ujścia – „Jestem bogiem". Spotykaliśmy się z różnymi interpretacjami tego tematu, lecz to właśnie nasze trzy laureatki najlepiej oddały sens oraz ideę tematyki konkursowej.

Wartość artystyczną oraz zgodność z tematem sprawdzała cała armia recenzentów. Były hektolitry wypitej kawy, dziesiątki kilowatów zużytych przez komputery i długie godziny spędzone nad przysłanymi utworami. Przepłynęliśmy całe morza grafomani zanim udało się wyłowić dziesięć pereł, które zakwalifikowały się do ścisłego finału. W tym punkcie stery przejmowało właściwe jury w składzie: Stefan Darda, Anna Zaręba, Przemysław Małacha i Sławomir Kołodziejczyk. Wyłonione zostało

spośród osób, które miały już swoje debiuty literackie, znały komentatorski fach i potrafiły skonfrontować jakość nadesłanych tekstów z oczekiwaniami potencjalnego czytelnika.

Dzięki ich głosom możliwe stało się wyłonienie ostatecznych zwycięzców, którzy stanęli na podium oraz zostali wyróżnieni za szczególne walory artystyczne. Pan Stefan Darda (powieściopisarz, prozaik, gatunek: horror) kierował pracami jury i posiadał decydujący głos w sprawie wyboru miejsc na podium.

Organizacja konkursu Littera Scripta stała się dla nas wyzwaniem i jednocześnie ciekawym doświadczeniem. Początkowe fiasko rozmów z pierwotnymi partnerami nie zniechęciło nas do dalszej pracy. Byliśmy zdeterminowani i gotowi do wielu poświęceń, aby spełnić nasze plany.

Okazało się jednak, że szybko znaleźliśmy nowych partnerów, z którymi zawiązaliśmy ścisłą współpracę i mogliśmy przystąpić do dalszych działań. Wymienić by tu można wydawnictwa takie jak Zbrodnia w Bibliotece oraz Oficynka czy przełomową na polskim rynku Oficynę Wydawniczą RW2010. Nie moglibyśmy również zapomnieć o Panu Stefanie Dardzie, polskim powieściopisarzu, który zgodził się uczestniczyć w pracach jury, a swoimi cennymi radami nie raz podpowiadał nam właściwe kierunki i drogi, którymi powinniśmy podążać.

Liczby potrafią przekazać nieraz więcej informacji niż słowa. Warto zatem przywołać w tym miejscu małą statystykę. Otóż otrzymaliśmy w sumie blisko 130 prac konkursowych. Liczba ta była dla nas nielichym zaskoczeniem, gdyż w swoich oczekiwaniach liczyliśmy na około 50-70 prac. Tymczasem otrzymaliśmy ich prawie dwukrotnie więcej. Dziękujemy!

Zdecydowana większość tekstów pojawiła się w naszych rękach pod koniec okresu zbierania prac, co jest naturalnie zrozumiałe. Co prawda zdarzył się przypadek, że kilka dni po ogłoszeniu konkursu dostaliśmy kilkudziesięciostronicową pracę (co wzbudziło nasze obawy), lecz okazało się, że została zdyskwalifikowana z uwagi na niespełnienie wymagań konkursowych. Teksty były również różnorodne pod względem długości. Natknęliśmy się na opowiadania mieszczące się na połowie kartki A4, jak również takie mocno przekraczające nasze kryteria. Rekordzista przysłał prawie 80 stron maszynopisu, choć wyraźnie zaznaczaliśmy, że górny limit wynosił około 30 stron. Mimo to zdarzyło się co najmniej tuzin przypadków niezastosowania się do tego wymogu.

Jesteśmy zadowoleni z faktu, że Littera Scripta cieszyła się tak wielką popularnością podczas pierwszej edycji. Możemy obiecać, że dołożymy wszelkich starań, aby kolejna była jeszcze lepsza! Oczywiście zdajemy sobie sprawę, że pewne niedociągnięcia należy poprawić, zwłaszcza od strony technicznej, lecz mamy nadzieję, że położone podwaliny pozwolą nam zbudować wydarzenie, które w sposób cykliczny będzie pojawiało się w polskim życiu literackim. Wierzymy, że oczekiwania uczestników konkursu spełniliśmy najlepiej jak tylko się dało, a niezaspokojona ciekawość związana z wypatrywaniem na horyzoncie drugiej edycji zostanie jak najszybciej zaspokojona.

Dziękujemy jeszcze raz wszystkim, którzy wzięli udział w naszej zabawie. Dziękujemy naszym sponsorom i partnerom, bez których idea konkursu nie dotarłaby do tak dużej liczby osób. Dziękujemy również naszym recenzentom,

którzy niezmordowanie pracowali nad wyłonieniem finałowych tekstów oraz członkom jury pod kierownictwem Pana Stefana Dardy za pomoc w wybraniu zwycięskiego podium. Na samym końcu chciałbym też podziękować Poczcie Polskiej, że nie zgubiła po drodze nagród, które za jej pośrednictwem wysyłaliśmy :)

ZWYCIĘZCY I EDYCJI:

I miejsce

wyróżnienie Stefana Dardy

Karolina Anna Kwaśniewska

II miejsce

Barbara Augustyn

III miejsce

Joanna Radosz

Poruszająca literatura grozy w polskim wydaniu

Ostatnia część cyklu powieściowego

Stefana Dardy

CZARNY WYGON

BISY

już w księgarniach

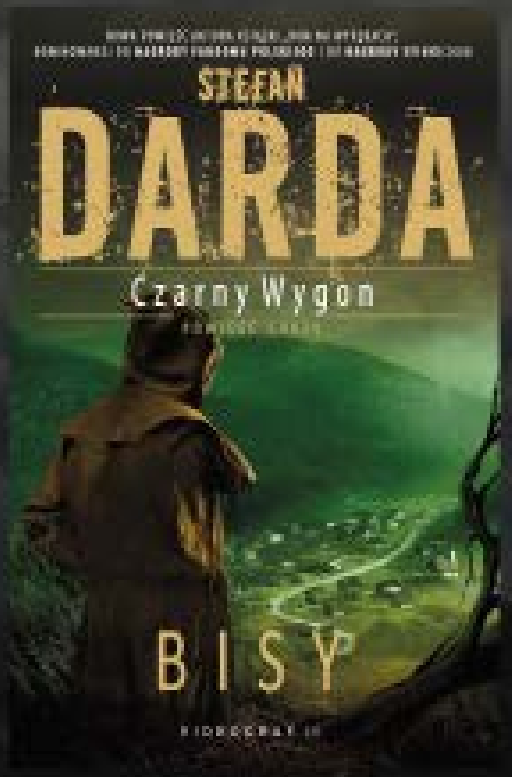

Wcześniejsze losy bohaterów „Czarnego Wygonu" znajdziesz w książkach:

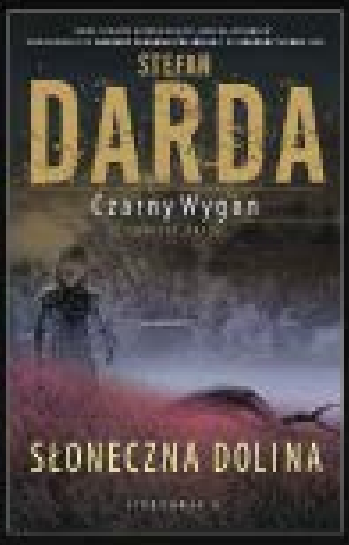

Witold Uchmann, doświadczony dziennikarz po pięćdziesiątce, od jakiegoś czasu zajmuje się w ogólnopolskim czasopiśmie opisywaniem zjawisk paranormalnych. Pewnego dnia, po awanturze z szefem postanawia złożyć wypowiedzenie.

W ostatniej chwili jego decyzję zmienia e-mail otrzymany na redakcyjny adres. Młody mężczyzna informuje Uchmanna, że na Rzatoczu, niedaleko Zwierzyńca, jest przeklęte miejsce, o którego istnieniu nie wie nikt poza tajemniczym nadawcą wiadomości. Dziennikarz, pomimo ostrzeżenia przekazanego przez przyjaciela, decyduje się na spotkanie z informatorem. Dociera do wioski, która już od pierwszych chwil sprawia dziwne wrażenie. Spotkania z kolejnymi osobami i otrzymany od tajemniczego mężczyzny zeszyt przekonują go, że warto bliżej przyjrzeć się sprawie.

Czy wszystko okaże się wyłącznie rojeniami chorego umysłu młodego człowieka, czy może w historii opisanej w brulionie jest część prawdy i rzeczywistość skryta pod sielsko brzmiącą nazwą "Słoneczna Dolina" okaże się naprawdę przerażająca? Znalezienie odpowiedzi na to pytanie nie będzie proste, jednak Uchmann podejmuje się tego zadania. W pewnym momencie uświadamia sobie, że wiele by dał za to, aby jego nowy znajomy był po prostu wariatem...

Powieść nominowana do Nagrody im. Janusza A. Zajdla za rok 2010
3. miejsce w plebiscycie czytelników literatury fantastycznej „Nautilus" za rok 2010

Prawdziwy test dla Witolda Uchmanna jest dopiero przed nim. Czy odważy się stanąć oko w oko z przerażającym księdzem, który krąży w okolicach Starzyzny, czy też może wybierze swoje bezpieczeństwo? Czy dla ratowania życia kilkuletniej dziewczynki, nie bacząc na zagrożenie wiecznym potępieniem będzie potrafił rzucić na szalę własną egzystencję? Jaką rolę w tej całej historii odegra przyjaciel Witolda – Adam Nawrot, może to właśnie jemu będzie groziło największe niebezpieczeństwo, gdy pojawi się nocą na drodze wiodącej z „naszego świata" do przeklętej Słonecznej Doliny?

Nietuzinkowy sposób prowadzenia narracji, który docenili zarówno czytelnicy, jak i recenzenci Słonecznej Doliny, w Starzyźnie wzbogacony został o nowe elementy. Druga część Czarnego Wygonu balansuje na granicy jawy i snu, życia i śmierci, nadziei i rozpaczy. W zapomnianej rzatoczańskiej wiosce, dzwony znów przerwały nocną ciszę, donośnym głosem potwierdzając, że od poprzedniego razu wszystko pozostaje jest bez zmian. Czy tak będzie już zawsze, czy też może istnieje cień szansy na ratunek dla naznaczonych klątwą mieszkańców Starzyzny...?

Powieść nominowana do Nagrody im. Janusza A. Zajdla za rok 2010

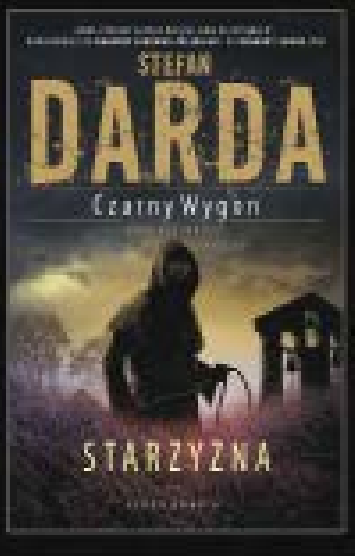

POEZJA.
PROZA.
MUZYKA.
FOTOGRAFIA.
WWW.ROOTSRAT.EU

I MIEJSCE

Karolina Anna Kwaśniewska

CALINECZKA

Znowu tam byłam. Blask słońca tańczył w moich włosach i wplatał się złotą nicią w pojedynczev kosmyki. Wiatr chłodził mi twarz podmuchami tak delikatnymi, że wydawało mi się, że to romantyczny kochanek, który całuje mnie z utęsknieniem. Chmury niczym białe baranki leniwie przechadzały się po idealnie błękitnym niebie. Nie miały się dokąd spieszyć. Po prostu pozwalały życiu przemijać.

Z każdym krokiem czułam, jak ostre łodygi zbóż drapią moje łydki. Nie przeszkadzało mi to wcale. Bawiłam się kłosami, otwierałam dłoń i głaskałam je tak, jak głaszczę miękkie futro naszego rudego kota. Jest tak gruby, że gdyby spadł z dachu, zabiłby się na miejscu. Cóż, nawet zwierzęta tracą swoje niebywałe zdolności, jeśli dadzą się do końca oswoić nam - ludziom, którzy muszą posiadać, a nie umieją już się zachwycać.

Wyraźnie czułam ostry zapach ziemi i lasu. Był jak ożywczy zastrzyk. Przywoływał na myśl dzikość i wolność, o jakiej człowiek dawno zapomniał. I te jaskółki nad moją głową! Lecące wysoko, pomieszane z błękitem, trzepoczące z radością skrzydłami.

Nie musiałam być jedną z nich. Nie chciałam. Czułam się dobrze w swojej skórze kobiety, mając ziemię pod bosymi stopami. To prawda, że z ich perspektywy wszystko wydawało się małe, niewiele znaczące. Ale ja lubiłam, kiedy drobne sprawy ludzkiego świata patrzyły mi w oczy. Nie pragnęłam ucieczki. Wolałam smakować każdą chwilę.

Przychodziły do mnie nagle z walizeczką pełną uczuć. Przebierałam w nich, szukałam właściwych. Zakładałam na siebie, a potem je nazywałam. W ten sposób byłam szczęśliwa, naprawdę spełniona.

Pozwalałam życiu mnie zaskakiwać, wytrącać z równowagi, powalać na kolana wobec nieprzewidzianych kaprysów losu. Zgodziłam się na to, że jestem słaba. Tak słaba, że potrafiłam zgubić się w lesie wydarzeń i codziennych trosk. Wtedy otwierałam szeroko ramionai przyjmowałam moją bezradność. Po prostu byłam tylko kobietą i nigdy nie marzyłam o niczym innym.

***

Obudziły mnie fakty RMF FM: znowu mówili o podwyżkach.

Kark mi zdrętwiał, w ramionach wkrótce pojawiły się „mrówki". Coś przylepiło mi się do czoła, po czym przewędrowało na podłogę.

Zaspanym wzrokiem ogarnęłam pokój. Było kilka minut po szóstej. To oznaczało, że zasnęłam tej nocy nad biurkiem, jak to miałam w zwyczaju. Podniosłam świstek papieru, który wylądował u moich stóp. Przeklęty testament Eleonory. Po latach zapisała mi rozwalającą się chałupę na zaniedbanej działce pośrodku nicości pól i lasów.

Wiedziałam, że chorowała. Chciałam umieścić ją w dobrym hospicjum. Nie mogłam przecież rzucić pracy i opiekować się nią w tym dziwacznym, wilgotnym domku, który tak pokochała. Od śmierci Tadeusza zniknęły kury i kaczki, a pyszniący się swoim grzebieniem kogut w pewną wiosenną niedzielę wielkanocną wylądował na stole. Tylko koty jeszcze lubiły wylegiwać się na zielonej trawie - zwłaszcza gruby, stary Maurycy, rudy ulubieniec Eleonory.

Białaczka wykończyła Eleonorę w kilka miesięcy. Do ostatniej chwili wychodziła z wiadrem nad rzekę. Przyglądała się

koniom na wypasie wśród wysokich traw. Wiatr czesał

jej siwe włosy i uparcie zaglądał pod spódnicę. Odeszła nagle z wiadrem na kolanach, tam nad rzeką. Znaleźli ją rybacy wracający z połowów. Zadzwonili po karetkę. Nic nie dało się zrobić.

Czy płakałam? Chyba nie. Byłam zbyt zajęta, by pozwolić sobie na łzy. Zresztą nigdy nie miałam matki. Tadeusz znalazł mnie w przytułku. Powiedział, że ujęła go moja pyzata twarzyczka. Byłam drobna, ubrana w czerwoną kurteczkę. Złote loki okalały moją głowę niczym promienie słońca. I ta ogromna buzia. Zupełnie nie pasująca do reszty.

Eleonora czekała na męża z kolacją. Długonogie kątniki czaiły się w ciemnościach. Drewno radośnie trzaskało w piecu. Postanowili wziąć psa. Taki chwilowy kaprys. Wszyscy sąsiedzi mieli psy. Ich ujadanie oznaczało, że dom jest pilnie strzeżony. Tylko przed kim? Na tym pustkowiu nie było złodziei. Nie sadzę też, by ktokolwiek łudził się, że tak w ubogiej chatce mieszkańcy trzymają coś wartego przestępstwa. Mieli tylko stare radio Unitra i czarno-biały telewizor, który odbierał dwa kanały. Poza tym strych pełen rupieci, sparciałych dętek, plandek, koców i zboża.

Musielibyście zobaczyć minę Eleonory, kiedy do sieni zamiast psa wbiegła czteroletnia dziewczynka. Pamiętam, że płakała, dusząc mnie w ramionach i głaszcząc po włosach. Dostałam chleb ze smalcem, dwa ogórki oraz pyszną herbatę z cytryną.

Tak nauczyłam się ich kochać.

Teraz siedziałam tutaj, w mieszkaniu Adama. Znowu niczyja i samotna. Ważna dla tysięcy pisarzy, którzy marzyli o tym, bym wydała ich książki, ale będąca nikim dla siebie. Zazdrościłam wszystkim, którzy potrafili coś stworzyć. Nieważne, czy były to krwawe historie, czy romantyczne powieści dla starych panien. Pisanie dawało poczucie kontroli nad wymyśloną rzeczywistością. Ja zaś za wszelką cenę starałam się trzymać w ręku wodze własnego życia. I, o zgrozo, nie wiedziałam nic o pisaniu. Nigdy niczego nie wymyśliłam. Byłam zbyt pusta by fantazjować, zbyt zmęczona by marzyć. Za to świetnie znałam się na pieniądzach, umiałam manipulować ludźmi i doskonale udawać twardą, niezniszczalną. To dzięki temu zostałam właścicielem jednego z najlepszych wydawnictw. No może jeszcze dzięki Adamowi.

To on mnie znalazł we właściwym momencie. Szanowany prokurator, bogaty udziałowiec firmy telekomunikacyjnej. Było to jak odkrycie prawdziwej żyły złota. Tam, na dwunastym piętrze szklanego wieżowca, podczas jednego ze szkoleń dla jego firmy, po prostu oczarował mnie swoim drogim garniturem. On był kimś. Ja tylko zagubioną, niedoszłą aktoreczką, która trzykrotnie dała się upokorzyć komisji rekrutacyjnej w Akademii Teatralnej. Potem grywałam w studenckim teatrze. Aż w końcu dołączyłam do praktyków dramy i zaczęłam prowadzić szkolenia. Najpierw dla nauczycieli, potem dla firm. Pozwalało mi to pozostać w Warszawie i mieć kontakt z teatrem. Ale, gdy Adam zwrócił na mnie swoje niebieskie oczy, rzuciłam dla niego aktorstwo i zostałam redaktorem w wydawnictwie jego siostry. I tak piełam się na szczeblach kariery, doceniana, coraz bogatsza, i coraz bardzie odarta z marzeń, wiary w ludzi, zależna od innych. Byłam królową pisarzy. Księgarnie dobijały się do mojego biura, by podpisać ze mną kontrakt. A ja czułam się jak aktorka, która pomyliła sceny i została zmuszona do improwizowania, bo cały świat na nią patrzy. Tak, to mnie przerastało. Ale

nikt o tym nie wiedział.

***

Samochód czekał za zakrętem w cieniu. Kanciasty, zakurzony Fort Escort, rocznik ,94 w kolorze piasku. Gdzieniegdzie wgniecenia, rdza i zdarty lakier. Miałam obawy, czy ten pojazd jest w stanie zawieźć mnie ponad tysiąc kilometrów na południe. Otworzyłam raz jeszcze list:

Zanim podejmiesz decyzję, pojedź proszę do Medjugorje i wejdź na górę Križevac. Tam nocuj aż do wschodu słońca. Ono powie Ci, co robić.

Wyślę po Ciebie Mikołaja. To zaufany człowiek. Będzie na Ciebie czekał pod biurem w brązowym Fordzie 24 sierpnia o 8 rano. Twoja E

Co mi odbiło, że jej posłuchałam? Desperacja, nadzieja, czy poczucie obowiązku? W moim świecie nie było miejsca na spontaniczne podróże. Nie było nawet miejsca na miłość. Adam przychodził lub nie do apartamentu, w którym mieszkaliśmy. Zawsze poważny i zatroskany.

Wymienialiśmy drobne uwagi o brutalności świata, wzroście przestępczości, podatkach i sprzedaży. Potem kochaliśmy się w pozycji klasycznej przy zgaszonym świetle. On pierwszy kończył. Zapalał lampkę i pił burbona. W wieku czterdziestu pięciu lat dorobił się brzuszka. Ja cóż, jeszcze młoda,o alabastrowej skórze, oglądałam moje dłonie w blasku lampki i myślałam: „takie jest życie". Potem sprawdzałam listę spraw na jutro, byle nie myśleć. Byłam jak Bear Grylls „urodzona by przetrwać" w tej czeluści ludzkiej egzystencji.

A teraz ten samochód, moja walizka w ręku i jakiś nieznajomy mężczyzna, który zawiezie mnie prosto do Medjugorje, na jakąś pieprzoną górę upodobaną sobie przez Boga. On wszędzie wciska te swoje krzyże: na cmentarze, na place, do sejmu. Nawet tej góry nie zostawił w spokoju.

Skąd ona wiedziała, że do 24 sierpnia jej ciało będzie rozkładać się pod betonową pokrywą nad rzeką? Nigdy jej nie rozumiałam. Po śmierci Tadeusza zdziwaczała jeszcze bardziej. Całe dnie przesiadywała na działce, kopiąc, porządkując, pielęgnując. Rozmawiała z marchewkami, przyciskała swój policzek do chropowatej kory wiśni, głaskała liście kapusty. A potem szła dwa kilometry do Kościoła. W przedsionku zsuwała ogrodowe rękawice, moczyła prawą dłoń w święconej wodzie i z uwagą wykonywała znak krzyża. Całą mszę stała oparta o zimną ścianę pod chórem. Nie siadała, nie klękała, tylko stała i patrzyła. A potem, gdy wszyscy wyszli, padała na kolana i modliła się tak długo, dopóki kościelny nie zadzwonił trzykrotnie kluczami u wejścia.

- Eli, dlaczego nie jesz opłatka? - zapytałam raz, gdy wracałyśmy z pasterki.

- Bo ludzie, by tego nie znieśli – odpowiedziała spokojnie.

Dopiero, gdy skończyłam jedenaście lat, zrozumiałam, że w oczach parafian moja przybrana matka uchodziła za cudzołożnicę. Tadeusz nie był jej mężem. Wyszła za mąż za jakiegoś górala, który bił ją do krwi, zamykał w komórce i głodził. Uciekła od niego i wędrując z południa, spotkała Tadeusza. Jechał z targu na motorze SHL'ce, model M06-T z przyczepą workami z ziemniakami. Bez wahania usiadła wśród ziemniaków i tak zajechała z nim do Wielkopolski. A potem pokochała do końca życia.

Gdy uchyliłam drzwi Forda, poczułam ostry zapach stęchlizny. Zrobiło mi się niedobrze.

Barczysty mężczyzna odwrócił głowę i wbił we mnie swoje bladoniebieskie oczy. Miał około czterdziestu lat. Kilkudniowy zarost sprawiał, że wyglądał dość niechlujnie, a sińce pod oczami nadawały jego twarzy wyraz zmęczenia. Ubrany był we flanelową koszulę w kratę. Podwinięte rękawy ukazywały

silne przedramiona. Na głowie miał kraciasty beret.

- Walizka do tyłu. Ty za mną.

Miał niski, trochę zachrypnięty głos.

- Nie pomógłby mi pan? Ona jest dość ciężka...

- Nie.

Wkurzona trzasnęłam drzwiami i władowałam walizkę do bagażnika. Wydała głuchy odgłos. Gdy wsiadałam do środka, znowu utkwił we mnie wzrok.

- Powiedziałem, że siadasz za mną.

- Przecież jest miejsce obok.

- To prawda. Ale to nie znaczy, że dla ciebie.

Spojrzałam mu w oczy. Nie było w nich cienia złośliwości ani zniecierpliwienia.

Za to jego wzrok onieśmielił mnie i rozbroił doszczętnie. Posłusznie przesiadłam się do tyłu. Mikołaj odpalił silnik, ustawił lusterko i wyszczerzył do mnie zęby w uśmiechu.

- Grzeczna lalunia.

- Wypraszam sobie.

Zamiast odpowiedzieć, roześmiał się.

***

Pierwszy przystanek był pod Częstochową. Mikołaj dźgnął mnie w bok.

- Czas na kawę.

Oczy kleiły mi się niemiłosiernie. Długi czas spędziliśmy w korku. Potem gdzieś za Piotrkowem Trybunalskim urwał mi się film. Przygnębiająca cisza w samochodzie sprzyjała spaniu. Co jakiś czas uderzałam głową o szybę. Przekręcałam się na bok i śniłam dalej. A teraz staliśmy na opustoszałym parkingu w lesie. Bar był zamknięty. Gdy gramoliłam się z Forda, Mikołaj stanął przodem do sosny i zaczął oddawać mocz. Wzdrygnęłam się. To przypomniał mi jednak, że mój pęcherz także jest pełny. Zaczęłam iść ścieżką w głąb lasu w poszukiwaniu dogodnego krzaczka.

W chacie nie mieliśmy łazienki. Eleonora grzała wodę na gazie i wlewała ją do miski. Na

taborecie w kuchni stawiała mydło i ręcznik. Potem zamykała drzwi od pokoju i pomagała mi się umyć. Gdy skończyłam sześć lat, umiałam już sama szykować sobie wodę i nie potrzebowałam niczyjej eskorty. Mycie traktowałam jako nieprzyjemną konieczność i cieszyłam się, że trwa tak krótko. Lubiłam jedynie, gdy Eleonora raz w tygodniu namydlała moje złote loki szarym mydłem, a potem spłukiwała na dworze. Piana spływała w dół betonowej drogi aż do beczek z deszczówką. Uwielbiałam zwłaszcza, gdy wiało lub padało. To dodawało całej scenie dramaturgii. To wtedy zapragnęłam grać w teatrze.

Toaletę zastępował wychodek, wmurowany w podłużny pas budynku ze starym sprzętem, taczkami, grabiami oraz kurnikiem. Otwierało się drewniane drzwiczki, które można było zamknąć od środka za pomocą haczyka. Siadało się w zupełnej ciemności na gazetach wyłożonych wokoło dziury w betonowym klocku i załatwiało potrzebę. Żadnych sentymentów. Trzeba było zrobić swoje i jak najszybciej wyjść zanim zimno dobywające się przez szpary drewna nie odmroziło ci tyłka albo gorąco, i smród kumulujące się podczas upałów, nie udusiło cię śmiertelnie. Mi przeszkadzały jedynie pająki. Świadomość, że wiszą mi nad głową, przyspieszała mój proces wypróżniania się.

Teraz przeklinałam zamknięty bar i klujące chaszcze drapiące mnie w uda. Chciałam po prostu się wysikać i nie złapać kleszcza. Gdy nagle usłyszałam głos:

- Podwójne espresso, czy latte?

Podskoczyłam i obsikałam sobie buty.

Za mną stał Mikołaj. Co prawda odwrócony tyłem, ale stał tam tuż za mną. Gorąca para tańczyła nad termosem, który trzymał w dłoni.

- Czy pan oszalał?! - krzyknęła, dopinając spodnie. - Co to za pomysł, by

mnie podglądać!

- Ja cię nie podglądam – powiedział, ciągle na mnie nie patrząc. - Spytałem, jaką chcesz kawę.

Stanęłam przed nim i wyzywająco spojrzałam mu w oczy.

- Nie chcę kawy – syknęłam.

- Szkoda – wzruszył ramionami. - Bo ja się napiję.

Piętnaście minut później wsiadł do samochodu i potarł z uciechą ręce.

- Dobrze, że zmieniłaś buty – spojrzał na moje adidasy. - Nie lubię zapachu moczu.

A swoją drogą, nie musiałaś iść taki kawał. Wiele kobiecych tyłków już widziałem. Twój z pewnością nie byłby lepszy.

***

Ten facet mnie drażnił. Był ordynarny, szorstki i zarozumiały. Traktował mnie grubiańsko i nie wzbudzał mojego zaufania. Parokrotnie zastanawiałam się, czy po prostu nie wysiąść i nie wrócić do Warszawy. Wtedy zrobił to: zatrzymał się na parkingu pod Jasną Górą i wyskoczył na pół godziny. Powiedział, że musi odwiedzić „mamę", a gdy wrócił, rzucił, że mam od niej pozdrowienia. Podziękowałam, mając minę totalnego debila.

- Znowu zmienili jej sukienkę – pokręcił ze smutkiem głową. - Czy oni naprawdę myślą, że moja matka to pieprzona modelka?

A może on był wariatem?

Dalsze godziny upłynęły mi na czytaniu książki, obserwowaniu okolicy i rozmyślaniu o Adamie. Pewnie wróci dziś po 22.00 i nawet nie zaniepokoi się tym, że mnie nie ma. W czarnym garniturze, pachnący Hugo Bossem, ogolony przejdzie się ze szklaneczką burbona po tarasie. Przejrzy gazetę, wykona kilka telefonów i ani razu nie pomyśli o mnie. Cóż, jestem tylko jego znajdą. Tak, jak byłam nią całe życie. Niczyja. Pozbawiona praw. Powiedział, że się ze mną nie ożeni i że jeśli mi się to nie podoba, to mogę odejść. Tylko dokąd? Bez niego byłam nikim i dobrze o tym wiedziałam. Trzymał mnie w swoich wielkich włochatych łapskach.

- Na szacunek trzeba sobie zasłużyć.

Głowa Mikołaja zwisała nade mną ponad oparciem fotela. Znowu przysnęłam. Wokoło panował mrok. Nie widziałam żadnych świateł ani drogi. Tylko krzaki. Jezu, to jakiś psychopata

- Jeśli sama siebie nie szanujesz, nikt inny cię nie uszanuje. Wstawaj i siadaj za kółkiem.

Muszę popchać to gówno.

Wytrzeszczyłam oczy.

- Chyba, że ty chcesz pchać. Proszę bardzo.

Gdy wysiadłam z samochodu, uderzył mnie przenikliwy chłód. Dochodziła jedenasta.

Znajdowaliśmy się na jakiejś ścieżce prowadzącej w górę. Żadnej latarni, żadnych domów. Nic.

- Gdzie my jesteśmy?

- W drodze na nocleg.

- Nocleg?

- Taa. Marny z ciebie pilot, kawy pić nie chciałaś, to i ja tak w nocy nie pojadę. Ruszymy jutro z samego rana.

Perspektywa noclegu z tym dziwacznym facetem przyprawiała mnie o gęsią skórkę.

Usiadłam jednak za kierownicą i odpaliłam silnik. Samochód warknął, zabujał i ruszył pod górę. Mikołaj wskoczył do środka i przepchnął mnie na fotel pasażera. Zrobiło to na mnie wrażenie. Musiał być niesamowicie sprawny fizycznie.

Na szczycie stała drewniana chatka. Jacyś ludzie wyszli ku nam i po ich dialekcie

zorientowałam się, że jesteśmy gdzieś na Słowacji. Mikołaj wziął od nich latarnię, którą wręczył mi. Sam zaś sporządził sobie pochodnie z jakiegoś zarośla i kija. Kazał mi zostawić walizkę, po czym ruszył w ciemność po krętej ścieżce. Bez słów

podążyłam za nim.

Na początku uważnie patrzyłam pod nogi, by nie potknąć się o wystające korzenie. Światło latarni pozwalało mi jedynie widzieć moje stopy i zarys krzewów po boku. Mikołaj szedł żwawym krokiem, jakby ciemność nie stanowiła dla niego żadnej przeszkody. Być może znał tę trasę na pamięć. Z czasem poczułam się pewniej i podniosłam głowę. Gwiazdy upstrzyły całe niebo srebrno-niebieskimi plamkami. Czułam się taka malutka pośród tych chaszczy, pustkowia i mroku.

A one, tak liczne, mrugały do mnie z góry, dodając mi otuchy.

W kończy dojrzałam zarys drewnianej chaty pośrodku czegoś, co przypominało polanę.

Mikołaj odpalił od pochodni ognisko, po czym wszedł do środka. Wkrótce płomień świec zamajaczył w oknach.

Cisza miażdżyła mi uszy. Znajdowałam się gdzieś w górach, zdana na łaskę i niełaskę nieznajomego mężczyzny. Coś w moim sercu drżało. Przecież powinnam być przerażona. A jednak czułam podniecenie. Nawet dziki skowyt w oddali zdawał się sięgać na samo dno mojej duszy i budzić ją do życia.

W chacie było chłodno. Po środku stał drewniany stół i dwie podłużne ławy. W kącie leżała

stara sofa. Na prawo od wejścia piętrzyła się drabina prowadząca na strych. Mikołaj wynurzył się dosłownie z podziemia i odsłonił kwadratowy otwór w podłodze prowadzący do spiżarni pełnej przetworów, warzyw, jabłek i domowego wina.

- Napijesz się?

Skinęłam głową.

W zardzewiałym kubku otrzymałam prawdziwy napój bogów. Jego zapach łaskotał moje nozdrza. Usiadłam na sofie i podwinęłam nogi. Mikołaj zniknął na zewnątrz. Przed wyjściem postawił przede mną suchary i śliwkowe powidła, podobne do tych, jakie robiła Eleonora. Robienie dżemów, to było święto. Najpierw zbierałyśmy owoce do wiader i płukałyśmy je.

Potem ja drylowałam wiśnie, a Eleonora usuwała pestki ze śliwek, kroiła jabłka, przeglądała agrest.

W ogromnym garze bulgotały owoce. Tadeusz podsadzał mnie, a ja długim, płaskim patykiem mieszałam raz w lewo, raz w prawo. Następnie sprawdzałam, czy już wyrósł mi biceps, który mi obie-

cywał. Wekowaniu, ustawianiu słoików na piecu towarzyszyły pieśni o gąsareczkach, smutnych żołnierzach i rumianych jabłuszkach. Gdy praca dobiegła końca, tańczyliśmy w skarpetkach do piosenek Kasi Sobczyk.

Mikołaj wrócił z wiadrem wody. Część wlał do metalowej miski na stojaku. Zdjął koszulę i ochlapał się wodą. W blasku świecy jego mięśnie wyglądały ponętnie. Muskularne ramiona, kark niczym baszta, wyrzeźbione plecy. Szeroki pas otaczał jego biodra. Zerkałam na niego co jakiś czas, zawstydzona, niczym mała dziewczynka przyłapana na gorącym uczynku. Nagle odwrócił się do mnie przodem, a na jego twarzy pojawił się drwiący uśmiech.

- Kolacja podana. Woda w wiadrze. Miskę sobie wypłucz, jeśli brzydzisz się męskiego potu.

Radzę ci spać na górze. Tam są koce, a tu za parę godzin będzie potwornie zimno.

Podszedł do mnie i nachylił się nade mną. Serce waliło mi jak oszalałe. Jego potężną pierś miałam tuż nad ustami. Czułam zapach mydła, które jednak nie zmyło tak charakterystycznego aromatu męskiego ciała. Po chwili wyprostował się i rzucił mi na kolana szary T-shirt, i ręcznik.

- To powinno wystarczyć.

Po czym zaczął wspinać się po drabinie na strych.

- Możesz wyprać bieliznę – rzucił z góry. - Jeśli powiesisz na strychu, wyschnie.

Usłyszałam skrzypienie, szelest, a potem westchnienie. Siedziałam w bezruchu, patrząc na Wypalającą się świecę i czekałam aż z góry dobędzie się chrapanie. Na moje nieszczęście świeca zdążyła się w tym czasie wypalić. Po omacku złapałam wiadro i wyszłam na zewnątrz. Ognisko jeszcze się tliło. Postanowiłam jednak nie oddalać się zbytnio od chaty. W blasku gwiazd widziałam przynajmniej, gdzie jest mydło, a gdzie ręcznik. Zdjęłam bluzkę. Chłód otulił moje plecy. Zimna woda przenikała do kości i skutecznie odganiała sen. Namydliłam się szybko. Dobrze, że mycie w misce miałam opanowane do perfekcji. Potem jeszcze dół, stopy. Cykanie świerszczy doprowadzało mnie do szału. Nie mogłam pozbyć się myśli, że ktoś mnie obserwuje. Ja, Eliza Toremka, właścicielka wydawnictwa mającego największe udziały w Polsce świeciłam gołym tyłkiem na górskiej polanie w środku nocy. Mimowolnie roześmiałam się na tę myśl.

Pospiesznie wylałam wodę z wiadra. Przeczesałam włosy palcami. W oddali rozległ się skowyt. Popędziłam do chaty i po ciemku wdrapałam się na strych. Ręką wymacałam kawałek koca oraz wolnej podłogi, po czym padłam zmęczona, ale dziwnie szczęśliwa. Mój oddech zrównał się z chrapaniem.

***

Od kilku godzin samochód wił się po serpentynach dróg niczym wąż, przyprawiając mnie o mdłości. Mikołaj bawił się w najlepsze, jadąc jakiś czas prosto, a potem ostro skręcając tak, jak mu dyktowała droga wśród gór Bośni. Ogłupiająca muzyka w stylu tutejszego folk disco drażniła moje uszy, ale Mikołaj wydawał się być nią zachwycony. Nucił nawet jakieś niezrozumiałe słowa.

Nie pozostawało mi nic innego, jak wcisnąć w uszy słuchawki i puścić na cały regulator smętny głos Sade.

Węgry minęliśmy w błyskawicznym tempie. Pola pełne słoneczników ciągnęły się niemal przez cały kraj. Obserwowałam ich główki, czy rzeczywiście będą zwracać się w stronę słońca.

Tutejsze stacje benzynowe lśniły czystością. Kawa była dobra, a rogaliki słodkie. Mogłam w końcu porządnie się uczesać i umalować oczy.

Zdziwiło mnie, że nie jedziemy przez Chorwację. Tamtejsze autostrady

zaoszczędziłyby nam wiele czasu. Zamiast tego wkrótce ujrzałam ślady wojny domowej, jaka nawiedziła Bośnię i Hercegowinę w latach ,90. Opustoszałe ruiny domów, ślady po kulach, spalone drzewa i samochody. Co jakiś czas meczet, który wyznaczał tu czas i kierunek życia. Było to jak spotkanie z żywą historią. Nie spodziewałam się, że będzie to tak przygnębiające.

Serpentyny zaczęły się jakiś czas później. W dole pojawiło się Sarajewo przypominające skupisko betonowych klocków.

- Hm, gdybyśmy jechali przez Chorwację, pewnie widzielibyśmy lazurową wodę i kamieniste plaże, a nie tę paskudną stolicę – mruknął Mikołaj, po czym wybuchnął śmiechem. - Cóż, za błędy trzeba płacić.

I nie tylko tym przyszło nam odpokutować zły wybór trasy. Robiło się coraz później, a o noclegu nie było mowy. Mijaliśmy małe miasteczka ciągle nie przypominające Medjugorie.

Mężczyźni siedzieli w knajpach i palili shishę. Korki na wąskich ulicach uniemożliwiały posuwanie się naprzód. Było tłoczno i głośno. Pojedyncze kobiety, owinięte w chusty, spieszyły po chodnikach, trzymając ogromne kosze z warzywami. Wystarczył jeden rzut oka i człowiek wiedział, że w tej krainie pierwsze skrzypce grają mężczyźni.

Wzdrygnęłam się. Kiedy to było? W liceum? Eleonora i Tadeusz posłali mnie do szkoły w Gnieźnie. Myśleli, że zasmakuję w mieście początków naszej Ojczyzny i zechcę studiować na tamtejszym Uniwersytecie. Mówili, że mam wszelkie predyspozycje, by zostać polonistką. Ale kiedy przekroczyłam dziedziniec teatru im. Aleksandra Fredry, zapadłam na chorobę zwaną „aktorstwo". Zapisałam się do licealnego kółka teatralnego i dowiedziałam się, że jestem dobra. Powiedział mi to przystojny brunet z bródką, student Akademii Teatralnej w Poznaniu. Obsadził mnie w głównej roli w „Calineczce," przygotowywanej z okazji studniówki starszych klas. Zazdrosne koleżanki podśmiewały się, że to dlatego, że jestem niska i pyzata, lecz brunet zaklinał się, że mam urodę i talent samej Bridget Bardot. Skończyłam z nim w łóżku na dzień przed premierą. W czerwonym Punto było zimno, trochę bolało. Wtedy zrozumiałam, że dałam się nabrać. Gdy dotarłam do szkolnej łazienki, moje uda ociekały krwią. Tam, siedząc w kabinie na plastikowej desce, zaakceptowałam fakt, że jestem niewiele warta, a tym światem rządzą brutalni mężczyźni. Wyjątek stanowił Tadeusz, który nie skrzywdziłby nawet muchy bez pozwolenia żony, ale to tylko

potwierdzało regułę.

Potem było ich wielu. Wuefista, który podniósł mi ocenę do szóstki, przez co miałam większe szanse na dostane się do szkoły teatralnej. Zapyziały bibliotekarz, który anulował moją karę za nieoddane książki. Taksówkarz, który chciał mnie zgwałcić w okolicach Piły. Zaskoczyłam go, gdy bez mrugnięcia okiem wręczyłam mu prezerwatywę. Paru koszykarzy, jeden kujon, dwóch reżyserów, sprzedawca samochodów i komornik nasłany na moich przyszywanych rodziców.

Dzięki temu Tadeuszowi jeszcze przed śmiercią udało się wyjść z długów. Myślał, że zawdzięcza to dobremu sercu pana T., pięćdziesięcioletniego łysego komornika z Gołańczy. Oczywiście nie wyprowadziłam go z błędu.

Seks sprawiał, że mogłam ich kontrolować. Wszystkich. Myśleli, że są silni, ale dostawali drgawek na widok moich krągłych pośladków i obfitych piersi. Byłam ich pieprzoną „Calineczką",zdaną na ich łaskę. Potem ubierałam się, zapalałam papierosa i wychodziłam.

Z Adamem było tak samo.

Zmrok już na dobre zagościł nad

bałkańską krainą. Od jakiegoś czasu jechaliśmy pod górę.

Przydymione latarnie majaczyły w oddali. Było cicho i spokojnie.

- Albo się zbliżamy, albo się zgubiliśmy – Mikołaj jak zwykle wydawał się być w dobrym humorze.

- Oby to pierwsze.

Tyłek ścierpł mi strasznie. Przekręcałam się raz to na prawy pośladek, raz to na lewy.

Zamarzyłam o trzecim pośladku, którego nie miałam.

W końcu wjechaliśmy w jasność budynków, lampionów i restauracji. Tłum ludzi szedł po ulicy przez co nasze tempo zmalało do 20 km/h. Mikołaj trąbił, lecz ludzie tylko uśmiechali się, machali ręką. Po bokach inni podnosili głowy znad szklanek z zimnymi napojami lub kolorowych półmisków. Kelnerzy w białych koszulach krzątali się wokół nich. Na chodnikach sterczały stragany pełne figurek Matki Boskiej, różańców, medalików, rzemyków, bransoletek, chust i Bóg wie czego jeszcze. Krzyki dzieci, plątanina języków i gwar przechodniów wzbijał się w niebo niczym języki ognia. Było gorąco. Krople potu spływały mi po twarzy. Po prawej wystrzeliły wieże słynnego Sanktuarium Królowej Pokoju. Jakieś dzieciaki tańczyły w kręgu na placu. Inne wybijały miarowy rytm na bębnach.

Skręciliśmy w lewo, by po chwili zaparkować pod jedną z kamienic. Gospodarz, rumiany i opalony Chorwat, wyszedł nam na spotkanie. Przywitał się, zabrał moją walizkę, po czym poprowadził nas schodami na trzecie piętro.

- Ja lubia Poljaki - uśmiechnął się, otwierając drzwi do jednego z pokoi. - Mnogo Poljaki su tutaj. Ja poljsku malo znaju.

Postawił moją walizkę koło dużego łóżka i zaprowadził Mikołaja obok, który zaczął z nim wesołą rozmowę. Zauważyłam, że mój kierowca doskonale mówi po chorwacku.

W pokoju było jeszcze cieplej niż na zewnątrz. Żadnej klimatyzacji. Zimna woda z kranu stała w przezroczystym pojemniku na nocnej szafce. Łazienka była tak ciasna, że, żeby się umyć, trzeba było stać nieruchomo i manewrować prysznicem za pomocą wyprostowanej do góry ręki. Hałas dobiegający z ulicy był przytłumiony. Za to śpiewy sąsiadujących z ze mną Włochów przyprawiały mnie o ból głowy.

Opryskałam ciało pod zimną wodą i wsunęłam się w przezroczystej koszulce do łóżka.

Musiałam leżeć odkryta, by nie spocić się całkowicie. Po chwili bez pukania wszedł Mikołaj.

Zakryłam się po szyję.

- Mówiłem Ci, że jeden goły tyłek więcej nie robi na mnie żadnego ważenia, więc odkryj się, bo się udusisz.

Pozostałam w bezruchu. Mikołaj wzruszył ramionami. Miał na sobie tylko bokserki.

Poczułam lekkie podniecenie.

- Jak chcesz. Śniadanie o ósmej. Potem zabieram cię na wycieczkę.

- Nie chcę nigdzie iść. Doczekam wieczora i wejdę na tę przeklętą górę.

- Jeśli tu zostaniesz, to wieczorem nie będziesz miała siły zejść po tych schodach, a co dopiero zdobywać szczyty Medjugorie. Wierz mi, tutejsze upały to nie wczasy Ciechocinku.

I tyle. Żadnego dobranoc. Śpij dobrze. On przynajmniej nie udawał, że go cokolwiek

obchodzę.

Po obfitym śniadaniu złożonym z serów, dżemów, kiełbasek i ogromnych soczystych pomidorów, wyszliśmy na ulicę. Zauważyłam, że gospodarz przez cały czas stał, w czasie gdy goście pensjonatu jedli i rozmawiali w najlepsze. Co parę minut dolewał wody i dokładał bułeczek, pytając czy wszystko w porządku. Dziwiła mnie jego uprzejmość; nie płaciliśmy dużo za nocleg.

Dochodziła dziewiąta, a słońce już

dawało się we znaki. Ruszyliśmy w górę wioski.

Pielgrzymi spieszyli w stronę sanktuarium. Niektórzy leniwie dokańczali śniadanie pod parasolkami. Stragany znowu prezentowały swój asortyment. Wyglądało to tak, jakby ich właściciele nigdy nie potrzebowali snu. Mikołaj przystanął przy jednej z budek i kupił różowy

kapelusz ze słonikiem. Po czym założył mi na głowę.

- Chroń głowę i dużo pij - powiedział.

Po jakimś czasie poczułam, że pot spływa mi po plecach. Domków było coraz mniej. Tylko pojedyncze wille olśniewały bielą, a ich oszklone drzwi błyszczały w słońcu.

- Kiedyś tu nic nie było – westchnął Mikołaj.

- Czy ci wszyscy pielgrzymi naprawdę wierzą w te brednie o objawieniach?- zapytałam, by

zapomnieć o bólu łydek.

- Skoro tu są...

- To niedorzeczne. Przecież to widać, że ci ludzie chcą zbić na nich fortunę – wskazałam na wille.

- Naprawdę? A mi się wydaje, że nie to cię tak trapi. Co jest dla ciebie w tym najbardziej niedorzeczne?

Mikołaj przystanął i spojrzał mi prosto w oczy. Poczułam, że kreci mi się w głowie.

- Całe te objawienie jest niedorzeczne. Matka Boża przychodzi do zapadłej wiochy w mało znaczącym kraju opanowanym przez Muzułmanów i gada coś o pokucie, i nawróceniu, kiedy na świecie ginie tysiące niewinnych istnień, ludzie nie mają z czego żyć, a pijani ojcowie katują swoje córki.

- Zawsze to samo – Mikołaj popatrzył na palce u swoich stóp. - Dlaczego wojny? Dlaczego cierpienie? Dlaczego nie wygrałem w totka...

- No, bo to jest bez sensu!

- Co jest bez sensu?

- Jeśli Boga stać tylko na to, by chrzanić jakieś pobożne pierdoły, to dobrze, że ja w Niego nie wierzę.

- A co twoim zdaniem taki Bóg miałby robić?

- Cokolwiek, byle nie gadać. Nie wiem... spaść z nieba i zrobić z tym porządek. Coś w tym rodzaju.

Mikołaj ruszył przed siebie zanosząc się śmiechem. Co jakiś czas łapał powietrze

i słyszałam, jak mamrocze: „spaść z nieba", „zrobić porządek", a potem znowu wybuchał śmiechem. W końcu nie wytrzymałam.

- To nie jest śmieszne! - warknęłam.

- Owszem, jest.

- Chciałeś, bym ci powiedziała, co sądzę o Bogu, to masz.

- Myślę, że twojemu Bogu zupełnie nie przeszkadza, co o nim myślisz, bo takiego Boga, jakiego ty znasz, w ogóle nie ma.

- A co ty wiesz o Bogu?

Tym razem to ja ruszyłam naprzód, z każdym krokiem dając upust mojej złości. Ścieżka prowadziła przez małą winnicę. Owoce już dojrzały. Niektóre nawet pomarszczyły się z powodu upału. Przede mną rysowała się góra. Gdy dotarłam pod sam szlak wiodący na jej

szczyt, położyłam się plackiem na kamieniu. Czułam, że nie ma ani jednego milimetra suchej przestrzeni na moim ciele. Mikołaj stanął nade mną, rzucając przyjemny cień na moją twarz.

- Biedna, mała Eliza – jego ton był drwiący. - Zatroskana o losy świata. Pani sędzia skazująca Boga na nieistnienie za to, że jeszcze nie posprzątał po ludzkim bałaganie. Tak naprawdę jesteś tylko użalającą się nad sobą egocentryczką.

- Zaraz cię uderzę – syknęłam.

- To by już było coś – Mikołaj klasnął w dłonie i pozwolił słońcu razić mnie w oczy. - Ale nie stać cie nawet na to. Czujesz się bezwartościowa, bo sama siebie taką uczyniłaś i nie masz odwagi tego zmienić.

Poderwałam się, chwyciłam go za koszulę przyparłam do skalnej ściany. Nie wiedziałam,

czy to adrenalina dała mi taką siłę, czy Mikołaj po prostu się nie bronił.

- Dobrze – powiedział zadowolony patrząc mi postu w oczy. - A teraz wejdziesz na tę górę.

- Chuj ci w dupę – wydyszałam, nie puszczając jego ubrania.

Mikołaj odczekał kilka sekund, po czym złapał mnie za nadgarstki i wyprostował moje ręce, czym bez słowa zaczął iść piaszczystą ścieżką pod górę.

Miałam syndrom dziecka niechcianego. Chorobę sierocą, gdy nikt nie widział. Zdarzało się, że podczas snu szczękałam zębami lub ssałam kciuk. Gdy mi było smutno lub czułam się samotna, sięgałam po whisky lub uprawiałam seks. Życie było niesprawiedliwe i wiedziałam o tym.

Kiedy wspinałam się na górę, myślałam o dniu, kiedy uciekłam z naszej chaty, opuszczając znajome pola i lasy, pozostawiając pasące się konie i beczki, starając się zapomnieć o tańcach do piosenek Kasi Sobczyk i o szorstkich dłoniach Tadeusza, głaszczących mnie po buzi.

To napięcie narastające we mnie już od liceum znalazło ujście, gdy zdałam maturę i miałam dziewiętnaście lat. Od roku Eleonora i Tadeusz nie mieli wobec mnie żadnych obowiązków.

Osiągnęłam pełnoletniość i mogłam iść w siną dal. Bałam się tego dnia. Wiedziałam, że nikt mnienie wyrzuci, nie wyprze się mnie ani nie oskarży o darmozjadztwo. Oni mnie kochali, a mi niczegoprzy nich nie brakowało. To ja wyrzuciłam ich ze swojego życia, wyparłam się korzeni, które dali mi z własnej woli, oskarżyłam o ograniczanie mojej wolności. Eleonora przemawiała do mnie czule. Mówiła: „Jedź do Warszawy. Zostań aktorką. Bądź szczęśliwa. Tylko pamiętaj, że tutaj zawsze będzie twój dom."

- Tę kupę gówna nazywasz domem? - krzyczałam. - Nigdy tu już nie wrócę, słyszysz? Nigdy!

Nie wróciłam. Wstydziłam się. Nie pisałam listów. Pewnie Tadeusz zmarł, myśląc, że

zrobiłam karierę w teatrze. Po kilku latach wysłałam Eleonorze kartkę na święta. Ona odpowiedziała ciepłym listem i szalikiem zrobiony na drutach. Oddałam go bezdomnemu. Nie mogłam znieść jej miłości. Potem umarła. A ja znalazłam się tutaj, wdrapując się na jeden ze szczytów w Medjugorie, by choć trochę wynagrodzić krzywdę, jaką jej wyrządziłam. Byłam więc w sumie jedną z wielu pokutujących w tej wiosce.

Widok ze szczytu rozbroił mnie i doprowadził do łez. Uklękłam i ukryłam twarz w dłoniach, zanosząc się płaczem. Piękno. Zielony horyzont, brunatna ziemia, malutkie domki i pola u mych stóp. Zbyt wielkie, by można było to znieść. Czułam, jak słońce pali mnie w czubek głowy, odkrytej teraz, bo gdzieś po drodze zgubiłam kapelusz.

Po dłuższej chwili mój oddech się uspokoił i pozwoliłam słońcu osuszyć łzy. Z nosa mi ciekło, usta miałam spierzchnięte, a na kolanach plamę od łez. Delikatny wiatr przebiegł po mojej twarzy, zupełnie, jak wtedy na polu niedaleko naszej chaty. Mikołaj podszedł i kucnął obok.

- Fajny widok, nie?

I założył mi na głowę różowy kapelusz ze słoniem.

***

Gdybym wierzyła w istnienie raju, umiejscowiłabym go tutaj, pośród wodospadów Kravica.

Woda uderzająca z hukiem o skały w malowniczej dolinie pełnej zieleni. Pejzaż obfitujący w światłocień, wilgotną trawę iskrzącą się w słońcu dzięki kroplom rosy, suchy piasek o złotym kolorze i mgłę zawieszoną gdzieś pomiędzy skalistymi

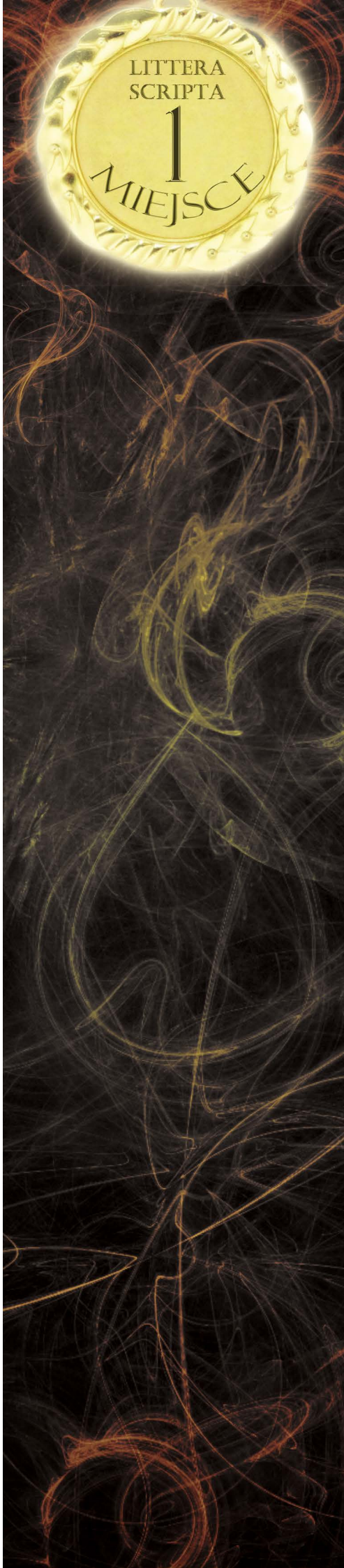

ścianami wąwozu. Schodząc coraz niżej miałam w głowie tylko jedną myśl: rozebrać się i wskoczyć do wody. Jednak, gdy tylko dotknęłam stopą przezroczystej tafli zbiornika, poczułam przeszywające zimno Woda spływała z gór, a to znaczyło, że była lodowata i krystalicznie czysta. Ze zdziwieniem zobaczyłam, jak Mikołaj energicznie wchodzi w głębinę, prychając i machając rękami, a potem znika mi z oczu, by wynurzyć się o parę metrów dalej. Ja musiałam długo brodzić przy brzegu, by zdecydować się zanurzyć ramiona, ochlapać biodra, zrobić krok na przód. Na szczęście słońce prażyło mnie w plecy, co pozwalało utrzymać mojemu ciału równowagę w tej krainie prawdziwego lodu.

W końcu podskoczyłam i woda pokryła mnie po czubek głowy. Krzyknęłam, zamachałam rękami i poczułam, że moje serce zaraz zamarznie mi w piersi. Jednak im dłużej się ruszałam, tym bardziej mój organizm przyzwyczajał się do zimna. Podpłynęłam pod jeden z wodospadów. Wdrapałam się na kamień. Był śliski. Potrzebowałam złapać się skały. Przeszłam pod sklepieniem, tuż za ścianą

wody, wzięłam oddech i stanęłam pod spadającą masą wody. Przez chwilę mnie zatkało. Przeszył mnie ból od nagłego naparcia strumienia. Rzemyk mojego kostiumu jakimś cudem rozwiązał się i góra od kostiumu opadła. Złapałam ją szybko i podciągnęłam na piersi, wycofując się pod sklepienie. Zdenerwowana rozejrzałam się, czy nikt nie widział mnie topless. Ponownie zamocowałam rzemyk i wskoczyłam do wody.

Mimo szybkiego pływania, moje ciało zaczęło marznąć. Musiałam wyjść i ogrzać się słońcu. Gdy tylko przestałam dygotać, ruszyłam wzdłuż brzegu po kamieniach i podmokłej trawie.

Zbiornik zakręcał i tworzył coś w rodzaju koła. Gdzieniegdzie było głęboko, a śliskie, pokryte mchem głazy, utrudniały mi spacer. W oddali dobiegał mnie plusk wody. To Mikołaj skakał z jednej z półek skalnych. Wdrapywał się na nie niczym człowiek pająk, a potem siup i znikał w głębinie.

Myślałam: „jakie to nierozsądne". Przecież dno może być pokryte skałami. Z drugiej strony zazdrościłam mu swobody. Gdziekolwiek był, czuł się, jak u siebie. Zwłaszcza tutaj. Czasem jacyś ludzie zaczepiali go na ulicy pod sanktuarium albo to on pierwszy ich zagadywał tak, jak tego młodego chłopaka pod Górą Objawień, naprawiającego jedną z latarni oświetlających drogę na szczyt w kształcie różańca.

- Jak się masz, Giaco? Bierzesz? - jego włoski był równie dobry, jak chorwacki.

- Nie i nie narzekam, padre. Za to ty się postarzałeś.

- Starość – cmoknął i pokręcił głową. - To coś tak fascynującego. Szkoda, ze nie umiecie jej dobrze przeżywać.

Innym razem kobieta w szkarłatnej chuście na głowie złapała go za rękę. Myślałam, że chce go okraść lub wyłudzić pieniądze. Ale on ucałował jej dłoń i uścisnął ją serdecznie.

- Biserka, tak się cieszę, że cię widzę!

- Ja ciebie również, dijete.

- Nadal chodzisz do chorych?

- Teraz i ja chora, więc zanoszę im oprócz śmietanki, i chleba moją chorobę. Najpierw mieli tylko moją biedę, a teraz mają mnie troszkę więcej – zaśmiała się ukazując dziury w zębach.

- Jeszcze chwila, a wypoczniesz, mila.

- A broń cię kto! - zaprotestowała. - Nie waż się mnie tknąć, póki im siostry nie zbudują szpitala. A, śmiejesz się! Ze staruchą taką, jak ja tak łatwo ci nie pójdzie. Uparta jestem.

- Wiem, Biserka. I taką cię kocham.

Twarz kobiety złagodniała, a jej oczy zdawały się Mikołaja przeszywać na wylot.

- Ty, wiesz, co? - odezwała się, ciągle lustrując jego twarz, w poszukiwaniu czegoś, o czym tylko ona wiedziała.

- No, co, Biserka?

- Zmieniłeś się, wiesz?

- Ach to – zaśmiał się. - Zmiana. To takie niezwykłe zjawisko. Jest piękne. Szkoda tylko, że tak przed nim uciekacie.

Niewiele rozumiałam z tych rozmów. Wydawało mi się, że Mikołaj ma swój świat, zupełnie inny niż mój. Żył tak, jakby nie miał nic do stracenia. A ja starałam się ocalić wszystko i przez to moje życie przypominało śmietnisko przypadkowych, niepasujących do siebie rzeczy.

Z czasem skaliste podłoże zmusiło mnie do wejścia do wody. Widziałam swoje stopy rozedrgane przez fale i ryby przepływające pomiędzy moimi łydkami. Było tak cicho, tak spokojnie. Spróbowałam poruszać się dalej wzdłuż brzegu, ale dno opadało coraz niżej. Chciałam dojść do przewalonego drzewa, u korony którego utworzył się mały wodospad o bardzo rwącym nurcie. Prąd zaczął znosić mnie w lewo, jednak udało mi się złapać za gałąź. Nagle usłyszałam trzask i spieniona woda zalała mi twarz, popychając mocno w tył.

Otworzyłam oczy dopiero, gdy poczułam palące słońce na powiekach. Leżałam na ręczniku, a Mikołaj siedział obok i czytał gazetę. Gdy się uniosłam na rękach, zrozumiałam, że dość mocno oberwałam w głowę. Sięgnęłam po butelkę z wodą i przyłożyłam sobie do guza. Była zimna. Po chwili Mikołaj odłożył gazetę, spojrzał w górę, a następnie odwrócił się do mnie z uśmiechem.

- Głodna?

Przytaknęłam.

- Wracamy?

Nic innego mi nie pozostało.

- „Nawet raj nie jest bez wad" - pomyślałam.

***

Zapakowałam śpiwór i polar do plecaka, który pożyczył mi Mikołaj. Od gospodarza dostałam latarkę i trochę rogalików z pasztetem. Serce mi biło jak oszalałe. Wsunęłam testament Eleonory do kieszeni spodni. Miałam ochotę się przeżegnać, ale uznałam, że to nie na miejscu.

Na zewnątrz panował mrok. Jak zwykle było ciepło i duszno. Ruszyliśmy wolno w stronę góry Križevac. Mikołaj wydawał się zupełnie beztroski. Pomyślałam, że gdyby dane mi było dłużej z nim pozostać, pewnie zakochałabym się z w nim na zabój. Był taki niefrasobliwy. O nic nie pytał, niczego nie dramatyzował. Pojawiał się we właściwy momencie. Zupełnie jak Tadeusz. Kiedy spadłam z drabiny, prowadzącej na strych naszej chaty, w mgnieniu oka znalazł się tuż obok mnie. Bez słowa ocenił szkody i zajął się mną tak, jak niejeden lekarz mógłby, gdyby tylko był tam w tej chwili. Żadnych zbędnych słów: „po co tam lazłaś?", „ale dużo krwi!", „następnym razem uważaj", „biedne dziecko!". Innym razem niespodziewanie przyjechał na moje egzaminy licealne. Nic nie mówił, tylko był. Eleonora pisała mi w liście, że gdy umierał, też trwał w milczeniu. Chyba w obliczu śmierci nie mamy za wiele do powiedzenia.

Gwar ulicy został za nami. Szliśmy piaszczystą drogą w ciemności. W tle rysowały się ponure kształty gór. Na niebie dogasały ostatnie znaki słońca w postaci kobaltowych prześwitów odzianych w siwą koronkę chmur. Cykady grały swój szaleńczy koncert i spoglądały na nas ukryte gdzieś na drzewach i krzewach. W powietrzu unosił się zapach ziemi.

Myśląc o Tadeuszu zastanawiałam się, dlaczego tak bardzo się nad sobą użalam? Jego ojcowska czułość i akceptacja uczyniła ze mnie odważną dziewczynkę, która kochała życie we wszelkich jego przejawach. Ona przesiadywała wśród zbóż, zbierała maki i chabry do wazonu. Uwielbiała gubić się w lesie, by móc wrócić przemoczona i głodna do domu,

usiąść na kolanach Eleonory i napić się herbaty z cytryną. Biegała z wiadrem obierków i kaszy do świń, goniła koguta, by utemperować nieco jego charakter, płoszyła konie na wypasie i uwalniała muchy z pajęczych sieci. Co się z nią stało?

- Ona zawsze tam była – Mikołaj przerwał moje rozmyślanie.

- Co, proszę?

- Dziewczynka. Ona zawsze była w tobie. Tadeusz tylko dał jej to, co było potrzebne, by mogła pokazać się światu.

Byliśmy już prawie u podnóża Križevac. A ja poczułam, że krew odpływa mi z ciała.

- O czym ty mówisz?

- Masz rację. Zaczęłaś się nad sobą użalać. Chciałaś wyrzec się przeszłości i jednocześnie wyrzekłaś się samej siebie. Skupiłaś się na tym, że ktoś cię porzucił, a zapomniałaś, że dzięki temu ktoś cię mógł odnaleźć i pokochać. Nigdy nie byłaś ciężarem. Nikt nie wziął cię z litości. Tyle tylko, że ty uwierzyłaś w to kłamstwo. Zatkało mnie.

- Czy Eleonora coś ci o mnie mówiła? - zapytałam już dość zdenerwowana.

- Stałaś się ich radością, ich spoiwem. Jednak nie chciałaś tego dostrzec. Wolałaś się zamknąć w swoim egocentryzmie, bezsensownym rozdrapywaniu ran. Nie wzięłaś odpowiedzialności za twoją rodzinę, która ....

- Oni nie byli moją prawdziwą rodziną – warknęłam.

- Każda rodzina może przyjąć lub odrzucić dziecko, które przychodzi na świat. Nie jesteś pod tym względem wyjątkowa.

- Moja rodzina mnie porzuciła! - krzyknęła.

- Pamiętasz ten moment? - zapytał spokojnie.

- Co?... Nie... byłam malutka.

- Owszem. I całkiem rozkoszna z tą pyzatą buzią. Dwa i pół miesiąca. Zostawiona pod drzwiami sąsiadki. Mało romantyczne, przyznaję. Twoja matka zadzwoniła do niej z budki, żeby szybko wyjrzała na zewnątrz. Potem sygnał się urwał. Sąsiadka nie miała jak cię karmić. Ale jej córka akurat urodziła syna. Zobowiązała się tobą zająć dopóki nie znajdą ci jakiegoś miejsca. Co za szczęśliwy zbieg okoliczności! - urwał i spojrzał mi z drwiącym uśmiechem w oczy - Potem trafiłaś do sióstr, które prowadziły przytułek dla podrzutków. Nie było ci tam tak źle, prawda? Przytułek u sióstr to nie wielki dom dziecka, w którym na łóżkach piętrowych gnieżdżą się dzieci w różnym wieku. Mieszkałaś w kolorowym pokoiku w małym domku wraz jedenastką innych dzieci. Wkrótce pojawił się Tadeusz, a wraz z nim prawdziwa rodzina.

Czułam jak stopy drętwieją mi z zimna, mimo, że ciepło nocy zdołało wycisnąć na moim czole kropelki potu. Zabrakło mi tchu i oparłam się o skałę.

- To okropne – szepnęłam.

- Nie. Tylko ty tak to widzisz. Dla ciebie ważne jest to, że ktoś cię zostawił, a nie ta cała niezwykła historia twojego przetrwania. Bo żyjesz i to jest wspaniałe – wciągnął nosem powietrze i mogłabym przysiąc, że przepełniła go jakaś ekscytacja. - Wolałaś siebie uczynić kaleką. Dałaś się zranić i wydłubać sobie oczy, i teraz na cokolwiek spojrzysz, widzisz ciemność. Światłem ciała jest oko. Jeśli więc twoje oko jest zdrowe, całe twoje ciało będzie w świetle. Lecz jeśli twoje oko jest chore, całe twoje ciało będzie w ciemności. Jeśli więc światło, które jest w tobie, jest ciemnością, jakże wielka to ciemność!

- Przestań. Nic o mnie nie wiesz.

- Jesteś cholerną egocentryczką, wiesz?

- Zabraniam ci tak o mnie mówić! - odepchnęłam się od skały i stanęłam tuż przed nim, patrząc mu w oczy.

- Niezła z ciebie aktorka - Mikołaj uśmiechnął się z podziwem. - Tyle, że pomyliłaś

rzeczywistość z rolą biduli, którą chcia-

łaś odkrywać. Biedna, skrzywdzona, niechciana. Musiała zamieszkać w nędznej chacie na bezludziu. Ale przecież ty kochałaś te miejsce, pamiętasz?

- Za kogo ty się masz, by mnie potępiać?! - czułam, jak moja wściekłość narasta.

- Ja cię nie potępiam. Mówię tylko na głos to, co ty myślisz o sobie. Dawno już skazałaś siebie na potępienie. To dlatego nigdy do nich nie wróciłaś. To dlatego jesteś teraz u podnóża tej góry. To dlatego...

Nie dokończył. Rzuciłam się na niego i zaczęłam okładać pięściami. Przez chwilę pozwolił mi na to, a potem złapał za nadgarstki i przytrzymał tu przed swoim nosem, zupełnie jak dziś przed południem.

- To dlatego – kontynuował bez cienia wzburzenia - zaczęłaś zmieniać łóżka, mężczyzn,

adresy. Myślałaś, że w ten sposób będziesz kimś. Że jeśli wystarczająco siebie upodlisz, to udowodnisz wszystkim, że nie jesteś warta tego, by cię pokochać... co, Calineczko?

Zrobiłam kilka kroków w tył. Wargi mi drżały. Chciało mi się pić.

- Kim jesteś? - zapytałam słabym głosem.

- Jestem Bogiem - odpowiedział spokojnie i wyciągnął rękę z butelką wody.

- Co? - nie miałam siły nawet porządnie się zdziwić.

- Słyszałaś wyraźnie.

- To niemożliwe.

- A jednak.

- Bóg nie istnieje.

- Mimo to, nadal tu stoję.

- Jesteś wariatem.

- Tak, zdarza mi się robić szalone rzeczy, ale wariatem nie jestem.

- Ale... jak to możliwe...

Poczułam nagle strach. Nie wierzyłam, że Mikołaj jest Bogiem. To było niedorzeczne. Pomyślałam, co jeśli on wie, że go podglądałam, albo co jeśli pobiłam Boga?

- Nie martw się o te rzeczy. Zresztą, to całkiem miłe, że ci się podobam.

Przeszedł mnie zimny dreszcz.

- Trochę inaczej obie wyobrażałam Boga...

- Ok. Rozumiem. Nie wierzysz. Myślisz, że jestem wariatem, który posiada zdolność czytania w myślach. W porządku. Zastanawia mnie jednak, dlaczego wasze wyobrażenie Boga jest takie marne: dziadek z białą brodą na tronie?

- Czyli ty jesteś tym drugim... Jezusem?

- Poprzestańmy na Bogu. Już sam Bóg jest dla ciebie za trudny, więc nie idźmy dalej.

- Ale to jest niedorzeczne.

- Znowu te twoje: „niedorzeczne". Co jest niedorzeczne? Że mam umięśnione ciało? Lubię berety i flanelowe koszule? Przeklinam?

- No chociażby to.

- Przekleństwa musisz mi wybaczyć. Dla mnie to tylko słowa, jak każde inne. Ale ciekawi mnie to, jak wy nadajecie im sens. Zacząłem ich używać, by trochę wczuć się w wasze położenie.

Ale może z nimi przesadziłem. Jeśli tak, przepraszam.

- Nie, no... nie ma za co...

Zapadło milczenie. Myśli kłębiły się w mojej głowie niczym spłoszone dzikie konie. Nie wiedziałam co powiedzieć, więc walnęłam:

- Czy wydarzyło się coś szczególnego, że mi się ... objawiłeś jako Bóg?

- Nie. Zapytałaś, to ci odpowiedziałem. Zawsze odpowiadam, jeśli ktoś pyta, choć nie zawsze w taki sposób, w jaki się ta osoba spodziewa.

- I co teraz?

- Nic. Wejdziesz na górę.

- Ale dlaczego ja?

- To wasze najgłupsze pytanie. „Dlaczego to, dlaczego tamto?" A mi się nie chce filozofować.

Od tego macie teologów i takich tam speców. Wszystkie rzeczy, które

się dzieją, są po to, byście się nauczyli żyć. Musicie dojść do tego sami. Ja wam tylko pokazuję drogę.

- To znaczy, że nie idziesz ze mną?

- Nie tak, jakbyś tego chciała. Poza tym chyba pewne sprawy musisz sobie jeszcze

przemyśleć.

Miał rację. Jednak poczułam żal.

- Wiesz? Zdradzę ci pewien sekret. Chyba nie jestem jeszcze gotowa na Boga w moim życiu.

- Rozumiem. W takim razie będę czekał.

Uśmiechnęliśmy się do siebie.

- Ja też ci zdradzę pewien sekret – powiedział. - Przychodzę do was nieustannie i zawsze

w taki sposób, w jaki jesteście w stanie mnie przyjąć.

- To znaczy, że mogłam przyjąć Boga, tylko jako seksownego czterdziestolatka?

- To było prawdopodobne – zaśmiał się. - Ale uważaj. Mam jeszcze mnóstwo pomysłów na

nasze spotkania.

- Będę czekać.

- Jednak zostawiasz mi uchylone drzwi? Uważaj, niewiele mi trzeba.

- Chyba już się nie boję.

***

Gdy dotarłam na szczyt, bolały mnie stopy Dla uszanowania tego miejsca postanowiłam zdjąć buty. Drobne kamienie wbijały mi się w skórę, a palce obcierały o głazy. Nie byłam jedyną osobą na szlaku. Pojedynczy pielgrzymi mijali mnie wolno, kierując się ku dołowi.

Jakaś para zatrzymywała się przy tablicach ze stacją Drogi Krzyżowej. Niektórzy zaopatrzyli się w kije do nordic walkingu. Innym wystarczyły drewniane kije. Podejście jednak nie było tak strome, jak myślałam. Mimo zmęczenia i ciemności, czułam w sobie jakaś lekkość i ekscytację. Przeszłam obok wielkiego krzyża i zanurzyłam się w roślinność dwa metry niżej z drugiej strony góry. Znalazłam plaski głaz. Wyciągnęłam śpiwór, ubrałam polar i położyłam się z głową na plecaku. Plecak! Jak go oddam Mikołajowi? A może będzie czekał na mnie na dole? Coś jednak mówiło mi, że już się nie spotkamy.

- Przynajmniej nie w takiej postaci – zażartowałam.

Gwiazdy świeciły jasno. Żadnego wiatru. Tylko cisza, cisza, cisza.

Znowu tam byłam. Blask słońca tańczył w moich włosach i wplatał się złotą nicią w

pojedyncze kosmyki. Wiatr chłodził mi twarz podmuchami tak delikatnymi, że wydawało mi się, że to romantyczny kochanek, który całuje mnie z utęsknieniem. Chmury niczym białe baranki leniwie przechadzały się po idealnie błękitnym niebie. Nie miały się dokąd spieszyć. Po prostu pozwalały życiu przemijać.

Obudził mnie śpiew. Gdy uniosłam głowę, niebo ogłaszało pojawienie się słońca.

Brzoskwinia, cytryna, miód, morela, pomarańcz, złoto i czysty lazur. Było dość chłodno.

Uwolniłam się od śpiwora i stanęłam, czując łagodny powiew wiatru. Pod krzyżem jakaś grupka młodych śpiewała pieśni. Wokół mnie roztaczał się widok na góry i czerwoną ziemię przeplataną zielenią. W oddali ktoś prowadził owce. Powoli świat się budził do życia. Wyciągnęłam zmiętą kartkę testamentu. Zdziwiłam się jak jest lekka, choć jeszcze niedawno ważyła chyba z tonę. Podarłam ją na drobne kawałeczki i pozwoliłam, by wiatr zabrał je z mojej dłoni.

- Jestem wolna – szepnęłam

Dwie jaskółki ni stąd, ni zowąd zatańczyły nad moją głową.

Wiedziałam już co mam robić.

Spakowałam plecak i ruszyłam ku ziemi.

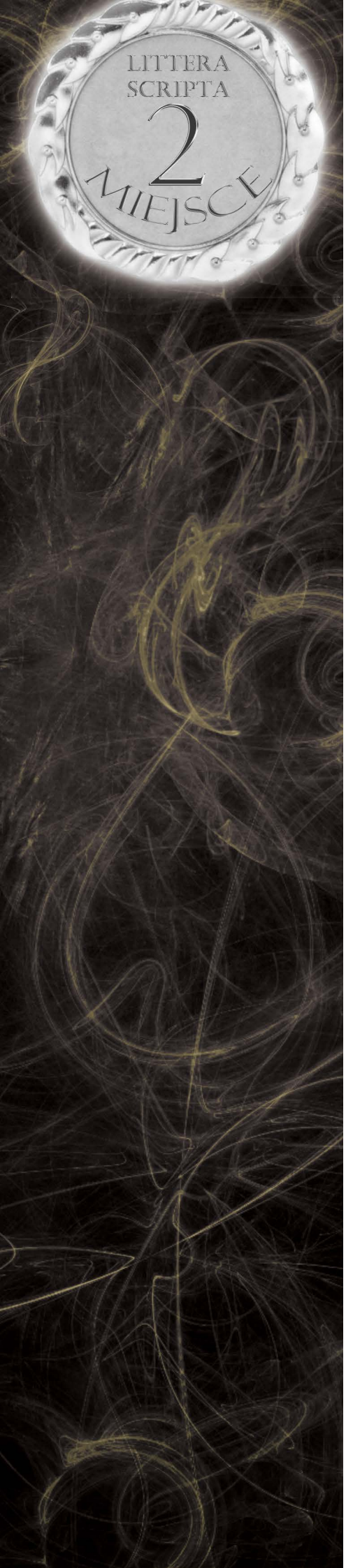

II MIEJSCE

BARBARA AUGUSTYN

ŚCIEŻKA

Ścieżki dają świadectwo naszej boskości. Śmieszą nas cywilizacje, które pocięły ziemię drogami i wierzą, że tylko ustalonymi trasami można się przemieszczać. To dobre rozwiązanie dla ludzi, ale nie dla nas.

Każde miejsce zawiera w sobie nieskończoną ilość ścieżek. Każde to brama do wielu światów, rozdarcie w czasie i przestrzeni. My potrafimy dostrzec ścieżki i podążyć nimi.

Pijemy piasek i karmimy się kamieniami, jeżeli zachodzi taka potrzeba. Czas nie ma znaczenia. W końcu nie jesteśmy ludźmi.

Cierpieniem cudzym żyłem i zagładą, gdy cierpieć ani ginąć sam nie mogłem.

Gdyby strażnicy pozostali na murach Eridu, dostrzegliby, że ten człowiek pojawił się znikąd. Po prostu w jednej chwili go nie było, a potem pstryk, wyrósł jak spod ziemi.

Narodził się z powietrza.

Gdyby ktoś czuwał, zauważyłby, że ten człowiek w pierwszych chwilach po pojawieniu poruszał się tak, jakby każda część jego ciała próbowała iść osobno i w swoją stronę.

Ale ślepe i puste były oczy wież strażniczych Eridu, więc nikt nie mógł tego zobaczyć.

***

Tym razem ścieżka doprowadziła nas do miasta położonego w sercu pustyni. Od północy wznosił się nad nim posępny masyw górski o postrzępionych turniach i jaskiniach, w których czekały na dzień zemsty wygłodniałe duchy ludzi z plemion o których nikt już nie pamięta.

Przypominało to nam miasta naszej młodości. Samotny gród otaczały mury z dziwnie lśniącego, czarnego kamienia, gładkiego jak szkło. Wydobywano go ze sztolni posępnych gór, wraz z nim biorąc przekleństwo zamieszkujących masyw duchów.

Od wschodu, strony z której nadchodziliśmy, wiodła doń tylko jedna, potężnie kuta brama. Mieszkańcy samotnego miasta mogli długo bronić się przed najeźdźcami.

W przyrodzie panował dziwny bezruch i martwota. Rośliny zdawały się być trapione zarazą. Ziemię znaczyły liczne pęknięcia. Gościniec, którym nadchodziliśmy, był zupełnie pusty. Cisza aż dzwoniła w uszach. Nie słyszeliśmy ani ptaków, ani innej zwierzyny.

Co dziwniejsze, miasto także było pogrążone w ciszy. Ludzie jednak go nie opuścili.

Czuliśmy bijący od grodu smród wręcz zwierzęcego strachu. Wszystko było nim przesiąknięte, każdy budynek i każdy człowiek w tym mieście u stóp góry o czarnym sercu.

Z lubością wciągnęliśmy powietrze w nozdrza. Tak, to była właściwa ścieżka.

***

Bramę otwarto przed podróżnymi na oścież. Nie dostrzegliśmy też nigdzie strażników.

To znaczyło, że mieszkańcy nie lękają się najazdu barbarzyńców czy zawistnego ościennego króla, lecz czegoś, przed czym nie uchroni zamknięta brama i potężne mury. To miasto coraz bardziej nam się podobało. Intrygowało nas.

W ciasnych uliczkach nie spotkaliśmy nikogo. W oknach nie pojawiły się żadne twarze. Jakbyśmy nie istnieli. Tylko smród strachu potężniał z każdą chwilą, owijał wkoło nóg na podobieństwo

pajęczyny i próbował spętać ludzkie ciało. Gdybyśmy byli tylko człowiekiem, uleglibyśmy z pewnością.

Zastanawialiśmy się, co doprowadziło miasto do takiego stanu. Nigdzie nie

było widać śladów zniszczeń. Żadnych zgliszczy ani ruin. Nie o najeźdźców tu chodziło.

Mimo pozornego wyludnienia, w domach ukrywali się ludzie. Słyszeliśmy niespokojne bicie ich serc. Łupieżcy nie zostawiliby mieszkańców pochowanych w piwnicach, lecz sprzedali handlarzom niewolników z dobrym zyskiem.

Patrzyliśmy uważnie na ściany. Na nich zawsze wypisane są imiona głupców i historia miast. Wszędzie, ale nie w tym cuchnącym strachem miejscu. Tu nikt o tym nie pomyślał. Ściany kruszyły się ze starości. Nikt nie dbał o ich renowację. Opuszczony przez ludzi kamień umierał. Echo naszych kroków niosło się daleko, stukot butów budził w opustoszałym mieście upiorne dźwięki. Było kwestią czasu, gdy ktoś się tym zainteresuje i postanowi sprawdzić, kim jest przybysz, który niefrasobliwie wkracza do miasta, wyglądającego na przeklęte. Nie musieliśmy czekać zbyt długo.

Obserwowali nas od jakiegoś czasu, skradali się, przekonani, że nie jesteśmy w stanie ich dostrzec. Łaknęliśmy spotkania z ludźmi. Byliśmy zwyczajnie ciekawi.

Obróciliśmy się znienacka, unosząc ręce, by pokazać, że nie chowamy w nich broni i mamy pokojowe zamiary.

Zapomnieliśmy, że są przerażani, a desperacja popycha ludzi do nieprzemyślanych

czynów. Było ich pięciu. Z pewnością rzadko wychodzili na powierzchnię. Przekrwione oczy źle reagowały na światło. Cerę mieli bladą, woskową, niemal jak u trupa. Wszyscy garbili się, jakby spędzili większość życia w tunelach lub piwnicach. Czterej, niezbyt wysocy, ale dobrze zbudowani, trudnili się rzemiosłem wojennym. Dostrzegaliśmy to w ich postawie oraz

ruchach. Do piątego, najniższego i suchego jak wiór, odnosili się z wyraźną rewerencją. Choć po prawdzie, nie mieliśmy pojęcia, dlaczego. W ascetycznej, pomarszczonej jak jabłko twarzy nie było nic niezwykłego ani porywającego. Ludzkość kocha proroków, ale to nie był

jeden z nich.

Zajrzeliśmy w jego duszę, a on cofnął się jak ugodzony sztyletem. Nie dysponował

magią, ale potrafił wyczuć moc. Podobało nam się to. Lubimy światy magiczne, więcej w nich niespodzianek. Pomarszczona twarz wykrzywiła się w grymasie, rozcapierzył palce i krzyknął. Czar paraliżujący pachniał ogniem, ale bez magii nie znaczył nic. Nie mógł nas nawet drasnąć. Mogliśmy zgnieść żałosnych ludzików bez mrugnięcia powiek. Ale byliśmy tak bardzo ciekawi i złaknieni wiedzy, że postanowiliśmy poddać się zaklęciu.

Wycofaliśmy swą boskość do najmniejszego zakamarka umysłu, by pozwolić ciału na naturalne reakcje.

Otoczył nas mrok.

***

Obudziły nas odgłosy rozmowy. Leżeliśmy na niewygodnym i niezbyt przyjemnie

pachnącym łóżku, w zamkniętym pomieszczeniu. W powietrzu unosił się zapach ludzkiego potu, pleśni i zgnilizny.

Nie otwieraliśmy oczu, ale przywołaliśmy boskość, by być gotowym na wszystko.

Przyjmowanie ludzkiego ciała niesie ze sobą wiele ograniczeń. Można zabić ludzki awatar, ale nas samych nigdy. Mimo to śmierć ciała w którym przebywamy, nie należy do przyjemności.

Obok rozmawiało w obcym języku dwóch mężczyzn. Potrzebowaliśmy tro-

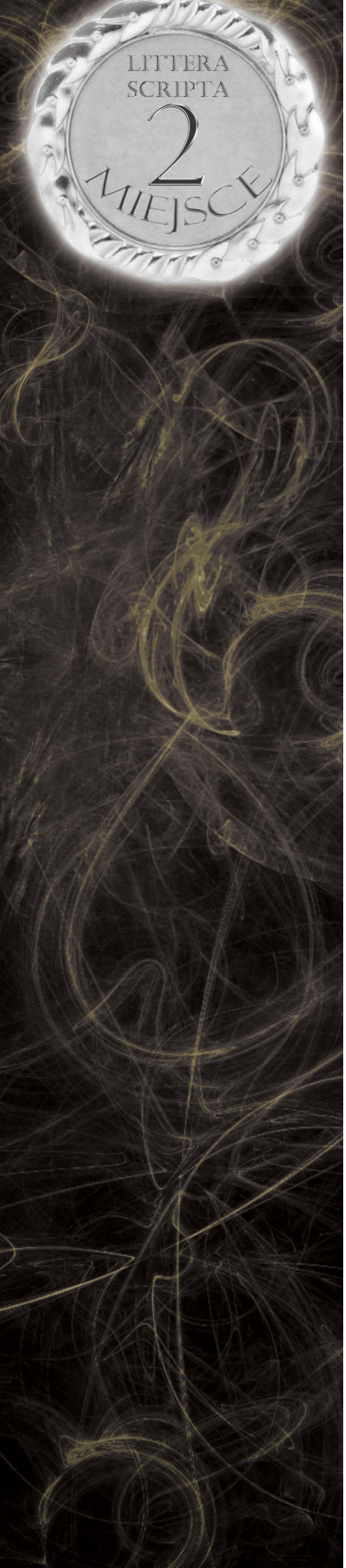

chę czasu, aby się go nauczyć. Mogliśmy oczywiście wycisnąć ich mózgi jak cytrynę i za jednym zamachem zdobyć wszystkie dostępne informacje, ale rzadko to robimy w ludzkiej postaci.

To dla nędznego, stworzonego z gliny ciała nazbyt męczące i nieprzyjemne.

Gdy byliśmy gotowi, otworzyliśmy oczy i odetchnęliśmy głęboko, by zwrócić na siebie uwagę. Mężczyźni umilkli. Siedzieli naprzeciw na bliźniaczej pryczy. Pomieszczenie było tak małe, że wystarczyło, byśmy wyciągnęli rękę i moglibyśmy ich dotknąć. Zgodnie z przewidywaniami pozbawione było okien. Po kamiennych ścianach ściekała woda. Porastał je dziwny, zielonkawy grzyb.

Jeden z mężczyzn był młody, o oliwkowej cerze i długich, czarnych włosach związanych w węzeł. Kobiety pewnie za nim przepadały. Drugi młodość już dawno pozostawił za sobą. A i wtedy pewnie urodą nie grzeszył. Świadczyły o tym choćby wyłupiaste oczy i wydatny, haczykowaty nos. Wiek dodał do tego łysinę i zmarszczki.

- Witaj w Kur, nieznajomy. Zwą mnie Utu – odezwał się beztrosko czarnowłosy młodzian.

- Nie bluźnij, by bogowie cię nie pokarali – syknął łysy, pospiesznie czyniąc znak odpędzający złe moce. – Wybaczcie mu, bogowie i ty, panie. Młodość bywa durna i nie szanuje świętości. Zwą mnie Neti.

- Namtar – przedstawiliśmy się.

Lubimy używać tego imienia. W końcu w pewnym sensie jesteśmy przeznaczeniem i plagą dla tych ludzi.

– Dlaczego nas tu zamknęli?

- Przeklęte Eridu – sapnął gniewnie Neti. – Och, gdybym wiedział, moja noga nigdy by nie postała w przeklętym mieście! O litościwi bogowie, czemuż zesłaliście mrok na mój umysł?!

Neti w geście rozpaczy wzniósł ręce ku niebu, jakby oczekując, że bogowie natychmiast udzielą odpowiedzi. Utu parsknął śmiechem.

- Spóźnione żale, zeszłoroczny śnieg – odpowiedział sentencjonalnie. – Pierwszy raz w Eridu?

Skinęliśmy głową, postanawiając na razie nie mówić zbyt wiele.

- Jak wszyscy. Gdy wrócę do domu, spiorę na kwaśne jabłko wróżbitę, który przepowiedział mi szczęśliwą podróż i interes życia. Demony mnie podkusiły, by wybrać się akurat do położonego w sercu pustyni Eridu. Ale na swoje usprawiedliwienie mam durną młodość.

Niektórzy nie mogą nawet tego powiedzieć na swoją obronę.

Neti zapewne nie pierwszy raz usłyszał ten przycinek. Wzniósł oczy ku niebu, a właściwie ku kamiennemu sufitowi. Ten człowiek działał nam na nerwy. Mieliśmy ochotę wrzucić go do wieży milczenia. Ale uznaliśmy, że to jeszcze nie czas na folgowanie podobnym zachciankom.

Utu wymienił z nami porozumiewawcze spojrzenie. Póki mamy jeszcze coś do powiedzenia, przepowiednia wróżbity dotycząca jego przyszłości, spełni się.

- Widziałeś kogoś na zewnątrz? – Zapytał Utu.

Czas za murami rozciąga się wnieskończoność i czyni każdego nowego przybysza swoistym darem niebios.

- Nie, nikogo. Pustki, jakby miasto wymarło. Potem spotkałem patrol i...

- Wylądowałeś tutaj – dokończył Utu. – Jak my wszyscy.

- To kara bogów – zaintonował Neti.

- Nie wycieraj sobie bogami gęby – powiedzieliśmy, zanim zdążyliśmy pomyśleć. Czasem się nam to zdarza w ludzkim ciele. – Oni tego nie lubią.

Neti zbladł jak ściana i zamknął usta tak gwałtownie, aż klapnęły, po czym odwrócił się do nas plecami.

- Gadasz jak kapłan – zauważył Utu, trochę zaniepokojony. Kpiny z bogów były źle widziane przez ich sługi.

- Jako mędrzec często przebywamy z kapłanami.

Neti przestał udawać obrażonego, odwrócił się i nadstawił ucha. Utu pogroził mu palcem.

- Nie zadzieraj z mędrcem, bo poczęstuje cię urokiem.

- Długo jesteście w Eridu? –Zapytaliśmy.

- Kto wie? – Utu wzruszył ramionami, ale jego lekceważenie było wyraźnie na pokaz. Pragnął wolności jak dzikie zwierzę zamknięte w klatce. – Nie ma dni ani nocy, wszystko zlewa się w jedno. Trochę tu pobędziesz, to sam zobaczysz. Trzymają nas w zamknięciu, odebrali broń. Oszaleję!

- Czasem po zmierzchu pozwalają powędrować po dziedzińcu – wtrącił się Neti, który nie potrafił zbyt długo utrzymać języka za zębami. – Ale cały towar zabrali, złodzieje, i powiedzieli, że gdy wszystko sprzedadzą, dostaniemy pieniądze i będziemy mogli odejść wolno. Nie wierzę im. Zgnijemy tu.

- Nie próbowaliście...

- Jak? Gołymi rękami na uzbrojonych? – Przerwał mu z goryczą Utu. – Kilku kupców zabili i zagrozili, że jeżeli bunt się powtórzy, zatłuką wszystkich i nikt się o niczym nie dowie.

Pomyślą, że przepadliśmy na pustyni. Nikt nas nie szuka i nie będzie szukał. Nawet rodziny pewnie uznały nas już za zmarłych.

- Zatem niech nic głupiego nie przychodzi ci do głowy, mędrcze – ostrzegł Neti, mimowolnie przybierając ton, jakim dorosły poucza krnąbrne dzieci. – Nie pozwolimy na to.

- Jako mędrzec brzydzę się przemocą. Przybyliśmy tu tylko i wyłącznie w poszu-

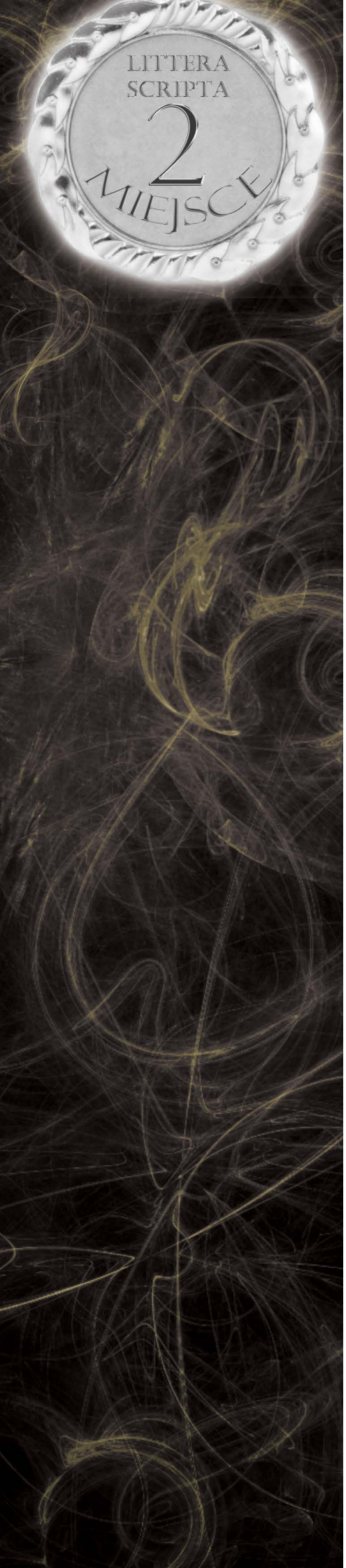

kiwaniu wiedzy. Oświećcie mnie zatem, dlaczego nas tu trzymają?

- Podobno dla bezpieczeństwa. Podobno Eridu pustoszy straszna zaraza, na którą nie ma lekarstwa.

- Taa, podobno. Chcą nas okraść i tyle – warknął Neti.

***

Przeraźliwy dźwięk poraził nasze ludzkie uszy. Upadliśmy na kolana, próbując zatkać je rękami, odciąć od kakofonii, która zamieniała każdą cząstkę ciała w ognisko bólu. Kątem oka zauważyliśmy, że Neti i Utu robią to samo.

- Namtar – usłyszeliśmy wśród przeraźliwego jazgotu nasze imię w tym świecie. – Namtar!

Wszystko zamilkło jak nożem uciął. Neti i Utu podnieśli się niepewnie, trwożliwie rozglądając dookoła.

- Idź – powiedział szeptem Utu. – Wzywają cię.

- Kto? Gdzie?

- Nie ma czasu – Utu pchnął drzwi. Poczuliśmy lodowaty powiew. Korytarz tonął w ciemności.

- Idź – Neti trząsł się jak galareta.

- Ale...

Utu popchnął nas w ciemność głęboką jak bezgwiezdna, zimowa noc. Nie mogliśmy przebić jej wzrokiem. Drzwi do celi, gdzie zostali Utu i Neti, zamknęły się. Byliśmy uwięzieni w ciemności poza czasem. To kłamstwo podszeptywała nam krucha ludzka wyobraźnia. Musieliśmy szybko wziąć się w garść. Namtar, Namtar... Szliśmy w stronę nawołującego nas głosu, wyciągniętymi rękami badając drogę przed sobą. Korytarz ciągle się obniżał. Najwyraźniej budowla, służąca obecnie jako więzienie dla cudzoziemców, posiadała obszerne podziemne lochy. Gdy dotknęliśmy ściany, namacaliśmy reliefy. A zatem kiedyś nie było to więzienie, skoro ktoś zadbał o ozdobienie ścian.

Trudno określić, ile ludzkiego czasu upłynęło, zanim dojrzeliśmy w oddali nikły poblask. To musiało być miejsce, do którego nas wzywano. Przyspieszyliśmy kroku.

Blask pochodził od kilku świec, umieszczonych w pochlapanym woskiem kandelabrze. W niewielkiej celi jedynym meblem był kamienny stół, a może ołtarz.

- Namtarze...

Nie potrafiliśmy ustalić, skąd pochodzi głos. Niewątpliwie jednak należał do człowieka. Obserwował nas, ale sam pozostawał w ukryciu. Dlatego wybraliśmy milczenie.

- Namtarze, po co przybyłeś do Eridu?

- W poszukiwaniu mądrości. Jestem uczonym z dalekiego kraju i chciałem skorzystać z wiedzy przechowywanej w waszym domu tabliczek. Zapewniam...

Dźwięki znów zaatakowały. Straciliśmy zdolność postrzegania. Czyjeś mocne ręce złapały nas za ramię i ciągnęły w nieznanym kierunku bez słowa wyjaśnienia.

Potem brutalnie rzucono nas na kamienną posadzkę. Przynajmniej nieznośny huk zamilkł.

- Namtarze!

Podnieśliśmy głowę. Trafiliśmy do sali, której sklepienia i ścian nie potrafiliśmy dostrzec w mroku. Ciemność rozświetlało jedynie kilka świec, stojących na małym kamiennym stole. Obok ze zdziwieniem dostrzegliśmy regał wypełniony kamiennymi tabliczkami.

Podnieśliśmy się z drżeniem kolan. Udało się!

- Namtarze – przemówił głos. – Pozwalam ci skorzystać z domu tabliczek w Eridu, ale stawiam jeden warunek. Ilekroć dojrzysz jutrzenkę na wschodzie, skierujesz się do celi bez okien, leżącej

po południowej stronie i pozostaniesz tam aż do zmierzchu, który wskaże ci przesypujący się piasek w klepsydrze. Rozumiesz?

- Niech tak będzie – odparliśmy, nie kryjąc wdzięczności ani podniecenia w głosie. Byliśmy dumni, że tak dobrze potrafimy grać na ludzkich emocjach.

***

Dom tabliczek w Eridu okazał się zaiste imponujący. To rzeczywiście niegdyś musiało być miasto, do którego z daleka podróżowali uczeni. Zapewne mój tajemniczy rozmówca był jednym z nich, bądź należał do kasty kapłanów. Ci od zawsze lubowali się w podobnych sztuczkach. Ruszyło go sumienie albo przestraszył się gniewu bogów. To jednak nie był najistotniejszy problem. Chcieliśmy rozwikłać zagadkę Eridu. Niewiele nam trzeba, aby dociec prawdy. Tabliczki nie kłamią tak jak ludzie.

Mieliśmy nadzieję, że dom tabliczek w Eridu prowadzony jest (czy może raczej był) starannie i porządnie. Od dawna nikt nie poszukiwał w nich odpowiedzi. Tabliczki przykryła gruba warstwa kurzu, a pająki omotały je swoimi sieciami.

Rozpoczęliśmy poszukiwania od północy. To dobry kierunek. Wyjmowaliśmy na chybił trafił kilka tabliczek, by przejrzeć ich zawartość. Z miejsca odrzucaliśmy te z modlitwami i hymnami do bogów - a było ich rzeczywiście sporo. Od razu odchodziliśmy też od poematów i wierszy. Nie przemawia do nas ludzka sztuka. Za to chętnie poświęcilibyśmy więcej czasu na analizę tabliczek zawierających klątwy przeciw znienawidzonym wrogom.

Akurat pod tym względem ludzie bywają nad podziw pomysłowi.

Wreszcie jednak udało się znaleźć to, o co chodziło. Tabliczki, w których zamknięto historię Eridu. Z ciekawości zerknęliśmy na mity dotyczące powstania miasta. Oczywiście nie obyło się bez boskiej interwencji. Eridu wyniesiono na powierzchnię z morskich odmętów i bla, bla, bla... Od przewidywalności rozbolały nas zęby.

Najstarsze tabliczki, starannie wykonane, samym wyglądem świadczyły o wspaniałości miasta i trosce, jaką przywiązywano do przekazania potomnym wiedzy. Nie trzeba było nawet ich czytać. Wystarczyło dotknąć, aby poczuć bijący z nich, mimo upływu wieków wciąż wyraźny posmak dumy, szczęścia, zadowolenia z życia i przekonania o błogosławieństwie bogów. Ten zapach został w nich utrwalony aż do skończenia świata.

Ustaliliśmy, że Eridu słynęło przede wszystkim z magów – uzdrowicieli. Babki zajmujące się podobną profesją można spotkać w każdym miejscu i czasie, ale uzdrowiciele z Eridu osiągnęli doprawdy zadziwiające wyniki. Miasto kwitło i rosło w siłę. Kusiło obcych najeźdźców, ale dysponujący sporymi zasobami złota mieszkańcy potrafili zadbać o swoje bezpieczeństwo.

Niby wszystko było wspaniałe, ale przesuwając dłonią po kamiennych tabliczkach, wyczuliśmy jakiś inny ton, z początku odległy i ledwo wyczuwalny, ale burzący uprzednią harmonię, niczym łyżka piołunu w beczce miodu. Wyciągnęliśmy jedną z tabliczek.

Uzdrowiciel [imię i datę zamazano] ratował kobietę ze szponów okrutnych, śmiercią dyszących demonów Utukku. Rozpoznał je i nazwał ich imieniem, lecz one nie zostały odpędzone w krainę bez powrotu.

Jeden z naocznych świadków zdarzenia, prawdomówny i dobrej proweniencji, zeznał pod przysięgą w świątyni, że demony przemówiły ustami chorej kobiety do uzdrowiciela [imię znów zamazane].

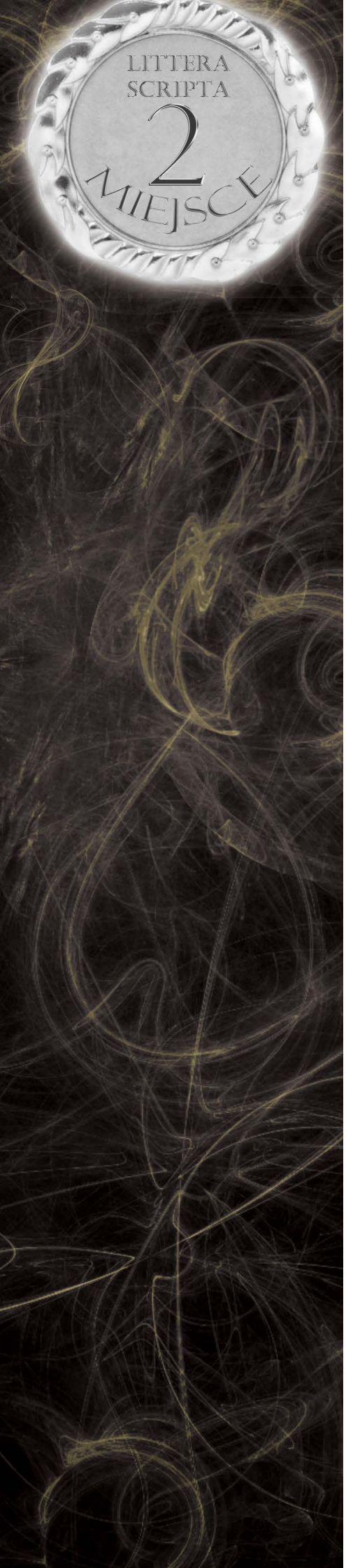

- Nie masz już nad nami władzy – rzekły. – Choć twe wargi wymawiają nasze imiona, w twych ustach są one tylko ziarnami piasku.

Po czym kobieta wyzionęła ducha, a wraz z nią uzdrowiciel. Niech bogowie nas strzegą.

Odłożyliśmy tabliczkę. Tak mocno przeniknęła strachem, że musiała być autentyczna.

Jeżeli uzdrowiciel błędnie nazwał demony, jego śmierć nie była niczym niezwykłym. Ale byle jakiego maga nie wysłano by do walki z kościotrupami Utukku. Żaden uzdrowiciel by na to nie przystał. Dręczyła nas inna myśl – co jeżeli uzdrowiciel wypowiedział prawdziwe imię demonów, a one mimo to nie uległy jego woli? Co to oznaczało dla Eridu? Wyciągnęliśmy następną tabliczkę. Niech bogowie zlitują się nad miastem Eridu!

Okropne klęski dotknęły naszą ziemię. Okrutne demony galla, wezwane przez magów z obcej krainy, by pomagały w budowaniu zigguratu ku chwale boskiej patronki miasta, zerwały wczoraj okowy i urządziły rzeź. Zapełniły się wieże milczenia, a lamenty biją aż pod niebo.

Potem było już tylko gorzej. Podobne wypadki zdarzały się coraz częściej i pociągały za sobą mnóstwo ofiar. Eridu przestało się rozwijać, ludzie drżeli o swoje życie, chyłkiem zaczęli opuszczać miasto, uważane za przeklęte przez bogów. Tabliczki nic nie mówiły o dziwnych wydarzeniach, ale nadal przesiąknięte były odorem strachu. Nigdzie jednak nie natknęliśmy się na żadne wzmianki o zarazie.

Wtem coś nas tknęło. Wróciliśmy do tabliczek zawierających magiczne zaklęcia.

Mieliśmy niepokojące wrażenie, że coś przeoczyliśmy. Na pierwszy rzut oka wyglądały zupełnie normalnie.

Zamrugaliśmy oczami. Ależ tak, oczywiście! Jedna, druga, trzecia, dwudziesta! Na

wszystkich to samo. Ktoś zrobił to celowo.

Na każdej tabliczce z zaklęciami zmieniono pojedyncze znaki, tak by słowa straciły swą magiczną moc. Były teraz tylko skorupami pozbawionymi ducha. Jak imiona demonów Utukku w ustach uzdrowiciela sprzed lat. Te dwa zdarzenia coś łączyło. Niestety, owa nić umykała póki co naszej uwadze.

Ktoś (a raczej wielu ktosiów – tego dzieła nie dokonałaby pojedyncza osoba, życia by jej na to nie starczyło) próbował zniszczyć wszystko, co magiczne w mieście. A mimo to Eridu wciąż śmierdziało magią. Wyjątkowo potężną i wyjątkowo paskudną. Im dłużej przebywaliśmy w mieście, tym wyraźniej czuliśmy w ustach jej mdlący posmak. Pleśń i zgnilizna.

***

Nie wiem, czy wciąż nas pilnowano. Być może. W każdym razie rankiem na

kamiennym stole zawsze czekał dzban z wodą i czerstwy chleb. Głodowe porcje, ale w Eridu z pewnością się nie przelewało.

Wymknęliśmy się z domu tabliczek nad ranem, gdy niebo na wschodzie zaczynało szarzeć. Zależało nam na dyskrecji, dlatego użyliśmy nieco mocy i przeniknęliśmy przez kamień. Eridu wyglądało równie posępnie jak w dzień naszego przybycia. Jakby to było zaledwie wczoraj.

Postanowiliśmy dotrzeć do ogniska złowrogiej magii. To ona stała się zarazą

pustoszącą Eridu. Sprawy nie ułatwiał fakt, że całe miasto było już nią przesiąknięte, a to utrudniało lokalizację pierwotnego źródła.

Dlatego postanowiliśmy odprawić magiczny rytuał. Ludzie lubują się przy podobnych okazjach w wyszukanych

ofiarach, niezwykłych strojach, rzadkich ziołach i innych cudactwach. Tymczasem by odprawić rytuał wystarczy ziemia i moc, która drzemie w niewypowiedzianych słowach.

Znaleźliśmy osłonięte z trzech stron prywatne podwórze. W otaczających je domach nie było żywej duszy. Przyklękliśmy i zaczęliśmy rysować palcem po piasku. Powietrze momentalnie zgęstniało, po ziemi zaczęły pełznąć maleńkie, niebieskie ogniki.

Wtedy poczuliśmy to. Jak lodowaty powiew w letni dzień. Jak dźgniecie sztyletem.

Moc kumulowana przez rytuał uciekała, wsiąkała w ziemię niczym woda. Nie potrafiliśmy jej utrzymać. Coś takiego zdarzyło się nam po raz pierwszy. Podnieśliśmy głowę i zobaczyliśmy napastnika.

Chłopiec był drobny, obdarty i bosy. Ale zewnętrzny wygląd nas nie zwiódł. W tym niepozornym ciele drzemała potężna moc. Patrzył prosto na nas, a w jego czarnych oczach nie gościł nawet ślad strachu. To nas zezłościło i posłaliśmy młodemu magowi z Eridu spojrzenie śmierci.

Odpowiedź była natychmiastowa i paraliżująca. Uratowała nas tylko nasza boskość.

Spojrzenie wróciło i wyssało całą siłę, jaką w nie włożyliśmy. Nie straciliśmy zbyt wiele, ale dostatecznie dużo, by nie przeżył tego żaden człowiek. Ciało nie podzielało siły ducha.

Upadło jak pusta skorupa.

Chłopiec odetchnął i wrzasnął na cały głos:

- Spaczony! Spaczony!

W wyludnionym mieście kamienie daleko poniosły echo krzyku. Patrol zjawił się niemal natychmiast. Nic nie mogliśmy zrobić, nie byliśmy w stanie skorzystać nawet z cząstki mocy. Chłopiec nie odchodził i czekał. Wisiał jak sęp nad ofiarą. Mógł nas zabić, a my przecież mieliśmy plan. Nie na darmo ludzie powiadają, że zemsta jest rozkoszą bogów.

***

Chłopiec umknął przed twardą dłonią kapłana o przekrwionych oczach. Uciekał ile sił w nogach, ale gdy zorientował się, że nikt go nie ściga, przystanął i obejrzał za siebie.

Ukradziona moc cudownie pulsowała w jego żyłach. Ten cudzoziemski mag musiał być nie lada figurą. Miał szczęście, że akurat on pierwszy go spotkał.

Chłopiec dotknął starego, nagrzanego ciepłem muru. Ulica była cicha i spokojna, ale w jego głowie wzrastał gniew. Już wiedział, jak wykorzysta zdobytą moc, która teraz zdawała się ukropem wlewanym w żyły. Czuł dziwne gorąco, ale przede wszystkim siłę, przekraczającą wszystko, co dotychczas zdarzyło mu się ukraść.

Przypomniał sobie matkę, spaloną na schodach zigguratu. To było jeszcze zanim mieszkańcy Eridu na dobre pochowali się w piwnicach. Wtedy ludzie (zazwyczaj niewinni) setkami ginęli w płomieniach. Jego matka była niewinna.

Chłopiec skierował swe kroki w stronę zigguratu, na którego schodach stracił wszystko, co kochał.

Uznałem, że mam prawo sądzić ludzi, dlatego tylko, że mam tę możliwość.

Ludzkie ciało zaniesiono do wieży milczenia, by spaliło je słońce i pożarły drapieżne ptaki. Wyświadczono nam przysługę. Jeżeliby pochowano zwłoki w ziemi, przez dłuższy czas bylibyśmy uwięzieni wśród nieczystości i nie moglibyśmy tak łatwo zmartwychwstać. Jednak w wieży milczenia odrodziliśmy się bez trudu.

Z ziemskiego ciała zostało tylko parę kości. Już nie byliśmy spętani jego okowami i mogliśmy działać o wiele swobodniej i efektowniej. Eridu nas zabiło i musieliśmy wymierzyć sprawiedliwość.

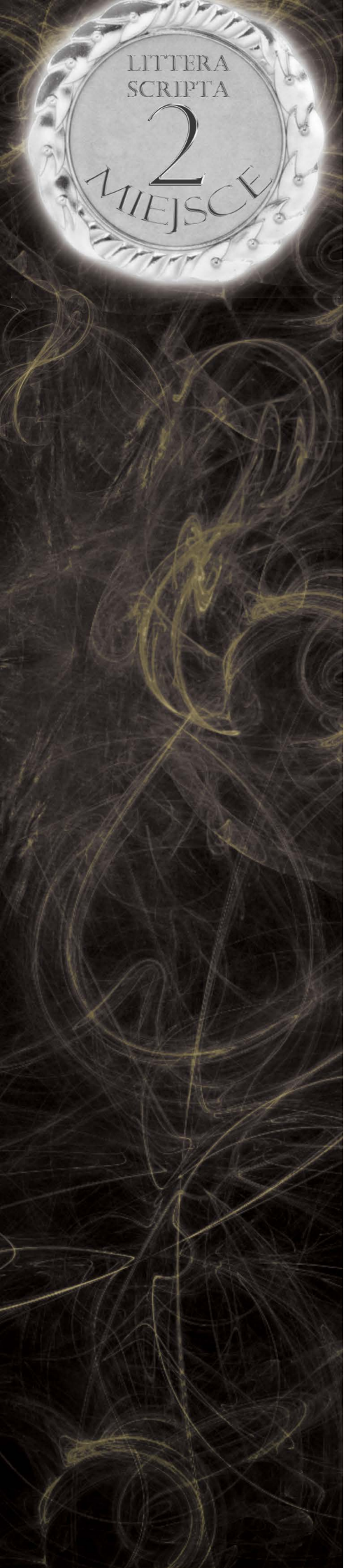

Zapewne dla ludzi upłynęło wiele dni, miesięcy, a może nawet i lat. Nie przywiązujemy zbytniej wagi do tak błahych miar czasu. Wiek w rozumieniu ludzi dla nas jest nic nie znaczącą chwilą. Okazało się, że przez czas, który upłynął od naszej śmierci do zmartwychwstania, nic się nie zmieniło także w Eridu. Miasto ciągle śmierdziało strachem i paskudną magią, a przerażeni ludzie nie wychylali nosa ze swych kryjówek. Nauczyli się tak żyć, przystosowali. Przypominali teraz białe robaki pełzające po podziemnych tunelach.

Budzili w nas obrzydzenie, toteż z ulgą odwróciliśmy oblicze od ich nędzy.

Zamieniliśmy swój byt w słuch i objęliśmy nim całe miasto. Interesowało nas tylko jedno zagadnienie – spaczeni. Początkowo nie natrafiliśmy na nic ciekawego, ale staraliśmy się być cierpliwi. Matki ostrzegały przed nimi dzieci i straszyły je, jeżeli były niegrzeczne.

Dorośli prosili bogów o opiekę.

Wysłaliśmy zatem swój słuch do serca miasta, zigguratu. Żył tam stary kapłan en, z długą brodą, o włosach białych jak mleko. Jego oczy zamykały się na teraźniejszość, a myśli biegły ku przeszłości. Tracił łączność ze swoją linią czasu. Tacy ludzie są dla nas szczególnie cenni.

Próbowaliśmy przemówić do niego poprzez sny, ale en nie odpowiadał. Słaliśmy pouczenia, pokusy, prośby, a w końcu ostrzeżenia i przepowiednie klęsk. Lecz en zamknął swoje uszy na głosy bogów.

Pewnej nocy napełniliśmy jego naczynie boskością, wdarliśmy przemocą w umysł i myśli. Pozwoliliśmy unosić się wspomnieniom en i poznaliśmy prawdę.

Gdy nastał świt, en nie żył.

***

Eridu zapłaciło za łaskę bogów. Magia pleniła się tu zbyt bujnie, a ludzie korzystali z niej na oślep. Magowie zapomnieli, że moc nie od nich samych wypływa. Poczuli się niezwyciężeni. Świątynie opustoszały, a mieszkańcy uznali się za równych bogom. Ich pycha i grzechy biły w niebo, aż z ziemi, z Kur, nadeszła zasłużona kara.

Na świat przyszło pierwsze dziecko z nowego pokolenia. Nie obdarzone darem magii, a zatem z miejsca uznane za gorsze i skierowane do najnędzniejszych prac. Igraszka w ręku władających mocą. Gliniane naczynie pęczniejące zemstą. Pierwszy z tych, których później nazwano spaczonymi.

Pozornie zwykły człowiek, niezbędny magom, by mogli opływać w dostatki i nie zniżać się do pracy fizycznej. Ale gdy czarodziej rzucał nań zaklęcie, ono nie działało, a spaczony pochłaniał całą energię. Nie mógł jej jednak wykorzystać do niczego innego, jak tylko rzucenia identycznego czaru, jaki dosięgnął jego samego.

O tym magowie dowiedzieli się zbyt późno. Spanikowali, przekonani, że obcy, podstępni czarnoksiężnicy próbują ich wygubić i rzucili wszystkie siły do walki.

Najpotężniejsze zaklęcia mające przynieść śmierć wrogom, wzmacniały ich siły. Rewolucja ciemiężonych rozszalała się na dobre.

Nim magowie zrozumieli, że spaczonych należy zabijać tylko mieczem i strzałą, ale nigdy magią, zostali wybici niemal do nogi. A dzieci dotknięte mocą rodziły się tylko i wyłącznie spaczone.

Wtedy do gry włączyli się kapłani, nienawidzący magów za to, że zepchnęli ich na margines życia społecznego. Pod płaszczykiem walki ze spaczonymi, biczami bożymi zesłanymi na krnąbrnych grzeszników, dążyli do przejęcia władzy, nie wzdragając się przed niczym, byle tylko cel swój osiągnąć. To był niedobry czas. Ogrom pychy i chciwości; rządy objęła nienawiść i zemsta. Rozpalano

stosy, a płomienie stokroć częściej pochłaniały niewinnych niż prawdziwych spaczonych.

Kapłani podsycali strach, karmili nim miasto, aż przesiąkło ono jego odorem do ostatniego kamienia. Zamknięto szkoły magów. Wymazywano znaki z tabliczek, by moc nigdy nie powróciła do Eridu.

Lecz to wszystko było za mało. Spaczeni nadal przychodzili na świat i karmili się okruchami cudzej magii. Wtedy w głowie kapłanów zrodził się diabelski plan. Złożyli bogom hekatombę. Zebrali wszystkie dzieci, które nie ukończyły trzeciego roku życia i wrzucili je w ogień. Bogowie odwrócili swój wzrok od Eridu. Ziemia przestała dawać plony, a ludzie bojący się wyjść na powierzchnię, egzystujący w piwnicach, upodabniali się do szczurów.

Kapłani wciąż karmili ich umysły mrocznymi wizjami. Straszyli dniami gniewu i płomieniami sądu. Sami jednak nie rezygnowali z luksusowych towarów, które dostarczały karawany z obcych krain. Dlatego powstało cudzoziemskie getto. Nikt nie wyszedł stamtąd o zdrowych zmysłach. Jeżeli nawet udało się obłąkanym powrócić w rodzinne strony, nikt nie dawał wiary ich słowom. Zaraza trawiąca Eridu pozostawała tajemnicą.

***

Wiedzieliśmy już wszystko. Historia Eridu okazała się podobna do pięknego, zatrutego kwiatu. Zatonęliśmy w namyśle nad grzechami mieszkańców. Uznaliśmy, że nikt nie jest bez winy. Nadszedł czas zemsty i zapłaty.

Osądziliśmy i wydaliśmy wyrok, a on mógł być tylko jeden – zagłada. Starcie z powierzchni ziemi miasta, które zapomniało, że należy szanować dary bogów.

Staliśmy się ziarnami piasku, które przeniknęły ziemię i dotarły aż do uśpionych w podziemiach przedwiecznych wód Kur. Nieruchome i złowrogie czekają tylko na pozwolenie, by wyrwać się na wolność choć na chwilę. Pragną czynić zło i niczym jadowita kobra czyhają na okazję.

Gdy dotknęliśmy ich bezmiaru naszą świadomością, fala przeklętych wód Kur zaczęła się podnosić. Zatruła wodę życia i ziemię Eridu. Ludzie poczęli chorować i umierać od wody i jedzenia, od skażonego powietrza, od jadowitych wyziewów ziemi. Uciekali na powierzchnię i lamentowali, wzywając bogów na pomoc. Ale wzrok nieśmiertelnych już dawno nie spoczywał na Eridu. Byliśmy tam tylko my, sędziowie. Słuchaliśmy, dopóki nie zapadła cisza, a wody Kur wróciły na swoje miejsce.

Na pokrytej błotem ziemi, wśród gruzów, ocalał tylko jeden człowiek, by roznieść po świecie opowieść o gniewie i zemście bogów. Jego włosy, niegdyś czarne jak skrzydła kruka, teraz były białe jak śnieg na szczytach gór. Przysnute bielmem oczy stały się świadectwem, że człowiek ten zobaczył zbyt wiele jak na śmiertelnika.

Jesteśmy sędziami i zawsze ferujemy wyroki sprawiedliwe. Zawsze też dotrzymujemy obietnic i wypełniamy przepowiednie, nawet jeżeli padają z ust fałszywych proroków.

W on czas otworzyły się setki nowych ścieżek, a my utonęliśmy w chwale, by słuchać sławiących nas hymnów.

Po tym, gdy na górze niebios i ziemi,
An sprawił, że zrodziły się Anunnaki.

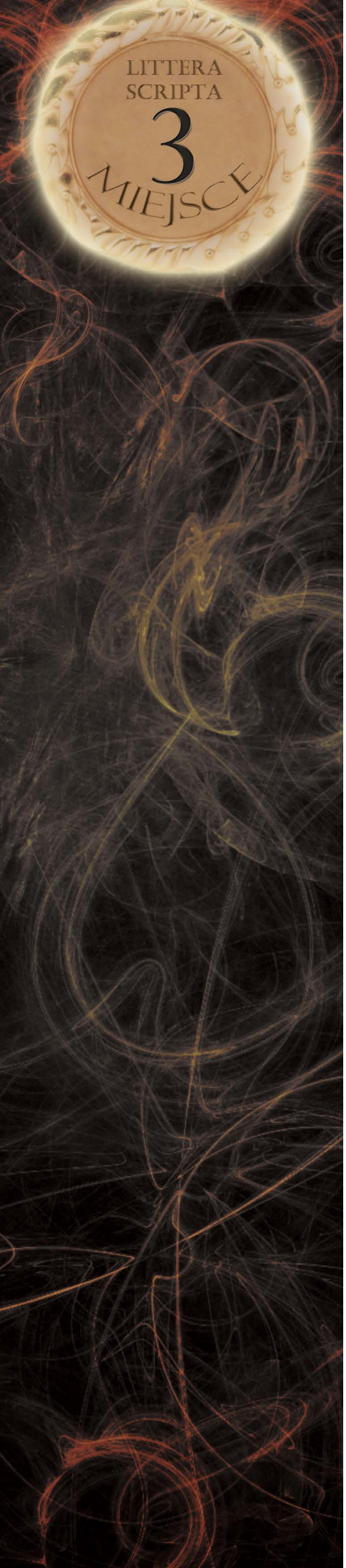

III MIEJSCE

JOANNA KRYSTYNA RADOSZ

BOGOWIE NIE UMIERAJĄ

I

Z okien mknącego kilometry nad ziemią samolotu widziałem jak na dłoni poszarpane granice krajów, wijące się linie rzek, wystające ponad miniaturę świata pasma gór. Lot nie trwał długo: Alexandra nie zdążyła zasnąć, ja ledwie dopiłem lampkę koniaku. Zanim się obejrzeliśmy, już krajobraz przybliżał się z szaleńczą prędkością, z nicości wyłaniały się jasne budynki i brudna wstęga Sekwany zamajaczyła poniżej linii horyzontu. Nad wszystkim tym, oddalona i jakby mniejsza niż ją zapamiętałem, wznosiła się dumna po staremu wieża Eiffela. Wspomnienie czasów kulturalnej świetności Paryża.

Pierwszy raz pojechałem tam jako osiemnastoletni dzieciak. Do dziś pamiętam, jak wielkie wrażenie wywarła na mnie Żelazna Dama, niewzruszona konstrukcja katedry Notre Dame i obserwująca miasto z najwyższego punktu na jego mapie bazylika Sacre-Coeur. Zaskakiwała jasność Paryża – białe mury domów, kamienic, biurowców. Biel – to kolor niewinności.

Dziś, blisko cztery dekady później, niewiele pozostało z dawnej świetności stolicy zakochanych. Sacre-Coeur stało się basztą, z której czarnoskórzy żołnierze obserwują niespokojne tereny. Jasne ściany pokrył kurz, na którym od czasu do czasu ktoś wymalowywał niecenzuralny napis w ojczystym języku swoich rodziców (a może i dziadków). Na placu, na którym niegdyś górowała katedra, rozłożyły się wielobarwne, a mimo to dojmująco szare stragany, gdzie dało się kupić wszystko – od sznurowadeł po karabin maszynowy. Czarni, biali, żółci, Europejczycy, Afrykanie, Azjaci i Amerykanie handlowali wszystkim, co mieli, to bowiem był jeden z niewielu w miarę pewnych sposobów zarobku po wydarzeniach ostatniego dwudziestolecia.

Tę codzienność znałem z opowieści moich ludzi i z historii zasłyszanych, gdy krążyłem po ulicach w przebraniu zwykłego obywatela, pragnąc dowiedzieć się, czego jeszcze trzeba narodowi. Prezydent – zgarbiony, śmiesznie mały człowieczek w archaicznym meloniku, wiecznie poprawiający rzadkie, siwe wąsy – zamierzał pokazać Alexandrze i mnie, a prawdopodobnie i innym gościom konferencji, tylko to, co w mieście pozostało najlepsze. Lub raczej – co odnowiono za ostatnie pieniądze na okazje takie jak ta, gdy można pokazać, że Francja wciąż ma się dobrze, a medialne doniesienia to wyłącznie robota żądnych sensacji hien prasowych.

– Naturalnie, Ekscelencjo, jest pan pierwszy – perorował prezydent, gdy limuzyna mknęła z lotniska jedyną reprezentacyjną ulicą Paryża. Alexandra przylepiła nos do przyciemnianej szyby, próbując dojrzeć wieżę Eiffela. – Jego Wysokość wraz z bratem dotrą wieczorem, a Jego Świątobliwość prawdopodobnie dopiero w nocy. Do wieczora przyjmuje audiencje.

Skrzywiłem się mimowolnie. Jego Wysokość, Jego Świątobliwość... mnie, z braku bardziej stosownego tytułu, nazywał Ekscelencją. To takie... prostackie. Jakby mówił do byle jakiej głowy byle jakiego państwa, a nie do twórcy i stwórcy potęgi Imperium Brytyjskiego. Pierwszego od czasu upadku monarchii człowieka, przed którym naród padał na kolana. Nie z jakiejś anachronicznej tradycji, a z wdzięczności za wybawie-

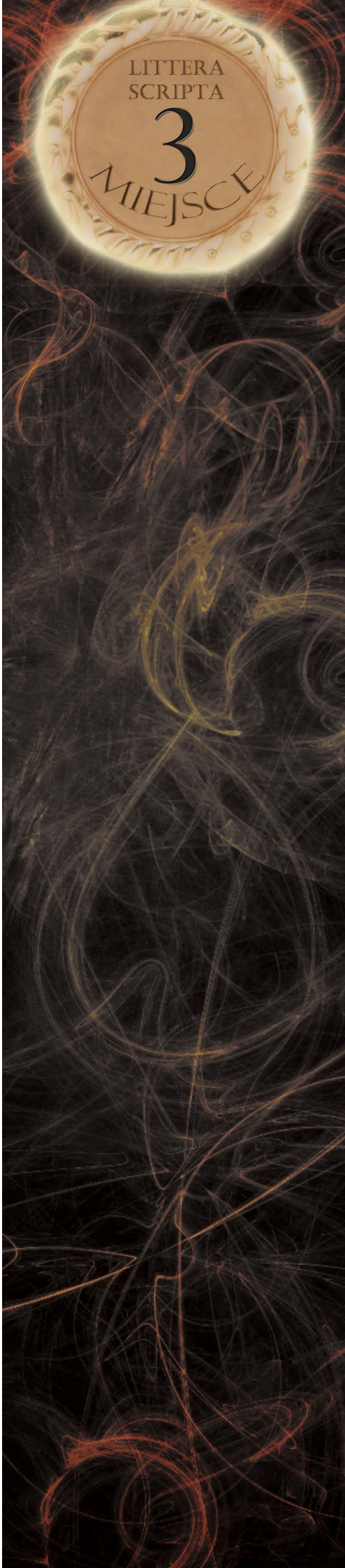

nie. Tak właśnie tytułowali mnie w ojczyźnie – Caesar The Saviour. Ale dla wyliniałego przywódcy rozpadającego się pod naporem biedoty kraju byłem tylko Ekscelencją, Caesarem Whitem, czwartym prezydentem Zjednoczonej Republiki Wysp Brytyjskich.

Jechaliśmy długo, zbyt długo jak na podróż z lotniska do hotelu w szanującej się stolicy. Z ledwością powstrzymywałem się od zatkania uszu. Męczyło mnie bezsensowne bredzenie prezydenta, cieszącego się jak małolat, który wreszcie spotkał swojego idola. Byłem nim znużony w podobnym stopniu jak ci idole, którzy dzień w dzień muszą wysłuchiwać zapewnień na temat własnej świetności, wazeliny, która zawsze brzmi albo fałszem, albo fanatyzmem. Kurduplowaty Francuz wierzył, że dzięki konferencji Paryż choć przez trzy dni pogrzeje się w blasku imperiów nowego świata. Trajkotał o domach kultury, o wydobyciu węgla (jakby tak archaiczne źródła energii mogły mnie cokolwiek obchodzić), o odbudowie domów, które zniszczyła trzecia fala imigrantów u progu lat dwudziestych. Nie oczekiwał mojego udziału w rozmowie, nie przeszkadzał mu nawet brak jakiejkolwiek reakcji. Traktował mnie jak psychoterapeutę.

Żeby nie słuchać tych bredni, poszedłem w ślady Alexandry i wyjrzałem przez drugie okno. Próbowałem dostrzec to, co prezydent tak bardzo chciał ukryć, te potiomkinowskie wioski w środku kraju szampanem płynącego. I dostrzegałem, bo już dawno nauczyłem się widzieć właśnie to, czego nie chcą mi pokazać. Za neobarokowymi i neosecesyjnymi fasadami domów, za świeżo odmalowanymi ścianami i świeżo położonymi dachówkami ujrzałem brud, smród i ubóstwo. Bezdomne zwierzęta wałęsające się po ulicach i wywracające kosze na śmieci. Czarnoskóre dzieci z lśniącymi w świetle zachodzącego słońca nożami przebiegające w poprzek brudnej szosy. Pogięte znaki drogowe. Rozpadające się domy. Zawalone dachy.

– Boże... – usłyszałem nagle szept Alexandry. Rzadko wracała do tego wykrzyknienia, które już od jakiegoś czasu przestało być aktualne. Tamten Bóg, którego imię wzywało się nadaremno w chwilach zguby... on odszedł. Nie umarł, jak chciał Nietzsche, lecz skrył się w cieniu. Po kataklizmach dwudziestego pierwszego wieku ludziom przestał być potrzebny Bóg miłosierny, dobry dla grzeszników, każący nadstawiać drugi policzek. Potrzebowali sędziego, który wymierzy karę nie gdzieś tam, za bramą śmierci, ale natychmiast, w tym życiu, w tym miejscu i w tym czasie. Szukali oparcia w czymś, co widać, w człowieku, którego mogliby – na granicy bluźnierstwa wobec przebrzmiałej religii – wynieść do rangi Boga. I znaleźli mnie, bo ja pokazałem im, że wystarczy odrzucić obłudną pokorę i odszukać w sobie siłę, która – pomnożona przez miliony ludzi – na dobre odbuduje kraj. Obwołali mnie Bogiem, bo dałem im nadzieję na sprawiedliwość.

Spojrzałem w stronę okna Alexandry. Co takiego zobaczyła, czego nie widziała w Zjednoczonej Republice? Poznała smak strachu, smak krwi, poznała wojnę domową, głód, chłód i hordy żołnierzy tupiących o poranku ciężkimi buciorami tuż za oknem suteryny. Urodziła się w środku wojennego zamętu i jako dziecko poznała, co znaczy odbudowywać kraj własnymi rękami. W Paryżu nie było wojny – Paryż po prostu załamał się pod naporem północnoafrykańskiej biedoty. Co mogło nią wstrząsnąć?

Na prostopadłej ulicy dwóch policjantów trzymało pod ramiona chłopca o śniadej skórze. Trzeci bezlitośnie bił go po twarzy prętem. Krew najpierw kapała na chodnik, ale po kolejnym uderzeniu

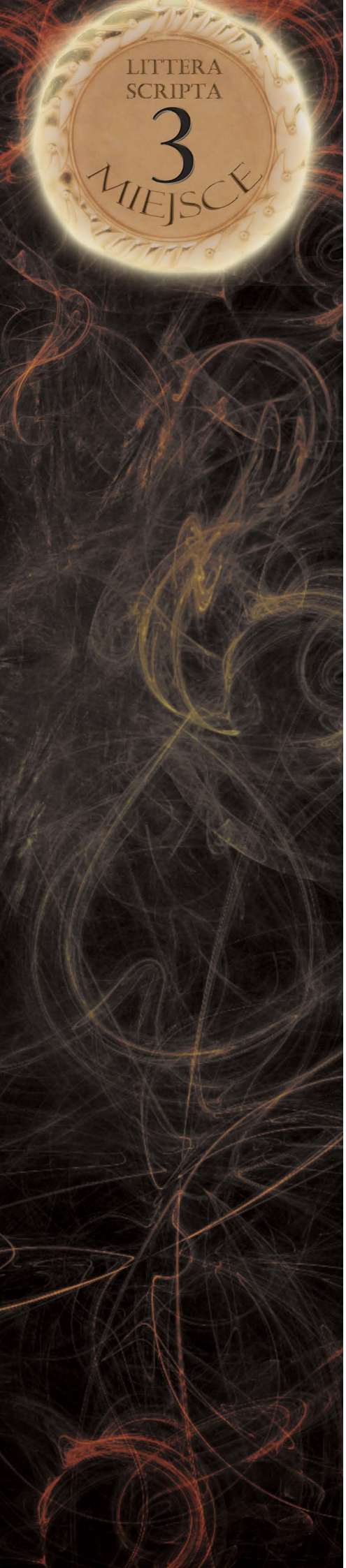

poczęła się lać wartkim strumieniem.

– Czym on zawinił? – spytała głucho Alexandra, nie zwracając uwagi na trajkoczącego prezydenta. – Co takie dziecko mogło zrobić?

Powiedziała to o ton za głośno. Potok fatalnej angielszczyzny z wyraźnie francuskim akcentem ucichł, jakby wysechł w ciągu jednej sekundy.

Czym zawinił? Tym, że jest mieszańcem. Tym, że ta krew, która leje się na brudny bruk, to po części krew jednego z ludzi, którzy zniszczyli spokój tego kraju, odpowiedziałbym jej, gdyby nie napięta cisza panująca w limuzynie.

– Panienko – zaczął po chwili prezydent. Miał łagodny głos, ale śmieszne, za duże oczy, zrobiły się jeszcze większe, a rzadki wąsik drgał nerwowo. – Dzięki szybkim reakcjom policji w sposób drastyczny spada przestępczość w naszym kraju. Gdyby nie...

– Przestępczość? – Głos Alexandry drżał. – On nie ma nawet dziesięciu lat!

– Nie wyobraża sobie panienka, do czego takie dzieci są zdolne. Rodzice od najmłodszych lat wysyłają je na żebry...

Alexandra po raz kolejny nie dała mu dokończyć.

– Gdyby był biały, nic by mu nie zrobili!

Na samochód spłynęła jeszcze potężniejsza cisza. Prezydent milczał, wyraźnie urażony. Alexandra obmyślała kolejny atak. A ja... z jednej strony byłem oburzony jej zachowaniem. Była dorosła i powinna wiedzieć, że to, iż pewne fakty są oczywiste, nie oznacza, że należy o nich głośno mówić. Z drugiej natomiast chętnie bym jej zawtórował, dodając, że jeżeli Francuzi zamierzają być rasistami, to trzeba było to pokazać trzydzieści lat temu. Gdyby nie ich ówczesna hipokryzja, ulice nie zapełniłyby się afrykańską biedotą, Paryż nadal by kwitł, a trzech policjantów nie znęcałoby się teraz nad chłopcem z mieszanej rodziny.

Choć tamten świat począł chylić się ku upadkowi jeszcze przed nastaniem dwudziestego pierwszego wieku, do najpoważniejszego przełomu doszło dopiero przed trzema dekadami. Wtedy stało się coś, co pchnęło kontynenty na krawędź upadku tak bardzo, jak nie uczyniła tego żadna wojna. W zwykłych, szarych ludzi uderzył najpotężniejszy w historii kryzys gospodarczy.

Przez wiele wieków rządy nie doceniały przeciętnego obywatela, choć ci raz po raz wzniecali powstania. Władze nie lubią się uczyć na błędach. Co innego, gdy wojują politycy, nawet jeśli na wojnie giną cywile. „Obrona ojczyzny", „obrona przed terroryzmem", „wyższa konieczność" – hasła, choćby i kłamliwe, oddziałują na podświadomość. Nie buntujesz się, kiedy nad głowami latają helikoptery i czołg wyjeżdża zza rogu. Nie buntujesz się, kiedy wiesz, że zaraz możesz zginąć – wtedy ważniejsza jest ochrona bytu. Bardzo gorąco chcesz wierzyć, że ci tam, u góry są po twojej stronie i toczą wojnę dla twojego dobra. Odejmiesz sobie od ust ostatni kawałek chleba – byle przeżyć.

Za komuny też się nie buntujesz. Nikt nic nie ma – może tylko partyjni, ale oni się ze swoim bogactwem nie obnoszą, przecież nie są głupi. Przywykłeś nie mieć nic i nie jest to dla ciebie sytuacja nadzwyczajna.

Buntujesz się dopiero wtedy, kiedy zdajesz sobie sprawę, jak wiele mógłbyś mieć – gdyby nie zjawił się ktoś, kto ci to zabrał. Kiedy po latach mieszkania w willi z basenem widzisz na ekranie plazmowego telewizora, jak przywódca ogłasza drastyczne zwiększenie podatków, żeby załatać dziurę budżetową. I potem, kiedy zabierają ci willę, basen oraz telewizor, a następnych komunikatów wysłuchujesz w zdezelowanym radiu, póki i o nie ktoś się nie upomni.

Buntujesz się, kiedy zwalniają cię z firmy, a na twoje miejsce zatrudniają

bandę niewykształconych imigrantów – bo przecież trzeba sobie pomagać. Kiedy twoje wykształcenie okazuje się guzik warte, bo ktoś się ciebie boi, bo jesteś za mądry, bo stanowisz zagrożenie.

Buntujesz się, kiedy – niczym u Raspaila – na twój dom ciemną nocą napada horda tychże imigrantów i żąda miejsca do spania, dostępu do lodówki, a rząd krzyczy, że trzeba im to dać, bo oni uciekli z ogarniętego wojną kraju i nie mają gdzie się podziać. I gdy zgadzasz się potulnie z rządem, myśląc, jaka straszna ta wojna.

Buntujesz się, kiedy żyjesz sobie spokojnie całymi latami, skromnie, ale z klasą, a tu nagle spada na ciebie jak grom z jasnego nieba powstanie przeciwko przywódcy, do którego osobiście nic nie masz. Ty nie, ale grupa bojowników o wolność i demokrację (czyli dobrobyt dla siebie – bo demokracja istniała w starożytnej Grecji i nigdy później) i owszem, wobec czego uznali za moralnie usprawiedliwione wyrzucić cię z domu, zamienić go na szpital dla rannych, a tobie kazać się wynosić. Poradzisz sobie. Zawsze sobie radziłeś.

Wreszcie – buntujesz się, kiedy trąba powietrzna pozbawia cię dachu nad głową, a rząd rozkłada bezradnie ręce. Gdyby to im żywioł odebrał dorobek całego życia, inaczej by śpiewali.

A każdy z tych buntów, jak pokazuje historia, stanowi broń gorszą niż czołgi, karabiny maszynowe czy nawet bomby atomowe.

Powojenne napięcie narastało przez szereg dziesięcioleci, kipiąc wrzątkiem już u progu nowego tysiąclecia. Dwójka na początku daty miała przynieść pokój i dobrobyt całemu światu – a zamiast tego przyniosła kolejne konflikty, kryzysy, biedę. Nie sposób stwierdzić, który kontynent wybuchł jako pierwszy... możliwe, że wybuchły naraz, ze zgoła odmiennych powodów i całkiem niezależnie od siebie.

Był rok 2015, kiedy po kilku latach bojów Stany Zjednoczone ostatecznie ogłosiły bankructwo. Reformy się nie udały, plany ratunkowe od A do Z zawiodły. Majątek odebrany bogaczom nie zdołał pokryć długu, jaki USA zaciągnęły między innymi u naszego kraju. Jak łatwo się domyślić, skwapliwie skorzystaliśmy – historia zatoczyła koło i dziś Stany to formalnie terytorium brytyjskie, choć oni wolą mówić, że są z nami w unii. Stracili też część terenów na rzecz innego państwa – Polskiej Rzeczpospolitej Katolickiej. Ukościelniony, środkowoeuropejski kraj skorzystał na ilości swoich synów i cór w USA.

Azję pogrążyły klęski żywiołowe – tsunami, trąby powietrzne, trzęsienia ziemi i wszystkie ich konsekwencje. Katastrofy powtarzały się coraz częściej, a mimo to nikt nie umiał ich przewidzieć. Żaden szanujący się biznesmen nie chciałby posiadać filii swej kompanii na terenie, który wiecznie grozi zalaniem lub zawaleniem, toteż zagraniczne firmy na gwałt poczęły wycofywać się z azjatyckiego rynku. Zostali z najnowszą technologią, ale bez pieniędzy, by dalej ją rozwijać, i z kapitałem ludzkim, którego żadną miarą nie potrafili utrzymać przy życiu. Stąd i paryska konferencja – ale o tym później. Nie chciałem myśleć o celu podróży przed dotarciem do hotelu, nadmierne przejęcie się sytuacją źle wróży interesom.

Europa pogrążyła się sama – chrześcijańskim miłosierdziem, naiwną dobroduszności, humanitarnymi ideałami. Gdy po upadku dyktatorów w kolejnych afrykańskich krajach północ kontynentu pogrążyła się w chaosie, a i tak wysoki odsetek ludzi żyjących w skrajnej biedzie powiększył się niemal dwukrotnie, hordy Afrykanów zaczęły ładować się na statki – niczym w obrazoburczej powieści dwudziestego wieku, „Obozie świętych" – i masowo przybywać do Europy w poszukiwaniu dobrobytu.

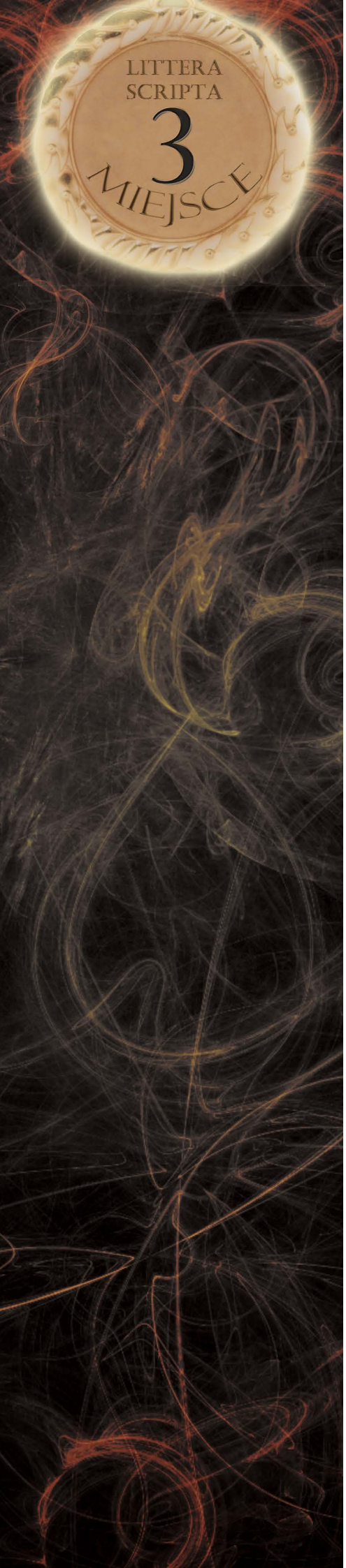

Póki były to osoby świadome różnic kulturowych, gotowe się dostosować i w miarę wykształcone, koegzystencja z mieszkańcami Starego Kontynentu przebiegała pokojowo. Lecz tym „lepszym" pozazdrościły masy ludzi bez jakiegokolwiek zaplecza intelektualnego, podlegające wyłącznie zwierzęcemu prawu przeżycia. Nie znali niczego poza instynktem samozachowawczym, nie mieli żadnych potrzeb poza najbardziej prymitywnymi. W ciągu dziesięciu lat, nim Europa ostatecznie odepchnęła ich tam, skąd przybyli, zdążyli zniszczyć nasze domy, naszą kulturę, a ta walka uświadomionych i ciemnej biedoty zaowocowała typizacją – odtąd biały już zawsze miał oznaczać kulturalnego, wykształconego, spokojnego, a czarny – barbarzyńskiego najeźdźcę, którego jedyna siła to zdolność destrukcji wszystkiego wokół. Liżąca rany Europa nie miała sił pomyśleć, jak wielu krzywdzi tym stereotypem i jak wielu białym barbarzyńcom daje oręż do ręki.

Zawieruchę w stanie mniej-więcej nienaruszonym przetrwało kilka krajów. Australia wykorzystała położenie geograficzne, Skandynawia – niegościnny klimat. Ogłosiły doktrynę izolacjonizmu, jak wieki temu Stany Zjednoczone (gdyby jej nie zarzuciły, dziś może nie byłyby terytorium zależnym). Nowopowstałe Królestwo Syberii szybko poszło w ich ślady. Na światowej scenie politycznej pozostało trzech liczących się graczy.

Neocarska Rosja, przeczuwając jak gdyby nadchodzącą katastrofę, uczyniła ruch niepojęty dla wszystkich, którzy cokolwiek wiedzieli o przeszłości tego kraju. Dobrowolnie pozbyła się części swojego terytorium – i to jakiej części! Wschodnią granicę wycofała aż na Ural, wzmacniając naturalną przeszkodzę murem mogącym spokojnie rywalizować z Wielkim Murem Chińskim. I choć władze ze wszystkich sił starały się ukazywać to posunięcie jako nieodzowny gambit, jak w szachach, gdy dla dobra partii poświęcasz hetmana, świat wiedział swoje. Rosja jeszcze się liczyła – ale czy długo? Całą swą potęgę na przełomie tysiącleci oparła na ropie i gazie. Po upływie pół wieku energia z odnawialnych źródeł zdominowała świat i mało kto jeszcze potrzebował zanieczyszczających środowisko substancji. Rosjanie nie mówili o swoich kłopotach publicznie – ale głupcem byłby, kto na tej podstawie wnioskowałby, że ich nie mają.

Polska Rzeczpospolita Katolicka, maleńkie państewko w centrum Europy, przetrwało i wyrosło dzięki jednej prostej cesze swych mieszkańców: ksenofobii. Zanim jeszcze północnoafrykańska emigracja przybrała rozmiary masowe i przerodziła się w ogólnoeuropejski exodus, Polska uparcie odrzucała imigrantów. Oni przyjeżdżali, owszem, ale spotykali się z niechęcią i nacjonalizmem, więc szybko wyjeżdżali. Gdy biedota ruszyła na Europę, Polskę omijała szerokim łukiem – skoro przecierający szlaki wykształceni mieszkańcy Afryki nie zatrzymywali się tam na stałe, coś musiało być z tym krajem nie tak. Ta prosta logika uchroniła przed zagładą państwo, które starcia z imigrantami by nie wytrzymało ani ekonomicznie, ani społecznie. Mało, że uchroniła – pozwoliła mu się rozwinąć, wzrosnąć na kościach kultury europejskiej, stać się ostoją tradycji! Papież z Watykanu uciekł do Rzeczpospolitej, która niedługo potem dodała do swej nazwy wymowny człon: Katolicka. Wyznawcy dawnego Boga, tego, o którym na moich ziemiach już zapomniano. Ludzie, dla których ponad przyszłością narodu stoi jego przeszłość. Czułem, że właśnie to w końcu ich zgubi.

I my, Zjednoczona Republika Wysp Brytyjskich. Na początku popełniliśmy

ten sam błąd, co reszta Europy – przyjmowaliśmy imigrantów z otwartym ramionami, póki nie poczęli demolować naszego kraju, toczyć go od wewnątrz. Właściwie to nie oni byli winni największych zniszczeń. To rodowici Brytyjczycy zbuntowali się przeciwko odbierającym im pracę, płacę i mieszkanie przybyszom zza granic, przeciwko zanikowi kultury, obcym językom coraz częściej słyszanym na ulicach... A rząd i Królowa zlekceważyli ten bunt, wierząc, że wkrótce samoistnie wygaśnie. I wygasł, lecz po to tylko, by powrócić ze zwielokrotnioną siłą, wedrzeć się do budynku Parlamentu i do Pałacu Buckingham. Na blisko rok zapanowała całkowita anarchia.

Potem było niewiele lepiej. Pierwsi wybrani w demokratycznych wyborach prezydenci Zjednoczonej Republiki poruszali się po grząskim gruncie polityki niczym dzieci we mgle. Nie wiedzieli, co i jak zrobić, by podnieść kraj z kolan. Wypchnęliśmy imigrantów za granicę – znakomicie. Użyliśmy położenia geograficznego, by na jakiś czas odizolować się od reszty świata, póki nie uporządkujemy własnego podwórka – ale co dalej? Właściwie dopiero mój poprzednik nadał reformom określony kierunek. A dopiero ja wziąłem naród na krótką smycz, tłumacząc, że tak trzeba. Patrzcie, mówiłem, tak zrobiła Rosja po upadku ZSRR i po dziesięciu latach bycia Krajem Trzeciego Świata poczęła wyrastać na konkurenta USA. Dzisiaj USA to tylko nazwa, a Rosja istnieje i miewa się dobrze.

...i konkuruje z nami o wpływy na Dalekim Wschodzie.

Więcej pomyśleć nie zdążyłem. Limuzyna stanęła i wysiedliśmy – milczący, urażony prezydent, ponura Alexandra i ja – prosto na paryski deszcz.

II

Od czasu wybuchu w samochodzie Alexandra nie odezwała się ani słowem. W ogóle była małomówna, lecz teraz umilkła całkowicie. Jej twarz pozostawała nieprzenikniona – kiedy weszliśmy do kapiącego bogactwem piętrowego hotelu dla specjalnych gości, kiedy do pokoju podano nam obiad składający się z delicji, jakie nawet w Zjednoczonej Republice jadaliśmy od wielkiego dzwonu... Większość czasu spędzała przy oknie, przyglądając się zalanej deszczem ulicy. Ani drgnęła, gdy na parking wjechała kawalkada czarnych samochodów.

– To car – oznajmiłem, chociaż ona to doskonale wiedziała.

Zwróciła na mnie puste, ciemne oczy otoczone umalowanymi rzęsami. Prezentowała się nienagannie: czarny, znakomicie skrojony kostium podkreślał jej szczupłą talię, a spódnica odsłaniała dokładnie tyle długich nóg, by ten, dla którego tu przyjechała, poczuł zew natury. Tylko jej obojętność kłuła w oczy.

Bez słowa wstała, wygładziła spódnicę i wzrokiem spytała, czy wyjdziemy ich powitać. Jakby nie wiedziała...

Mieliśmy przewagę taktyczną. Przyjechaliśmy na miejsce pierwsi i to my mogliśmy się zachowywać wobec pozostałych przywódców jak gospodarze. Żałowałem tylko, że przedstawiciele krajów Dalekiego Wschodu jeszcze nie przybyli. Gdyby udało się przeprowadzić pierwszą rozmowę z nimi, nim w hotelu zjawią się Rosjanie i Polacy...

Ale teraz to było bez znaczenia. Car przyjechał.

Patrząc na hotel i jego okolice, można by pomyśleć, że nic właściwie się nie stało. Paryż nie umarł, Paryż żyje, oddycha pełną piersią, Paryż rozkwita. W hallu pyszniły się obrazy impresjonistów, kryształowe żyrandole zwieszały się z malowanego sufitu, rozświetlając złote ornamenty na ścianach. Obite skórą kanapy miały nogi wygięte w fantazyjne kształty zwierzęcych łap. Secesja, barok, klasycyzm – wszystko to sąsiadowało

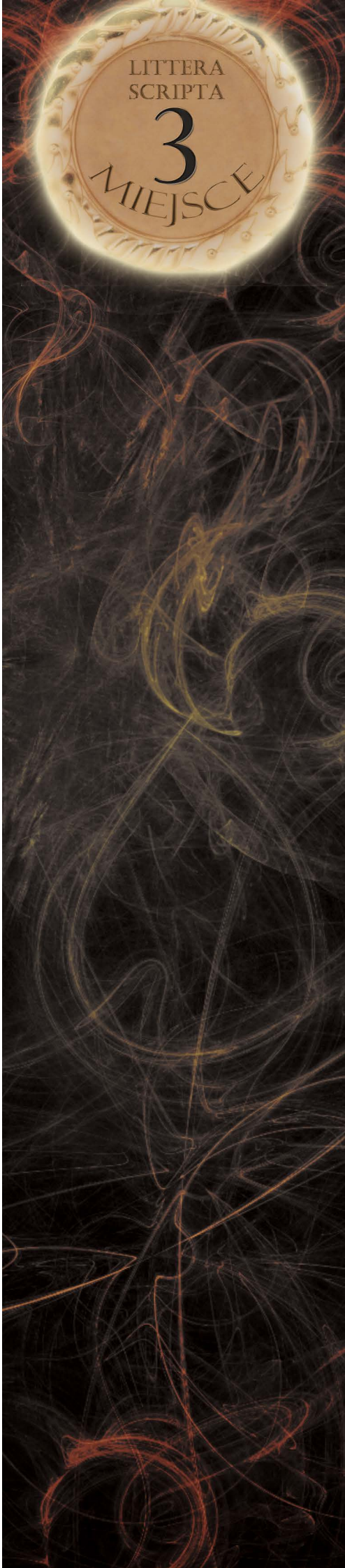

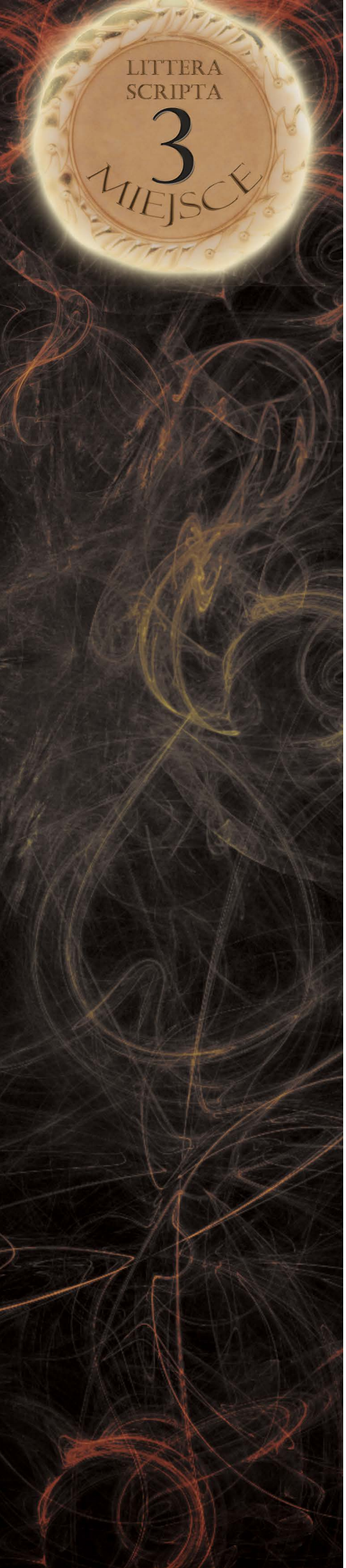

ze sobą, przeplatało się i sprawiało wrażenie, że tego przepychu jest tutaj za dużo. Że ktoś odratował całe ochronione bogactwo Francji i upchnął je w jedno miejsce, by móc chwalić się przed wysoko postawionymi przybyszami z zagranicy.

Za oknem świeciły zapalone wcześnie latarnie. W blasku lamp rodem z dziewiętnastego wieku lśniły krople deszczu tłukące zaciekle o stylizowany na czasy świetności miasta jasny bruk i o białe kamienice wokół hotelu. Kamienice, dodajmy, wymarłe. Stały tu tylko po to, by sprawiać dobre wrażenie, podobnie jak nikomu do niczego więcej nie był potrzebny młody las zasadzony za bryłą hotelu.

Od wewnątrz stanowiący mieszankę stylów i epok, z zewnątrz był to budynek zdecydowanie futurystyczny, a to ze względu na nietypowy kształt. Sprowadzając go do matematycznej bryły, był graniastosłupem o ośmiokątnych podstawach. Ten szczegół uwidaczniał się na piętrze – podzielono je na osiem pokojów z ośmiokątnym hallem pośrodku, z którego się do nich wchodziło. Czego by nie mówić, słowo „oryginalność" nie było obce francuskim architektom.

Staliśmy z Alexandrą u stóp kręconych, marmurowych schodów, oczekując, aż w drzwiach pojawi się podekscytowany prezydent, a za nim wkroczą dostojnie car Władimir I oraz jego brat Witalij. Nim jednak to nastąpiło, nagła myśl napełniła mnie obawą.

– Pamiętaj o najważniejszym – szepnąłem do ucha Alexandry, odsunąwszy z jej twarzy czarne loki wijące się aż do ramion.

Odpowiedziało mi to samo puste spojrzenie. Nigdy nie zastanawiałem się nad jej oczami – a teraz przeraziło mnie, jak bardzo nic w nich nie ma.

– Nie przynieś mi wstydu. Prezydent Francji to pionek – wspomniałem sytuację w limuzynie – nagadanie mu tylko wzmocni naszą pozycję. Ale car...

– Tak, wiem – odparła cicho. Nie cierpko, nie ze złością, ale i bez pokory. Jej głos był tak samo obojętny i martwy jak spojrzenie. Co się z nią stało? Przecież tak chciała zobaczyć Paryż... A może była taka zawsze, a mnie dopiero teraz to uderzyło? – Car jest naszym rywalem, ale nie wrogiem. Prędzej sam rozbije swój statek o skały niż my go zniszczymy.

Zmilczałem tę uwagę. Alexandra szybko się uczyła.

Kolejni goście pogrążonego w euforii Francuza weszli tymczasem do hallu w towarzystwie nieodłącznych ochroniarzy. To dziwne – cudzą straż przyboczną zawsze dostrzegałem od razu i zawsze wydawała mi się czymś nienaturalnym. Moi ludzie przemykali bezszelestnie, praktycznie nie odczuwałem ich obecności. Wiedziałem jednak, że w razie nagłego wypadku to oni rzucą mi się na ratunek, choćby kosztem własnego życia. Tego nauczono ich, nim trafili do mnie na służbę.

Car był młodym mężczyzną, ostatnią osobą odpowiednią do tej nobilitującej roli. Przypominał żebraka, który na jeden dzień zamienił się miejscami z księciem i choć jest ubrany jak książę, to wszyscy widzą jego prawdziwą naturę – w najdrobniejszych szczegółach. Ciemne włosy zaczesane za uszy opadały aż do ramion – coś takiego jeszcze pół wieku temu wywołałoby skandal dyplomatyczny. W dużych, jakby wiecznie zdziwionych oczach odbijał się przepych tego miejsca i ciekawość właściwa dziecku, które dopiero uczy się chodzić. Drżały niepewnie wąskie wargi, to układając się w półuśmiech, to znów tworząc prostą linię. Smukła, a mimo to pozbawiona lekkości sylwetka tego mężczyzny sprawiała groteskowe wrażenie na tle lejącego się bogactwa, jakim przywitał nas paryski hotel. Car Władimir I był za młody i

kompletnie nieprzygotowany do roli, jaka rok temu – po tragicznej śmierci ojca – spadła na jego barki.

O wiele korzystniej prezentował się Witalij, choć przecież ustępował bratu pozycją, wiekiem i wzrostem. Garnitur, który na Władimirze wisiał jak worek kartofli, na Witaliju leżał nienagannie. Identycznej długości włosy najmłodszy z carskiej rodziny spiął złotą klamrą, która co i rusz łapała blask lamp. Na twarzy w przeciwieństwie do nerwowego Władimira miał wypisany absolutny spokój, jakby przyjechał tu odpoczywać, a nie negocjować jedną z najważniejszych dla obecnego świata umów. Każdy jego krok był doskonale przemyślany, każdy ruch – niezbędny, a każde spojrzenie – przepełnione hipnotyczną mocą. Mimowolnie pomyślałem o poprzedniku ich ojca na carskim tronie. On też ponoć zaklinał ludzi wzrokiem, przeglądał ich dusze jak stronice książek.

Zawsze chciałem czynić to samo z moim ludem. I udało się.

Zwróciłem spojrzenie na Alexandrę, chcąc sprawdzić, jakie wrażenie wywarł na niej Witalij. Ale ona patrzyła w dal, prawie nie mrugając, nie dostrzegając nowoprzybyłych ani trajkoczącego prezydenta, który na jej widok skrzywił się ledwie dostrzegalnie.

– Ach, Ekscelencjo! – rozległ się nagle głos tuż przy moim uchu. Niski, czysty, a mimo to przeniknął mnie na wskroś, wywołując nieprzyjemny dreszcz. To car przyspieszył kroku, minął prezydenta i podszedł do mnie sprężystym krokiem, wyciągając rękę na powitanie. – Nie spodziewałem się, że już tu pana zastaniemy.

Prezydent zmarszczył brwi, Witalij zaś zrobił minę pośrednią między oburzeniem a absolutną bezradnością. W protokół dyplomatyczny podobna bezpośredniość nie miała prawa być wpisana. Car z każdą chwilą coraz bardziej utwierdzał mnie w przekonaniu, że spośród trójki graczy przy pokerowym stole konferencji to on jest najsłabszym ogniwem.

Niechętnie ścisnąłem miękką dłoń Władimira.

– To zaszczyt, Wasza Wysokość – powiedziałem z całkowitą obojętnością. Czy dostrzegł w moim spojrzeniu, że aż brzydzę się jego odstającym od reguł polityki sposobem bycia? Owszem, zawsze miałem na uwadze przede wszystkim dobro mojego narodu. Niemniej jednak słabo robiło mi się na myśl, że ten nieodpowiedzialny młodzieniec zaprzepaszcza lata starań jego ojca i jeszcze poprzedniego cara, którzy wydźwignęli Rosję na pozycję imperium również dzięki odpowiedniemu zachowaniu.

...może jakaś część mnie wyobrażała sobie w tym momencie, że i mój dorobek może zostać w ten sposób obrócony wniwecz.

Witalij niczym cień podążał za Władimirem. I teraz to on witał się ze mną już po chwili, dystyngowanym gestem podając dłoń, obojętnie wypowiadając słowa powitania. Wszystko zgodnie z etykietą, wprost rzucało się w oczy, jak bardzo młodszy z braci pragnie zatrzeć niesmak po wystąpieniu Władimira. Ale uważny obserwator – a ja za takiego się uważałem – dostrzegłby coś jeszcze: niemalże nieuchwytną próbę pokazania „formalnie to on jest carem – ale nie on rządzi". Ta myśl napawała mnie optymizmem tym większym, gdy przypominałem sobie o obecności Alexandry.

Raz w życiu zachowała się jak przystało na osobę o jej pozycji. Przywitała się grzecznie, trzymając dystans. Jej podniesiona garda ostudziła nawet komunikacyjne zapały Władimira. W oku Witalija dostrzegłem tymczasem znakomicie rokujący błysk.

Odetchnąłem z ulgą. Wszystko układało się po mojej myśli.

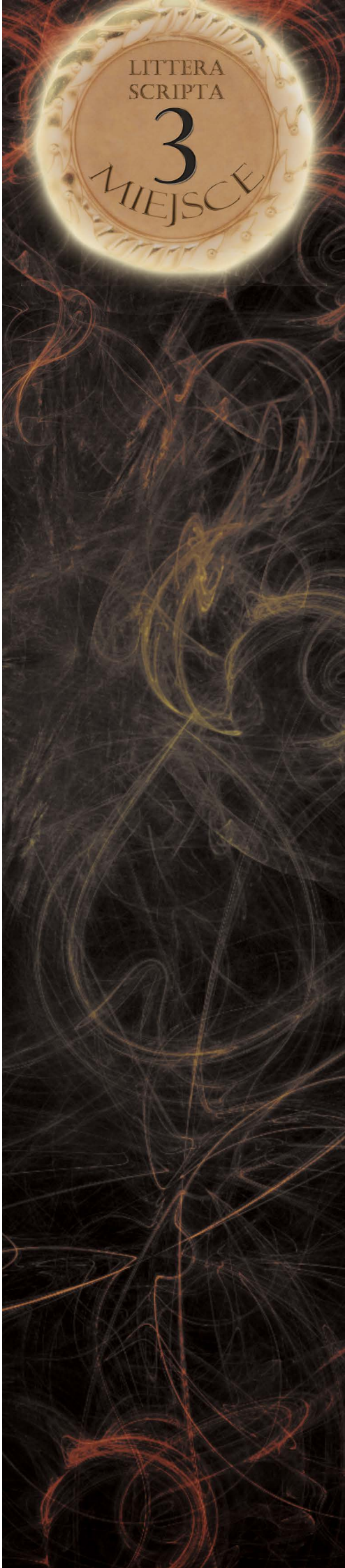

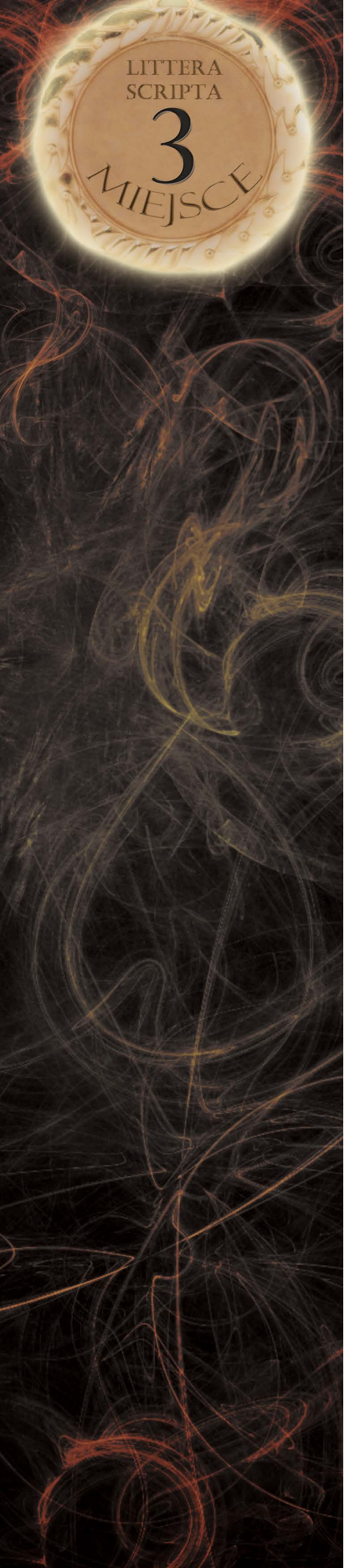

III

Noc czernią spowiła stolicę Francji i nawet latarnie zdążyły pogasnąć. Jak tłumaczył prezydent, kraj nadal boryka się z przerwami w dostawie energii, toteż od czasu do czasu zdarza się, że nocami nie ma światła. Ale ja swoje wiedziałem – przecież lampa w pokoju paliła się mimo wszystko. Nie chodziło o przerwy czy nie przerwy, tylko o oszczędność – Francja wykosztowała się na zdobione fasady i dekorację dla przyjezdnych, zadłużając się jednocześnie w sferze energetyki. Znałem podobne sztuczki na wylot – grałem w tę samą grę co oni.

Czyż mogłem ich potępiać? Kiedyś robiłem dokładnie to samo – nieważne, ilu ludzi pozostaje bez prądu i bieżącej wody. Stawka jest najwyższa z możliwych – prestiż kraju. Bez niego na zawsze pozostalibyśmy ubogim sąsiadem, który o wszystko musi prosić na kolanach. Dzięki twardym zabiegom i marketingowi na miarę dwudziestego pierwszego wieku to nas teraz proszono o pomoc. Konferencja była na to najlepszym dowodem.

Zdawało mi się, że słyszę echo własnych myśli. Pomimo mojej opinii o Francji jako o walącym się pomniku desperacko próbującym ratować resztki kruszącego się marmuru, jedno musiałem przyznać – nie dało się narzekać na apartament. Został podzielony na dwa pokoje – połączenia sypialni z gabinetem – oraz wielką salę, w której spokojnie zmieści się cały mój sztab, gdy już wygramy batalię, będącą czystą formalnością. Jakby architekt projektował ten hotel specjalnie z myślą o naszej konferencji.

A może tak było faktycznie?

Spojrzałem na zegarek. Początek rozmów zaplanowano na pierwszą po południu. Równe pół doby dzieliło mnie od triumfalnego – teraz byłem tego niemal pewny – pochodu ku świetlanej przyszłości Zjednoczonej Republiki.

Przedstawiciele państw Dalekiego Wschodu zjawili się w hotelu niedługo przed północą. Widziałem, jak wysiadali z samochodów – o ileż uboższych od limuzyn, które wysłano po mnie czy po Rosjan – i w deszczu, niechronieni parasolami ludzi prezydenta, zmierzali w stronę budynku. Przemakały ich ubogie płaszcze, woda strumieniami lała się po tkaninie nie pierwszej jakości. W świetle dokonujących żywota latarni widziałem ich zgarbione sylwetki, przyglądałem się ostrożnym, szybkim krokom, którymi przemykali niczym nocni złodzieje. Myśleli zapewne, że nikt ich nie widzi. A może nie? Może dostrzegli moją postać w oknie, ale było im już wszystko jedno, bo skoro uniżyli się na tyle, by prosić o protekcję, pojęcie honoru stało się im obce?

Im? Dumnym Azjatom, którzy w ubiegłym wieku wciąż gotowi byli pożegnać się z życiem w zamian za uratowanie własnej godności? Jak wiele musiały wycierpieć ich narody, że w końcu ugięły się niezłomne karki?

Nie zszedłem do hallu, choć pragnąłem porozmawiać z nimi jeszcze przed konferencją, sam na sam, bez towarzystwa Władimira czy równie mocno działającego mi na nerwy polskiego kardynała. Wyjście Azjatom naprzeciw pokazywałoby, że bardzo zależy mi na umowie. A to nie mnie powinno zależeć, tylko im – ja do końca musiałem odgrywać obojętnego. Ba, przecież był to ukłon w ich stronę, że w ogóle zgodziłem się z nimi rozmawiać.

Chodziło o to, o czym już wspomniałem. Grupa naukowców ze wschodniej Azji po serii klęsk żywiołowych postanowiła dłużej nie ryzykować siedzeniem na tykającej bombie. Ich kraje sypały się w gruzy, brakowało pieniędzy na najbardziej podstawowe produkty, a co dopiero mówić o rozwoju nauki i techniki. Ci ludzie mieli wyniki, pomysły,

projekty i energię do pracy jak pięciu Europejczyków każdy. Zawiązali stowarzyszenie i jako to stowarzyszenie rozesłali do trzech mocarstw jasną wiadomość. Zaoferują swoje usługi, technologie, ściśle tajne notatki uratowane ze zniszczonych laboratoriów w zamian za wikt i opierunek. Spotkają się z nami w Paryżu – że w Paryżu, dodaliśmy już my – i zdecydują, z którym krajem chcą współpracować. Albo raczej: który kraj chce z nimi współpracować. Była w tym jakaś perwersja – wszyscy wiedzieli, że to nam, imperiom, zależy na azjatyckich technologiach, a mimo to wciąż i wciąż podkreślaliśmy, że to Azjaci winni zaoferować jak najkorzystniejsze warunki umowy. Licytowaliśmy bezcenny skarb, udając, że podbijamy cenę, bo to skarbowi na nas zależy, nie nam na nim.

Siedziałem w ciemności, pogrążony w rozważaniach. Zgasiłem lampę w moim pokoju, by jej światło nie obudziło czasem śpiącej Alexandry. Jeżeli nazajutrz miała znów oczarować Witalija, musiała wyglądać nienagannie, a już na pewno nie mogła straszyć worami pod oczami.

Nie słyszałem jej oddechu, a mimo to nie mogłem się pozbyć wrażenia, że ona wcale nie śpi. Że leży tylko i tymi pustymi oczyma wpatruje się w świeżo odmalowany sufit. Przerażało mnie jej spojrzenie – pierwszy raz w życiu. Gdyby nie ono, już szykowałbym się do świętowania triumfu.

Kto mógł mi przeszkodzić w podpisaniu kontraktu z Azjatami? Władimir, który nie potrafił się zachować przy powitaniu, a co dopiero mówić o rozmowach służbowych? A może kardynał Sadnetsky, Polak o dziwnym nazwisku, który nigdzie się nie ruszał bez tłumacza, bo nawet dwóch zdań nie potrafił wypowiedzieć w obcym języku? Co innego oficjalne okazje, gdy z usług tłumacza korzystają nawet ludzie biegle władający kilkoma językami, a co innego rozmowy, na których trzeba wykazać się odpowiednim podejściem, zgrać słowa z językiem ciała i gdzie każde pośrednictwo oddala szansę na końcowy sukces.

Wstałem od okna, na którym deszcz kroplami malował wzory godne nowego impresjonisty. Raz jeszcze rzuciłem okiem na potiomkinowski Paryż i strzelającą pod niebo wieżę Eiffela, Żelazną Damę Kłamstwa. Tam dalej kryli się ludzie i ich dramaty, na które prezydent pluł, zainteresowany jedynie abstrakcyjnymi wskaźnikami szacunku wobec państw Europy po tej konferencji. Prezydent Francji nie dbał o swój lud – chciał tylko w spokoju dotrwać do końca kadencji.

Prezydent Francji nie był Bogiem. Nie byli nim też car Władimir I ani śmieszny polski klecha, który wciąż wierzył w zupełnie innego Boga. Właśnie dlatego żaden z nich nie miał szans stania się godnym rywalem w boju o umysły najlepszych naukowców świata.

Istniała jedna osoba, której mógłbym się obawiać – Witalij. Po raz kolejny podziękowałem sobie w duchu, że zabrałem do Paryża Alexandrę. Jakbym już znacznie wcześniej przeczuwał to, co do czego teraz byłem pewny – że prędzej czy później albo Rosja runie po raz kolejny, albo Władimir abdykuje na rzecz brata. W każdym z tych przypadków nie groziłoby mi już żadne niebezpieczeństwo ze strony dzikiego imperium.

IV

Przy uroczystym śniadaniu z narastającym zainteresowaniem obserwowałem Sadnetsky'ego. Albo raczej – jego tłumaczkę.

Była... dziwna. To chyba najlepsze określenie. Wyglądała całkiem normalnie, jeśli nie ładnie – młoda, zgrabna kobieta, drobnej budowy, o długich, lśniących blond włosach, gęstymi falami spływających na szczupłe ramiona i o arystokratycznym, rzymskim nosie. Niby była ubrana elegancko jak my wszyscy (nawet na

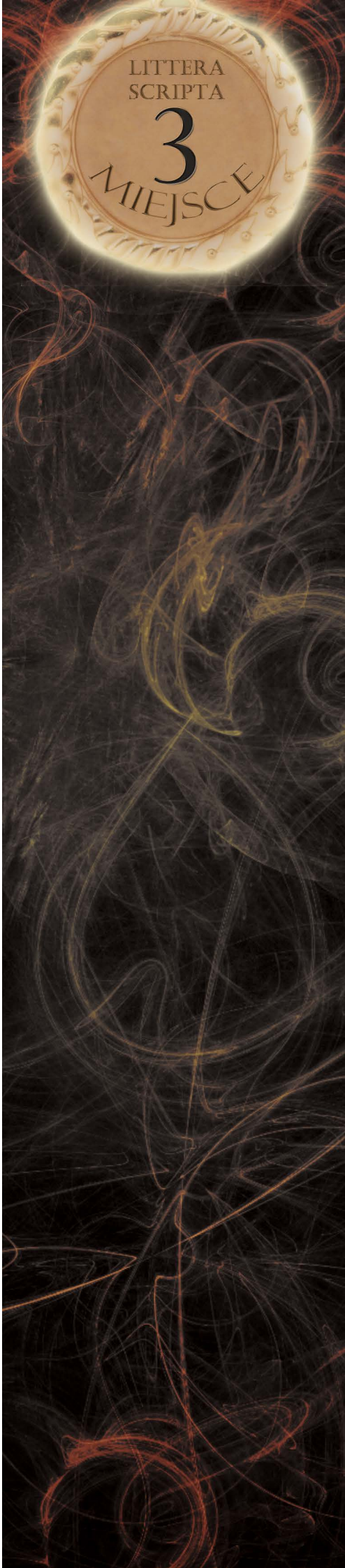

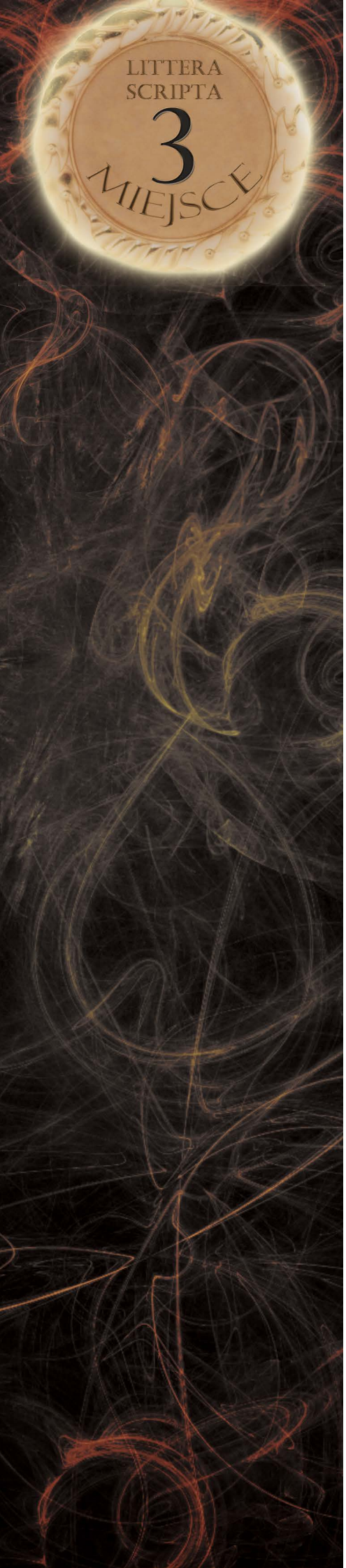

dłoniach miała wytworne rękawiczki), niby nie rzucała się w oczy – zgodnie z etykietą, która tylko na tej zasadzie przyzwalała na spożywanie posiłków wspólnie z głowami państw – niby nic jej nie odróżniało od poprzednich tłumaczy kardynała... a mimo to między nią a resztą świata wyrastał mur. Mur wyznaczony przez jej ciemne okulary.

Tłumaczka Sadnetsky'ego, kobieta o imieniu Alitsya i nazwisku, którego nawet ja nie potrafiłem powtórzyć, była niewidoma. Już samo to stawiało ją poza obszarem znanych mi pomocników przywódców. Mówiła biegle pięcioma językami, swobodnie tłumaczyła kardynałowi rozmowy prowadzone po rosyjsku, angielsku czy nawet koreańsku. Szeleszczący język polski w jej ustach brzmiał monotonnie – głosem nie zdradzała ani swych odczuć, ani wagi tłumaczonego tekstu. Zwykłego człowieka zdradziłyby oczy – jej pozostawały przesłonięte czarną szybą. Tylko czasem zwracała głowę w naszą stronę i wtedy zdawało mi się, że jej niewidzące oczy prześwietlają nas niczym lasery. Alexandra musiała odczuwać podobnie – starannie unikała wzrokiem postaci tłumaczki, a gdy przypadkiem natykała się na nią spojrzeniem, ledwie powstrzymywała dreszcz.

Zaczynały się pierwsze rozmowy o przyszłości naukowców. To sami naukowcy nieśmiało podnosili temat, chcąc najwyraźniej jak najszybciej zakończyć okres trudnych do zniesienia upokorzeń. Prezydent Francji uspokajał ich gestami, tłumacząc, że jeszcze nie czas, że trzeba zaczekać na salę konferencyjną, na odpowiednie warunki.

...a mnie przy słowie „konferencyjna" nachodziło nieodmiennie odległe, dziwne skojarzenie. Słowo sprzed równo wieku. Jałta. Ustalanie nowego, powojennego ładu świata. Czym innym my się zajmowaliśmy?

Po śniadaniu dano nam czas na przygotowanie się do rozmów służbowych. „Dano nam czas" – jak śmiesznie to brzmiało. To my tu dyktowaliśmy warunki i gdybyśmy chcieli przejść do rzeczy, zrobilibyśmy to między bagietką a herbatą z przyniesionym specjalnie dla mnie mlekiem. Prezydent Francji udawał ważnego człowieka, a tak naprawdę nieodmiennie pozostawał śmiesznym, wąsatym knypkiem ze zdemolowanego przez najeźdźców kraju.

Na korytarzu Alexandra i prezydent niemal się zderzyli. Złapałem kątem oka dwa spojrzenia: jego – wrogie – i jej – znów obojętne. Miała puste oczy, jakby była tak samo niewidoma jak tłumaczka Sadnetsky'ego.

Wspomniana białą laską torowała sobie drogę do pokoju. Szła nadzwyczaj szybko, pewnie, tylko od czasu do czasu przystawała i niepewnie wodziła laską wokół, szukając ewentualnych przeszkód. Usta cały czas miała zaciśnięte w wąską linię, a skryte pod rękawiczką palce dłoni mechanicznie gładziły biały plastik. Przypatrywałem się jej kątem oka, zastanawiając się, jak ona sobie radzi podczas wyjazdów, jak dostosowuje się do nowego otoczenia, kto ją oprowadza... bo chyba nie kardynał?

Wszystko to interesowało mnie z czysto poznawczego punktu widzenia. Nie potrzebowałem wiedzy, dlaczego Alitsya Jakaś-Tam jest niewidoma, od jak dawna i jakie uczucia wywołuje w niej własna ułomność. Być może sama sobie jest winna, uległa wypadkowi z własnej głupoty... a może taka się urodziła, bo coś wyżej chciało, żeby nie miała za łatwo.

Coś wyżej – czyli Natura. Natura istniała obok Boga, ograniczając jego wszechmoc. Bóg musiał się nauczyć żyć w zgodzie z Naturą i poprawiać ją, kiedy się da – zamiast zwalczać. Manipulacja procesami przyrodniczymi wydawała mi się

głupotą prowadzącą do narobienia sobie niepotrzebnych przeciwników. Lepiej pracować na materiale już dostarczonym niż wydawać krocie na tworzenie nowego.

Witalij stał na korytarzu na piętrze i palił cygaro. Dym spowijał jego twarz o regularnych rysach i osadzał się na ciemnych włosach, matując ich blask. Jedynie złota klamra lśniła w blasku promieni słonecznych wpadających przez okno. Marynarkę brat cara przewiesił przez ramię, jakby było mu w niej zbyt gorąco. Wyglądał nonszalancko, nieco buntowniczo – a przy tym o wiele bardziej pasował do tego miejsca i tej konferencji niż rozmamłany Władimir. W tym momencie był po prostu zrelaksowany, nie zaś nieadekwatny.

Uznałem, że to najlepszy czas na działanie. Chwyciwszy Alexandrę za ramię, przesunąłem ją w stronę Witalija.

– Twój ruch – szepnąłem jej do ucha. Nie odpowiedziała; odgarnęła tylko czarne loki z twarzy i pewnym krokiem udała się do okna, przy którym brat cara oddawał się nałogowi.

– Wasze Wieliczestwo... – zaczęła miękko, z zaskakująco śpiewnym akcentem. Nauczyła się go ze słuchu podczas śniadania?

– Ależ, milady – przerwał jej ze śmiechem Witalij – proszę zostawić te tytuły dla mojego brata. Ja z pewnością na nie nie zasługuję. – Cóż za dyplomacja! Z każdym kolejnym słowem coraz bardziej utwierdzał mnie w przekonaniu, że za kilka lat, a może nawet miesięcy, to on wstąpi na tron. A i przedtem będzie faktycznym władcą, doradzając Władimirowi.

Witalij z galanterią uniósł dłoń Alexandry i złożył na niej pocałunek. Ja zaś z zaskoczeniem obserwowałem, jak na jej wargi wstępuje uśmiech, a policzki pokrywają się różem. Gdzie się podziała jej obojętność? Czyżby... Niech mnie kule biją, czyżby ona coś do niego czuła?!

W jednym momencie zdążyłem pomyśleć, że to i dobrze, i źle. Dobrze, bo lepsze prawdziwe uczucie niż uczucie udawane – zwłaszcza w małżeństwie. Źle, bowiem zawsze istnieje ryzyko, że uczucie przeważy na rozsądkiem – a wtedy być może to ja będę sobie pluł w brodę, że od blisko roku swatałem Alexandrę z Witalijem. Użytecznego zięcia potrzebowałem znacznie bardziej niż szczęśliwej córki.

Starając się przekonać samego siebie, że póki co sytuacja nie jest groźna, a moje obawy pozostają nieuzasadnione, pozostawiłem Alexandrę z Witalijem, swe kroki zaś skierowałem do pokoju. Po drodze po raz kolejny tego dnia rzuciła mi się w oczy Alitsya. Była w czyimś towarzystwie – kogoś młodszego niż kardynał. Nie zwracałem jednak uwagi na tożsamość człowieka odprowadzającego tłumaczkę-kalekę. Spieszyłem się wszak do swoich spraw i do tekstu przemówienia mogącego zagwarantować mojemu krajowi najlepszych naukowców świata.

Jedyne, co wyłapałem, to strzępek rozmowy w języku, który bardziej od polskiego przypominał rosyjski.

V

Pukanie do drzwi oderwało mnie od świętowania. Od przeszło dwóch godzin zajmowałem się głównie odbieraniem telefonów od ministrów, ambasadorów, polityków i lordów. Bezpośrednio po konferencji prezydent Francji – nie mogąc ominąć okazji do pokazania się całemu światu – przedstawił zebranym dziennikarzom jej wyniki. Te, których wszyscy się spodziewali, i które przyszły nadzwyczaj łatwo.

Rosjanie może zdziałaliby coś – gdyby chcieli. Zdawało się jednak, że spisali na straty kontrakt z Azjatami, a do Paryża przyjechali tylko pro forma. Inaczej nie dało się wytłumaczyć nieobecności Witalija – najlepszego na carskim

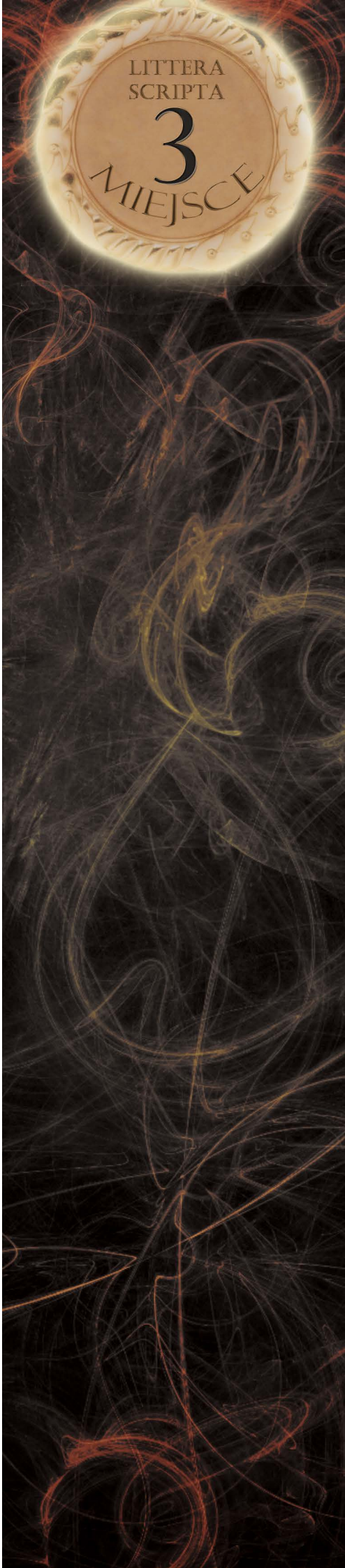

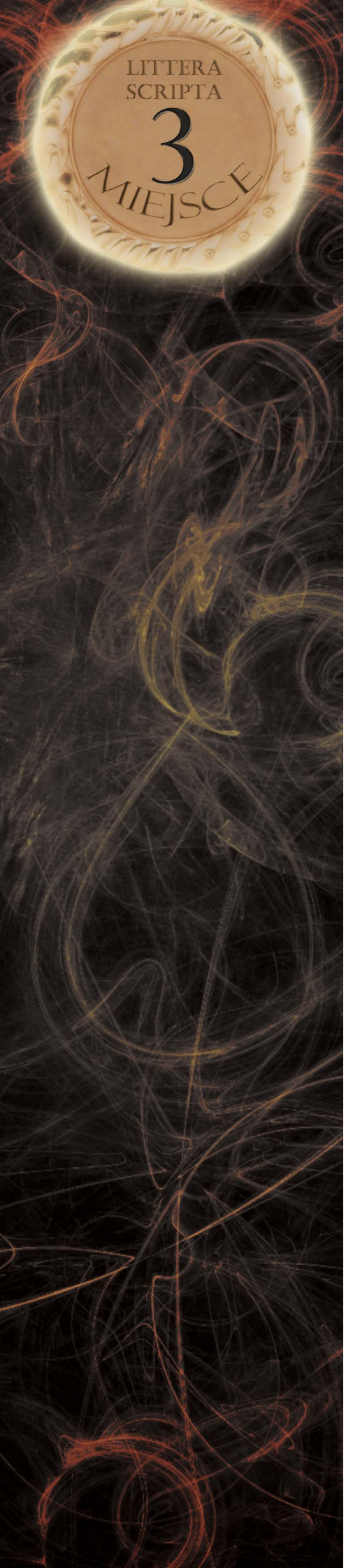

dworze eksperta od nauki i techniki. Po co doradcy ekonomiczni i gospodarczy, skoro sprawa tyczyła się konkretnie najnowszych technologii – i ceny ich pozyskania? Ale Witalij się ulotnił. Nie widziałem go, odkąd podsunąłem mu Alexandrę. Jej, co znamienne, również nie. Na razie miałem do ich przypadku neutralny stosunek – dopóki Alexandra podążała wytyczoną przeze mnie ścieżką, nie miałem prawa wysuwać pretensji, że nie trzyma się planu w najdrobniejszych szczegółach. Mówią, że serce nie sługa, zwłaszcza zaś serce młodej dziewczyny.

Kardynał Sadnetsky, pomimo usilnych starań Alitsyi, stał na z góry przegranej pozycji. Azjaci, chociaż upokorzeni, mieli dość honoru, by postawić kilka – z mojego punktu widzenia: banalnych – warunków. Jednym z nich była wolność wyznania i gwarancja bycia powszechnie akceptowanym przez społeczeństwo. Tego Sadnetsky, co oczywiste, nie mógł obiecać. Polska Rzeczpospolita Katolicka już dawno zamknęła się na obcych i o ile tolerowała turystów, ba, dbała o nich bardziej niż o tubylców, o tyle dłuższy kontakt „obcego" z rzeczywistością podobną małomiasteczkowym stereotypom mógłby narazić Azjatów co najmniej na nieprzyjemności. Sadnetsky proponował im wprawdzie strzeżone, specjalnie dla nich stworzone osiedle w stolicy, na którym mieściłby się szpital, sklepy, szkoła, punkty rozrywki... Ale kto chciałby się dać zamknąć w klatce, choćby i pozłacanej? Na pewno nie przedstawiciele dumnych narodów. Właściwe, jedyne, co było ciekawego w ofercie Sadnetsky'ego, to obecność Alitsyi. Okazała się nie tylko piękna i tajemnicza, ale też obdarzona fenomenalną pamięcią. Bez posiłkowania się notatkami – co było całkiem logiczne, biorąc pod uwagę jej kalectwo – przytaczała dane, liczby, procenty, wyniki sondaży i rozszerzenia poszczególnych punktów umowy. Gdyby nie była niewidoma, z takim mózgiem zrobiłaby światową karierę. Chociaż... może to właśnie ponadprzeciętnym umysłem natura wynagrodziła jej nieczynny zmysł?

Po pierwszej, otwartej części, tak bardzo przypominającej licytację, gdy już Azjaci podjęli decyzję o wstępnym zaakceptowaniu mojej oferty, umówiliśmy się na omówienie szczegółów nazajutrz. Już bez udziału osób trzecich. Ale przecież była to czysta formalność – odrzucili propozycje Polaków i Rosjan, a nie mogli sobie pozwolić na zostanie bez opieki. Tym bardziej, że rzecz nie szła o samych przedstawicieli – Koreańczyka, Japończyka, Chińczyka i jeszcze jakiegoś – lecz o kilkutysięczną grupę naukowców, których reprezentowali. Słowa „wstępnie akceptujemy", wbrew stereotypom na temat Azjatów – że ich „być może" zawsze oznacza to samo, co stanowcze „nie" każdej innej nacji – były równoznaczne z ostatecznym triumfem. Wszyscy o tym wiedzieli.

Nasz sztab toastował raz po raz. Tłumacz – przybyły „na wszelki wypadek", gdyby Władimir nie zamierzał posługiwać się najbardziej międzynarodowym językiem świata – bełkotał już coś po niemiecku, minister ekonomii przysiadł w fotelu, obejmując głowę dłońmi, a i reszta była na lekkim rauszu. Oczywiście, poza ochroniarzami, którzy nawet w tak radosnej chwili nie mieli prawa wypić niczego poza symbolicznym łykiem szampana. Nie życzyłem sobie pozostać bezbronnym w przypadku nieprzewidzianych zdarzeń.

Choć, rzecz jasna, na żadne nieprzewidziane zdarzenia się nie zanosiło.

Przekonany, że to Alexandra wreszcie pożegnała się z Witalijem, porzuciłem zebrany w dużej sali tłum i poszedłem do przedpokoju apartamentu. Moje zdumienie nie miało granic, gdy za drzwiami

ujrzałem Alitsyę. Drwiące słowa zamarły mi na ustach, a może to tylko alkohol uderzał do głowy.

Faktycznie była piękna. Piękna i bezbronna. Jej drobna sylwetka zdawała się w marnym oświetleniu niemal przezroczystą. Na pociągłej twarzy, w połowie przesłoniętej okropnymi, niemodnymi okularami, malował się nieśmiały uśmiech. W bladej, smukłej dłoni ściskała laskę – jedyną ochronę przed złym światem.

– Gratuluję – powiedziała cicho, aż ledwie usłyszałem jej głos wśród hałasu świętującego sztabu. Myślałem, że powie coś jeszcze, wyjaśni, dlaczego przyszła tu w środku nocy. Ale ona milczała, nerwowo pocierając ramię wolną dłonią.

– Czy kardynał Sadnetsky...?

– Nie, Jego Świątobliwość nie wie, że tu jestem – przerwała szybko, jeszcze ciszej. – Przyszłam pana o coś prosić, Ekscelencjo.

– Co mogę dla pani zrobić?

W jej głosie było coś takiego, że pytanie wyrwało mi się z ust niemal odruchowo. Wcale nie chciałem jej pomagać, ona bowiem w żaden sposób nie mogła się odwdzięczyć. A nie ma nic gorszego niż przysługa, która pozostała bez odpowiedzi.

– To... to głupie – wymamrotała. – Ale... chciałam pana prosić, żeby mi pan pozwolił dotknąć umowy, pod którą jutro podpiszą się naukowcy. Chciałabym... poczuć ten sukces.

Nie odpowiedziałem. Ująłem ją za nadgarstek i poprowadziłem do mojego pokoju, bacząc, by nie dostrzegł nas nikt ze sztabu. Ale oni świętowali, choć może przedwcześnie – nie zamierzałem ich jednak powstrzymywać.

Dlaczego zgadzałem się na tę dziwną prośbę? Żal mi się zrobiło niewidomej Alitsyi, którą los skazał na służenie kardynałowi-nieudacznikowi? A może to alkohol podsycił perwersyjną przyjemność czerpaną z faktu, że te ściśle tajne dokumenty dostaje do rąk osoba trzecia, że je przegląda, że dotykiem odczuwa mój wielki sukces i nic, absolutnie nic nie może z tym zrobić, bo nie ma pojęcia, co jest w umowie napisane? Ta myśl napełniała mnie nieznaną dotąd ekscytacją.

Zapaliłem światło – nie wiem, po co. Może był to element chorego rytuału, równego przyzywaniu duchów i igraniu z siłami ciemności. To balansowanie na krawędzi zdrady tajemnicy, która mogła nieść wielkie konsekwencje nie tylko dla mnie, ale dla całej Zjednoczonej Republiki... A jednocześnie odczuwałem komfort, wiedząc na pewno, że ryzyko jest tylko złudzeniem. Alitsya dotykała kartek, wodziła po nich palcami... W niewielkim, dusznym pokoju wyraźnie poczułem zapach jej perfum. Pozwalałem jej cieszyć się współudziałem – choćby wyobrażonym – w tym, co dokonywało się w Paryżu, a sam napawałem się jej obecnością, bezbronnością, samą myślą, że mógłbym teraz zamknąć drzwi i zrobić z nią absolutnie wszystko niemal bezkarnie. Kto by jej szukał? Sadnetsky? Jego nikt nigdy nie obchodził. Polski sztab? To Polacy – odetchnęliby z ulgą, że ktoś pozbył się zdolniejszej konkurencji. A ja miałem ochotę zacisnąć palce na jej szyi, sprawić, żeby błagała o litość...

...czy to było wino, czy pierwotny instynkt? Chęć demonstracji wszechmocy?

Ale ona nagle się odwróciła, a ja zamarłem w pół ruchu. Nie widziała, jak niecierpliwie przebieram w powietrzu palcami – ale może usłyszała ten ruch? Jak odbiera świat ktoś, kto nie widzi?

– Przejdziemy się? – spytała raptownie, jakby wyczuła moją intencję. Jakby sama się podstawiała. W jej głosie usłyszałem rezygnację.

Jednym ruchem ręki mógłbym zmiażdżyć jej kruchy nadgarstek. A ona ufnie pozwalała się prowadzić, w drugiej dłoni wciąż trzymając laskę i uważnie badając teren dookoła. Zostawiliśmy za sobą

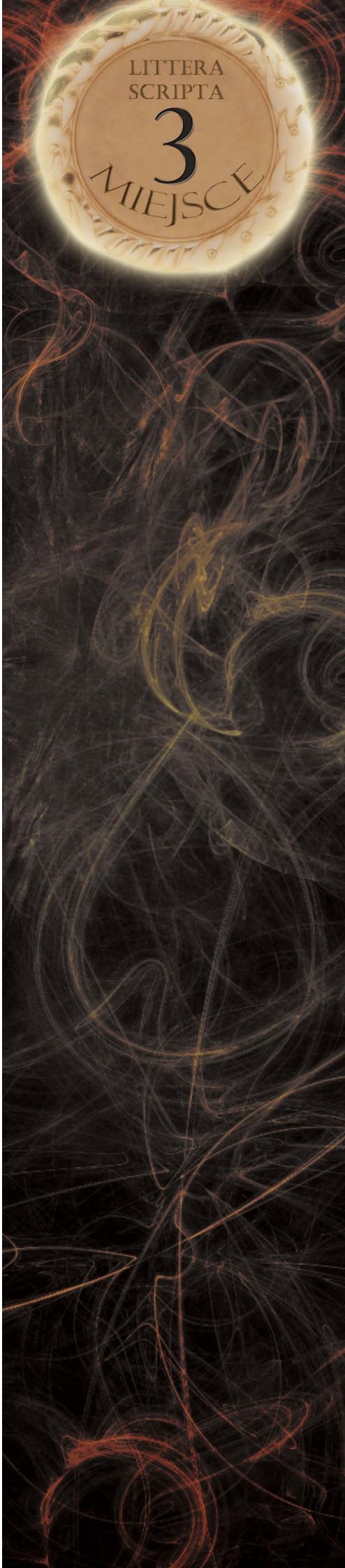

ukryte na powrót dokumenty, bawiący się sztab, który nawet nie zauważył mojej nieobecności... Ruszyliśmy na obchód hotela, a ja tylko krawędzią umysłu wyczuwałem wibrujące w głowie pytanie: „W którym z tych zakamarków przyczaiła się Alexandra?"

– Dobrze się pani pracuje? – spytałem, gdy cisza stała się zbyt gęsta. Próbowałem jakoś odgonić natrętne myśli o zdarciu z niej ubrania, ulżeniu pragnieniom, a potem uchwyceniu łabędziej szyi w żelaznym uścisku, póki całkiem nie zwiotczeje.

– Dobrze, tylko... ciężko – powiedziała znacznie ciszej, jakby wstydząc się własnych słów. – W tym zawodzie oczy bardzo się przydają.

– To dlaczego pani go nie porzuci? – spytałem, próbując odsunąć myśl jak najdalej. – Dlaczego pani nie zajmie się czymś lżejszym, nie wróci do rodziny?

– Nie mam rodziny.

– Męża, dzieci pani nie ma? Ile pani ma lat?

– Trzydzieści.

Na tyle wyglądała. Pomyślałem, że musi mieć bardzo smutne życie – i znów środek ciężkości moich myśli przesunął się w stronę współczucia. Krążyliśmy po wymarłym o tej porze hotelu, a ja coraz bardziej miałem wrażenie, że to Alitsya mnie prowadzi, nie ja Alitsyę. Z oddali dobiegał cichy, niewyraźny śmiech.

Dokąd szliśmy? I po co? Nagle zmącony winem umysł począł przesyłać sygnały, że coś tu jest nie tak. Krążę po hotelu z tłumaczką Sadnetsky'ego, który śpi jakieś dwa pokoje dalej. Mój sztab zalewa się w trupa, chociaż przed nami dalszy ciąg poważnych rozmów z Azjatami. Moja córka przepadła na cały dzień z bratem cara i ani mnie, ani cara nie obchodzi, co się dzieje z tą dwójką.

...a może obchodzi?...

Po raz pierwszy, odkąd zostałem prezydentem, poczułem, że coś jest absolutnie poza moją kontrolą. Byłem Bogiem mojego ludu, ale z dala od ludu zasięg władzy począł się gwałtownie kurczyć. A tymczasem śmiech narastał i ten głos brzmiał dziwnie znajomo...

Zatrzymałem się.

– Coś się stało? – usłyszałem niezmieniony głos Alitsyi.

– Kiedy pani przyszła do pokoju... skąd pani wiedziała, że to ja otworzyłem?

W duchu spodziewałem się odpowiedzi typu: „rozpoznaję po odgłosie kroków", podobno niewidomi mają szczególnie wyostrzony słuch i rozróżniają chód niemal każdego człowieka, z jakim się stykają. Ale ona nie odpowiedziała, tylko pociągnęła mnie za rękę z niebywałą siłą jak na drobną kobietę. Mignęła myśl, że jej nie doceniłem... za późno. Byliśmy za rogiem.

Alexandra w towarzystwie Witalija stała pod oknem, owiana dymem z dwóch cygar. Po jej drugiej stronie znajdował się Władimir, już wcale nie rozmamłany, tylko w garniturze, z błyskiem w oku i godnością w całej postaci. Wszyscy troje mieli na dłoniach rękawiczki – zupełnie jak Alitsya. Ona tymczasem zsunęła z oczu ciemne okulary. W półmroku lśnił metalowo jakiś przedmiot.

Rozumiałem strzępy. Alexandra zmawia się z Witalijem. Alitsya pracuje dla Rosjan. Alitsya nie jest niewidoma. Widziała treść umów. A ja...

Przez głowę przemknęły sceny z czytanych niegdyś powieści kryminalnych. Umiejętnie wsadzona szpilka od kapelusza nie pozostawia żadnych obrażeń wewnętrznych. Sekcja zwłok niczego nie wykaże, a nawet jeśli... mogło to zrobić tysiąc różnych osób. Dlaczego podejrzenia miałyby paść na Rosjan, którzy wyraźnie odpuścili sobie negocjacje?

Spojrzałem na Alexandrę – tym razem z przerażeniem. Ale nie pomogło, jej oczy pozostały zimne, jak u kogoś, kto

patrzy na osobę darzoną jedynie obojętnością na granicy nienawiści. Czy ona w ogóle była moją córką?

Ale przecież... to niemożliwe. Tak ma wyglądać koniec? Trafią do więzienia, wszyscy! Na pewno znajdzie się jakiś świadek! A ja – ja nie mogę umrzeć. Tam, w ojczyźnie, jestem Bogiem, a Bogowie nie umierają.

Poczułem ukłucie poniżej żuchwy. Nie miałem siły się bronić, obezwładniało mnie wino, własna głupota i upadek z najwyższego możliwego konia.

Bogowie nie...

Toruń, 27 IX – 16 X 2011

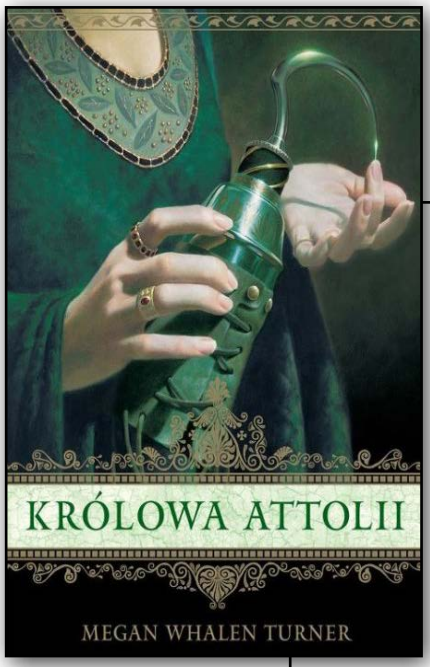

KRÓLOWA ATTOLLI

Megan Whalen Turner

Gdy Eugenides, Złodziej Eddis, wykradł Dar Hamiatesa, królowa Attolii straciła coś więcej niż tylko mityczny artefakt. Straciła twarz w oczach swoich poddanych. Wszyscy wiedzą, że młody złodziej przechytrzył ją, wymykając się pościgowi. Chcąc odzyskać utraconą reputację i pozycję, królowa Attolii nie cofnie się przed niczym i przyjmie każdą oferowaną jej pomoc...

By dokonać zemsty, gotowa jest poświęcić nawet swój własny kraj.

Informacje otrzymane dzięki uprzejmości
Wydawnictwa Ars Machina www.arsmachina.pl

KREATORIUM

NATALIA HEBART

KICZ W SZTUCE

Kiczu naszego powszechnego...

Pytanie o kicz jest stare jak świat i stare jak sztuka, choć nigdy nie było tak istotne, jak w czasach, gdy mecenasem sztuki stała się publiczność milionowa, zasiadająca w kinach, salach koncertowych i przed telewizorami w oczekiwaniu na swą powszednią porcję kultury. Problem tkwi w tym, że potrzebujemy kiczu, nie umiemy bez niego żyć, na stałe wpisał się w naszą rzeczywistość, kicz jest bowiem zasadniczo estetycznym fundamentem kultury masowej.

W czasach, gdy rodziło się pojęcie kicz w sztuce - artyści pogardzali mieszczańskim światem wartości, ich pieniędzmi, stylem życia, a przede wszystkim ich gustem. Kitsch – lichota, tandeta, dzieło kiepskie i bezwartościowe – to nieudolne naśladownictwo i pozbawianie sztuki wartości, wynikającej z sacrum piękna. To wtargnięcie barbarzyńców do świątyni Sztuki.

Bezstylowość stylu, imitacja, jarmarczna estetyka, oto pejzaż stworzony ręką owego barbarzyńcy, zawiśnie ani chybi w złoconej ramie nad etażerką z paździerzowych płyt, ale w stylu secesja (albo sanacja? jakoś tak to było). Słowem – kicz.

Kto go potrzebuje? Jacyś oni. Prości, ledwie wykształceni Kowalscy z M4, kulturowi właśnie barbarzyńcy. To dla nich gipsowe krasnale w ogródkach i wietnamska konfekcja z targowisk, to dla nich disco polo i różowe Harlequiny, dla nich Rambo i reality shaw. Nas kicz śmieszy, nudzi, irytuje.....czyżby nas rzeczywiście nie dotyczył?

Tymczasem problem kiczu w kulturze masowej to wcale nie tylko przysłowiowe jelenie na rykowisku, bowiem w kulturze masowej granice między tym, co kiczem jest, a tym, co nim nie jest - bywają niemal nieuchwytne. Mierzenie się krytyczne z wieloma dziełami sztuki – nawet słynnymi i otoczonymi legendą - to spacer na krawędzi...

Przykład:

Łatwa uroda „Quo vadis" to problem, z którym borykają się krytycy literatury od początku istnienia najsłynniejszej chyba na świecie powieści Henryka Sienkiewicza, dzięki której przyznano mu wszak Nagrodę Nobla w 1905 roku. Zastanawiał się nad tym Witold Gombrowicz, który zobaczył w autorze „Quo vadis" dostarczyciela „przyjemnych snów" dla masowej publiczności, „Homera drugiej kategorii" albo „pierwszorzędnego pisarza drugorzędnego". A więc arcydzieło czy kicz pisany „dla maluczkich"?

Po pierwsze historia miłosna z przeszkodami i happy endem: Oto on - Winicjusz, bogaty patrycjusz rzymski. Oto ona, Ligia, królewna – branka z dzikiej północny. On przystojny jak bóg, ona piękna jak wiosna. On ją kocha, ona zakochana, ale stale ich miłość spotykają katastrofy: już to on błądzi w rozpuście, a ona chrześcijanka gorliwa, już to on się nawraca i poprawia, ale ona zagubiła się w ogarniętym pożarem Rzymie, on ją odnajduje, ona więziona przez szalonego tyrana, on rozpacza, ona chora, wreszcie dramatyczny finał na rzymskiej arenie i ... będą razem szczęśliwie żyć wśród gajów oliwnych i w cieniu cyprysów.

Po drugie: egzotyka: antyczne imperium, dramaty pożarów i pałacowych

mordów, uczty bachiczne i okrutne igrzyska, togi, poematy, gladiatorzy, pałace, katakumby.

Po trzecie: dzieje początków chrześcijaństwa w wiecznym mieście. Apokryf, żywoty świętych, religijna ekstaza, mistyczne spotkania z Chrystusem i krwawa realność tortur, cuda ocaleń i nawróceń, freski męczeństwa i miniatury intymnych modlitw.

Po czwarte wreszcie: dzieje ginącego imperium świat już zepsuty, zakłamany, gdzie nie jest zbrodnią zabić matkę, brata i syna, wczorajszych przyjaciół albo pół Rzymu wreszcie. A przy tym świat pełen dekadenckiego wyrafinowanego przepychu, w którym oszalały tyran – artysta, urzeczywistnia wizje z chorej wyobraźni.

Czytelnik „ Quo vadis" otrzymuje niemal wszystko: romans i hagiografię, historię i mit, świętość i dekadencję, liryzm miłości i ewokację grozy.

Taka stylistyka nadmiaru jest niebezpieczeństwem pierwszym sztuki popularnej. Powieść Sienkiewicza powstawała w odcinkach drukowanych w poczytnej gazecie, adresowana była do czytelnika masowego – odpowiadała więc na zapotrzebowanie masowego gustu, zapotrzebowanie wiodących spokojne, banalne życie mieszczan, którzy pragnęli bezpiecznego dreszczu emocji, wzruszenia, nienawiści, religijnego uniesienia i grozy. Raczej dużo, niż głęboko, raczej jednoznaczność wartości, stereotypy postaci i wątków, raczej trzymające w napięciu widowisko niż psychologiczna refleksja.

Charakterystyka, w której pominięto przecież tak wiele z aspektów artyzmu Quo Vadis, pozwala jednak uchwycić niemal u źródeł potencjalne zagrożenie – estetyczne stereotypy w kreacjach świata przedstawionego.

Kumulacja walorów estetycznych – własność fundamentalna kiczu według definicji Abrahama Molesa – sięgnięcie po sprawdzone i skonwencjonalizowane piękno, to zjawisko w pełni rozkwitłe we współczesnej estetyce.

Ikonostas ze świątyni kultury masowej to wizerunki Marylin Monroe, Elvisa Presley'a, Michaela Jacsona. Każde z nich wpisało się na trwałe w pejzaż masowej kultury i każde z nich stanowiło jej fenomen. A jednak w każdej z tych oryginalnych wszak scenicznych kreacji dotrzeć łatwo swoisty rys kiczu: kumulację efektu estetycznego – tę grę pomiędzy estetycznym eksperymentem a banałem i stereotypizacją ideałów piękna. Wizerunki stawały się matrycami estetyki kultury masowej, naśladowane, powielane imitowane – stanowiły popularne wzory estetyczne, tworzyły jarmarczną rzeczywistość kiczu.

Niewątpliwie ikoną owej rzeczywistości jest lalka Barbie, od pół wieku królująca w dziecinnym pokoju. Kicz

powstaje bowiem na zasadzie reprodukcji, imitacji wzorów. Króluje więc niepodzielnie Barbie – blond - piękność o dziecinnej buzi, błękitnych oczach, długich nogach i wąskiej talii. Twórcy obdarzyli ją wszystkimi atrybutami – znakami kobiecego piękna: anioł, dziecko, seksualność, itd.

Ten typ urody od dawna lansuje kultura masowa w wizerunkach filmowych i muzycznych gwiazd i gwiazdeczek, w wizerunkach modelek i ich kreacjach rodem niemal z garderoby Barbie.

Barbie - ten przykład kiczowego zjawiska w pokoju dziecinnym – jest też fenomenalnym przykładem kolejnego grzechu kiczu: niedostosowania, zniekształcenia pierwotnej funkcji przedmiotu – jak określa to przywołany już wcześniej Moles.

Lalki – to ten rodzaj zabawki, dzięki której od czasów najdawniejszych dziewczynki miały przygotowywać się do przyszłych ról mam, opiekunek. Tymczasem Barbie zakłóca odwieczną ideę lalki.

Po pierwsze lalka Barbie stała się wyznacznikiem statusu społecznego: kto jej nie posiadał, był gorszy, mniej atrakcyjny. Społecznie nobilitowała lub piętnowała, w świecie dzieci uczyła rozróżniać bogatych od biednych, Barbie i bogactwo jej garderoby świadczyły o wysokości kont rodziców, następuje stratyfikacja społeczna podporządkowana pieniądzu

Po drugie: Barbie nie umie bawić się z innymi lalkami – chyba że z inną Barbie. Jest egocentryczna, zaborcza i samolubna.

Po trzecie wreszcie, bodaj najistotniejsze: nie umie wzbudzać miłości – któraż dziewczynka czule przytuli Barbie, sztywną figurkę dorosłej kobiety? Któraż nadaje jej nowe imię, jako znak osobistego, uczuciowego związku? Czym jest więc zabawa z Barbie? Seansem próżności, zachwytu? Kto więc komu służy? Barbie dzieciom czy dzieci Barbie?

Wskazując niedostosowanie jako własność kiczu możemy więc zadać pytanie o istotę funkcji tkwiącej w dziele – sztuka służy człowiekowi, znajdującemu dzięki niej wartości. Ale jeśli kicz oferuje nie wartość, lecz jego imitację?

Najboleśniej dotyka kicz dwóch najbardziej bezbronnych dziedzin, tj. religii i miłości. I dlatego wokół miłości i religii gromadzą się całe pokłady czy stosy kiczu.

W Licheniu dyskretny, intymny wizerunek ludowej madonny obrastał w kiczowe znaki manifestacji bogactwa i przepychu w bazylice. Może jest to przykład kontrowersyjny, społeczność bowiem od dawna kościoły stawiała. Budowa katedry była w średniowieczu, i owszem, dziełem całej społeczności, ponieważ powstawał najważniejszy obiekt, stanowiący o chwale miasta. Średniowieczne dzieła nie były jednak kiczami, znakomicie łączono to, co nazywa się sztuką wysoką, ze sztuką popularną. Były Biblią dla ubogich, dla tych, którzy nie umieli czytać. Ludzie przychodzili bowiem do kościoła, aby się czegoś nauczyć, a nie po to, by znaleźć coś, o czym od dawna wiedzą i co ich nigdzie dalej, głębiej nie poprowadzi. Wszystko, co pokazuje i przekazuje się w kościele, powinno podnosić kondycję duchową człowieka. Dokąd zaś prowadzi kicz w religii? Współczesna mentalność człowieka czasu konsumpcji, powoduje, że sztuka sakralna epatuje stereotypowym, monumentalnym estetyzmem i eklektyczną gotycko – rokokową (i każdą jeszcze) formą.

A wokół rozrasta się buissnes pielgrzymkowy i odpustowy: można kupić sobie malutką bazylikę ze sztucznego bursztynu, rzeźbionego maszynowo aniołka, a nawet serwetkę z twarzą madonny i kubeczek z papieżem. Rodzi się jednak ponownie pytanie: kto komu służy? Cudowna Madonna serwetce? Papież kubeczkowi? Jaka jest funkcja sztuki religijnej? Kiczowaty komunikat religijny jest bowiem fałszem, a treści komunikowane przez banalną formę odbierane są jako banalne.

Fałsz i banał komunikatu kiczowego świetnie ilustruje zjawisko telenoweli. Jakim komunikatem o rzeczywistości staje się telenowela, która w kilku tysiącach odcinków tasuje kochanków, podmienia nieustannie żony, mężów, dzieci? Psychologicznym kiczem życia! Papierowa psychologia dziejów rodziny Forresterów w telenoweli „Moda na sukces" jest tego kanonicznym przykładem. Zamiast problemów – które naprawdę istnieją – pojawiają się kolejne problemy – kicze. Powierzchownie zarysowane, bez jakichkolwiek sensownych psychologicznych motywacji działania bohaterów zaspakajają jedynie codzienny głód nowych zdarzeń. Przechodzi więc film bez zająknienia z problemu na problem, nieważne czy chodzi o śmierć ukochanego, ciążę nastolatków, odnalezione niespodziewanie dziecko, morderstwo czy szaleństwo. Rozmydli każdą rzeczywistą tragedię, zrobi z dramatu różowe bąbelki psychologii dla ubogich. Odbiorca odczuwa swoisty komfort – im bardziej absurdalna jest rzeczywistość w kiczu, tym lepiej czuje się ów konsument – jest mądrzejszy od filmu, bez wysiłku odnajduje owe absurdy i intelektualnie, emocjonalnie rozleniwiony przeżywa (przeżuwa? połyka?) odwieczne ludzkie dylematy.

Wszystko na sprzedaż – to niewątpliwie hasło kiczu. Fenomen ten potwierdza medialne życie naszego rodzimego produktu komercyjnego – zespołu „Ich troje". Ich dwoje z „Ich troje"– naznaczeni wizerunkiem Barbie i jej mentalnością - królują w telewizyjnym reality show i na pierwszych stronach brukowych gazet, kochają się, rodzą dzieci, zdradzają rozwodzą, powiększają biust, kolorują na zielono, kłócą się i wybaczają, i żenią się z kim innym i jedzą na śniadanie kawior, i ...można by tak bez końca. Czy istnieje granica kiczu? Popularność zespołu Ich troje to wynik świadomej kreacji medialnej czy ekspresja kiczu w Wiśniewskim i Mandarynie, a może znak zwycięstwa kiczu w nas, kupujących owe brukowce i przełączających program na „Jestem jaki jestem", wrzeszczącej z zachwytu publiczności na koncertach i właścicieli milionów płyt zespołu?

Kumulacja estetyki, banalizacja treści i komfort odbioru – jak twierdzi Moles – to przyczyna totalitaryzmu zjawisk kiczowych – być wszystkim, wnikać w każdy zakątek codzienności i święta. Instrumentem wszechmocnym tego totalitarnego reżimu są środki masowego przekazu: telewizja, kino, prasa. Masowość wymusza bowiem konieczność dostosowanie się do zunifikowanych, przeważnie maksymalnie uproszczonych potrzeb. A publiczność masowa to poddani w królestwie kiczowych pragnień, jarmarków i banałów.

Totalność kiczu znajduje potwierdzenie w najnowszym bodaj fenomenie medialnym, które towarzyszyło ukazaniu się powieści Joanny Rawling o chłopcu czarodzieju – czarodzieju masowej wyobraźni.

Harry Potter to powieść: eklektyczna, synkretyczna: wywieść ją można i od baśni i od fantazy i od kryminału i od powieści przygodowej – to niewątpliwie swoisty atut powieści dla dzieci i młodzieży. Trochę Pinokia, trochę Tomka Sawera, Małego Ksiecia, Piotrusia Pana, trochę Alicji w krainie czarów, trochę Tolkiena i Conan Doyle'a. Harry Potter dziecko sierota, łobuziak, czarodziej, bohater – zachwycił miliony młodych czytelników i miliony pedagogów odetchnęło z ulgą – dzieci czytają. Ale... Rawling tworzy kolejne tomy, jakby w obawie, że Harry Potter nie przeżyje bez kolejnych odsłon, coraz bogatszych w przygody, sensacje i czary. Przywołane przeze mnie przykłady z kanonu powieści dla dzieci stanowiły dzieła zamknięte, broniły się same, bez kampanii reklamowych, filmów, gadżetów i kolejnych sensacji.

Reklamowe hasło z powieści „nie dla mugoli", do złudzenia przypomina slogan Media Marktu „nie dla idiotów". Czyżby jednak powieść potrzebowała tego wszystkiego, medialnego szumu, atmosfery sensacji, totalnego świata? Jako kicz – na pewno. Swoista synestezja to własność wynikająca z kiczowego fundamentu struktury powieści Rawling, Ekranizacja ujawnia jednoznacznie ów synestezyjny charakter; oddziałuje na zmysły, szuka potwierdzenia w dosłowności, niemal fizyczności. Świadectwem tego jest gigantyczny potteroświat gadgetów: kapeluszy, różdżek i fasolek.

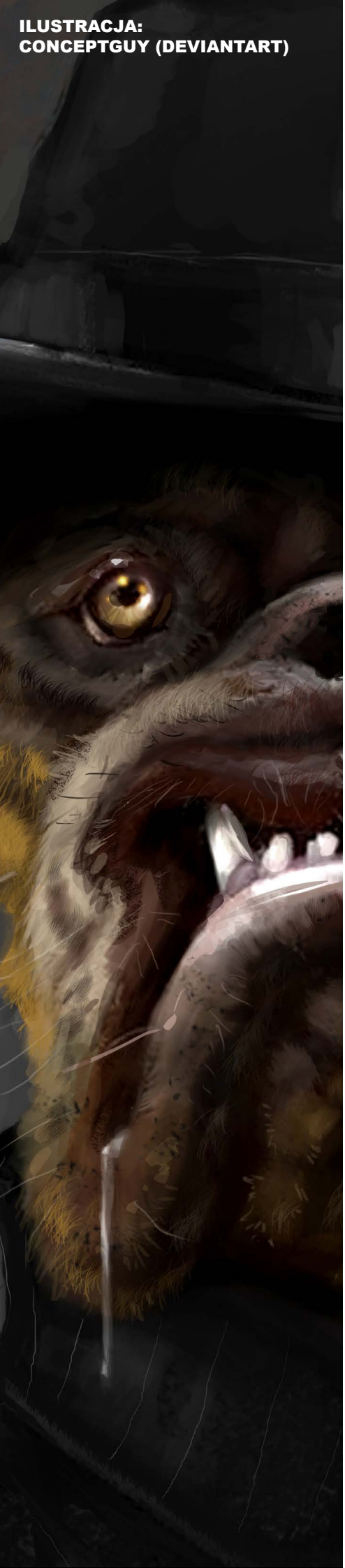

ILUSTRACJA:
CONCEPTGUY (DEVIANTART)

SŁAWOMIR KOŁODZIEJCZYK

O POSTACIACH HYBRYDOWYCH

Słow kilka...

Kiedy już dokładnie opiszemy losy wojowników, kowbojów, zdradzonych i mszczących się żon, kosmonautów, magów i wszystkich innych wariacji na temat możliwych ludzkich ról, bywa że zdarzy nam się zastanowić, kogo by tu uczynić bohaterem naszej kolejnej opowieści. Oczywiście możemy podążać dalej dobrze znanymi i przetartymi szlakami, sięgnąć po wzory z mitów i legend. Zaludnimy wtedy wyobraźnię naszą i czytelników elfami, krasnoludami, rusałkami, południcami czy też wielkimi i groźnymi smokami.

W tej chwili mam jednak dla Ciebie nieco inną propozycję: stwórzmy sobie „Zwierzoluda"

Typowych „zwierzoludów" w tradycji literatury zachodniej nie pojawia się wielu. Do najbardziej eksploatowanych postaci tego gatunku można zaliczyć popularne wilkołaki - połączenie człowieka i wilka w dość dowolnych proporcjach. Zależnie od pomysłu i jego autora, mamy do wyboru całą masę wariacji na temat cech ludzkich i zwierzęcych: od nieco tylko bardziej owłosionego człowieka, który swoim usposobieniem przypomina burka z sąsiedztwa, aż po pełnoprawnego i groźnego wilka, czy wilczarza płci żeńskiej (jak sierżant Angua z serii opowiadań Pratchett'a). Jako ciekawostkę mogę przytoczyć, że jedynie w serii opowiadań Pratchett'a wilkołak odgrywa rolę pozytywną, zwykle bowiem są one przedstawiane jako dzikie, krwiożercze bestie. Cóż, takie negatywne role przypisały im ludowe podania i współczesna popkultura. Może jednak warto czasem przypisać im nieco pozytywniejsze role?

Jedną z bardziej znanych zwierzęco – ludzkich hybryd jest niewątpliwie sympatyczny, duży „futrzak" z sagi Gwiezdnych Wojen, czyli pilot Chewbacca, przedstawiciel rasy Wookiee z planety Kashyyk. Moim zdaniem jedna z najbardziej udanych postaci tego typu. W tym miejscu należy również wspomnieć o Jar Jar Binks'ie, uroczym i mocno fajtłapowatym przedstawicielu rasy gungańskiej. Postać tego humanoida stworzona została przy użyciu wielu elementów fizjonomii należących do różnych wodnych stworzeń.

Skąd wzięło się moje zainteresowanie zwierzoludami? Osobiście nie jestem sympatykiem historii spod znaku wampirzych kłów i osikowego kołka. Natomiast czytając serię powieści Pratchetta, traktujących o Świecie Dysku, polubiłem Anguę, ba, uznałem ją za jedną z najsympatyczniejszych występujących tam postaci. Jednak dopiero odkrycie gatunków Furry i Neko sprawiło, że zainteresowałem się nimi poważnie.

Niektórzy z was zapewne mieli okazję zapoznać się już z wykreowanym przeze mnie Kociątkiem. Opowiadanie „Prezent ślubny", w którym ono występuje było publikowane na łamach magazyn kulturalno-literackiego Via Apia. Ta futrzasta panienka, została przez czytelników nadzwyczaj ciepło przyjęta. Pierwsze zarysy pomysłu pojawiły się, gdy zobaczyłem w jednej z części ekranizacji Harrego Pottera Hermionę, która przybrała taką trochę kocią postać po wypiciu nieudanego eliksiru. „Prezent ślubny" miał być wtedy żartem na temat bohaterów powieści pani Rowling. Jednakże nieco później natrafiłem zupełnie przypadkowo na materiały dotyczące gatunków Furry i Neko.

Obydwa nurty narodziły się w Japonii. „Neko" oznacza bowiem w języku japońskim kota. „Furry" zaś, jest słowem angielskim, znaczącym tyle co futrzak. Ten ostatni zwrot, dotyczy nie tylko samej sztuki (najczęściej komiksów i filmów anime), jest to pewien styl życia. Fani tworzą własne kluby, starają się upodobnić do swoich ulubieńców zachowaniem, oraz tworzą, czasem bardzo realistyczne, kostiumy. W sztuce zaś dotyczy on postaci, posiadających cechy:

- antropomorficzne – czyli zwierząt posiadających cechy ludzkie, w tym najczęściej humanoidalne ciało

- niemorficzne – czyli posiadających cechy ludzkie tylko w zakresie psychiki, zachowując nadal całkowicie zwierzęce ciała.

Drugi rodzaj spotyka się znacznie częściej, przykładem może tu być „Król Lew" wyprodukowany przez wytwórnię Disneya, czy choćby kot Puszek i jego partnerka Kitti Kociłapka z przeuroczej komedii familijnej „Kot w butach", zrealizowanej przez studio Piksar. Przedstawiane bowiem w filmach postaci mimo swych zwierzęcych form, zachowują się całkowicie „po ludzku.

„Neko" należy niewątpliwie do antropomorficznych Furry. W odniesieniu do mangi i anime oznacza ono po prostu dziewczynę posiadającą kocie uszy i ogon (męskie Neko zdarzają się niezbyt często). Niekiedy kocich atrybutów jest nieco więcej, ale to raczej rzadkość (choć postać Bagi z anime „Daishizen no Majuu Bagi" jest pełnoprawną hybrydą), kiedy indziej zaś zwierzęce atrybuty autorzy czerpią z innych zwierząt – lis, wilk. W japońskiej kulturze formy takie mają uzasadnienie w mitologii. W bogatym panteonie tamtejszych bóstw i duchów niektóre wyobrażane są jako postaci posiadające zarówno cechy ludzkie, jak i zwierzęce.

Wróćmy jednak do autorskiej kuchni. Na początku uznałem, że moja bohaterka będzie postacią antropomorficzną. Takie rozwiązanie bardziej przypadło mi do gustu. Co było dalej? Powinienem umieścić tu dokładną instrukcję, jak krok po kroku stworzyłem moją „Kociczkę". Niestety, nie jest to takie proste. Na dobrą sprawę nie wiem co sprawiło, że czytelnikom spodobało się moje „Kociątko" Prowadzę tę postać, ale szczerze powiedziawszy, nie wiem na czym jej fenomen się opiera. Wiem jak ją zbudowałem, jak złożyłem cechy ludzkie z kocimi. Po prostu mam kotkę w domu i ją obserwuję. Pisanie to przede wszystkim umiejętność obserwowania. Lubię też rysować, dlatego wszystko zaczęło się właściwie od rysunku.

Pewien czytelnik komentując moje opowiadanie, zapytał jakie rozwiązania stosowałem tworząc postać? Problem polega na tym, że nie było tam żadnych specjalnych trików. Po prostu pisząc, wcale kombinować nie muszę, wyobraźnia podsyła mi gotowe sceny/obrazy, wystarczy

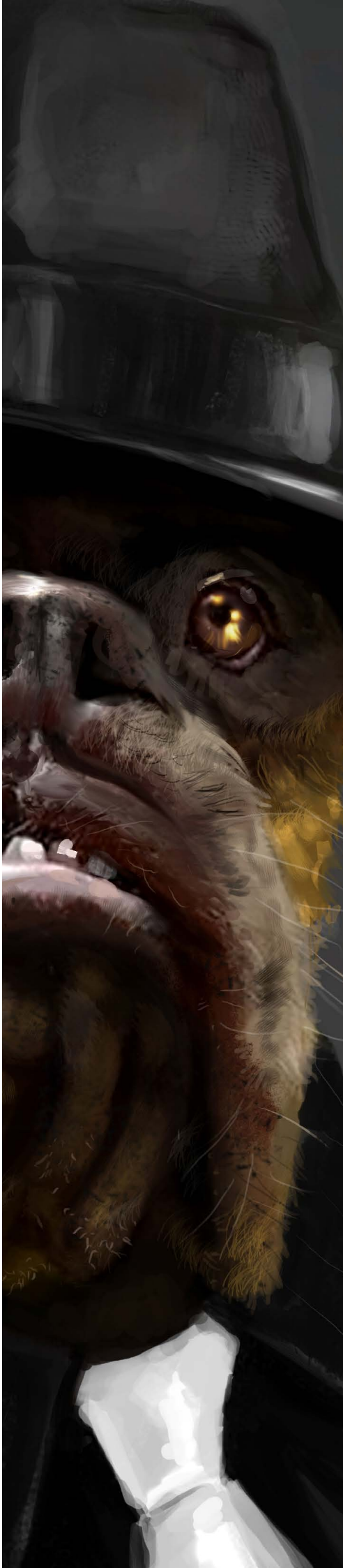

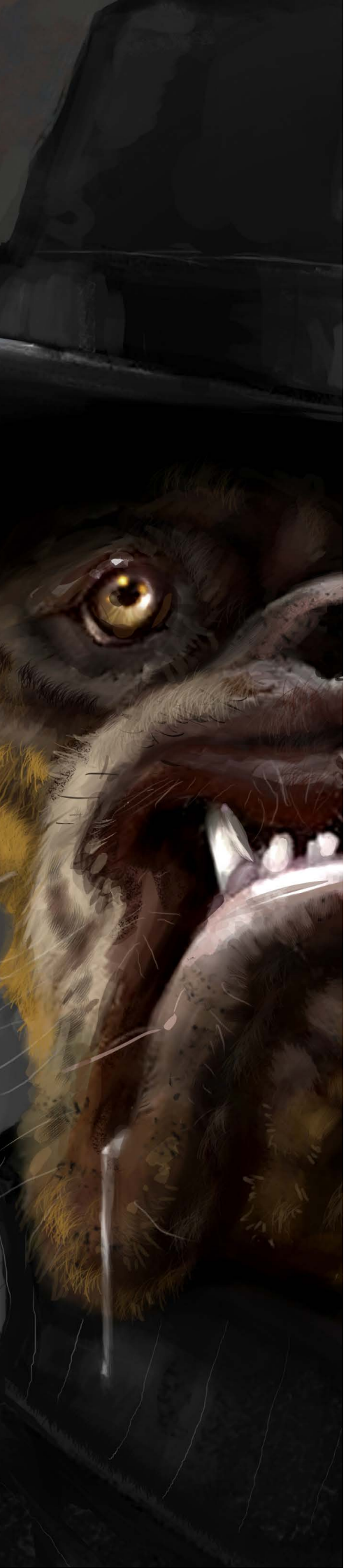

że je w miarę dokładnie zanotuję. Dość trudno systematyzować procesy które dzieją się gdzieś poza świadomością.

Jednak pewne rozwiązania stosuję przecież świadomie. Jak więc połączyć cechy ludzkie ze zwierzęcymi w harmonijną całość? Weźmy dla przykładu taki fragment:

Hermiona trwała jeszcze chwilę oszołomiona wrażeniami.

- To było niesamowite – szepnęła. Siedziała na brzegu posłania i bawiła się puszystym końcem ogona. Widać było, że nie chce jeszcze odchodzić.

Kociątko, kiedy jest zakłopotane, bawi się końcem swojego ogona. Skąd wziął się ten gest? Po prostu moja dobra przyjaciółka w takich sytuacjach miała zwyczaj miętosić brzeg bluzki, albo swetra, Hermiona zaś ma długi, puszysty ogon, który w takich przypadkach jest zawsze pod ręką.

Budując postać starałem się utworzyć coś w rodzaju tabeli odpowiedników. Koty sygnalizują swoje emocje głównie za pomocą uszu i ogona. Wszystkie gesty są w zasadzie łatwe do przełożenia, np. wyrażające niepewność częściowe, chwilowe opuszczenie uszu oraz poruszanie na boki końcówką ogona można interpretować jako ludzkie zamyślenie nad czymś, złość - położenie uszu płasko na głowie, zamaszyste, gwałtowne ruchy ogona, charakterystyczne dla rozdrażnionego kota. W ten sposób można stworzyć matrycę gestów i reakcji, potem wystarczy stosować ją w narracji:

- Ale to tylko zdjęcia. – Przysiadł zrezygnowany na brzegu łóżka. - Wiesz, te panienki brały kasę za pozowanie..

- Nic już nie rozumiem – poruszyła szpiczastymi uszami, opuszczając je na chwilę. - Znaczy jeśli dasz mi pieniądze, to wtedy będziesz mógł na mnie patrzeć? Czy to jakaś kolejna norma społeczna?

Czasem można w narracji natrafić na pewne pułapki. Mnie również taka się przydarzyła. Kociątko ma z grubsza humanoidalne ciało, jednak cała pokryta jest futerkiem, ma również normalną kobiecą „burzę kasztanowych loków". Na rysunkach, czy w filmie wyglądałoby to bardzo ładnie, ale w opowiadaniu opisy potrafią zrobić się bardzo „włochate".

Jej drobne, w ogólnym zarysie prawie dziewczęce ciało, łączyło w sobie zarówno pierwiastek delikatności, jak i coś w rodzaju zapowiedzi niesłychanej zwinności i gracji. Futerko, bardziej złociste niż rude z deseniem ciemniejszych prążków na plecach, przechodziło w nieskazitelną, choć lekko kremową biel na piersi, brzuszku, wewnętrznych powierzchniach ud i ramion. Gęsta, falująca burza loków, o ton tylko ciemniejszych, opadała na ramiona i plecy, sterczące spośród niej spiczaste uszka, jak najlepszy barometr pokazywały, w jakim dziewczyna jest nastroju.

Pewne kłopoty i wpadki zdarzać się mogą z drugiej strony warto mieć na względzie, że taka hybrydyzacja naszej postaci, również otworzy znacznie szersze możliwości fizyczne, niż te, jakimi zazwyczaj dysponuje człowiek. W naszym „kocim" przykładzie będzie to choćby gibkość i skoczność. Tu przechodzimy do kolejnego aspektu, czyli tzw „fizyki postaci."

- Morze mnie pomiziasz, Kociczko? - zawołał wygolony osiłek, wychylając się przez barierkę. Mężczyźni, biesiadujący na galeryjce, zarechotali gromko. Dłoń Jaszczura popełzła w kierunku rękojeści miecza.

- Oj, daj spokój. Sama sobie poradzę. – Hermiona powstrzymała go delikatnie.

Przebiegła kilka kroków, odbiła się sprężyście bosymi stopami i już stała pomiędzy biesiadnikami. Wsparła się z gracją na jednym ze słupów podtrzymujących dach.

- Z prawdziwą rozkoszą. – Uśmiechnęła się, ukazując drapieżnie wyglądające kiełki. - Ale wiesz, że jestem dość niegrzeczną dziewczynką?

Zgięła palce. Oczywiście wysunięciu pazurów nie towarzyszył żaden dźwięk, choć Jaszczur nieraz żartował, że powinno to brzmieć mniej więcej jak brzęknięcie metalu podczas dobywania sztyletu. Hermiona od niechcenia przesunęła dłonią po belce. Posypały się długie, skręcone wióry. Gwar przy stole ucichł, jak nożem ucięty.

- Mam cię pomiziać? Jesteś tego pewien, słodziaku?

Tak może wyglądać niewinna scena z wykorzystaniem kocich atrybutów naszej postaci. Jej nietypowe zdolności mogą się również przydawać podczas ucieczki:

Uśmiechnęła się do niego, rozdarła bok długiej spódnicy, która utrudniała ruchy i skoczyła sprężyście, bez wysiłku, właśnie jak kot osłaniając głowę łokciem. Szyby w umieszczonym pod sufitem oknie rozsypały się z brzękiem. Wylądowała miękko na dachu niższego budynku i pobiegła. Głos Jaszczura wewnątrz czaszki prowadził. Biegła przeskakując bez wysiłku z dachu na dach, potem na mur, wprost pomiędzy strażników. Byli zbyt zaskoczeni, by zareagować. Wreszcie na dół. Wprost z blanki. Ze dwanaście łokci. Dla człowieka to złamanie karku. Ale nie dla niej. Wylądowała pewnie na ugiętych nogach. Sprężyste mięśnie zamortyzowały wstrząs.

Dwanaście łokci to około sześciu metrów. Wydaje się dużo, ale jak zapewne wszyscy posiadacze miaucących czworonogów wiedzą, zwierzęta te są bardzo skoczne. Są w stanie pokonywać obiekty kilkukrotnie wyższe niż wynosi długość ich ciała. Jeśli przeliczymy te wielkości dla przeciętnego wzrostu człowieka, uzyskamy zakres dochodzący do 4-7 metrów. Czyli typowy dach domu, mur oddzielający posesje, nie stanowi dla naszej bohaterki problemu, to samo dotyczyć może wspinania się, czy zachowywania równowagi na wąskich obiektach, takich jak krawędzie murów, czy zawieszone nad przepaścią belki. Jednocześnie będzie niesłychanie gibka i zwinna. Specyficzny sposób stawiania kroków (koty chodzą na palcach) sprawia że postać poruszać się będzie z taneczną gracją.

Kolejny aspekt – psychika postaci, która jest na wpół człowiekiem a na wpół zwierzęciem. Tworząc moje Kociątko starałem się, by było w swych zachowaniach bardzo dziewczęce, na swój sposób niewinne. Jednocześnie chciałem dodać mu takiej kociej zadziorności i indywidualizmu.

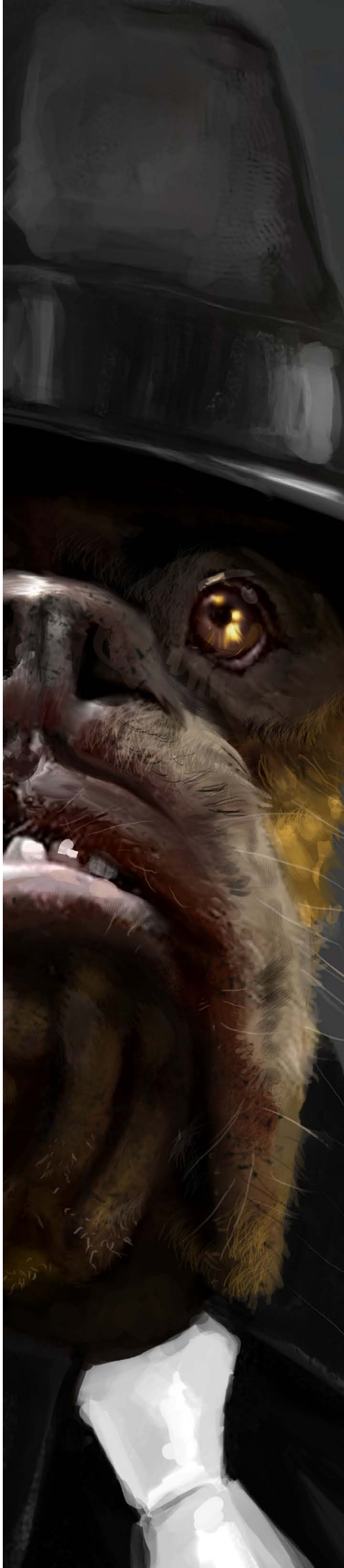

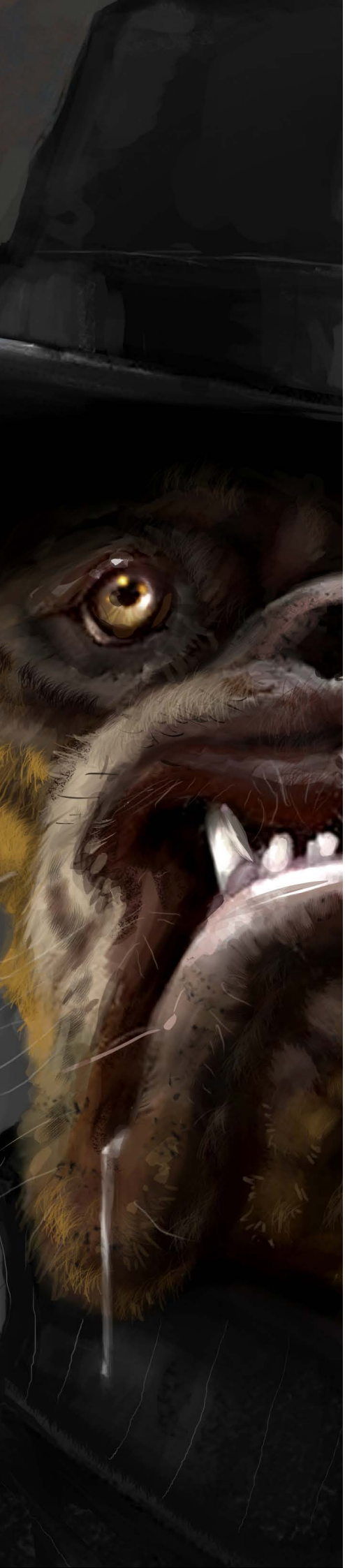

Z reguły miewa własne zdanie, na wiele spraw spogląda z zupełnie innego punktu widzenia. Choćby tak zwyczajna wydawało by się sprawa ubrania. Istota w całości pokryta futrem może mieć na ten temat zupełnie inny pogląd.

- Zresztą, mam futerko, więc nie mogę być naga.

- No tak, ale ono jest częścią ciebie - zaprotestował bez przekonania. - Jakby tego nie ująć, ubrana też nie jesteś.

- I co z tego? Sam popatrz, nic mi nie widać. - Z gracją wykonała taneczny obrót. - Nie to, co samice z twojego gatunku: wszystko na wierzchu. Nie dość, że futerka mają tyle, co kot napłakał, to jeszcze się głupie depilują – ostatnie słowo wypowiedziała z wyraźną odrazą. - Sam powiedz, czy nie jestem ładna?

W jej sposobie myślenia nie wprowadzałem dotychczas żadnych udziwnień. Kociątko myśli mniej więcej jak rezolutna, inteligentna dziewczyna. Oczywiście, postać zwierzoluda może przejąć pewne charakterystyczne instynktowne zachowania. Sierżant Angua na przykład wyczuwała podobnie jak psy zbliżanie się właściciela, nadejście jej ukochanego Marchewy. Spoglądała wtedy, jak jej zwierzęcy pobratymcy na drzwi wejściowe. Pratchett ciekawie rozwinął również jej sposób postrzegania zapachów. Mogła je niejako „widzieć nosem", tak jak ludzie postrzegają kolory.

W naszym kocim przykładzie, dominującymi zmysłami jest wzrok i słuch. Dla naszej dziewczynki normalne jest czytanie książki przy świetle księżyca. Wysublimowany i bardzo wrażliwy słuch z jednej strony sprawiałyby, że źle znosiłaby głośne dźwięki (dyskoteka nie byłaby stanowczo jej ulubionym miejscem), z drugiej pozwalał usłyszeć na przykład cichą rozmowę zza ściany.

Kociaczek funkcjonuje w dwóch wersjach, w dwu niezależnych seriach opowiadań, z których pochodzą powyższe cytaty. W serii o wiedźminie Jaszczurze posiada normalne ludzkie rozmiary, natomiast w powstającym dopiero opowiadaniu Kociątko, jest sympatyczną istotą, która liczy sobie raptem dwadzieścia pięć centymetrów wzrostu i przeniknęła do naszej rzeczywistości z wirtualnego świata.

Oczywiście przedstawiony tu proces tworzenia można zastosować dla każdego rodzaju zwierzoluda. Trzeba się tylko zastanowić, o jaki zestaw cech chcemy wzbogacić naszego bohatera i jaki zwierzak jest z tymi cechami utożsamiany.

Reasumując, stworzenie i umieszczenie w opowiadaniu tak nietypowego bohatera, może wpłynąć bardzo ożywczo na fabułę, szczególnie, jeśli poruszamy się w którymś z podgatunków SF czy fantasy. Pozwoli na zastosowanie wielu niekonwencjonalnych pomysłów i da możliwość zupełnie innego spojrzenia na prowadzenie narracji. Z drugiej jednak strony, wizerunek bohatera musi być dopracowany perfekcyjnie pod każdym względem, dopiero bowiem pod takim warunkiem będzie on dla czytelnika interesujący i wiarygodny. Należy więc szczególny nacisk zwracać na płaszczyznę, na której łączą się cechy ludzkie i zwierzęce. Zadać sobie pytanie: jak zachowałaby się osoba wyposażona w takie a nie inne atrybuty fizyczne? Jak będzie myśleć o sobie i o otoczeniu? Pomocna tu będzie wnikliwa obserwacja pierwowzorów – zarówno ludzi jak i zwierząt. Resztę dopisać musi wyobraźnia.

Więc co? Stworzymy sobie Zwierzoluda?

Bookoteka.pl
Wolność czytania bez DRM

audiobooki ebooki eprasa

Piszesz do szuflady?
Zapraszamy do współpracy
samodzielnie wydających autorów
- postawcie swoje pierwsze kroki w Bookotece!

Zajrzyj na www.bookoteka.pl

AMI

W OCIEKAJĄCYCH ŚLINĄ MOPSA KAJDANACH WYZNACZNIKÓW GATUNKOWYCH

Czyli dwadzieścia przykazań van Dine'a

Jest rok 1928. Willard Huntington Wright (pseudonim S.S. van Dine.), autor i krytyk literacki pisze właśnie artykuł dla „American Magazine", poświęcony tematyce detektywistycznej. Zapisuje w nim m.in. dwadzieścia przykazań, które na zawsze zmienią wielu bohaterów... Brzmią one następująco: „

1. Należy tak rozmieścić wskazówki w fabule, by czytelnik odkrywał je razem z detektywem.,

2.Sztuczki wykorzystane przez przestępcę muszą mylić ich obu.,

powieść nie może zawierać wątku miłosnego z udziałem detektywa,.

4. Detektyw nie może okazać się winowajcą,.

5. Przestępca może być zdemaskowany wyłącznie dzięki dedukcji,.

6. Tylko detektyw może rozwiązać zagadkę,.

7. Motywem przewodnim powieści musi być morderstwo,.

8. Detektyw rozwiązując zagadkę może opierać się tylko na metodach naturalistycznych,.

9.Może być tylko 1 detektyw,.

10. Przestępca musi być postacią wyrazistą, która odgrywa istotną rolę w powieści,.

11. przestępcą nie może być służący lub osoba niskiego pochodzenia,.

12. Bez względu na liczbę ofiar, morderca może być tylko jeden,.

13. Przestępca nie może należeć do mafii, tajnego stowarzyszenia itp.,

14.Morderstwo musi zostać popełnione w realistyczny sposób, a metody dochodzenia prawdy mają być racjonalne i oparte na naukowych przesłankach,.

15. Rozwiązanie tajemnicy powinno być cały czas „na widoku", lecz niedopowiedziane, tak, by czytelnik po przeczytaniu książki miał świadomość, że był w stanie sam rozwiązać zagadkę,.

16. Unikać dygresji, psychicznej analizy bohaterów itp.,

17. Przestępca musi być amatorem,.

18. Morderstwo musi być zaplanowane,.

19. Motywem zbrodni powinna być uraza osobista,.

20. Dyskwalifikujące dla pisarza są np. niedopałek papierosa pasuje do cygaretki przestępcy, odnalezienie odcisków palców mordercy itp.".

I może autor tekstu miał zwyczajnie ochotę na żarcik, może kieliszek, z którego pił był zbyt głęboki, a może popalał to i owo... choć ta opcja raczej od razu odpada., Holmes przecież nie raz udowadniał, że palenie umysł zdecydowanie otwiera, a nie zamyka. Bez

względu na wszystkie przypuszczenia, jednego jestem pewien, van Dine swoim artykułem zdeterminował moje życie.

Nazywam się Antoni. Antoni Zagadka. I choć nie ma się czym chwalić, bo ani to modnie, ani oryginalnie, w ślad za moim idolem zawsze chciałem się tak przedstawić. Powstałem z mnóstwa szkiców, inspiracji, cech i zdolności, które w jednym momencie były mi nadawane, w drugim bez skrupułów odbierane, czasem aż do dziury w papierze. Ostatecznie twórca mojej postaci, zainspirowany dwudziestoma przykazaniami, stworzył mnie do bólu... klasycznie.

Na możliwość wypowiedzenia się czekałem tysiące stron! Autora nigdy nie interesowało jakie mam marzenia, jaki jestem, stąd nie przewidziano dla mnie strony lub choćby kilku zdań na pogranie na gitarze, wyhaftowanie czegoś dla mamy, napisanie wiersza. A ja uwielbiam tworzyć erotyki! I haftować róże! To znaczy tak mi się wydaje, bo nigdy nie było mi dane spróbować. Z tą gitarą to też tylko przeczucie. Ale takie silne, jakby drzemał we mnie co najmniej Jimi Hendrix! Moje pasje są jednak podobno zawstydzająco niemęskie, a już na pewno nie przystoją detektywowi.

Tak więc nie dowiesz się drogi czytelniku, czy mam w ogóle mamę, nie znajdziesz informacji, że chciałem tańczyć w balecie i byłem parę razy zakochany. Mam naturę romantyka, której nie mogę ujawnić, za to, jak na złość, muszę przyglądać się trupom i rozwiązywać zagadki ich morderstw. Jednak to, co myślę, autor również uznaje za nie istotne. Wręcz zaburzałoby wartkość akcji, odwracało niepotrzebnie uwagę. Nie raz chce mi się płakać, boję się, chciałbym zmienić fach i zacząć choćby kwiatki na targu sprzedawać, ale twórca jest nieugięty. Kwiatków nie będzie. Bo bycie detektywem zobowiązuje. Posłusznie więc trzymam się w ryzach dwudziestu przykazań gatunku detektywistycznego, jakie muszą być spełnione, aby historia była (podobno) udana.

Jak każdy detektyw mam kilka atrybutów. Holmes miał swój płaszcz i fajkę, Poirot starannie przystrzyżony wąsik, Monk złośliwe natręctwa a ja mam elegancki garnitur, czerwony kapelusz i mopsa! Zawsze wszystko sztampowo, a tu akurat pisarza na oryginalność wzięło. I to tak strasznie śliniącą się! Mam nadzieję, że autor skreśli jeszcze ten fragment, albo chociaż zamieni mopsa na kanarka. Ja tak nie cierpię psów! Zwierzak spogląda na mnie głupawym, wręcz budzącym litość spojrzeniem. Dowiaduję się właśnie, że to nie tylko mój towarzysz, ale i partner! Taki czworonożny Watson. Stawiając przy mnie szczekającego, niezbyt rozgarniętego partnera pisarz ma pewność, że spełni już jedno z gatunkowych przykazań, zastrzegające rozwiązanie zagadki tylko i wyłącznie przez detektywa. Spoglądam jeszcze raz w puste oczy zwierzaka i nie mam co do autorskiej tezy żadnej wątpliwości.

Tak więc tkwimy zamknięci między stronami, ja i mops – Fred, otoczeni światem przedstawionym, strzeżonym przez dwadzieścia przykazań van Dine'a. Jest poranek. Słoneczny, bo na szczęście przykazania nie regulują tej kwestii. Na jednej kanapie siedzę ja, na drugiej mops. Pochylam się nad gazetą, ale pisarz nie pozwolił mi jej czytać. Więc tylko trzymam. I czekam na telefon. Tysiące stron doświadczenia prywatnego detektywa przyzwyczaiło mnie do kolejności i charakteru zdarzeń. Dzwoni. Już na pierwszej stronie. Odbieram. Dowiaduję się, że popełniono morderstwo. „A to mi niespodzianka" – mam ochotę powiedzieć. Zawsze w takim momencie

zazdroszczę Różowej Panterze i inspektorowi Clouseau, dla których fabuła nie kończy się na morderstwie. A właściwie nie zaczyna. Zazdroszczę zaciekawionych odbiorców, których intryguje fakt, że nigdy nie wiadomo czego się spodziewać. Może kiedyś i ja kogoś zaskoczę. Póki co ubieram pośpiesznie garnitur, zakładam kapelusz i ciągnę smycz, na której końcu której znajduje się śpiący jeszcze Fred. Taksówką dojeżdżamy na wskazane miejsce. W środku parku. Przedzieram się przez tłumy znających mnie już z innych książek gapiów i dołączam do policji. Zerkam na zwłoki. Stan rozkładu jest dość zaawansowany, co wiąże się z wątpliwymi doznaniami estetycznymi i zapachowymi. Chcę się przerazić, zemdleć, zwrócić gdzieś w krzaki zjedzone niedawno śniadanie, zrobić cokolwiek! Mam po prostu ochotę na reakcję! Autor jednak nie pozwala na niezawodowe zachowania nawet na kilka zdań. Więc się sprężam. Rozglądam się pośpiesznie -- prawo – lewo – prawo – lewo – prawo -- lewo. W końcu nie bez przyczyny tylko detektyw rozwiązuje zagadkę. To mnie wprawdzie pozbawia oryginalności, jakiej odmówić nie można gapowatemu inspektorowi Clouseau, który niemalże do końca fabuły jako jedyny nie rozwiązuje żadnej sprawy, ale pozwala idealnie spełniać wyznaczniki gatunku. Spełniam więc dalej. W poszukiwaniu śladów podbiegam kilka metrów do przodu, kilka do tyłu , zaglądam za drzewo, wślizguję się pod ławkę. I tu... O Boże! Dostrzegam niedopałek papierosa. Chciałbym podnieść, zbadać, sięgam już ręką... ale w ostatniej chwili pisarz wyciąga mnie spod ławki i odwraca moją głową w drugą stronę. Znalezienie tak łatwego do identyfikacji przestępcy dowodu jest przecież niedopuszczalne! Dla pewności pisarz wysyła w miejsce niedopałkau Freda i pozwala mu oddać potrzebę fizjologiczną centralnie na dowód.

Ja wracam do ofiary . Strzał prosto w serce. To młoda kobieta, w przetartych jeansach i schodzonych, zniszczonych adidasach. W jej stroju ubogiej dziewczyny wyróżnia się złoty pierścionek, zdobiący jej serdeczny palec. Motyw rabunkowy można więc wykluczyć. Poza tym z założenia przecież musi to być uraza osobista. Nie to co w sprawach Holmesa, w jakichgdzie morderca może pozwolić sobie na zabójstwo dla pieniędzy. U mnie klasyczna nuda. Co gorsza, choć motyw zbrodni za każdym razem jest ten sam, ja wciąż muszę robić z siebie debila i ujawnić swoją wiedzę najwcześniej po dwustu stronach. Najlepiej jeszcze zaskoczyć wnioskami znającego przecież dobrze klasykę odbiorcę. To jakby być komikiem, który dostaje zadanie rozbawienia publiczności spalonym dowcipem... I

Kiedy stwierdzam, że na miejscu przestępstwa odkryłem już wszystko, co było do odkrycia, udaję się do domu poddać spostrzeżenia rzetelnej analizie. Przeciskam się z powrotem przez tłum gapiów i wtedy... dostrzegam ją! Ma piękne blond włosy, krótką zieloną sukienkę i czarne szpilki. Nasze spojrzenia się spotykają. Boże! Jaki ona ma zniewalający uśmiech! Przy jej boku drepce wyraźnie już zniecierpliwiona staniem w jednym miejscu jamniczka. Rozglądam się szybko za Fredem, który jak się okazuje drzemie pod pobliskim drzewem. Nie budząc go nawet porywam czworonoga na ręce i wracam w kierunku kobiety. Przedstawiam się i pokazuję UKOCHANGO Freda, którego ostentacyjnie głaszczę, a nawet całuję (bleeeeee!). Zaspane stworzeniebydle, z jednym, na wpół dopiero otwartym okiem próbuje ogarnąć sytuację. Zaczynamy z kobietą rozmawiać o naszej miłości do zwierząt. Choć ja niewiele mam w tej kwestii do powiedzenia. Jak zahipnotyzowany przyglądam się jejatrzę

w jej błękitnyme oczomy, podziwiam delikatnyme rysomy, nieujarzmionemuy kosmykowi włosów, który dziewczyna raz po raz odgarnia z twarzy. Tak bardzo chciałbym ją pocałować! Wprost nie mogę się powstrzymać! Już więc zwilżam wargi, robięskładam usta w dzióbek, wypinam go w jej kierunku, brakuje zaledwie kilku centymetrów.... aleJednak autor jest czujny. W rzeczywistości zamyka całą scenę w zdaniu „Antoni zatrzymuje na chwilę wzrok na stojącej wśród zgromadzonych kobiecie, po czym kieruje się pospiesznie w stronę czekającej taksówki.". Z całowania więc nici. Przykazanie trzecie wyraźnie mówi, że gatunek w jakim zostałem powołany do życia „nie może zawierać wątku miłosnego z udziałem detektywa". Wprawdzie Monkowi pozwolono, ale co mu z tego przyszło? Że zaskarbił sobie sympatię kolejnych, zaintrygowanych spontanicznością fanów? Po co nam spontaniczność! My stawiamy na zasady! Pisarz nie chce straszyć odbiorcy nieprzewidywalnymi epizodami. Jeszcze by biedak zszedł na zawał, a przecież nie łatwo by było znaleźć na podmiankę nowego, który chciałby się dawać tak zanudzać. Posłusznie więc, jedynie prześlizguję sięjedynie wzrokiem po zielonej sukience i wsiadam do taksówki.

W domu zabieram się do pracy, a konkretniej – do dedukcji. Podczas kiedy Monk pozwala sobie na nie poparte dowodami negacje, że „redlight" to „shmetlight" i już, minie nie pozwalają na takie ekscesy. Ja nie mam intrygować, czy zaskakiwać odbiorcy. Moją rolą jest bycie gatunkowym ideałem. Tyle. Analizuję więc znalezione na miejscu przestępstwa ślady, dowody, przypominam sobie rozmowy zgromadzonych. Pierwszy przychodzi mi do głowy wyraźny odcisk męskiego buta. Może gdybym stworzony został w innym gatunku, bądź autor nie trzymałby się ściśle dwudziestu przykazań, pomyślałbym, że to pewnie odcisk mordercy. Nie ważne jednak co myślę. Mimowolnie przekonuję odbiorcę, że męski but to niewątpliwie właściwy trop. Równocześnie wmawiam to sobie, bo w końcu sztuczki wykorzystywane przez przestępcę powinny mylić także detektywa. Kiedy zatem Holmes wykazuje się niezwykłą bystrością i inteligencją, gdy dla rozwiązania sprawy sam wprowadza w błąd zarówno bohaterów jak i odbiorcę, ja pozostaję tym śladem wielkiego, męskiego buta niezmiernie zmylony. I tak przez kolejne sto stron podejmuję tropy podstawianych dowodów i spędzam w przysłowiowych malinach dobre pół historii. Bo takie są zasady.

Kiedy na chwilę opuszczam owocowe krzaki, zostaję wrzucony w kilka „niebezpiecznych" sytuacji. Raz nawet trafiam do mieszkania płatnego mordercy i „zaskoczony" jego nagłym powrotem chowam się do szafy. I tak siedzę sobie w meblu z Fredem na kolanach, któremu na szczęście w tej scenie autor nie nadał ani zapachu, ani ślinotoku. Kibicujący mi odbiorca stresuje się niebezpieczną sytuacją, a ja? Zbyt wiele książek przeżyłem, żeby myśleć o zagrożeniu. Albo że ktoś mnie zabije. Najchętniej to bym sobie ziewnął . To by było jednak gatunkowe szaleństwo! Tak więc posłusznie podążając drogą dwudziestu wyznaczników spędzam grzecznie w szafie kilka stron, a po kilkudziesięciu kolejnych rozwiązuję zagadkę. Mordercą okazuje się bogata właścicielka hotelu, która kierowana oczywiście urazą osobistą zabija kochankę swojego męża. A wiec mamy gatunkowy ideał – jest i rasowe zakończenie. Profil zabójcy wzorcowy: jest to przede wszystkim osoba wyższego pochodzenia, a nie tam jakaś początkująca aktoreczka, jak ze sprawy pani Fletcher, czy skromna matka głównej podejrzanej ze śledztwa

Monka. Poza tym morderstwo dokładnie zaplanowała, nie pozwalając sobie na mylącą odbiorcę spontaniczność, jak zdzielenie ofiary laptopem, czy użycie przypadkowej spinki do włosów. W końcu morderca, jak sama nazwa wskazuje, jest od mordowania, nie od zaskakiwania.

Czy można więc stworzyć historię i bohatera, jakich van Dine przykazał? Jasne, że można! Tylko co to za historia! I co za bohater! Książkowe postaci z inicjatywy pisarza gratulują mi rozwiązania sprawy. Pewnie jednak s Swoje jednak pewnie myślą . Tak jak ja. Do pięt nie dorastam konstrukcji Holmesa, Monka, czy pani Fletcher, którzy oprócz tego, że rozwiązują zagadki, są zaskakujący, ciekawi, spontaniczni i zabarwni. Ja tylko jestem. Czuję się jak przestępca zakuty w ociekające śliną Freda kajdany wyznaczników gatunkowych. Czytelnik kończy moją historię bez większych ekscytacji, ja jestem znudzony jak mops, a ten przesypiając właściwie całą fabułę stanowi doskonałe podsumowanie dzieła. Nie bez kozery ktoś kiedyś powiedział, że zasady są po to, by je łamać. A historie znakomitych detektywów potwierdzają, że w tym „szaleństwie" jest metoda...

ROZGWIAZDA

Peter Watts

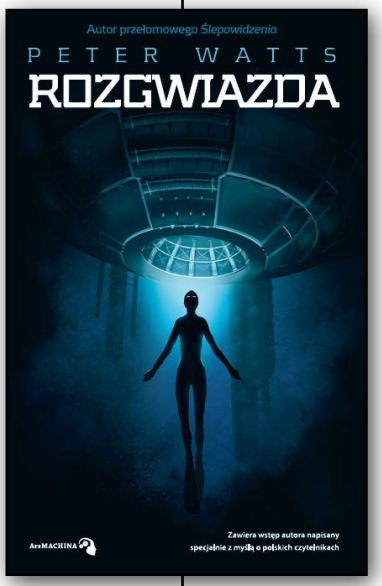

Losy cywilizacji spoczywają na barkach jej wyrzutków.

Kiedy trzeba kogoś do obsługi elektrowni położonych trzy kilometry pod powierzchnią Pacyfiku, zaczynają się poszukiwania odpowiednich osób do podmorskiego programu na ryfcie. Zatrudnienie znajdują ci, których przeszłość wstępnie przystosowała do niebezpiecznych środowisk; ludzie do tego stopnia przyzwyczajeni do obrażeń cielesnych i chronicznego stresu, że przebywanie na skraju podwodnego wulkanu jest w ich przypadku wręcz niejakim postępem. Nikogo zbytnio nie obchodzi satysfakcja z pracy. Jeśli przez całe życie nie nauczyłeś się, że wszelki opór jest bezcelowy, w ogóle nie zostałbyś ryfterem. To niewielka cena, jaką trzeba zapłacić, by na wybrzeżu płonęły światła.

Pośród klifów i rowów Grzbietu Juan de Fuca istnieje jednak coś, czego nikt nie spodziewał się tam odkryć, zaś wysokie ciśnienie potrafi zmienić nawet najbardziej uległą zawodową ofiarę w istotę z żelaza. Z początku nawet ryfterzy nie są świadomi tego, co w sobie noszą – a gdy wszyscy inni wreszcie zdają sobie z tego sprawę, to właśnie ci odrzuceni i pogardzani trzymają dłonie na przycisku „reset" dla całej cholernej planety...

Informacje otrzymane dzięki uprzejmości

Wydawnictwa Ars Machina www.arsmachina.pl

beezar

Piszesz, tworzysz, komponujesz?

Odkryj Beezar.pl

ZAREJESTRUJ SIĘ

Stwórz własny artystyczny profil lub profil Twojego zespołu

Publikuj

i sprzedawaj

EBOOKI oraz MP3

utwory

magisterkę

prozę pracę naukową

poezję reportaż

blog poradnik

rock hip-hop country jazz kryminał blues klasykę

ambient

dramat

Zarabiaj

I ZDOBYWAJ NOWYCH

fanów

Self-publishing

www.beezar.pl

PIOTR "WRITERPIOTR" NIEMIRSKI

MALUJEMY SŁOWAMI

Czyli jak pobudzić wyobraźnię czytelnika.

Gdy słyszymy słowo „malarz", przed oczami pojawia nam się człowiek - zazwyczaj mężczyzna, choć to zależy od upodobań - ubrany w robocze spodnie usiane licznymi, kolorowymi kleksami z farby, umazany na twarzy i w każdym innym odkrytym miejscu ciała, koniecznie dzierżący wałek malarski. Kiedy jednak dodamy do tego słowa następne, a mianowicie „artysta", wizja w naszej głowie diametralnie ulega zmianie. Słysząc „malarz-artysta" wyobrażamy sobie człowieka z pędzlem i farbami, najlepiej siedzącego przed sztalugą, na której spoczywa niedokończone jeszcze dzieło sztuki. Najczęściej na tego typu przykładach kończy się ludzkie pojęcie „artysty". Czasem też rzeźbiarz, ale pierwszym skojarzeniem jest najczęściej malarz. Jak się jednak okazuje, pod pojęciem „artysty" kryje się dużo więcej profesji, jak reżyser, aktor, scenarzysta, czy też pisarz. W tym artykule jednak zajmę się „pisarzem-artystą", który również jest swojego rodzaju malarzem, tyle że do tworzenia dzieła sztuki nie używa farb, lecz słów. To one są dla niego narzędziem pracy, zaś wyobraźnia czytelnika to dla pisarza swojego rodzaju sztaluga.

Ale jak to właściwie się dzieje? Co znaczy „malować słowami"? Oznacza to, że odpowiednio dobrane ciągi znaków - zwanych słowami - połączone ze sobą tworzą swoisty obraz. Aby zacząć tworzyć dzieło sztuki, najpierw należy uzmysłowić sobie, co chce się namalować. I tak: malarz może przenosić na płótno wszystko to, na co patrzy, bądź co sobie wyobraża. Dokładnie tak samo jest z pisarzem - z tym, że u niego kolejność zazwyczaj jest odwrotna: pisze o tym, co sobie wyobraża, bądź o tym, co widzi.

Artykuł ten przedstawia pięć podtypów „malowania słowami", które razem stworzą dobrze prosperujący, oddziałujący na siebie i całkowicie realno-nierealny świat.

OPIS WYGLĄDU ZEWNĘTRZNEGO/ CHARAKTERU

Starając się przedstawić czytelnikowi naszą wizję bohaterów pisanego przez nas opowiadania, należy pamiętać, że czytelnik jest kompletnie niezorientowany, jeśli chodzi o wygląd stworzonych przez nas postaci (odnosi się to do każdego typu opisu). Oczywiście, może sobie wstępnie wyobrazić - dajmy na to - protagonistę naszej opowieści, ale jest niezmiernie duża szansa, że zamiast blondyna (tak jak my chcieliśmy), w jego głowie pojawi się brunet.

Opisując wygląd zewnętrzny postaci, na pewno nie należy robić tego w ten sposób (załóżmy, że nasz bohater ma na imię Artur):

Artur miał: długi nos, blond włosy, niebieskie oczy. Był: wysoki, szczupły. Nosił okulary.

Czegoś takiego można spodziewać się po gimnazjaliście na języku polskim, wypisującym do zeszytu informacje o lekturze. Pisarz zaś nie może robić wyliczanki, bo to w żaden sposób nie wpłynie na wyobraźnię czytelnika. Nieco bardziej przystępna forma mogłaby wyglądać tak:

Artur był wysoki i szczupły, miał blond włosy oraz niebieskie oczy. Na jego długim nosie spoczywały grube,

rogowe okulary.

I choć taki opis również przypomina wyliczankę, to czyta się go o wiele płynniej, dzięki czemu czytelnik ma w głowie wyraźniejszy obraz postaci. Mimo wszystko można to zrobić o wiele plastyczniej:

Artur, jako wysoki i szczupły chłopiec, niemalże zawsze był wybierany do szkolnej drużyny koszykówki, z czego niezmiernie się cieszył. W grze nie przeszkadzały mu nawet grube, rogowe okulary, spoczywające na jego długim nosie. Niebieskie, zdawałoby się, hipnotyzujące oczy, w których na widok ludzkiej krzywdy zawsze tlił się smutek i współczucie, a także opadające na czoło i ramiona długie blond włosy sprawiały, że najpiękniejsze dziewczyny w szkole niemal błagały o jego numer telefonu, nie wspominając już o randce.

Dopiero po napisaniu tak szczegółowego opisu (w ten sposób należy też opisywać elementy garderoby) wypada zastanowić się, czy aby na pewno wszystkie elementy do niego pasują, czy aby na pewno nie przesadziliśmy (czy dziewczyny uganiałyby się za okularnikiem?).

Z takiego „obrazka" czytelnik dowiaduje się również co nieco o charakterze bohatera (współczucie na widok krzywdy - empatia). Jednak o innych cechach charakteru czytelnik powinien dowiadywać się z dalszych poczynań postaci i jej zachowania.

Rada**: zaprzyjaźnij się ze spójnikami.**

Ćwiczenie: **opisz swojego najbliższego przyjaciela, siebie, a także zmyśloną przez siebie postać. Uwzględnij cechy wyglądu zewnętrznego, ale i najważniejszą - twoim zdaniem - cechę charakteru każdej z tych osób.**

OPIS OTOCZENIA/POGODY

Z tą częścią „malowania obrazu" zazwyczaj jest różnie - wszystko zależy od gatunku naszej opowieści. Tutaj jednak - i jest to żelazna zasada - nigdy nie należy przesadzać. Przedobrzając spowodujecie, że czytelnik, znudzony długim opisem przyrody, odłoży waszą powieść/opowiadanie i weźmie się za coś innego. W tym momencie ważną rolę odgrywa zdolność wyobraźni czytelnika, co nie oznacza, że całe pole do popisu powinno się zostawiać tylko jej.

Częstym błędem jest lapidarne, a co za tym idzie - nieplastyczne, opisywanie pogody i otoczenia:

Był piękny i słoneczny dzień.Artur szedł aleją w parku.

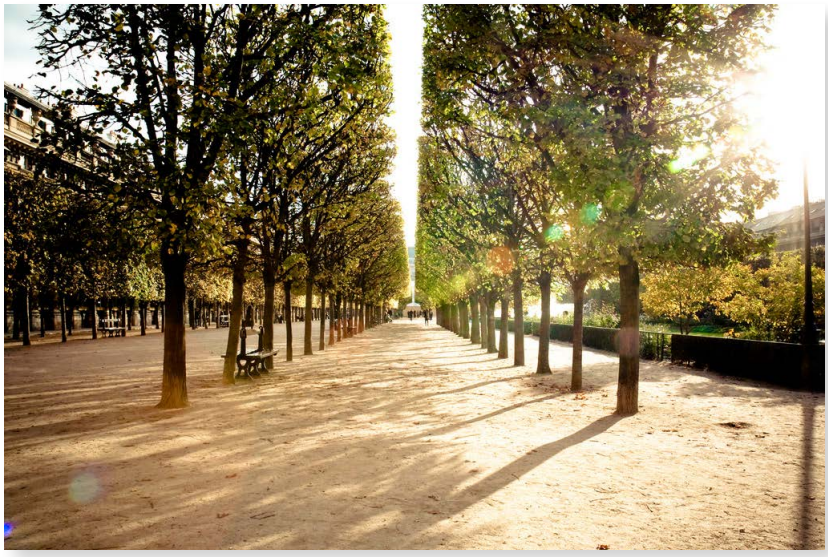

Podobny opis wywoła identyczną reakcję, jak ten zbyt długi i męczący.

Najbardziej optymalnym rozwiązaniem jest przedstawienie czytelnikowi plastycznej, niezbyt długiej, ale też niezbyt krótkiej, wersji. Dobrze jest, jeśli takiego „obrazu" nie przepełnia patos (chyba, że dzieło tego wymaga), np.:

Uschnięte igły drzewek, drażniących oczy Artura swą niebiańską urodą, opadały na skrzypiące, ziemiste podłoże niczym pióra próbującej wnieść się w powietrze kury.

Jednym słowem: czytelnik doświadczyłby tu efektu przegadania. Idąc za przysłowiem: co za dużo, to niezdrowo.

Dość plastyczna wersja mogłaby wyglądać w ten sposób:

Artur, jako że słońce tamtego jesiennego dnia postanowiło wychylić się zza chmur, wybrał się na spacer do pobliskiego parku. Idąc alejką, raz po raz doświadczał na swej skórze niezbyt mocnego podmuchu wiatru, zaś do jego nozdrzy docierał świeży, leśny zapach.

Co jakiś czas na drodze chłopca pojawiało się jakieś dziecko, bawiące się z przyjaciółmi w ganianego, wzbijając przy tym w powietrze kłęby szybko opadającego kurzu.

Rada: „**Co za dużo, to niezdrowo" - a więc pamiętaj o umiarkowaniu.**

Ćwiczenie: **spójrz za okno i opisz, co widzisz - uwzględnij pogodę. Następnie opisz miejsce i warunki, w jakich znajduje się twój zmyślony bohater z poprzedniego ćwiczenia.**

OPIS PRZEŻYĆ/UCZUĆ/MYŚLI/ DOZNAŃ - CZYLI SYTUACJA

Ten punkt niejako pokrywa się z poprzednim, gdyż zapachy, jakie docierały do Artura, były właśnie doznaniami. Jednak co z przeżyciami, uczuciami, czy też myślami bohatera? Co zrobić, aby wprowadzić czytelnika w klimat i ten klimat utrzymać, a także jak „namalować" opis, aby wywołał on u czytelnika pożądane odczucia?

Weźmy na celownik strach. Aby wywołać u czytającego takowe uczucie, najlepiej samemu jest się wczuć w podobną sytuację (oczywiście to tyczy się każdego uczucia, nie tylko strachu) - rzecz jasna wyobrażając ją sobie najwyraźniej, jak to tylko możliwe. Dajmy na to: zaistniała sytuacja, w której Artur pozostaje sam w pustym domu, w nocy, i nagle słyszy w nim skrzypienie. Najbardziej niepoprawny z możliwych opisów wyglądałby tak:

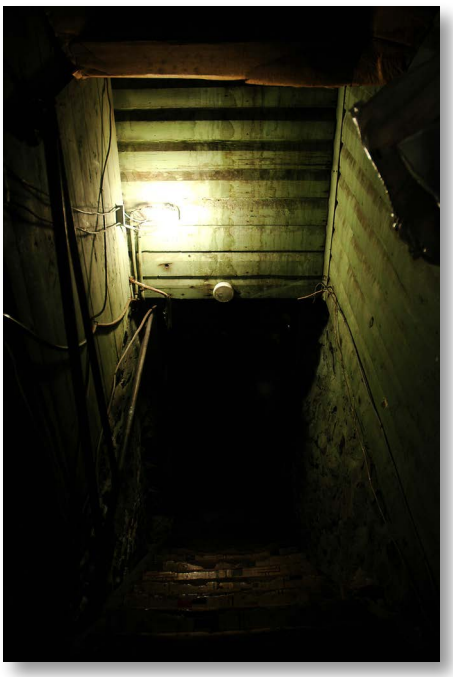

Artur usłyszał skrzypienie. Zszedł po schodach. Był przerażony, ale szedł dalej. W ciemności zobaczył zielone oczy.

Zero emocji, zero strachu. Po prostu: zero.

Jak więc wykonać opis powodujący u czytelnika ciarki? Należy wprowadzać go w lęk bohatera stopniowo, dobierając do tego adekwatne słowa, wywołujące niepewność (przykład: „lizak" nie wywołuje niepewności, zaś „skrzypienie w ciemności" już tak).

Artur, leżąc na łóżku i czytając książkę, usłyszał szuranie gdzieś na parterze. Był pewien, że został w domu sam - rodzice wyjechali kilka godzin wcześniej, toteż niemalże od razu na jego skórze pojawiła się gęsia skórka, a po karku przebiegły dreszcze.

Odłożył książkę i skierował się w stronę schodów. Szedł powoli, stawiając stopy wyjątkowo ostrożnie. Szuranie na dole przerodziło się w skrzypienie.

- Kto tam jest? - rzucił Artur drżącym ze strachu głosem. Mocno złapał za barierkę schodów i powoli skierował się ku dołowi. - Słyszę cię!

Jednak nikt się nie odezwał. Słychać było tylko skrzypienie...

Skrzyp... Skrzyp... Skrzyp...

Wreszcie Artur dotarł na parter i wolnym krokiem, drżąc na całym ciele, wsunął się do pokoju gościnnego. Wówczas ujrzał parę obrzydliwie zielonych oczu. Spozierały na niego jakby z drugiego końca pomieszczenia.

Chłopak, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, wydał z siebie zdławiony jęk.

Rada: **pozwól sobie na użycie onomatopei - wyrazów dźwiękonaśladowczych. Dodatkowo stopniuj napięcie i dobieraj jak najlepiej oddające sytuację słowa.**

Ćwiczenie: **opisz najradośniejszą, najsmutniejszą, najstraszniejszą chwilę ze swojego życia, jaką pamiętasz. Dodatkowo opisz ciekawą sytuację z życia twojego bohatera (z poprzednich ćwiczeń).**

OBRAZOWANIE DIALOGÓW I POCZYNAŃ POSTACI

Ponownie można stwierdzić, iż omawiane stwierdzenie pokrywa się z poprzednim. Tutaj jednak zostanie dokładniej wyjaśniony sposób prezentacji dialogów, a także akcji z nimi związanych.

Spróbujmy sobie wyobrazić parę rozmawiających ludzi - mężczyznę i kobietę. Jeśli ktoś kiedykolwiek miał do czynienia z grą „The Sims", niech teraz podstawi sobie zachowania tytułowych simów pod naszą dwójkę. Następnie niech odejmie od rozmowy każdy najmniejszy ruch - zostaje sama rozmowa. Niech pozbawi rozmowę emocji - pozostaje sztuczny, jałowy dialog. Dokładnie taki, jakiego nigdy nie powinno się tworzyć, a jaki obrazuje poniższy kawałek tekstu:

- Cześć - powiedziała Anna.

- Cześć - powiedział Artur.

- Jak się masz? - zapytała Anna.

- Dobrze - powiedział Artur.

Automatycznie nasuwa sie określenie: rozmowa robotów. Lecz żeby zrobić z tego żywą pogawędkę, wystarczy naprawdę niewiele wysiłku:

- Cześć! - z radością w głosie rzuciła Anna.

- Witaj! - odparł Artur, równie zadowolony z nieoczekiwanego spotkania.

- Jak się masz, co u ciebie słychać? - zainteresowała się kobieta.

- Lepiej, niż można by sobie wyobrazić.

Jak widać, ów dialog przedstawia emocje postaci. Nie zawsze jednak trzeba pisać, kto dane zdanie wypowiedział - jeśli rozmówca został wcześniej przedstawiony (np. Powiedział Artur), wówczas powtórzenie nie jest konieczne.

Dodatkowo warto pamiętać o samych zdaniach wypowiedzianych przez bohaterów. Powinny być one naturalne, tak, jakby wypowiadał je człowiek w zwykłej rozmowie. Nie należy kryć zdenerwowania i strachu postaci:

- Jak jeszcze raz któraś świnia się odezwie... - krzyknął terrorysta do zakładników, łapiąc za broń i celując do nich.

Rada: **wystarczy pamiętać, że rozmowa twoich bohaterów, to rozmowa zwykłych śmiertelników, nie robotów.**

Ćwiczenie: **napisz dialog między tobą i twoją nauczycielką bądź szefem - w sytuacji napiętej i zwykłej.**

OPIS PRZEDMIOTÓW

Ostatnim omawianym punktem „malowania słowami" jest opisywanie różnorakich przedmiotów. Weźmy na celownik szafę. Najgorszą rzeczą, jaką można zrobić w takim opisie, jest podawanie dokładnych wymiarów. Nie ma w tym za grosz plastyki:

Szafa miała dwa metry wysokości.

Należy opisywać to tak, aby czytelnik od razu miał obrazowy przykład tej konkretnej, naszej szafy w głowie:

Artur spojrzał na wysoką, mahoniową szafę, starannie ozdobioną różnorakimi, ręcznie wykonanymi wzorami; jej pokryta lakierem powierzchnia uparcie odbijała promienie słoneczne wpadające do pokoju przez szerokie okno.

Rada: ***z*agłębiaj się w szczegóły, lecz bez przesady. Pamiętaj o najlepiej oddających wygląd przedmiotu przymiotnikach.**

Ćwiczenie: **opisz swój telefon komórkowy i pokój, w którym się znajdujesz.**

Wykonując opisy każdego elementu książki czy opowiadania, każdy autor mimo wszystko musi znaleźć na to swój własny złoty środek. Mam jednak nadzieję, że ten artykuł choć po części w tym pomoże.

STEAMPUNK

Jeff VanderMeer, Ann VanderMeer

Witajcie w niesamowitym świecie fantastycznych przygód, których nigdy nie zapomnicie. Genialny naukowiec próbuje pokrzyżować plany złowrogiego doktora, którego machinacje mogą doprowadzić do końca świata. Odważny kapitan Napier toczy walkę z diabolicznym Królem Karlem oraz szalonym PhyrePhoxem. Wynalazca Cosmo Cowperthwait zmuszony jest chronić Królową, ponieważ Bóg nie wie nic o dziwkarstwie. Panie z Klubu Księżycowego Ogrodnictwa planują upiększenie Księżyca, ale najprawdopodobniej jedynie uwolnią swoje piękne miasto od śmierdzącego problemu.

Steampunk to połączenie wiktoriańskiej elegancji z nowoczesną technologią. Znajdziecie tu roboty na parę, podrasowane dyliżanse, szalonych naukowców, ciasno dopasowane surduty oraz ogromne sterowce napędzane romansami w świetle lamp gazowych. Prosto od redaktorów doskonałej antologii The New Weird, oto steampunk!

Przygotujcie się na ostrą jazdę!

Informacje otrzymane dzięki uprzejmości
Wydawnictwa Ars Machina www.arsmachina.pl

IN FLAMES
ORMUZ

gdy powiedzieli

że zamkną cieśninę Ormuz

wszyscy

wyłożyli broń na stół

zwrócili ropne oczy

w kierunku wschodu

i wiary

która nie zgniła

przecież żeby walczyć bez grzechu

trzeba bez słów miłować Boga

też zapomnieli

że mają dzieci

PRZEMYSŁAW MAŁACHA

PIES

chciałbym być psem

myśleć że życie

to jeść spać i znaczyć teren

nie wiedzieć

że nigdy nie złapię ptaka

zazdrościć mu wolności

gonić jedynie za

gumową piłką

nie bać się ugryźć

w obronie własnej

i siedem razy wcześniej

umrzeć

7.5.2012

JAROSŁAW JABRZEMSKI

ZUZIA RODZI KIEDY ZMIERZCHA

And she feeds you tea and oranges
That come all the way from China *
Leonard Cohen
(Tadeusz Woźniak też z nami śpiewa)

niesforne dziecko pukli
kosmyk
odgarniam za ucho wiosny
śpiewam tym co ogłuchli

cohena

przemienia się ziemia
nie do poznania kiełek
niedawno ledwie zadrą pod paznokciem
teraz coraz śmielej

panoszy się prze wciąż mocniej
przez zieleń
muszę ci kupić nową kieckę
w lumpeksie
lubisz się stroić w cudze piórka
i szmaty zmieniać dla zbawienia
nosić sadzonki na kurha

z zarazowatych najpiękniej
świetlik oświeci dzieci o poranku
mięknę
gdy trzymasz lustro dla kochanków
wychodząc z pościeli
zraniona poranna
poronna postać

ja tam topielec
gdzie ty marzanna

bohater w wodorostach

morze się maże w sadzawce marzeń
dałem słowo

nażreć się poruchać
i dach mieć nad głową
to moje co zjem

słucham
oddechu przez sen
sprawdzam czy palce nie są zbyt chłodne
poprawiam kołdrę
i jest wygodnie
ze złem

a później śnię
o pięknym piekle
o tym że do mnie się uśmiechniesz
w następnym śnie

LENA

OBIETNICA

Owej nocy pilnowałem, aby czuwać nad foliałem,
Pracą głowę mą gorącą zająć i nie szczędzić sił,
By po dniu, co przebiegł męką, napełniając mnie udręką,
Nie śnić, nie drżeć, och, zapomnieć o pokoju, w którym tkwi
Ona, krucha, lecz niezłomna, nieruchomo w cieniu tkwi,
Z lęku mego sobie drwi.

Nie! Ja na to nie pozwolę! Odejdź, myśli, trosk pacholę,
Porzuć umysł mój znękany, w którym niegdyś spokój był.
Odpuść duszy, co się kruszy na wspomnienia liche mgnienie...
Na nic walka. Ciszy miarka już nie będzie dana mi,
Gdyż w pamięci wciąż mnie nęci to, co powiedziała mi:
„Przyjdę, obiecuję Ci."

Prawie północ bije zegar. „Ach, zatrzymaj się!", nalegam.
Czas zaklinam, by w swym marszu potknął się i zgubił dryg.
Lecz bezsilne owe modły. Czuję wewnątrz nacisk podły,
Co rozkazem twardym każe tajemnicę zdradzić Ci.
Kim jest Ona, Smutku Żona, ma Nemezis, powiem Ci.
Może wówczas ulży mi.

Po przeciwnej stronie domu, w skrzydle wschodem wyznaczonym
Mieści się Jej złe królestwo, gdzie świec płomień ledwie ćmi.
W mroku skryta, w czerń spowita, uschłe ciało składa w pałąk.
Skrzypią koła, gdy do szafy, w której monstrum martwo śpi,
Zbliża się potwora Pani, by go użyć, choć wciąż śpi.
Trupi sen o niczym śni.

Wisi zewłok pełen kości, ciężki w bladej swej nagości,
Brzuch zapadły, pierś skurczona. Niczym z wosku gładkich lic
Nie rumieni cień czerwieni, w ustach musza brać się pleni.
Oczy suche kurzu puchem już nie widzą tamtych chwil,
Gdy Kochanek czule prawił pośród westchnień słodkich chwil:
„Jakże piękna jesteś dziś!"

Mroczna Pani patrzy na nią, suknię ludzką tkanką tkaną,
skórą, włosem, zębów sznurem, kości klatką, siecią żył.
„Ach, już wkrótce cię założę i wizytę Jemu złożę,
Kochankowi, sąsiadowi, co w pokoju swoim drży.
Z namiętności, ciekawości czy z odrazy czystej drży?
Czy barykaduje drzwi?"

I jak kostium ją przywdziewa, członki wkłada, pierś nadziewa
Sobą, siebie w truchło wlewa, swego ducha mości w nim.
Już unoszą się ramiona, drgają palce, płuca płoną,
Żyją życiem narzuconym przez Tę, co ze śmierci kpi.
Z praw natury, zasad wszelkich i z sumienia sobie kpi.
Nikt nie wstrzyma jej i nic!

Jeszcze chwila i już oto stoi tu bogini złota,
W uśmiech gną się wargi pełne, błyszczą oczy, skóra lśni.
Po peniuar biały sięga. W mgłę koronek owinięta
Rozczesuje włosów skrzydła, wkłada perły, czerni brwi.
Na człowieczą łuskę w wózku patrzy twardo spode brwi:
„Tłustych łowów dziś mi życz."

I podąża korytarzem, gdzie się księżyc blaskiem kładzie,
Kroki elfich stóp bezdźwięcznie mierzą tętna mego rytm.
Coraz bliżej, coraz niżej, już po schodach stąpa miękko,
Już wyciąga dłoń swą giętką, kluczem ciężką, sięga, by
Trwałym tym Kochanka darem drzwi otworzyć, wkroczyć, by,
Jeszcze raz z Nim blisko być.

Lecz oto...

Treści snute z bezmyślnością plotą się z rzeczywistością:
Zmysły gawędziarza wiąże perfum znanych wonna nić.
Zegar staje. Włos się jeży. Gość przed progiem w zamek mierzy,
Klamka miedzią łuk rysuje... Serce znów zaczyna bić!
Hałaśliwie i trwożliwie szarpie, by na alarm bić:
Potwór u wrót stoi mych!

Więc do skrzydeł drzwi przypadam, wejść Królowej nie pozwalam!
Walczę z mocą, chociaż kiedyś poddawałem się bez sił
Pięknu złemu, strzydze słodkiej, potworowi w formie wiotkiej.
Cóż, że między nami ściana? Dla mnie mógłby to być pył!
Sama żywa jej obecność zgrozą ściera mnie na pył.
Obłęd w duszę mą się wrył...

„Czego", wołam, „chcesz ode mnie?! Ach, czyż nie dość już tu cierpię
Strachu, co pazurem tępym pod kość skroni mi się wbił?!
Po co tu przychodzisz cieniem, pukasz, szepczesz, mrozisz tchnieniem?
Czyż nie starczy ci tych czarcich żartów, śmiechu, co się wił
Krok w krok za mną, wstęgą czarną, jak wąż wokół stóp mych wił,
Gdym uchodził w mroku dym?!"

Cisza czai się za drzwiami, głos mój drżący wnika za nie,
By sękami i ścieżkami, gdzie się stary pająk skrył,
Znalazł drogę do sumienia dręczycielki, co z kamienia
Może nie jest, i się w serce wciąż pamiętające wpił.
Poprzez stanik, wskroś koronki, w piersi biały marmur wpił.
Z siecią żył się płynnie zżył.

Waha się? Pożałowała? Litość wzbudził w niej mój apel?
Czy odpuści Kochankowi, który wzgardził czarem złym?
Boję się odetchnąć nawet, w suchym gardle czuje sadzę.
Klamka nadal jest w jej władzy, w zamku nie drgnie jeden tryb...
Ach, Duesso w masce Uny, swej decyzji w ruch puść tryb!
Zgub bądź ocal, ma chérie!

„Wybacz drwinę, wybacz kpinę”, słyszę nagle szeptu szelest.
„W mej naturze, jak błysk w chmurze, często się złośliwość skrzy.
Jednak wiedz, że pod woalem tej podłości, tej mściwości
Kryje się natura druga, której chciałeś, miałeś, i...
Choć jej ciało całowałeś, rozkosz garścią brałeś, i...
Mnie kochałeś w tamte dni.”

Czy kochałem? Tak, na Boga! Hołd składałem każdej cząstce!
Księgą byłem Ci płonącą, żar czytałem z oczu Twych!
Rozchylałaś duszy płatki, ja jak ptak, koliber rzadki
Piłem miód tajemnic Twych, a potem Ty spijałaś mych
Sekretów gorzki napój, słoną wodę, wywar z grzechów mych...
Obcy był nam wszelki wstyd.

Jednak prawdę, moja Miła, najważniejszą zataiłaś
Przed Kochankiem swym naiwnym, co nieświadom tego był,
Że w ramionach trzyma stwora, monstrum, ciało ukradzione,
Dzieło czarnoksięskiej magii. Nie wiedziałem nic a nic
O ponurej maskaradzie, o podstępie Twym, i nic
Już nie wróci wiary mi.

„Nadal milczysz”, głos jej cichy znowu zza drzwi się rozlega.
„Czy w ten sposób jakże trudny tak bezwzględnie karzesz mnie?
Racja, zwiodłam Cię, uwiodłam, prawdy nie wyznałam, jednak
Czy nie widzisz tego, Miły, że czar, którym brzydzisz się,
Ów rytuał, który sprawił, że pokochaliśmy się,
Naszym dobrodziejstwem jest?

Codziennością moją szarą ciemny pokój jest z kotarą
W oknie, w którym słońce zimne ledwie się swym blaskiem tli.
Obok łóżka nocna szafka, na niej leki i karafka,
Zaś pod ścianą fotel stoi, w parze kół drewnianych tkwi.
W wózku owym, już nienowym, nieruchoma postać tkwi.
Czeka na chloralu łyk.

Czy pokochałbyś, mój Miły, ciało, w którym nerwy zgniły,
Gdzie choroba kości żuje, mięso wątłe toczy mór?
Czy byś spojrzał raz kolejny na ruiny obraz chwiejny,
Która trwa w koszmarnym półśnie, mimo zmiany roku pór,
Której nie dotyczą święta, żarty, prawa dziennych pór?
Jej welonem czarny tiul.

Cóż więc w tym dziwnego, powiedz, że chcąc wrócić w życia obieg,
Skradłam śmierci ciało młode, stary czar w nie tchnęłam, by
Znów uśmiechać się, jak drzewiej, nosić suknie strojne ściegiem,
Tańczyć, w towarzystwie bywać, oświadczyny przyjąć trzy
I zakochać się w sąsiedzie, co w pokoju numer trzy
Już nie czeka wizyt mych?!”

Słucham wyznań jej gorących, czuję ciepło kiełkujące,
Co na powrót w sercu moim, choć niechciane, rodzi byt.

Może rację ma ma Miła? Jasno sprawę wyłuszczyła
I nadziei klomb zasiała, łzą podlała, żeby kwitł.
Na mej duszy suchej ziemi wonną łąką bujnie kwitł.
Czy mój opór całkiem znikł?

Czyżby była nam pisana przyszłość klątwą niekarana?
Drży pod moją dłonią klamka, drzwi ruszają w tan, gdy wtem!
Obraz trupa w głowie błyska! Obłe ciało sińcem łyska!
Odór śmierci mnie spowija, wiem, że urojony, wiem
Że jesteś, jaka byłaś, jednak jeszcze jedno wiem:
Ja sam jestem już nie ten!

I od drzwi się chwiejnie cofam, ręce wznoszę w modłach, prosząc,
By odeszła i już więcej nie dręczyła, truła mnie!
By jutrzenką świt rozproszył cienie myśli moich płochych,
Dzień obudził, wyratował z zimnych rąk Królowej Ciem!
By ostatnie słowo padło z ust Jej, lekkie szeptem ciem.
Wówczas odezwała się:

„Cisza odpowiedzią Twoją, głośna rozpacz będzie moją,
Lecz nie lękaj się, Kochany, nie zobaczysz jednej łzy.
Nie usłyszysz skargi onej, płaczu duszy odtrąconej.
Świadkiem tego smutku będą mrocznej mej samotni drzwi."
Puszcza klamkę, klucz porzuca, tęsknym gestem gładzi drzwi...
I odchodzi w nocy kir.

Z płuc struchlałych dech zastały sięga moich warg zdrętwiałych,
Świerszcz w ogrodzie, już o wschodzie, gra na skrzypcach swych: cyt-cyt.
Ja bezsilnie się osuwam na podłogę u stóp łoża...
Twarz w spotniałych dłoniach chowam, zamęt w duszy czuję, gdyż
Głowa ciężka, nerwy ścięte, myśli we mnie obce, gdyż
Nie potrafię pojąć ich...

Skąd ta fala, co powstała, ulgę z żalem wymieszała?
„Czy się stało tak, jak chciałeś?" pytam Cię, Kochanku cny.
„Czy swe życie ratowałeś, tchórza w sobie posłuchałeś?
Czy w tym ciele krzepą mocnym mdły charakter słabo drży?
Czy to serce pilne, silne, przed ciężarem kary drży?
Żarem wrze czy mrozem skrzy?"

Stało się. Czas próby minął. Tylko przyszłość już wykaże,
Czy pomyślnym się okaże losu nieprzejrzysty czyn.
Jeśli tak, to mą nagrodą czyste we mnie jest sumienie.
Jeśli nie, to mą pociechą grzeszne będą sny. A Ty,
Świadku zdarzeń, sędzio marzeń, powiedz szczerze mi, jak Ty,
Przyjacielu, wybrałbyś?

PETER TIKOS
PODWÓJNE WIDZENIE ŚWIATA
DAREK KOCUREK

Przygotowanie i redkacja pytań: **Natalia Hebart, Przemysław Małacha, Krzysztof Machulec**. Wywiad przeprowadził i zredagował: **Przemysław Małacha**.

PODWÓJNE WIDZENIE ŚWIATA

Redakcja Via Appia całkiem przypadkowo natknęła sie niedawno na twórczość dwóch ilustratorów, z których jeden jest Polakiem, a drugi Węgrem. Na Darka Kocurka wpadliśmy przy okazji przeglądania informacji o naszym forumowym pisarzu-rezydencie, Stefanie Dardzie; natomiast o Peterze Tikosie dowiedzieliśmy się, kiedy nasz Redaktor Naczelnik zachwycił się grafiką w jednej z gier role playing. Okazało się, że jej twórcą jest właśnie Peter.

Prace obydwu ilustratorów fascynują, zabierają wyobraźnię w daleką podróż - z powodzeniem można je uznać za sztukę wysokich lotów. Twórczość zarówno Darka jak i Petera oscyluje w granicach szeroko rozumianej fantastyki, aczkolwiek ich style znacząco się różnią.

Postanowiliśmy sprawdzić czy tak samo różne jest ich widzenie świata: spojrzenie na sztukę, jej odbiór, postrzeganie procesu tworzenia. Interesowało nas także, czy – tak różne przecież dla Polaka i Węgra – dziedzictwo kulturowe miało wpływ na ich artystyczną twórczość. Obydwu twórcom zadaliśmy więc ten sam zestaw pytań. W efekcie powstał podwójny wywiad, który możecie przeczytać w tym numerze. Zachęcamy także do zapoznania się z dorobkiem artystycznym obydwu ilustratorów.

Chcielibyśmy serdecznie podziękować użytkownikowi naszego forum M.T.Gabryelowi za pomoc w znalezieniu tłumacza oraz jego przyjacielowi Zoltánowi Károlyi za wstępne przetłumaczenie wywiadu z Peterem z węgierskiego na polski.

Mamy nadzieję, że spotkanie z twórczością Darka i Petera będzie dla Was tak samo przyjemnym doświadczeniem jak dla nas. Miłej lektury!

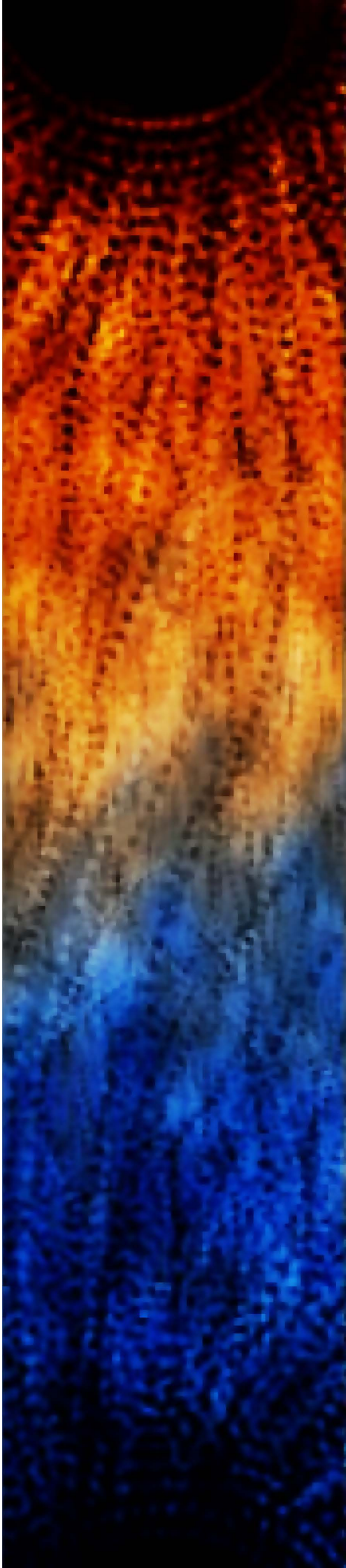

POGRANICZA - PETER TIKOS

1. Witam. Na początek proszę powiedzieć kilka słów o sobie. Kim jest Peter Tikos? Ma Pan osobistą definicję siebie?

Jestem grafikiem, ilustratorem z Węgier. Z małżonką i dziewięciomiesięcznym synkiem żyjemy w pobliżu Budapesztu, w miejscowości Veresegyháza. Od 1997 r. zajmuję się zawodowo grafiką. Tworzę przede wszystkim grafiki do gier fantasy--RPG oraz do gier karcianych. Robię też ilustracje do opowiadań. Pracowałem także nad filmami animowanymi oraz przy grach online. Oprócz węgierskich firm, pracowałem też dla kilku znaczących zagranicznych przedsiębiorstw, takich jak Wizards of the Coast, Fantasy Flight Games czy Catalyst Game Labs.

Jak bym siebie zdefiniował? Jestem grafikem użytkowym, który pracuje na zamówienie, za pieniądze i kocha to co robi.

2. A jak zdefiniowałby Pan sztukę?

Myślę, że jeszcze nikt nie był w stanie dokładnie zdefiniować, czym jest „sztuka". Na pewno jest czymś, co rodzi się z bardzo głębokiej motywacji. Nie można tego „dotknąć", nie niesie ze sobą nic konkretnego. Można bez sztuki żyć, ale ponieważ jesteśmy istotami myślącymi, posiadającymi „duszę", do normalnego funkcjonowania potrzebujemy sztuki różnego rodzaju. Dzieła wielkich artystów pomagają nam pokonać życiowe trudności i pozwalają zrozumieć wrażenia, którycgh doświadczamy.

Artysta jest dużo bardziej wrażliwy niż „zwykły" człowiek. Przez to bardziej intensywnie odczuwa różne rzeczy, a dzięki talentowi i właśnie wrażliwości, te odczucia – wszystko jedno czy chodzi o obraz, muzykę czy wiersz – mogą nam wskazać drogę.

Według mnie cechą dzieła sztuki jest też to, że rodzi się ono przy wysokich umiejętnościach. Jest to do pewnego stopnia wyuczony zawód lub wrodzony talent.

3. Biorąc to w takim razie pod uwagę, jak Pan sądzi, artystą się jest czy może tylko bywa?

Ja myślę, że artystą się jest przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Artysta pracuje nawet wtedy, kiedy nie pracuje. Jest pewnego rodzaju filtrem, przez który przepływa rzeczywystość, a końcowy efekt pozwala odbiorcy doznać wszystkich wrażeń, jakich doznał artysta.

Dla przykładu, kiedy zajmowałem się filmami rysunkowymi o przygodach Mr

1. Witam. Na początek proszę powiedzieć kilka słów o sobie. Kim jest Darek Kocurek? Masz osobistą definicję siebie?

Darek, to człowiek żyjący w ciągłym biegu, mający mnóstwo najdziwniejszych pomysłów i marzeń, zaangażowany zwykle w kilka projektów równocześnie.

2. A jak zdefiniowałbyś sztukę?

Na pewno dla każdego sztuka jest czymś innym. W najszerszym rozumieniu – sztuką jest każdy wytwór artysty. Ale z taką definicją się nie zgodzę. Zawęziłbym słowo „sztuka" wyłącznie do prac, które szczególnie nas poruszają, wywołują większe emocje niż cokolwiek innego. To obraz, który nie pozwala oderwać od siebie wzroku czy muzyka, przy której ciary przejdą nam po plecach.

3. W takim razie nie każdy wytwór artysty jest sztuką. Oczywiście nikt nie jest w stanie stworzyć za każdym razem wybitnego dzieła, które każdego poruszy do głębi. Jak sądzisz, artystą się jest czy może tylko bywa?

Moim zdaniem artystą się jest. Gdybyśmy artystą „bywało się", dotyczyłoby to tylko samego procesu twórczego. Wiadomo, że nie tworzy się codziennie, bez chwili odpoczynku. Wiadomo także, że wena i natchnienie nie występują dwadzieścia cztery godziny na dobę. Bycie artystą, to - poza tworzeniem - również (a może głównie) postrzeganie świata w specyficzny sposób. To większa

Beana, na wszystko wokół mnie patrzyłem jak na grafikę wektorową. Myślałem, jak można byłoby wektorowo narysować rzeczywistość. Śniłem o wektorach! To jest czasami dość chore...

4. Czy sztuka poddaje się kryteriom normatywnym? Niegdyś decydowali krytycy, elita. Dziś, dzięki rozwojowi technologicznemu i powszechnemu dostępowi do Internetu, prezentowanie swojego dorobku artystycznego jest proste. Wydaje się jednak, że między określeniami „dorobek artystyczny" i „sztuka" nie zawsze można postawić znak równości. W którym momencie dzieło przestaje – lub zaczyna – być sztuką? Czy sądzi Pan, że w ogóle istnieje granica?

Kiedyś krytyka sztuki faktycznie była przywilejem wąskiej grupy, ale nie zawsze. Dzieła sztuki takie jak na przykład freski w kościołach były dostępne dla wszystkich. A w tamtych czasach, może z racji wiekszego analfabetyzmu, społeczeństwo było bardziej otwarte na opowieści przez obrazy. W końcu XIX wieku i w wieku XX zniknęły wielowiekowe tradycje, wszystko przewróciło się do góry nogami. Granice się zatarły i są niewyraźne. Dzisiaj prawie każdy może zostać „artystą" i prawie wszystko można nazwać „sztuką".

Ja działam jako artysta zawodowy, przy grafice stosowanej. W tej dziedzinie znacznie trudniej jest się oderwać od „tradycyjnej" formy prezentacji. Tu wciąż liczy się wiedza, znajomość fachu. W wielu innych dziedzinach jest to już rozrzedzone. Uważam, że to niekoniecznie jest dobre.

5. W internecie funkcjonuje dzisiaj mnóstwo galerii online. Można tam zobaczyć naprawdę sporo ciekawych rzeczy, których nie uświadczy się na żywo. Wielu artystów korzysta z takich galerii. Zalety dla odbiorcy są oczywiste – nie trzeba ruszać się z domu żeby obejrzeć dobrą i niekomercyjną sztukę, ma się ogromny wybór – a wszystko to w jednym miejscu. Wady natomiast – sztuki, którą ogląda się na żywo można „dotknąć", „poczuć"; tej oglądanej na monitorze już nie. Doświadcza się jej w trochę inny sposób. Co Pan, jako artysta, sądzi o tego typu galeriach – są lepsze czy gorsze od „żywych" galerii? A może to właśnie galerie online są przyszłością sztuki?

Moim zdaniem to bardzo dobrze, że istnieją galerię online. Można się wiele nauczyć od innych. Co prawda oglądanie na przykład obrazów olejnych lub rzeźb na stronie internetowej nie ma porównania z mozliwością obejrzenia ich na żywo, jednak jeśli chodzi jednak o grafiki cyfrowe, to nie ma z tym problemu.

Będąc artystą, można się wiele nauczyć w ten sposób. Bardzo dobrze, że istnieją przeróżne społeczności online, gdzie można polemizować, porozmawiać

niż u innych ludzi wrażliwość na otaczającą rzeczywistość, umiejętność czerpania z niej i zdolność przełożenia swoich obserwacji na język sztuki – grafikę, muzykę, literaturę, itd.

4. Czy sztuka poddaje się kryteriom normatywnym? Niegdyś decydowali krytycy, elita. Dziś, dzięki rozwojowi technologicznemu i powszechnemu dostępowi do internetu, prezentowanie swojego dorobku artystycznego jest proste. Wydaje się jednak, że między określeniami „dorobek artystyczny" i „sztuka" nie zawsze można postawić znak równości. W którym momencie dzieło przestaje – lub zaczyna – być sztuką? Czy sądzisz, że w ogóle istnieje granica?

Rzeczywiście czasy mamy zupełnie inne niż kiedyś. Ówcześni twórcy musieli się bardzo postarać, żeby dostać choćby szansę prezentacji swoich prac szerszemu gronu. Możliwości, jakie daje nam internet, mają swoje plusy i minusy. Tak naprawdę trudno ocenić, których jest więcej. Z jednej strony „artystów" jest teraz dużo więcej, ale zarazem jest także znacznie więcej „krytyków" i „znawców sztuki". Piszę to wszystko w cudzysłowie dlatego, że moim zdaniem granica się zatarła. Każdy może skomentować i wyrazić swoją opinię, oraz każdy może zaprezentować to, co wcześniej wrzucał do szuflady. Jednak sam fakt prezentacji czy napisania opinii nie powoduje, że komuś można nadać miano artysty lub krytyka sztuki. Trzymam się tego, o czym wspomniałem wcześniej – dziełem sztuki jest to, co wywołuje w nas wielkie emocje. Jeżeli coś wgniotło was w fotel (a mnie spotkało to nie raz) to sygnał, że prawdopodobnie natknęliście się na cholernie dobrą pracę, której warto poświęcić więcej czasu oraz przejrzeć pozostałe dzieła tego artysty.

5. Dodajmy, ze dziś jest to bardzo łatwe, w internecie funkcjonuje bowiem mnóstwo galerii online. Można tam zobaczyć naprawdę sporo ciekawych rzeczy, których nie uświadczy się na żywo. Setki artystów korzystają z takich galerii. Zalety dla odbiorcy są oczywiste – nie trzeba ruszać się z domu żeby obejrzeć dobrą i niekomercyjną sztukę, ma się ogromny wybór – a wszystko to w jednym miejscu. Wady natomiast – sztuki, którą ogląda się na żywo można „dotknąć", „poczuć"; tej oglądanej na monitorze już nie. Doświadcza się jej w trochę inny sposób. Co Ty, jako artysta, sądzisz o tego typu galeriach – są lepsze czy gorsze od „żywych" galerii? A może to właśnie galerie online są przyszłością sztuki?

Zaczynałem w czasach, gdy nie było internetu. Doskonale zatem pamiętam jak ograniczone były możliwości, zarówno zaprezentowania swoich prac, jak i śledzenia twórczości innych. Zrobienie wystawy przez młodego, nieznanego nikomu twórcę w zasadzie nie wchodziło w grę. Galerie online to bez wątpienia niesamowity przełom w możliwości prezentowania swoich prac i dotarcia nie tylko do „zwykłych" oglądaczy, ale i do potencjalnych klientów zarówno w kraju,

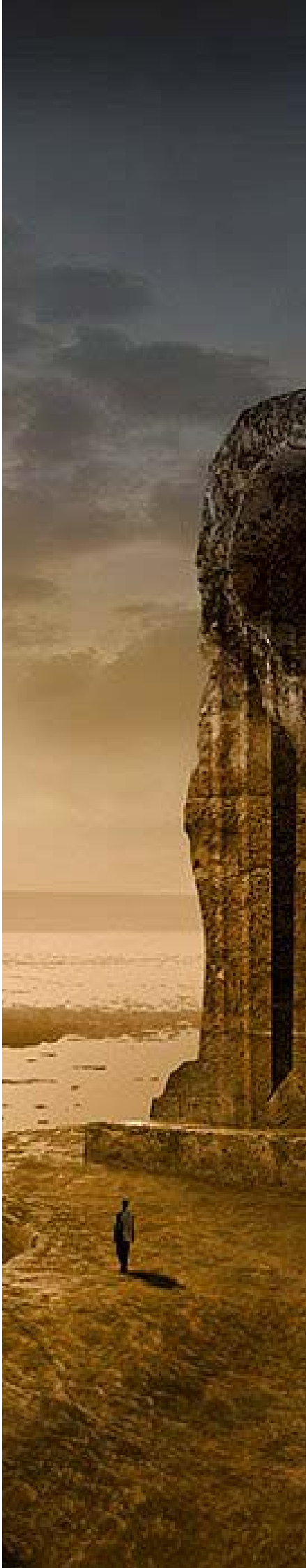

na temat techniki pracy czy podpatrzeć różne sztuczki. Ja części swojego fachu nauczyłem się dzięki internetowi i wciąż poświęcam sporo czasu na oglądanie galerii online. Oglądam też tutoriale, przeglądam fora, czytam artykuły.

6. Porozmawiajmy w takim razie o Pańskich pracach. Zacznijmy od korzeni: gdzie jest początek świata Petera Tikosa? Miejsce urodzenia, czas, konkretna przestrzeń kulturowa, społeczna? To ma znaczenie dla artystycznych wyborów i sposobu, w jaki tworzy Pan dzisiaj?

Urodziłem się w Budapeszcie, ale od piątego roku życia wychowywałem się w małym miasteczku na południowym wschodzie Węgier. Moje przeżycia znacznie wpłynęły na to, że zwróciłem się w kierunku sztuki. W dzieciństwie bardzo dużo czytałem (zresztą ten zwyczaj został mi do dziś) – dzieła Karola Maya, Marka Twaina, Edgara Rice'a Burroughsa, Roberta E. Howarda czy Stephena Kinga. Komiksy Zóráda Ernő, Fazekasa Attili i francuskiego magazynu Pif. Oprócz lektur interesowały mnie też obrazy, grafiki tworzone przez Zdenka Buriana, który malował prazwierzęta i ludzi... To wszytko zadecydowało o moim losie.

Artysta malarz Molnar C. Pal, z którego pracami zapoznałem się dość wcześnie, pochodził z małego miasteczka o nazwie Battonya. Bardzo ciężko było się stamtąd wyrwać z powodu biedy i wysokiego bezrobocia. Dzięki temu przekonałem się jednak, że nieważne jest to, skąd pochodzisz, ale to, co położysz na stół. Nie uważam się za prawdziego artystę, bo to, co robię jest tylko grafiką stosowaną. Przez to często w czasie tworzenia mam związane ręce.

7. Czy uważa Pan, że odbiorcom zagranicznym trudniej jest zrozumieć i docenić Pańską twórczość, ponieważ pochodzą z innych krajów, mają inne korzenie, ich kultura się różni?

Nie sądzę żeby ktokolwiek miał problemy z przyswajaniem moich ilustracji, bo bardzo często pracuję na zamówienie dla zagranicznych firm, tak że moje obrazy mogą być właściwie bliższe amerykańskiemu graczowi RPG, niż ludziom, wsród których dorastałem.

jak i za granicą. Również wydawnictwa, muzycy, pisarze itp. poszukują grafików przez internet. Nie określałbym ich zatem w kategoriach „gorsze–lepsze" od tradycyjnych galerii. Są po prostu niezbędne, nie stanowiąc zarazem zagrożenia dla wystaw tradycyjnych, których moim zdaniem jest obecnie znacznie więcej niż kiedyś. Oczywiście zdecydowanie polecam wybranie się do galerii, żeby zobaczyć prace na żywo i uważam, że tego typu wystawy raczej nigdy nie zostaną wyparte przez galerie online.

6. Porozmawiajmy o Twoich pracach. Zacznijmy od korzeni: gdzie jest początek świata Darka Kocurka? Miejsce urodzenia, czas, konkretna przestrzeń kulturowa, społeczna? To ma znaczenie dla artystycznych wyborów i sposobu, w jaki tworzysz dzisiaj?

Pochodzę z Mysłowic, a obecnie mieszkam w Katowicach. Całe swoje dotychczasowe życie spędziłem w industrialnej przestrzeni, gdzie na każdym kroku pełno było ruin obiektów przemysłowych, zaniedbanych familoków itp. Jakby tego było mało, jeszcze tropię takie miejsca również poza Śląskiem. Dodajmy do tego zamiłowanie do fantastyki i horroru od najmłodszych lat - i otrzymujemy obraz tego, co tak naprawdę kształtowało moją wyobraźnię i co wpłynęło na moją „radosną" twórczość.

7. W takim razie, czy ze względu na to, że Twoją twórczość ukształtowały w znacznej mierze rodzime, industrialne krajobrazy – uważasz, że odbiorcom zagranicznym trudniej jest zrozumieć i docenić Twoją twórczość, ponieważ pochodzą z innych krajów, z innych kultur, mają inne korzenie?

Szczerze mówiąc, prezentuję swoje prace w większej ilości galerii zagranicznych niż polskich. Z całą pewnością odbiorcy zagraniczni, często nawet z bardziej egzotycznych krajów, nie mają żadnych problemów z odbiorem mojej twórczości. Wynika to na pewno z tego, że moje prace w żaden sposób nie odwołują się do jakichś tradycyjnych polskich czy słowiańskich tradycji. Prace science fiction czy fantasy posługują się uniwersalnym językiem.

8. Ilustracje, które Pan tworzy są fascynujące. Zabierają odbiorcę w daleką podróż, niezależnie od miejsca urodzenia. Od niektórych z nich naprawdę ciężko jest się oderwać. Co stanowi, według Pana, o sile przekazu?

Mam nadzieję, że faktycznie tak jest. Niestety, nie umiem powiedzieć nic mądrego w tym temacie. Staram się pracować najlepiej jak potrafię. Może przesłania nie trzeba szukać w samych obrazach? Swoją pracą staram się przekazać, że wszystko jest możliwe.

9. Oprócz tego, jakie „historie" opowiadają Pana prace? Stanowią efekt świadomej refleksji czy przypadku? Na ile artysta kontroluje proces twórczy, a na ile mu podlega?

W zamówieniach przeważnie jest dość dokładnie opisane, co mam narysować. Lubię jednak zostawić sobie trochę wolności w realizacji moich projektów. Często jest tak, że nie planuję wszytkich szczegółów. Niektóre z nich klarują się dopiero podczas samego aktu tworzenia, tak, że dla mnie samego efekt końcowy jest ciekawy i czasem zaskakujący.

10. Proszę powiedzieć, czego poszukuje Pan we własnej sztuce, a co odnajduje? Dla kogo tworzy artysta? Czy nie jest tak, że czasem tworzy właśnie w swoistym dialogu z samym sobą?

Chciałbym się jak najwięcej nauczyć i ciągle rozwijać swoje zdolności. Do tej pory najlepsze co mnie spotkało, to uznanie ze strony czytelników, graczy, kolegów, fanów fantasy no i oczywyście rodziny. To znaczy dla mnie najwięcej.

Może brzmi to banalnie, ale w grafice stosowanej bardzo często pieniądze są głównym powodem, dla którego tworzy artysta. Oczywyście nie jest to powód jedyny. Jestem również pewien, że w trakcie tworzenia w głowie artysty odbywa się rozmowa z samym sobą, żeby następnym razem nie pozwolić na tak wymagające terminy...

8. I pewnie dlatego ilustracje, które tworzysz zabierają odbiorcę w fascynującą podróż, niezależnie od miejsca urodzenia. Od niektórych naprawdę ciężko jest się oderwać wyobraźni. Co według Ciebie stanowi o sile przekazu?

Miło mi to słyszeć. Stwarzam miejsca, które nie istnieją, ale które niejeden z nas chciałby zobaczyć w rzeczywistości. Pobyć tam choć przez krótką chwilę. Myślę, że to jest głównym sekretem. Zapewne wiele osób bez wahania zamieniłoby wczasy na Teneryfie na wycieczkę do któregoś z miejsc obecnych w moich pracach. Nawet jeżeli te miejsca wydają się nieco mroczne.

9. Jakie „historie" opowiadają Twoje prace? Stanowią efekt świadomej refleksji czy przypadku? Na ile artysta kontroluje proces twórczy, a na ile mu podlega?

No cóż. Można by podzielić moje prace na dwie kategorie. Pierwsza to te inspirowane konkretnymi utworami czy ilustracjami, realizowanymi pod konkretne książki. Te prace już siłą rzeczy mają swoją historię, oczywistą dla znających dany utwór.

Druga kategoria to grafiki tworzone wyłącznie z potrzeby własnej, często inspirowane na przykład muzyką. Zwykle powstają nie jako efekt przypadku, ale raczej mocnego impulsu, wizji. Nic tak mocno nie stymuluje mojej wyobraźni jak muzyka ambientowa. Czasem nawet krótki fragment wywołuje tak wiele obrazów i scen, które od razu chciałbym zamienić w grafiki, że trudno mi się zdecydować, od czego zacząć. Prezentując te prace w sieci, nigdy nie dorabiam do nich jakichś historii. Myślę, że każdy powinien odebrać to po swojemu, niekoniecznie tak jak ja.

10. W takim razie czego poszukujesz we własnej sztuce? Co odnajdujesz? Dla kogo tworzy artysta? Czy nie jest tak, że czasem tworzy w swoistym dialogu ze sobą?

Może to dziwne, ale ja nie traktuję tego, co robię jako sztuki. W ogóle nie myślę o swojej twórczości w tej kategorii. Słowo „sztuka" rezerwuję dla naprawdę świetnych artystów i ich prac. Robię po prostu to, co lubię i cieszy mnie, że moja twórczość trafia do pewnej grupy osób, że podoba im się to, co robię. To mnie motywuje.

11. W takim razie co jest dla Pana, jako autora, najważniejsze w procesie tworzenia? Z drugiej strony – co sprawia Panu największą trudność?

W czasie tworzenia, przy rysowaniu grafiki, najważniejszy jest szkic – znalezienie właściwej kompozycji. Jeśli kompozycja jest trafiona, to już więcej niż połowa sukcesu. Największym wyzwaniem w moim przypadku jest właściwe zarządzanie zleceniami i terminami.

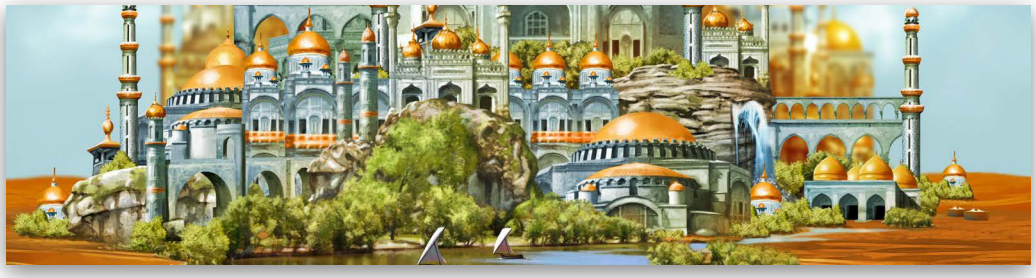

12. Kim jest w Pana mniemaniu odbiorca Pańskiej twórczości? Czy posiada jakieś cechy szczególne? A może to właśnie Peter Tikos jest najważniejszym odbiorcą?

Wyobrażam sobie, że jest wiele rodzajów „odbiorców" mojej twórczości. Wyobrażam sobie co powiedzą ci, którzy kupują magazyny zawierające moje obrazy. Potem wyobrażam sobie, co by powiedział na te obrazy wykwalifikowany dyrektor artystyczny lub inny artysta. Ale i tak największym krytykiem swojej pracy jestem ja sam.

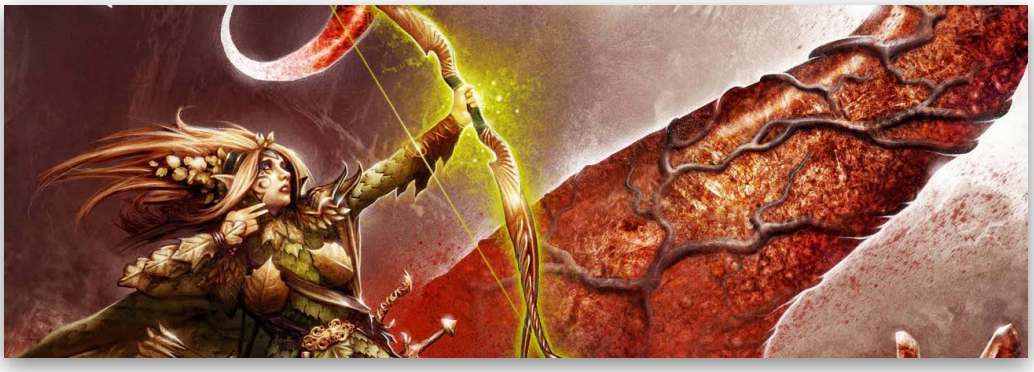

13. Czy istnieją dla Pana, jako artysty, tematy tabu? Czy w ogóle powinny dla artysty istnieć takie tematy?

Nie przyjąłbym zlecenia dotyczącego dzieci lub wiary. Myślę, że każdy musi mieć temat tabu. Dziś jest w modzie przemoc, krzywda wyrządzana drugiemu człowiekowi. Może to jest jakoś źle zinterpretowany bunt? Wiekszość nie zauważa w jak dobrym świecie żyjemy. Ludzie robią nieprzemyślane rzeczy. W ten sposób protestują przeciwko „czemuś", co nie istnieje, a przy okazji obrażają najgłębsze uczucia innych.

Są jeszcze ci, którzy dla zwykłej zabawy albo ze złośliwości robią coś brutalnego: często jest to nam przedstawione jako „sztuka". Ludzie powinni bardziej szanować siebie i innych. Artyści powinni to pokazywać.

11. A co jest dla Ciebie, jako autora, najważniejsze w procesie tworzenia? Z drugiej strony – co sprawia Ci największą trudność?

Kiedy zakiełkuje mi w głowie jakaś wizja, to najważniejsza dla mnie jest dokładna jej realizacja. I jednocześnie to chyba stanowi dla mnie największą trudność. Prawie nigdy nie robię szkiców. Pracuję na „żywym organizmie", często kilkakrotnie zmieniając kompozycję. W rezultacie finalny efekt zwykle mocno odbiega od pierwotnego pomysłu. Drugi problem to kolory. Zwykle pracuję na pliku utrzymanym w jednej tonacji i dopiero na sam koniec nakładam kolory. Często trudno mi się zdecydować na tę jedną, finalną wersję kolorystyczną.

12. Kim jest w Twoim mniemaniu odbiorca Twojej twórczości? Czy posiada jakieś cechy szczególne? A może to właśnie Darek Kocurek jest najważniejszym odbiorcą?

Odbiorcy moich prac to miłośnicy s-f, fantasy i horroru z niemalże całego świata i w różnym wieku – od nastolatków, po osoby znacznie starsze od mnie. Często są to młodzi graficy poszukujący inspiracji i informacji na temat tworzenia grafik komputerowych czy fotomontaży. Moje prace kierowane są do każdego, ale wyodrębniłbym jednak takie, które kieruję do ściśle określonej grupy. Mam tutaj na myśli grafiki związane z twórczością Stephena Kinga. Z roku na rok powiększa się grono śledzących i komentujących ten dział mojej twórczości.

Są wymagającą grupą odbiorców, bo przecież każdy ma swoją wizję powieści czy opowiadań Kinga. Jeżeli trafiam do jego czytelników zarówno z Europy, jak i z Brazylii czy Argentyny, to nie jest źle.

13. Czy istnieją dla Ciebie, jako artysty, tematy tabu? Czy w ogóle powinny dla artysty istnieć takie tematy?

Powiem tak... nie istnieją. Gdyby to było konieczne i uznałbym, że muszę to wykorzystać w swojej pracy, to nie bałbym się podjąć żadnego, najbardziej nawet kontrowersyjnego tematu. Wiadomo, że w naszym kraju bardzo łatwo zrobić kontrowersyjne „dzieło" i czasami denerwuje mnie robienie afery naprawdę z byle czego. Z drugiej strony, irytuje mnie również wykorzystywanie tej sytuacji przez tzw. „artystów", którzy z premedytacją tworzą kontrowersyjne rzeczy wyłącznie dla zrobienia szumu medialnego wokół własnej osoby. Gdybym chciał iść tą drogą, stworzenie kontrowersyjnego „dzieła" nie zajęłoby mi więcej niż pięć minut.

Póki co jednak nie zajmuję się dziedziną, która kogokolwiek mogłaby zbulwersować, jestem więc poza tym wszystkim.

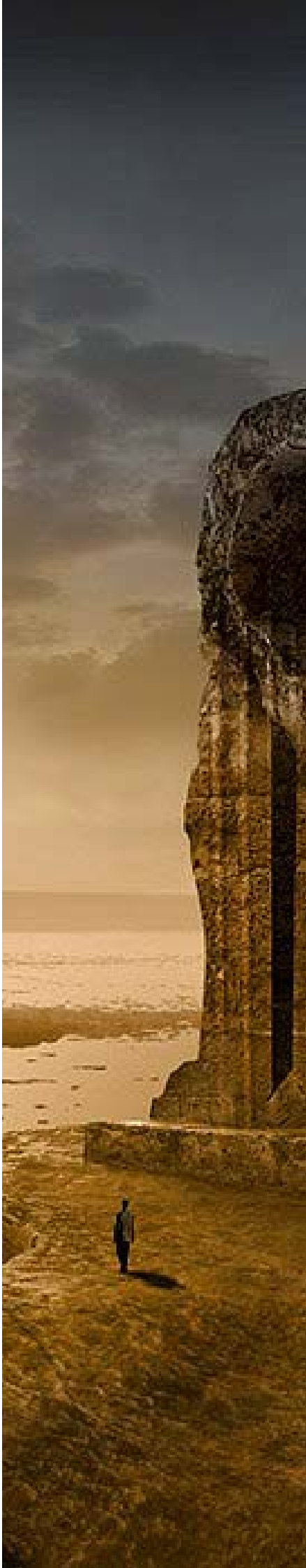

14. No właśnie – rola sztuki i artysty zmienia się nieustannie, wraz z szeroko rozumianym postępem cywilizacyjnym. Na czym dziś, według Pana, polega ta rola?

Uważam, że artyści wciąż mają to samo zadanie – pokazywać kierunek i podnosić jakość życia. Celem artysty - grafika jest jak najlepsze wykonanie powierzonego mu zadania.

15. Czego jest za dużo, a czego za mało we współczesnej sztuce?

Nie odczuwam braku czegokolwiek w dzisiejszej sztuce. Można dziś znaleźć każdy kierunek i styl. Odczuwam natomiast brak w dostępności tych rzeczy dla zwykłych ludzi.

Jesteśmy zalewani masą bezwartościowych śmieci – z telewizji, plakatów, magazynów. A to, niestety, zostawia ślad w każdej dziedzinie życia. Bardzo przeszkadzają mi niewymagające szyldy, budynki zaprojektowane bez stylu, brzydko wyglądające strony internetowe itd. Byłoby dobrze, gdyby artyści pracowali wszędzie. Oni bardziej potrafiliby docenić, powiedzmy, typografię. Wizerunek danej dzielnicy miasta podlegałby bardziej rygorystycznej ocenie - mam tu na myśli szyldy i wystawy sklepowe. Oczywyście nie mówię tu o samowolnej surowości albo „faszyzmie artystycznym". Należałoby jakoś zapanować nad tym chaosem. Kiedy spaceruję po Budapeszcie, bardzo mi przeszkadza na przykład to, że stare i piekne budynki są oszpecone nieestetycznymi szyldami i napisami. To do nich nie pasuje.

Jednym słowem, w sztuce brakuje widoczności na co dzień, mocniejszego zaakcentowania jej obecności w świecie. Sztuki powinna być ogólnie przyjęta i szerzej stosowana, ale żeby tak się stało, opiniodawcy muszą być bardziej wymagający.

16. Wróćmy do Pańskiej twórczości. Wiele z Pańskich prac oscyluje w okolicach szeroko pojętej fantastyki. Często przedstawia Pan światy przyszłości. Jak Pan sądzi, w jakim kierunku wyewoluuje ilustracja? 3D, hologramy, nano-ilustracje o rozmiarach tysięcznych milimetra? A może coś jeszcze innego?

Na pewno powstaną nowe formy obrazowania i prezentacji, nowe narzędzia, media. Pewnym jest też, że zawsze będą istnieć tatuaże i graffiti, street art. A jeśli sprawy potoczą się źle, te ostatnie mogą okazać się dla przyszłych pokoleń tym, czym dla nas są malowidła w jaskiniach.

14. Rola sztuki i artysty zmienia się nieustannie, wraz z szeroko rozumianym postępem cywilizacyjnym. Na czym dziś polega ta rola?

Myślę, że sztuka niezmiennie pełni rolę wychowawczą. Mam tu na myśli wychowanie estetyczne, kształtowanie wrażliwości i wyobraźni. Poprzez sztukę poznajemy w jakimś stopniu siebie.

15. Czego jest za dużo, a czego za mało we współczesnej sztuce?

Trudno w dzisiejszych czasach o coś oryginalnego. Chyba nie tylko ja mam wrażenie, że trudno wymyślić coś nowego. Prawie każdy korzysta z utartych szlaków i powiela gotowe już schematy i tematy. Dotyczy to nie tylko grafiki komputerowej, ale i innych dziedzin. Ile jeszcze można obejrzeć horrorów, w których grupka nastolatków jedzie do opuszczonego domku, a my od razu wiemy w jakiej kolejności będą ginąć oraz kto przeżyje. Zdaję sobie sprawę, że i ja również czerpię z pewnych wzorów, ale nie staram się nikogo naśladować i od lat pracuję nad swoją techniką. I jeżeli ktoś mi mówi, że widział pracę w stylu

16. Wiele z Twoich prac oscyluje w okolicach szeroko pojętej fantastyki. Często przedstawiasz światy przyszłości. Jak sądzisz, w jakim kierunku wyewoluuje ilustracja? 3D, hologramy, nano-ilustracje o rozmiarach tysięcznych milimetra? A może coś jeszcze innego?

Grafika i technika 3D bez wątpienia będą nam towarzyszyć po wsze czasy. Jeszcze nie tak dawno twórcy mieli sporo problemów z wygenerowaniem pewnych obiektów w 3D. Obecnie nie ma już chyba rzeczy niemożliwych w tym temacie. Czasem trudno wręcz rozróżnić co zostało w filmie wyrenderowane, a co jest rzeczywiste. Mało tego. Doszło do sytuacji, że jeden zdolny grafik 3D jest w stanie stworzyć film na poziomie dostępnym kiedyś tylko dla dużego studia graficznego, zatrudniającego sztab ludzi. Ale i w programach 2D widać spory postęp. Nowe narzędzia naprawdę robią wrażenie. Widać, że wszystko

17. Każdy artysta nieustannie się rozwija, a wraz z nim zmienia się sztuka, którą tworzy. Jak Pan widzi siebie samego za dziesięć, dwadzieścia lat? Jak będzie wtedy wyglądać Pańska sztuka?

Nie zastanawiam się nad tym zbyt długo. Chciałbym dostawać więcej zleceń od amerykańskich wydawnictw i być naprawdę docenionym za oceanem. Możliwe też, że będę działał jako tatuażysta, a rysowanie i malowanie zostawię na czas wolny.

18. W takim razie – czy ilustracje i grafika to tylko przystanek w drodze, czy port docelowy w twórczości Petera Tikosa?

Bardzo lubię tworzyć grafikę, ale zdarzyło się już, że zajmowałem się czymś innym. Pracowałem nad filmem animowanym, byłem redaktorem wydawnictwa... Jako grafik też mam bardzo różnorodne zlecenia. Kiedy pracuję dla firm reklamowych, jest to zupełnie coś innego niż praca nad okładką do książki fantasy czy też nad bohaterem gry RPG. Lubię skorzystać z każdej okazji, która mi się nadarzy, ale czymkolwiek bym się w przyszłości nie zajmował, myślę że zawsze będę hobbystycznie malował obrazy fantasy.

19. Czy jest możliwość zobaczenia Pańskich prac na żywo? Planuje Pan w najbliższym czasie jakąś wystawę?

Chciałbym mieć własną wystawę z ostatnich lat pracy, ale na razie jest ona w fazie planowania. Jeśli dojdzie do skutku, na pewno zawiadomię redakcję Via Appia.

A my na pewno zachęcimy naszych użytkowników do jej odwiedzenia. Serdecznie dziękuję za rozmowę, to było naprawdę ciekawe doświadczenie.

idzie w tym kierunku, aby „jednym" kliknięciem można było dokonać na pliku graficznym cudów, kiedyś dostępnych tylko dla zaawansowanych grafików. Ja stawiam głównie na technikę 3D i cyber przestrzeń, czyli na grafiki, które nie tylko będzie można obejrzeć w formie 3D, ale dosłownie się w nich zanurzyć.

17. Każdy artysta nieustannie się rozwija, a wraz z nim zmienia się sztuka, którą tworzy. Jak widzisz siebie samego za dziesięć, dwadzieścia lat i jak będzie wtedy wyglądać Twoja sztuka?

Zabawę z grafiką komputerową zaczynałem na początku lat dziewięćdziesiątych, na komputerach Amiga. I choć już wówczas odnosiłem drobne sukcesy, to gdyby ktoś wtedy zadał mi to samo pytanie, wzruszyłbym ramionami i odpowiedział, że nie mam bladego pojęcia. W najmniejszym stopniu nie przewidywałem wtedy, że będę na przykład robił okładki do książek swoich ulubionych pisarzy, czy że będę bezpośrednio współpracował z tyloma z nich. Taka myśl nigdy nie zakiełkowała w mojej głowie! Zatem dziś, tak samo jak wówczas, nie mam pojęcia, co będę robił za dziesięć lat. Może w którymś momencie stwierdzę, że w temacie grafiki komputerowej już nic więcej nie osiągnę i porzucę tę dziedzinę, na przykład na rzecz malowania. Może przerzucę się na grafikę 3D, którą dawniej się zajmowałem...? Najprościej będzie spotkać się za 10 lat i sprawdzić.

18. A więc nie wiesz czy ilustracje i grafika to tylko przystanek w drodze, czy port docelowy w twórczości Darka Kocurka?

Hmm... Na dzień dzisiejszy wydaje mi się, że to port docelowy. Ale może być różnie... Chciałbym nieco bardziej zająć się animacją. Chodzi mi po głowie pewien projekt, którego szczegółów na razie nie zdradzę. Byłby to kilkuminutowy film łączący technikę wideo z grafiką i animacją komputerową. Chciałbym zrealizować ten projekt całkowicie sam – łącznie z dźwiękiem – więc może mi to zająć wiele miesięcy. Wszystko zatem byłoby nierozerwalnie związane z grafiką komputerową, ale jednocześnie byłoby czymś innym.

19. Czy jest możliwość zobaczenia Pańskich prac na żywo? Planuje Pan jakąś wystawę w najbliższym czasie?

Raz na jakiś czas jest taka możliwość. Jeśli czas pozwoli, to może i w tym roku coś zorganizuję. Wystarczy śledzić informacje na mojej stronie lub na facebooku.

Do czego szczerze będziemy zachęcać naszych czytelników! Serdecznie dziękuję za rozmowę, to było naprawdę ciekawe doświadczenie.

Prace Petera Tikosa można obejrzeć na jego autorskim blogu:

TIKOSBLOG.BLOGSPOT.CO.UK

P.S. Z ostatniej chwili! Dowiedzieliśmy się, że prace Petera Tikosa zostały włączone do 19. wydania magazynu „Spectrum - The Best of Contemporary Art". Jak nam powiedział, jest to dla niego wielkie wyróżnienie i krok milowy w jego artystycznej karierze. Serdecznie gratulujemy i życzymy dalszych sukcesów!

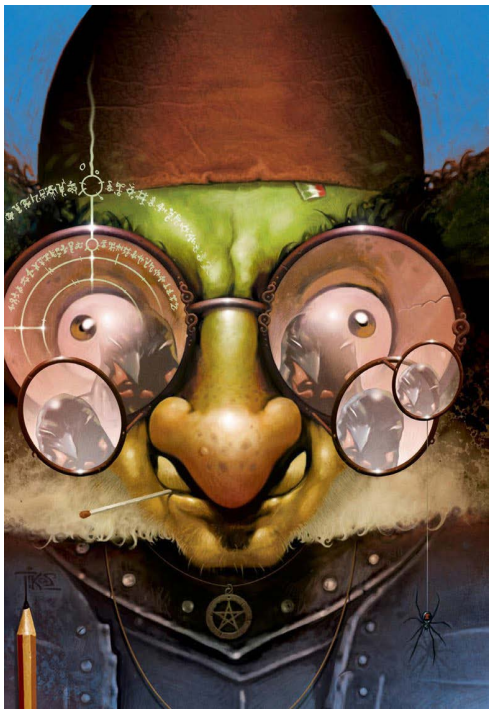

Więcej prac Darka Kocurka można obejrzeć na jego stronie autorskiej:

WWW.DAREKKOCUREK.COM

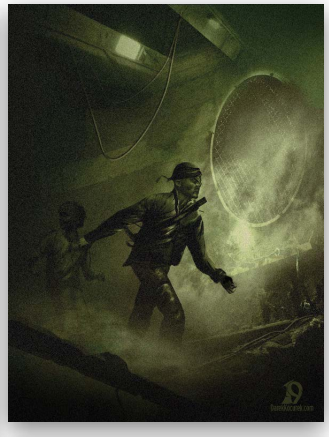

VALENTINO

MUZOWIZJOTURA

Co jest fundamentem refleksji? Osobiste poczucie estetyki, spostrzegawczość, „żywe" myślenie (co nie znaczy, że odmawiam tych przymiotów fachowcom). Coś w stylu: takim mnie stworzyłeś i takim mnie masz. Na tym poprzestanę, nie licząc bardzo, ale to bardzo ogólnikowej prezentacji gier, którymi bezwstydnie posłużę się jako przykładami dla zobrazowania postrzegania gier jako pełnoprawnego medium, swoistego połączenia kilku dziedzin sztuk, do tego (przynajmniej w pewnej mierze) - interaktywnego.

„Muzowizjotura" czyli synteza sztuk.

Na początku chciałbym dokonać pewnego zasadniczego rozdzielenia rodzajów gier. Kryterium podziału ma charakter wartościujący, oparty na subiektywnych opiniach.

Zastosowawszy bardzo osobistą kwalifikację, tworzę podział bardzo umowny i często nieostry, o niepewnych granicach, których nigdy nie broniłbym jak niepodległości, bo byłoby to dla gier zwyczajnie krzywdzące.

Myślę jednak, że ten sposób myślenia jest wielu osobom bliski, da się go też zastosować do każdej innej dziedziny sztuki, mianowicie wyróżniłbym dzieła (używam tego wyrazu nie tylko w celu uniknięcia bezustannego powtarzania słowa „gry", niektóre z nich bowiem nie jestem w stanie określić inaczej niż mianem dzieła właśnie), od których wymagam mało lub średnio wymagającej rozrywki, nieskrępowanej zabawy, w miarę lekkiej formy oraz te ambitniejsze, „trudniejsze" w każdym calu, które, choć są nieraz dużo bardziej przyjemne i zabawowe od tych pierwszych, niosą ze sobą coś jeszcze - autentyczną wartość, poruszającą historię, estetyczne doznania dla różnych zmysłów - a najlepiej wszystko to na raz.

Tu przyrównam gry do książek - z książką w ręku może i wygląda się mądrzej, co nie znaczy, że każda napisana książka jest mądra - minęło dość czasu, żeby wytworzyła się masa, nieraz bardzo wąskich, gatunków - z grami będzie podobnie, choć na moje oko dzieje się tu coś odwrotnego niż z literaturą - ta zaczęła od dzieł i dopiero z czasem zaczęła się „staczać", przez co rozumieć można na przykład jej umasowienie (filisterstwo) i spłycenie. Gry, zaczynając przecież jako, momentami dość... prymitywna, forma rozrywki, rozwijały się w kierunku ambicji i dopiero zbliżały się do sztuki, pojętej w tym elitarnym, wysokim znaczeniu. Generalizuję, bo nie znaczy to przecież, że nagle przestano robić gry dla czystej, nieskrępowanej zabawy - stały się polem do twórczego popisu całej rzeszy ludzi, z których każdy miał inne koncepcje. Do każdej z nich, o ile wnosiła jakąś nową jakość i postęp, mam wielki szacunek. Przez nową jakość mam tu również na myśli technologiczny postęp - nie jest jednak regułą, że sam w sobie przeważa on o jakości gry (Ameryki nie odkryłem, ale miałem potrzebę, by to napisać). Wystarczy spojrzeć na tak zwanych oldschooli - i choć sam się do nich nie zaliczam, nie zaprzeczę, że część growej klasyki rozwala na łopatki większość najlepiej zarabiających dziś tytułów - kwestia priorytetów i tego, co w grach sobie cenię.

Jak jest z całą tą syntezą, która często

jest doskonale widoczna w grach?

W samej tak pojętej syntezie wielu ludzi widzi ten zasadniczy problem, że gdy jedna dziedzina sztuki zaczyna jakby „służyć" drugiej, to obie stają się same w sobie niepełne, „okaleczone" - przykładem może być Nietzsche, krytykujący, za to muzykę dramatyczną (Wagner).

Muzyka w grach - budująca nastrój, związana z konkretnym wydarzeniem lub miejscem - każda konkretna lokacja w grze ma zwykle swój osobny, charakterystyczny motyw, ściśle im podporządkowany, komponujący się z jego wyglądem i odgłosami otoczenia. Od nostalgii i melancholii przez coś mającego zwiększyć napięcie do przerażających i niepokojących odgłosów - środków i ludzi robiących muzykę jest całe mnóstwo, jej podporządkowanie zaś względem np. danej sytuacji niewiele różni się tu od takiej opery. Trudno wyobrazić sobie scenę śmierci, powiedzmy, ważnego drugoplanowego bohatera, z przygrywającą w tle wesołą melodyjką - muzyka to dla mnie jedna z ważniejszych rzeczy w grach w ogóle, potrafiąca zaważyć na postrzeganiu jej jako całości; to kopalnia celowych estetycznych zabiegów, gdzie - przykładowo - takie filmowe przerywniki obliczone są na konkretne cele. Mają zasmucić, przygnębić, rozbawić, przestraszyć. Budowanie nastroju muzyką jest świadome niczym kreacja świata w literaturze. Dla wielu (dla mnie też) to główne źródło „wyższych doznań", których dostarcza gra.

Wrócę jednak do kwestii jej samodzielności - zdarzyło mi się, że dany utwór muzyczny w samej grze, wzbogacony o obraz, zdarzenia itp. poruszał mnie jak mało co, jednak gdy słuchałem go „osobno", powiedzmy, z odtwarzacza, nie budził zupełnie żadnych emocji. Bywa, że dana melodia uzależnia się od kontekstu, z myślą o którym została skomponowana, i sama w sobie traci wszelką wartość. Dlatego mistrzostwem w tej kwestii jest dla mnie zrobienie muzyki, która zarówno w konkretnej sytuacji, jak i wyjęta z niej, budzi wielkie emocje. Traktowanie muzyki jak farby, która potrzebuje niepomalowanej ściany, uważam za poniżające dla tego rodzaju sztuki.

Teraz coś z literatury - bohaterowie.

Wielokrotnie kończy się na bezosobowych, wykastrowanych ze wszelkiego charakteru sztywniaków - często jednak gra wprowadza całą plejadę skomplikowanych osobowości i wzajemnych relacji, pełnym nie tylko psychologicznej autentyczności, ale i - przede wszystkim - tego nęcącego, pobudzającego ciekawość i dążenie w głąb fabuły, uczucia, znanego każdemu kto wciąga się w film lub książkę; gry, generalizując, nie mają żadnego problemu z tworzeniem iście literackich kreacji - to przywiązanie, stosunek do któregoś z nich i budzone przezeń emocje decydują często o stosunku do całej gry. Zwykle są to właśnie ci najbliżsi najlepszym (moim zdaniem) kreacjom literackim - niejednoznaczni i trudni do odgadnięcia, którzy nie od razu obnażają się z cechami swojego charakteru, do tego „szarzy" w postępowaniu, którym - wraz z będącym dla nich tłem zarysem fabularnym - poruszają i dają do myślenia najwięcej.

Podobnie jest z samą fabułą, która zwykle albo idzie z góry wyznaczonym, stałym torem (wystarczy do niej „dotrwać", pokonując różne trudności i przerywniki, tu słowo o filmowym charakterze niektórych gier), lub sama daje się manipulować, biec różnymi torami: coś, co kojarzy się zwykle z RPG-ami - wszelkiej maści wybory, prowadzące

do różnorakiego rozwiązania wątków i niejednokrotnie - do różnych zakończeń wątku głównego. Warto tu wspomnieć o grach RPG w ogóle (z naciskiem na „papierowe", klasyczne systemy) i ich wpływie na gry komputerowe/wideo - jednak ta kwestia wymagałaby osobnego tekstu i wiedzy, której nie mam, nie można jednak tej kwestii pominąć, pisząc o możliwości wpływu na świat w grach, jak i samokreacji swojego bohatera.

Każdą z powyższych rzeczy uważam za takie, o których można mówić w miarę... odosobniony od reszty sposób - z naciskiem na muzykę. Nim podam swój idealny przykład gry - dzieła sztuki, napomknę jeszcze o szeroko pojętej estetyce, jaką posługują się wytwory growej branży - a robią to, mimo wielu związków z literaturą, w dużo bardziej bezpośredni, po prostu - zwizualizowany - sposób. Narzucona jest w sposób bliski filmom - zwłaszcza, gdy chodzi o przerywniki, często kluczowe dla fabuły, raz zrobione bezpośrednio na silniku samej gry, często podane w formie osobnej animacji. Kamera, kadry, ujęcia, udźwiękowienie i „aktorstwo" bohaterów - pokłon dla wszystkich aktorów głosowych - wszystko to ma w grach ogromne znaczenie i jest jedną z wielu rzeczy, które mogą ją zbliżyć do dzieła sztuki.

Dość teorii - czas przejść do rzeczy, odnieść te ogólniki do konkretnych przykładów. Opowiem pokrótce o jednej, ukochanej grze, o której myślałem za każdym prawie razem, kiedy podawałem najbardziej przeze mnie cenione cechy gier w ogóle, gier jako medium.

„I am Andrew Ryan, and I'm here to ask you a question..."

Podwodna utopia.

Plasmidy.

"Big Daddy".

Jest masa ludzi, która mówiła o „Bioshocku" jako o „więcej niż tylko grze" - nie będę zbyt oryginalny, jeśli powiem, że osobiście, obok masy czystej rozrywki, doznałem przy tej grze czegoś więcej - prawdziwej ambicji, momentami wręcz wysokiego, estetycznego (może nawet duchowego, w tym ogólnym, kojarzonym jako wysokie uczucia, znaczeniu) doznania. Minęło trochę czasu, odkąd po raz ostatni miałem styczność z tą grą - tak zwana seria niefortunnych zdarzeń, a ja sam nigdy nie znajdowałem tych kilku groszy, żeby ponownie się w nią zaopatrzyć. Kiedy zrobię to jednak - i mówię to z pełną odpowiedzialnością - wrócę do niej tak, jak wraca się do dobrej książki.

Wypada powiedzieć mi co nieco o samej grze, przytoczyć nieco encyklopedycznych wręcz informacji - mimo braku zwątpienia w to, że jest doskonale pamiętana przez graczy i ludzi z branży. Sam pamiętam jej premierę jako całkiem doniosłe wydarzenie.

Ta na świecie miała miejsce 17 października 2007 roku, a w Polsce wydawana była kolejno:

- 27 sierpnia 2007 na konsole Xbox 360

- 27 września 2007 na komputery PC

- 31 października 2007 na konsole PlayStation 3

Gatunkowo zalicza się do tzw. FPS-ów (first person shooterów) - jest więc mniej więcej tym, co popularnie nazywa się „strzelanką": widok z oczu bohatera, widoczna broń itp. itd.; gdybym chciał iść w to dalej, nadałbym esejowi formę tekstu rodem z magazynu dla emerytów (tych zacofanych), w którym zapoznaje się ich z nowinkami technologiczno-kulturowymi.

„Bioshock" ma kilka elementów RPG (rozwijanie postaci, tu trzeba rzec o tzw. Plasmidach, ale to później; modyfikacja uzbrojenia, ale i moralne wybory, których w grze pełno, choć opartych na jednym schemacie). Jego akcja dzieje się mniej więcej w latach 60 ubiegłego wieku – także nawiązań do komunizmu znajdzie się kilka - w podwodnym mieście Rapture, odkrytym przez głównego bohatera w następstwie katastrofy lotniczej, której jest uczestnikiem i - na to wygląda - jedynym ocalałym. Cały wypadek ma miejsce blisko latarni morskiej, która okazuje się de facto zabudową dla stacji z batysferą, którą można dostać się do Rapture - wielkiego, podwodnego miasta, zbudowanego w latach 40. Opisywana tu scena dostępna była w demie gry - zawiera ono w zasadzie całe wprowadzenie do gry, które, jak podejrzewam, bardziej niż sama mechanika rozrywki, uwiodła nie tylko mnie.

Pierwsze, silne dreszcze miałem już przy scenie katastrofy samolotu - po części z racji oszałamiającej (przynajmniej mnie), a robiącej wrażenie jeszcze dziś, grafiki, którą mimo ogólnego „blasku" uznaję za niepozbawioną własnego, specyficznego stylu, za nie poprzestającą na efektach i widokach; uważam ją za przykład i dowód świadomego niczym literacki opis miejsca kreowania rzeczywistości w grach, które (te lepsze) dalekie są od brania „pierwszego-lepszego" stylu i masy efektów z nadzieją, że jakoś-onetam-zadziałają. W „Bioshocku" czuje się specyficzny nastrój, w której udział ma nie tylko m. in. budowana ową grafiką scenografia i poziomy (można rzecz, że to to samo, jednak „poziomy" nasuwa mi na myśl „zwykłą" przestrzeń, tę, którą mijamy wiele razy, i która stanowi większość z obszarów, które pokonuje się w grze; o scenografii zaś mówię w przypadku wyjątkowych, naprawdę różniących się od „korytarzy po których biegamy zabijając" miejsc, przestrzenie o kompozycji dzieła sztuki, z osobnym motywem muzycznym, np. - miejsce dla potyczki walki z bossem lub miejsce przerywnika filmowego). Dreszcze, dreszcze... tak, wielu dostawało ich już w momencie katastrofy - momentem jednak, do którego zmierzam, jest chwila pierwszego ujrzenia Rapture City: podróż batyskafem, wysłuchanie „mowy" Andrewa Ryana, ojca-założyciela miasta (użyłem jej fragmentu jako tytułu dla tej części tekstu); Andrew mówi Nam o Rapture, w piękny, aluzyjny sposób, jawiąc je jako miejsce, gdzie „Artyści będą wolni od cenzury", badania naukowe - małostkowej moralności, gdzie „Wielki nie będzie musiał się obawiać małego" - to planowa utopia, raj na ziemi, gdzie „Nie ma bogów ani

króli - jest tylko człowiek" - jak głosi jedno z haseł proklamujące Rapture. Chwila jego zobaczenia, kiedy zasłonięta do tej pory szyba widokowa batyskafu ukazuje podwodne miasto, była jednym z bardziej pamiętnych chwil w moim życiu - chwilą czystego zachwytu, który doznaje się przy obcowaniu z dziełem sztuki. Tu za punkt główny - poza samym widokiem Rapture, który prawie zwalił mnie z krzesła - obieram muzykę, która idealnie współgra z całą resztą: jak autor owej melodii grał na skrzypach, tak ona grała na mojej wrażliwości. Mógłbym tu polemizować co do sposobu osiągnięcia tego efektu, owe „granie na wrażliwości" bowiem może być odczytane negatywnie, jednak to, czego wtedy doznałem, momentalnie uświęciło dla mnie niemal całego „Bioshocka", był to moment mojego się w nim zakochania. Co do samego utworu, który ma w tym tak duży udział - objechałbym go jak łysą kobyłę, gdyby nie to, że, wyjęty z gry, broni się sam - nie jest uzależniony od sytuacji, choć pojawia się w grze ten jeden jedyny raz. Można go słuchać „poza grą" i niewiele na tym straci - przeciwnie - odkryje się go na nowo. Tymi słowami mogę podsumować całokształt muzyki z „Bioshock" - dla mnie to dzieło samo w sobie, a że tak dobrze dopasowane do konkretnych sytuacji w grze, to sprawa drugorzędna, w niczym jej nie ujmująca.

W przypadku „Bioshocka" można powiedzieć o sporej dozie filmowości - przerywników jest sporo, fabuła operuje nimi bardzo często. Mógłbym przyrównać sposób ich wyreżyserowania do filmu - budzą nie mniejsze emocje niż punkty kulminacyjne w perłach kinematografii. Trochę gloryfikuję, wiem, jednak to wszystko jest niczym więcej jak efektem zauroczenia - zauroczenia, którym darzy się rzeczy tylko o tak konkretnej, poruszającej treści.

Zamierzałem po trochu streścić dalszą część fabuły owej gry, lecz chciałbym tego uniknąć, skupić się na tym - poza wspomnianą estetyką i muzyką, filmowym charakterem - co czyni ją w moich oczach prawdziwym dziełem. Problematyka - mam uznanie do każdej gry, która jakiejś się podejmuje, jednak „Bioshock" przysłowiowo rozwalił mnie swoją, jak i sposobem, w jaki ją ukazuje. I ostrzegam, że tu kilku szczegółów nie uniknę, ale na moje oko to co zamierzam powiedzieć, jakimś wielkim spoilerem nie będzie.

Nietrudno się domyślić, że piękne zamysły Ryana szlag trafił - sztuka wielbi ów motyw, przechodzenie z utopii do antyutopii, samo mówienie o skutkach tak ambitnych, „nadludzkich" projektów - a co stało się z Rapture? Izolacja od świata zewnętrznego, w zamierzeniu mająca uchronić przed nim podwodne miasto udowodniła, że już jego pierwszym mieszkańcom, intelektualnej elicie Ziemi, temu kamieniowi węgielnemu nowego społeczeństwa, owego świata zaczęło brakować - na jaw wyszły wszystkie typowo ludzkie oraz te miałkie, instynkty, cała sytuacja doprowadziła do rozpowszechnienia się procederu przemytu i powstania czarnego rynku, przestępczego półświatka. Cały ten zalążek mającego wytworzyć nowy poziom kultury i nauki społeczeństwa, po prostu uległ najzwyczajniejszym popędom, można rzec - swojej własnej naturze.

Warto wspomnieć o samej nauce i skutkach, jakie za sobą poniosła - naukowcy z Rapture bowiem odkryli tzw. ADAM - mutagen-komórki macierzyste nieznanego gatunku wodnego ślimaka, co przyczyniło się do rozwoju inżynierii genetycznej; obok rozwoju w medycynie i łagodzenia wszelkiej masy dolegliwości, zaczęły się próby „ulepszania" mieszkańców podwod-

nego miasta - nabywali oni różnych, wyjątkowych właściwości - chociażby rażenia błyskawicami bezpośrednio z własnych palców czy telekinezy. Te drugie, nazwijmy je „energetycznymi", potrzebowały swego rodzaju wspólnej energii właśnie, surowca, który zużywa się wraz z każdorazowym użyciem mocy. Owe modyfikacje, który poskutkował prawdziwym „genetycznym wyścigiem zbrojeń", gdzie zaczęło się od zapalania papierosów czubkiem palca, a skończyło na paleniu ludzi żywcem, dolały tylko oliwy do przysłowiowego ognia: ludzie nadużywający ADAM, w swego rodzaju pogonią za perfekcją (o niespełnionych idealistach jeszcze powiem), powoli tracili zmysły, stawiali sobie cele, których nie da się osiągnąć. Tu wychodzi na jaw - moim zdaniem naczelny - problem poruszany w grze, mianowicie - czy jest sens dążyć do nieosiągalnego dla większości z samej definicji ideału? i jakie są ewentualne skutki sprowadzenia abstrakcyjnych, wyznaczających tylko ogólne dążenia, absolutów? W grze podany jest jeden cudowny przykład takiego wypaczenia - chirurg plastyczny, który dążył do stworzenia idealnie symetrycznej twarzy. Od coraz większej, zdrowej jeszcze staranności w wykonywaniu zabiegów przeszedł on do prawdziwej obsesji, do prób pokonania istoty człowieka, chcąc uczynić go tak pięknym, żeby piękniejszym już być nie mógł. Konsekwencją tych dążeń było okaleczanie i mordowanie pacjentów, rozpaczliwe już i przynoszące tylko bezsensowne - także samemu doktorowi - cierpienie próby stworzenia tego absolutnego piękna.

Takich przykładów jest więcej - można rzec, wprawdzie bardzo ogólnie, że każda dziedzina życia uległa takiemu niezdrowemu popędowi; chorej, niezgodnej z żadnym z haseł założyciela miasta, obsesji. Takich kreacji jest kilka, i z lekkim sercem uznam, że dobra powieść by się takich nie powstydziła - są wiarygodne, współgrają ze sobą w tworzeniu świata gry, jego nastroju i poruszanych kwestii, czynią, że wspólną problematykę ogląda się z różnych punktów widzenia; różne widzi się skutki degeneracji miejsca mającego być rajem na ziemi.

Słówko o samej rozgrywce - shooter jak shooter - chciałem się skupić na kluczowej dla myśli przewodniej eseju kwestii, mianowicie interaktywności na poziomie samej fabuły, czymś ponad „mogę rozwalić ostatniego bossa rewolwerem albo wyrzutnią granatów". W „Bioshocku" potężnym źródłem ADAM są tzw. little sisters - małe dziewczynki, w które wszczepiono komórki nowoodkrytego gatunku ślimaka, czyniąc z nich - owych dziewczynek - naturalne źródło potężnego mutagenu, wręcz jego „fabrykę". Little sisters poruszają się

zwykle w towarzystwie ich swoistych ochroniarzy zwanych Big Daddy - których powołano, gdy zaczęto zapatrywać się na little sisters jako źródła ADAM; mała dziewczynka nie obroni się przed dorosłym, uzbrojonym w broń palną i modyfikacje genetyczne mężczyzną - zrobi to za nią Big Daddy, zamknięty w ubraniu nurka mężczyzna poddany ogromnej ilości celowych, bardziej przemyślanych modyfikacji z użyciem ADAM. Big Daddy to trudny przeciwnik, który zareaguje zawsze, kiedy jego little sister znajdzie się w niebezpieczeństwie.

Wybór moralny w „Bioshock" polega na podjęciu decyzji co do każdego z tych duetów (ale nie tylko, o czym zaraz) - zabić Big Daddy'ego i wchłonąć ADAM little sister, co równa się jej zabiciu - czy też zostawić ich w spokoju, „postępując słusznie", ale odmawiając sobie tym samym większej mocy? Zdarza się, że Big Daddy danej dziewczynki ginie nie z naszych rąk - wtedy pozostaje nam już wybór co do samej little sister. Muszę wspomnieć o wzajemnych relacjach Wielkiego Tatuśka z Małą Siostrzyczką - o ich wzajemnym przywiązaniu, pewnego rodzaju symbiozie, w której troskliwy Big Daddy jest gotów poświęcić własne życie, little sister zaś opłakiwać swego ochroniarza niczym własnego biologicznego ojca. Big Daddy to moja ukochana postać - jest ich oczywiście wielu, jednak sam jej schemat, to, jak funkcjonuje w świecie Rapture, nęci mnie tak, jak do tej pory robiły to tylko kreacje literackie. Sam w pewnym znaczeniu - jeśli zamknąć w określeniu „literacki" wszystkie pozytywne cechy literatury - jest postacią literacką, daleko mu do pustej, nic nie znaczącej skorupy; jego bycie w Rapture ma swój określony cel, dla wielu jest niejako symbolem-znakiem rozpoznawczym całej gry.

Postępowanie z little sisters, poza zwiększeniem (lub nie) mocy bohatera warunkuje zakończenie całej gry - jest ich trzy i stanowią ono pewien sposób podsumowania postępowania gracza, pokazuje ich skutki i kim, w swego rodzaju rozrachunku, „staje" się Jack.

...nie czuję, żebym mógł powiedzieć o „Bioshocku" coś jeszcze. Rozpatruję go pod kątem owej syntezy sztuk, i podałem te dotyczące go szczegóły, które są konieczne do przedstawienia go w ten sposób - spójnej, zaiste jak mają to do siebie dzieła, kompilacji obrazu, muzyki i literatury, w tym przypadku o tyle wartościowej, że każde z nich jest autonomiczne - gra jako całość robi piorunujące wrażenie, jednak gdyby wziąć np. samą muzykę albo literacko-refleksyjną wartość poruszanych kwestii, obroniłyby się one same przed sobą.

Wyobrażam ją sobie jak piękny krajobraz, który największą siłę wyrazu ma wtedy, gdy spogląda się na niego całościowo, którego poszczególne elementy jednak - choćby każde pojedyncze drzewo - same są piękne.

Pierwszy i prawdopodobnie jedyny całkowicie darmowy polski serwis self-publishing.

Zapraszamy do współpracy pisarzy, poetów, eseistów, rysowników komiksów.

Publikuj za darmo, sprzedawaj za „złote”, zarabiaj tysiące!

HONORATA NOWACKA

TAM I Z POWROTEM

Ze słonecznej, ruchliwej ulicy wchodzę wprost do cichego wnętrza biblioteki. Poza personelem nie widać tu wielu ludzi. Nie zwracam niczyjej uwagi, gdy idę wyłożonym kamiennymi płytami korytarzem. Surowe, białe ściany wywołują dziwne odczucie. Przez duże okna widać pusty dziedziniec.

Spokój. Tylko nierzucający się w oczy napis nad wejściem ostrzega:

Malarstwo
Agnieszka Kowalska

i wpadam w barwną, pozbawioną wyraźnych konturów przestrzeń. Królują tam cyrkowcy, muzycy i zwierzęta. Takie było pierwsze wrażenie po wejściu do sali wystawowej.

Obrazy nie były podpisane, jedynie ponumerowane. Pojawiające się na niektórych pismo trudno odczytać. Pogrupowano je tematycznie. Z jednej strony muzycy, cyrkowcy i tancerze, postacie na wpół baśniowe, z drugiej – portrety, już realne, choć wszystkie w tej samej, nieokreślonej przestrzeni.

W tym otoczeniu kilka prac szczególnie przykuwało uwagę – na przykład olejny obraz z uśmiechniętą kobietą na pierwszym planie i truchtającym bykiem na drugim. Jedyne konkretne kształty na tym płótnie to właśnie wspomniane postaci: reszta rozmywa się, malowana smugami światła i kolorów, jakby drga w słońcu. Z tego obrazu emanuje radosny nastrój. Światło w nim przywodzi na myśl lato. Przez dłuższą chwilę nie mogłam też odejść od rysunku przedstawiającego szarpiącego łańcuch psa i zamyśloną, młodą kobietę.

W portretach uderza przede wszystkim światło. Twarze promieniują. Wszystkie postacie łączy uroda. Bez względu na to, czy są starsze, czy młode, smutne czy nie, wszystkie są w pewien sposób ładne, powiedziałabym nawet – nieco odrealnione w pięknu.

W tych obrazach i rysunkach można doszukiwać się symboliki, ukrytych znaczeń, drugiego czy nawet trzeciego dna. Mnie samą bardziej interesowało to, jak zostali pokazani ludzie, ich emocje. Artystka świetnie, w bardzo ekspresyjny sposób, operuje kolorem, jednocześnie zachowując pewien realizm.

Sposób ekspozycji niestety nie ułatwiał odbioru – w szkle odbijało się światło i postacie zwiedzających. Niekiedy dawało to ciekawy efekt – próbując zajrzeć w oczy namalowanej postaci, patrzyło się w swoje własne – ale na dłuższą metę drażniło. Dodatkowo przez płótna przeświecało słońce wpadające pomiędzy żaluzjami: to utrudniało dokładne przyjrzenie się dziełom.

Wychodziłam z wystawy z uczuciem niedosytu. Krążyłam od jednego obrazu do drugiego, wracałam do tych obejrzanych wcześniej i za każdym razem musiałam się zatrzymać, zastanowić nad wyrazem twarzy, gestem. Obrazy przykuwają uwagę, niełatwo się od nich oderwać, ale oczekiwałam czegoś więcej (być może sposób ekspozycji negatywnie wpłynął na mój odbiór całości). Jednak z przyjemnością przyjdę na kolejną wystawę prac Agnieszki Kowalskiej jeśli nadarzy się taka okazja.

Agnieszka Kowalska – absolwentka krakowskiej ASP. Jej inspiracja to człowiek w swoim otoczeniu. Nie maluje pejzaży ani architektury. Zajmuje się także ilustrowaniem książek i wykonywaniem portretów na zamówienie. Pracuje w technice gwaszu, oleju i rysunku. *

* W oparciu o informacje ze strony autorskiej.

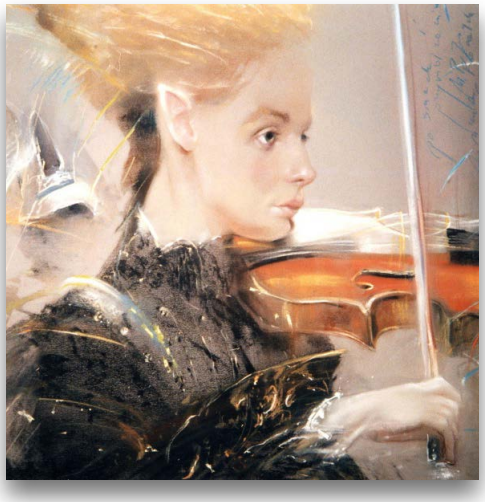

JAKUB „MEFI” FIJAŁKOWSKI

KLUB FANTASTYKI ZARDZEWIAŁY TOPÓR

Dawno, dawno temu... No... może nie aż tak dawno...

Istniejemy już dziewięć lat – z początku nieformalnie, jako luźna grupa znajomych, zapaleńców z Trójmiasta a od zeszłego roku zaś jako pełnoprawne Stowarzyszenie Klub Fantastyki Zardzewiały Topór.

Kim jesteśmy? Miłośnikami LARPów (Live Action Role Play). Wywodzą się one bezpośrednio z sesji RPG, wskazuje na to nawet akronim LARP. Jest to połączenie odgrywania ról przygotowanych przez organizatorów z wykonywaniem zadań przez nich wymyślonych.. Wczucie się klimat świata, przeżycie przygód wybranego bohatera – to gwarancja świetnej zabawy.

Pierwszego samodzielnie stworzonego LARPa terenowego rozegraliśmy w maju 2003 roku na terenie Trójmiejskiego Parku Krajobrazowego. Pierwszy raz był dość spontanicznym projektem – jak to zwykle bywa z pierwszymi razami, gdyż zebrała się grupa znajomych z dzielnicy, „nakręcona” przez paru zapaleńców, aby zagrać w takie coś nie-wiadomo-jeszcze-co. Dopiero z czasem okazało się, komu zabawa przypadła do gustu, komu nie. Z pierwszej ekipy pozostały zaczarowane zabawą jednostki – w tym ja.

Nasze „flagowe” LARPy to podróż do Krainy Drikanu – świata magii i miecza, dosyć ponurego, gdzie zło zazwyczaj bierze górę nad dobrem. Pokój jest zjawiskiem rzadkim, narody gnębią narody, kościoły walczą o wyznawców, a religie są szerzone ogniem i mieczem, nie ma równości społecznej i rasowej. Trwa wojna. Tam możesz być każdym – od potężnego maga po uciśnionego chłopa. Wszystko zależy od tego, jaką postać chcesz odegrać i jak potrafisz się w nią wczuć. Dodatkowo organizujemy LARPy w każdym klimacie od post-nuklearnego, przez steampunk po czasy współczesne. Znaleźć się mozemy w równoległych rzeczywistościach czy nieokreślonej przyszłości. Ogranicza nas tylko nasza wyobraźnia.

W roku 2004 zorganizowaliśmy po raz pierwszy wielodniowegoo LARPa terenowego, Od tamtego czasu rok-rocznie, na przełomie lipca i sierpnia, odbywa konwent LARPowy o nazwie Projekt: Tygodniówka. Jest to połączenie wypoczynku pod gołym niebem wraz z larpowaniem (i nie tylko). Pierwsze dwie edycje odbyły się w Chwaszczynie, trzy następne w Błędnie, a trzy kolejne w Przywidzu. W tym roku odbyła się już 8-ma edycja tej imprezy. Głównym punktem programu był dwudniowy LARP terenowy. Zasięg tego konwentu jest lokalny – dla ludzi z Pomorza - ale chętnie zapraszamy wszystkich, z całej Polski, a nawet zagranicy.

Oprócz LARPów organizujemy też jeepformy, które są pomysłem dosyć świeżym, jako jedni z pierwszych zaczęliśmy je organizować w Polsce. Są to quasi-improwizacje teatralne, w których gracze (jeepformerzy) mają odegrać zadane sceny, przygotowane przez twórcę. Pomysł zrodził się w Skandynawii, tam powstały pierwsze scenariusze gier. Przy tworzeniu jeepów korzystamy zarówno z gotowych scenariuszy skandynawskich, ale tworzymy także swoje produkcje.

W roku 2010 postanowiliśmy zmierzyć się z czymś większym i ambitniejszym

– wystartowaliśmy z ogólnopolskim konwentem fantastycznym - Pomorskie SPOTkania z LARPami SPOT w Przywidzu. Wywodzi się on z organizowanych co roku, całonocnych LARPów w okresie „majówki" – zazwyczaj odbywały się one z nocy 30 kwietnia na 1 maja ze względu na następny dzień wolny. Mimo, że jest to impreza nowa, to jednak z dużym potencjałem. Zeszłoroczna edycja przyciągnęła około 50 osób, tegoroczna około setki. Konwent ten ma bardziej ścisły program i biegnie wielotorowo, ze względu na długość jego trwania i moc atrakcji w nim zawartych.

W obu konwentach skupiamy się głównie na wszelkiego rodzaju LARPach, ale nie tylko. Organizujemy i gramy ponadto w jeepformy – coś na miarę improwizacji teatralnych oraz gry terenowe – są one uproszczoną formą LARPów, gdzie głównie stawia się na szybkość i dynamikę rozgrywki, z ograniczeniem reguł. Mimo to LARPy stanowią główny punkt naszego działania. Przez te wszystkie lata stworzyliśmy, prowadziliśmy oraz graliśmy w niezliczoną ilość LARPów, jeepformów i gier terenowych w najróżniejszych formach i konwencjach. Cały czas wymyślamy nowe scenariusze gier, gdyż nigdy nie jest nam dość, poza tym gracze (larpowcy) ciągle oczekują czegoś nowego i najlepiej zaskakującego. Staramy się sprostać ich oczekiwaniom. Nasza działalność jest niezarobkowa – nie czerpiemy z tego tytułu żadnych korzyści majątkowych – zbieramy tylko tyle, aby nie dokładać do interesu. Chcemy po prostu, aby ludzie się dobrze bawili. My – tworząc i obserwując grę larpowiczów też czerpiemy z tego radość, że komuś nasze dzieło się podoba i chce w to grać. To jest motywacja do działania. Niestety, tworzenie LARPów to ciężka praca – pożera mnóstwo czasu, i wymaga kreatywności, ale przy okazji rozwija intelektualnie. Coś za coś. Gdybyśmy tego nie lubili, to byśmy ich nie tworzyli.

Terenem naszej aktywności jest przede wszystkim Trójmiasto i Województwo Pomorskie. Od niedawna odwiedzamy jednak także bliższe i dalsze rejony Polski – głównie ogólnopolskie konwenty, takie jak: Pyrkon, Puckon, Hardkon, Copernicon czy Inne Sfery. Ponadto zjawiamy się na lokalnych konwentach m. in. Voyagerze, Jeep Nighcie, Epicu czy Trójfikcjach. Prowadzimy tam głównie LARPy. Staramy się promować grupę i jej twórczość. Oczywiście bierzemy również czynny udział w konwentach, na których się pojawiamy jako larpowicze. Nie tylko prowadzimy, ale również gramy w LARPy, jeepformy i gry terenowe przygotowane przez innych twórców.

Jesteśmy jednym z wielu klubów fantastyki działających w Trójmieście. Ściśle współpracujemy z innymi organizacjami fantastycznymi w Trójmieście takimi jak: Gdańskie Stowarzyszenie Fantastyki Alkor, Gdański Klub Fantastyki, Klub Fantastyki Sigmar, Stowarzyszenie Twórców Gier Funreal oraz z Polski – z Perłą Imperium (Toruń) i Wielosferem (Wrocław).

Naszym głównym celem jest propagowanie fantastyki w ogóle, a LARPów oraz jeepformów w szczególności wśród fanów fantastyki i RPGów oraz tzw. zwykłych ludzi, którzy nigdy nie mieli styczności z takimi formami (bo raczej każdy w dzisiejszych czasach oglądnął jakiś film fantastyczny). Robimy to, ponieważ larpowanie to doskonała rozrywka i odskocznia od nudy dnia codziennego.

Zapraszamy na:

http://www.larp-zt.pl/

POGRANICZA

Zapraszam Was na nowo powstałą stronę, zupełnie świeżej, rodzinnej inicjatywy Gedeona, Belara oraz Chani. Inicjatywa się zwie Kuźnią Gedeona, któa zdaje się być manufakturą całkiem ciekawych strojów i rekwizytów larpowych:

http://kuzniagedeona.wordpress.com/
Mateusz “Mat” Zachciał”

Zdjęcia z Gry Miejskiej organizowanej przez ZT, Alkor i Bibliotekę Manhattan w CH Manhattan w końcu dostępne. Zapraszamy do oglądania!

http://www.larp-zt.pl/index.php/igraj-z-wyobraznia-kod-manhattanu/

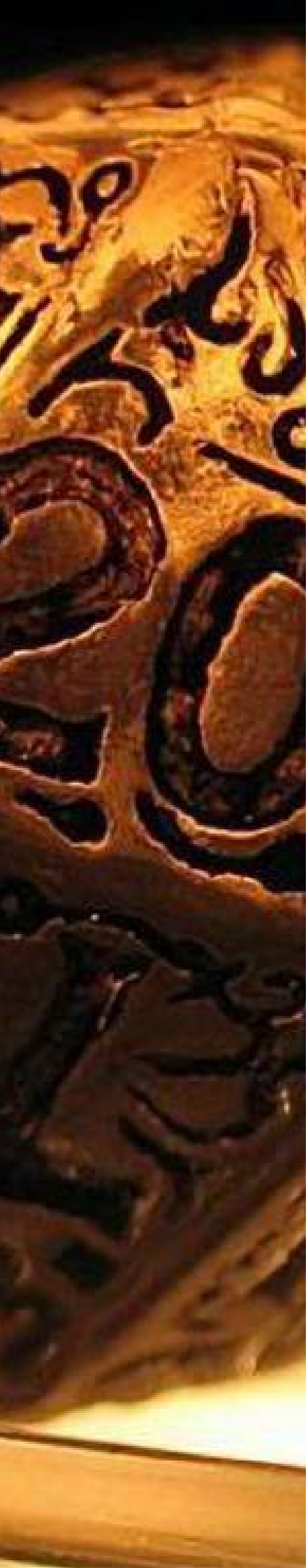

DAMIAN NOWAK

CHRZANOWSKIE DNI FANTASTYKI 2011

„Moja babiczka pohazi z Chrzanowa", z tym przysłowiem wielu osobom kojarzy się właśnie to niewielkie miasteczko na południu Polski. Urokliwe i tętniące życiem, choć pozostające nieco w cieniu Krakowa.

W październiku w Chrzanowie zagościła fantastyka, która ściągnęła swych wiernych fanów. Zlot odbył się w dniach 7-9 października w Miejskim Ośrodku Kultury, Sportu i Rekreacji przy ul. Broniewskiego 4. Pierwsze zaskoczenie, jakiego doświadczyłem był właśnie wybór miejsca dla tego wydarzenia. Zwykle tego rodzaju konwenty odbywały się w starych, obdrapanych szkołach, z których tynk odpadał częściej niż studenci po sesji egzaminacyjnej. Tymczasem tutaj miła odmiana. Ośrodek był niedawno odnawiany, zostały wyremontowane wszystkie sale, m.in. sala teatralna, w której teraz możemy doświadczyć miłego, kameralnego klimatu oraz konferencyjna, podobna do nowoczesnych sal wykładowych.

Program co prawda nie był tak rozbudowany, jak podczas krakowskiego Krakonu, lecz każdy mógł znaleźć coś dla siebie. Całość rozbito na bloki tematyczne, m.in. Gwiezdnych Wojen, Horroru oraz autorski.

Na początkujących autorów czekały prelekcje, dotyczące m.in. marynistyki w literaturze, motywów grozy oraz zbiór porad, jak rozwijać swoje umiejętności pisarskie. Na duże uznanie zasługują warsztaty prowadzone przez wszystkie dni konwentu przez pana Jakuba Ćwieka. Spotkanie z pisarzem odbywało się na zupełnie innych zasadach. Każdy zobowiązany był do przyniesienia długopisu oraz kartki papieru, którą później zapełniał według wskazówek Pana Jakuba. Po skończeniu zadania odbywała się dyskusja o tym, co napisały osoby, biorące udział w warsztatach, analizowano błędy i dzięki temu uczestnicy zdobywali doświadczenie pod okiem znanego pisarza.

W tym kontekście warto również wspomnieć o spotkaniach z wydawnictwami m.in. z Kuźnią Gier czy Galmadrin. Prowadzone były panele dyskusyjne z ich przedstawicielami, w czasie których rozmawiano o rynku wydawniczym, współpracy na linii autor-korektor czy innych zagadnieniach związanych z publikacją utworów.

Fani gier bitewnych w stylu Warhammera oraz Battlefleet Gothic również nie powinni czuć się zawiedzeni, gdyż równolegle odbywały się rozgrywki w specjalnie do tego przeznaczonych Games Room'ach. Osoby, które chciałyby zakupić figurki, elementy do gry, karty czy choćby całe zestawy, również miały taką możliwość dzięki bogato wyposażonym stoiskom.

Miłym akcentem, kończącym każdy dzień konwentu, były wieczorne projekcje filmów. Za niewielką opłatą mogliśmy obejrzeć m.in. premierową emisję „Bitwy warszawskiej 1920" oraz „Polowanie na Czarownice" - film z Nicolasem Cage'em w roli głównej.

No dobrze, ale ja tu ciągle o zaletach, a gdzie wady? Szczerze mówiąc, nie doszukałem się żadnych niedociągnięć organizacyjnych. Prawda jest taka, że jedne prelekcje są ciekawsze, inne mniej, a wynika to tylko z naszego subiektyw-

nego odczucia. Jednak, jeśli miałbym doszukać się minusów, to największą wadą tegorocznych Chrzanowskich Dni Fantastyki była frekwencja. Nie wiem, czy to wina kiepskiej reklamy, dojazdu (co prawdą nie jest, bo połączenia komunikacyjne są naprawdę dobre), czy jeszcze innych czynników. Prawdą jest jednak to, że na przykład w sobotę, kiedy odbywały się najciekawsze przedsięwzięcia, zainteresowanie było znikome. Doliczyłem się może 40, w porywach do 50 osób, z czego połowa nie opuszczała Games Room'u lub brała udział w LARP'ach. W konsekwencji nieliczna grupka zainteresowanych rozpierzchła się po wszystkich prelekcjach. Ja sam doświadczyłem, że na jednym z pokazów było dwóch uczestników w sali, która pomieścić by mogła grubo ponad setkę. Trochę to smutne, trochę żal organizatorów, którzy włożyli w przygotowanie imprezy mnóstwo starań.

W ostatecznym rachunku Chrzanowskie Dni Fantastyki należy ocenić bardzo wysoko. Wszystko było zapięte na ostatni guzik, prelekcje były ciekawe, a ich różnorodność działała tylko na korzyść tego konwentu. Szkoda tylko, że zainteresowanie było nikłe. Jednakże z czystym sercem mogę powiedzieć, że kto nie był obecny, ma czego żałować.

SŁAWOMIR KOŁODZIEJCZYK

„PRL FANTASY" MARCINOS

RECENZJA TEKSTU MIESIĄCA

PRL... To już ponad 20 lat od sławnych wydarzeń '89 roku. Wielu z nas urodziło się już w wolnej Polsce i nie pamięta szczęśliwie tamtego czasu zniewolenia i absurdu. Ja co nieco jeszcze pamiętam, wszak we wspomnianym roku przełomu, wchodziłem właśnie w dorosłość. Nie ominęły mnie również pamiętne wydarzenia związane z wybuchem w Czarnobylu. Był to dla mnie dodatkowy, wolny od szkoły dzień. Pamiętam wszechobecne nerwy i niepewność oraz paskudny, piekący smak płynu Lugola podawanego przez szkolną „strzykawę". Po te właśnie wydarzenia i klimaty sięgnął Marcinos w swoim „PRL Fantasy".

Czarnobylska katastrofa ma u niego jeszcze jedno interesujące następstwo, przerywa mianowicie kontinuum czasoprzestrzenne, pozwalając przedostać się do naszego świata zakutemu w zbroję Roderykowi, szlachcicowi wyrwanemu z wczesnego średniowiecza.

Czemu to opowiadanie jest tak dobre? Przecież sam pomysł pojawienia się w naszych czasach przodka z zamierzchłej przeszłości był już niejednokrotnie eksploatowany zarówno w literaturze jak i kinie. Czasy Prl-owskich absurdów doczekały się również wielu odsłon filmowych, żeby wspomnieć choćby kultowego „Misia", „Rejs" czy pamiętne seriale „Zmiennicy" i „Alternatywy 4".

Na czym więc polega fenomen opowiadania Marcinosa? Uważam, że właśnie na sposobie, w jaki te wszystkie, znane przecież i eksploatowane wątki, zostały przez niego razem połączone oraz doprawione szczyptą specyficznego humoru.

Postacie tworzone przez Marcinosa nie są sztampowe, czy „płaskie". Autor ma rzadki dar tworzenia ciekawych osobowości, obdarzonych licznymi śmiesznymi cechami, jak i słabostkami. Klawisz przygotowujący się do święta branżowego poprzez odpowiednie „prewencyjne nasączenie" alkoholem; wypoczywający przymusowo, na skutek poważnej utraty głosu - nauczyciel, czy wreszcie Filip Kadik, literat i prywatna wyrocznia w sprawach natury niesamowitej.

Być może opowiadanie nie jest zbyt wychowawcze ze względu na hektolitry lejącego się tam alkoholu oraz sugestywne opisy ciężkiego kaca, niemniej jednak mogę je polecić z czystym sumieniem, gdyż z pewnością czas spędzony na jego czytaniu nie będzie czasem straconym. Ci, którzy czasy tamte pamiętają, uśmiechną się zapewne do swych wspomnień, a Ci którzy z racji wieku nie pamiętają, prawdopodobnie i tak nie uwierzą.

Link do recenzowanego tekstu: http://www.via-appia.pl/showthread.php?tid=4423

shop.arsmachina.pl

ArsMACHINA
NAKRĘCAMY WYOBRAŹNIĘ

ZREDAGOWAŁ: DAMIAN NOWAK

HITY CZY KITY?

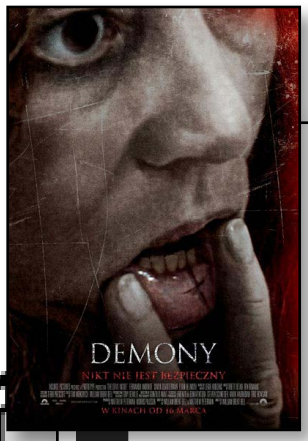

DEMONY

Słabo, oj słabo. Film kręcony w stylu dokumentu, miał przedstawiać „autentyczne fakty". Szkoda, że to się nie udało: oklepany temat egzorcyzmów zniweczył cały potencjał.

Sceny były naciągane, a fabuła nudna i męcząca - zwłaszcza dla kogoś nie przekonanego do quasi dokumentalnych produkcji. Klimat grozy występował chyba tylko w opisie dzieła. Jedyna udana scena to ta, w której bohaterów przestraszył szczekający pies. Reszta pozostawiała wiele do życzenia.

HIT ★★★★★★★★★★ KIT

IGRZYSKA ŚMIERCI

Film zdecydowanie nużył. Inne zajęcia - chociażby szydełkowanie albo układanie kostki Rubika - nagle zyskiwały na uroku.

Większość scen była nielogiczna, pozbawiona jakiegoś głębszego sensu. Gra aktorska wyglądała trochę lepiej. Nie znaczy to jednak, że była dobra (aktorka pierwszoplanowa w większości scen prezentowała mimikę „a'la Janne Ahonen"). Zawiódł scenariusz, sprawiał wrażenie napisanego na kolanie.

Niestety, jak to zwykle bywa, ekranizacja nijak ma się do książkowego pierwowzoru. Doszukiwanie się w tym filmie satyry na współczesne media to lekka przesada. Sposób realizacji ewidentnie niweczy wszelkie walory artystyczne.

HIT ★★★★★★★★★★ KIT

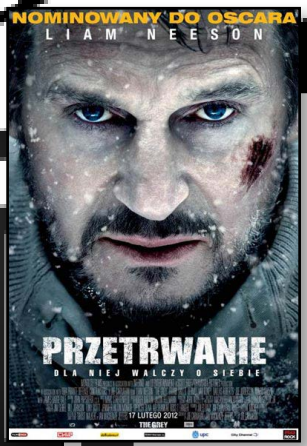

PRZETRWANIE

Przetrwanie jest jednym z filmów, które głęboko zapadają w pamięć. Dobry i zaskakujący thriller.

Ma w sobie coś w rodzaju drugiego dna: można interpretować go jako płytki i niewarty uwagi, lecz dobrze jest spojrzeć na niego nieco szerzej i dostrzec wartości niewidoczne na pierwszy rzut oka.

Oczywiście nie jest idealnie, ale mimo wszystko warto poświęcić trochę pieniędzy na ten film. Gwarantuję, że będzie trzymał w napięciu do końca.

HIT ★★★★★★★★★★ KIT

RAJ NA ZIEMI

Nie warto. Powstała nieśmieszna komedia tylko dla wytrwałych - inni zwyczajnie wychodzili z kina.

Wydaje się, że zapowiedź nieco przekłamuje obraz całości. Umieszczono w niej śmieszne momenty całego filmu, przez co widz rozpoczyna seans z dużymi oczekiwaniami. Niestety, może się mocno przeliczyć.

„Raj na Ziemi" mocno przypomina „Dziennik zakrapiany rumem". Obu filmów nie polecam.

HIT ★★★★★★★★★★ KIT

ELENA

Film jest współczesnym dramatem poruszającym kwestie życia i śmierci oraz prezentujący sposób funkcjonowania naszego świata na tym tle.

Z pozoru nudny; może się wydawać nawet sztampowy i poruszający stereotypowe problemy. Nie sposób jednak o nim zapomnieć przez długie godziny.

Autentyczność wykreowanego świata to największy atut tego filmu. Całość dopełnia świetna ścieżka dźwiękowa.

HIT ★★★★★★★★★★ KIT

OSTATNIA MIŁOŚĆ NA ZIEMI

Nie jest to typowy film oglądany „z braku laku", bo akurat nie mamy nic do roboty. Użyte w nim środki grają na zmysłach odbiorcy, są sugestywne.

„Ostatnia miłość na Ziemi" wzrusza i daje do myślenia. Będziemy o nim myśleć jeszcze przez jakiś czas po obejrzeniu. Mówiąc krótko: po prostu bardzo dobry film.

HIT ★★★★★★★★★★ KIT

PRZEMYSŁAW MAŁACHA

ARTYSTA

NIEMY POWRÓT SZTUKI

Michel Hazanavicius wyreżyserował Film. W czasach cyfrowej perfekcji, oszałamiającego trójwymiaru, feerii efektów specjalnych oraz idelanie symetrycznych i nieznośnie mdłych pseudoaktorów, reżyser ten pokazał, że można nakręcić niemy, czarnobiały Film, w którym gra na powrót staje się Sztuką. Tu nie liczą się wymodelowane fryzury i nieskazitelnie białe zęby (aczkolwiek bohater błyska nimi co chwilę), ale umiejętności aktorskie, które nie pozwalają oderwać się od ekranu przez ponad półtorej godziny.

Wydarzenia przedstawione w „Artyście" mają miejsce pod koniec lat 20. XX wieku. Film opowiada historię Geroge'a Valentina, gwiazdy kina niemego. Kina, które odchodzi właśnie do lamusa, a jego miejsce zajmuje obraz z dźwiękiem. Valentin nie może sie pogodzić z przemijającą sławą i z faktem, że nieme kino staje się zakurzonym przeżytkiem. W międzyczasie pomaga wybić się młodej aktorce, Peppy Miller, a ta wkrótce zostaje gwiazdą X muzy i nie ma najmniejszych problemów z przystosowaniem się do kina dźwiękowego. Żeby tradycji stało się zadość, między dwojgiem aktorów nawiązuje się romans. Nie będę zdradzał dalszego ciągu, żeby nie zepsuć przyjemności tym, którzy skuszą się na wizytę w kinie. A zapewniam, że warto.

Jak wspomniałem wcześniej, „Artysta" jest filmem niemym. I czarno-białym. Stylizacja jest genialnym zabiegiem. Widz czuje się jakby faktycznie przeniósł się w przeszłość, a jednocześnie jakość obrazu nie pozostawia złudzeń, że ogląda dzieło wyprodukowane w czasach współczesnych. Ta mieszanka pozwala na niespotykane doznania. Hazanavicius nie skopiował bowiem starego kina. Stworzył coś zupełnie nowego. Coś, co trudno opisać, dopóki nie doświadczy się tego na własnej skórze. I świadomie piszę „doświadczy" zamiast „zobaczy", bowiem „Artysta" to nie tylko obraz.

Integralną częścią filmu jest również genialna muzyka Ludovica Bource'a, która jest równie ważna, co sam obraz, towarzyszy nam bowiem niemal bezustannie od początku do końca i doskonale oddaje nastrój poszczególnych scen. Czy są to gagi rodem z filmów Chaplina, czy pełne dramaturgii i specyficznego mroku sceny pogłębiającego się załamania Geroge'a Valentina, melodia świetnie uzupełnia obraz. Bez kompozycji Bource'a film Hazanaviciusa zdecydowanie straciłby na jakości i nie miałby tej magicznej atmosfery, sprawiającej, że ma sie wrażenie doświadczania czegoś zupełnie nowego.

„Artysta" jest zdecydowanie czymś więcej niż romantyczną historią. Jest to pełna nostalgii opowieść o ambicjach i dumie, o przemijaniu i nastawaniu, o starym i nowym. O akceptacji tego, że wszystko, łącznie ze sztuką, ewoluuje i o przystosowaniu się do następstw tej ewolucji. Mam nieodparte wrażenie, że „Artystę" zrobił artysta, który podświadomie nie może się pogodzić z kierunkiem, w którym podąża współczesne komercyjne kino i przelał swoje myśli i obawy na taśmę filmową, w pewien sposób sam stając się bohaterem własnego filmu. Filmu zdecydowanie przez duże F.

31.10
HALLOWEEN PO POLSKU
www.3110.pl

VIA APPIA

KWARTALNIK LITERACKO-KULTURALNY

WWW.VIA-APPIA.PL

Pan Roman z monopolowego patrzy.
Wie jakie grzeszki masz na sumieniu. Widział jak zakopujesz zwłoki za stodołą. Wie też, że narkotyki trzymasz w śmierdzących skarpetach z peweksu, przed nim nic nie ukryjesz.

Tak że koko spoko i widzimy się w następnym numerze.

REDAKCJA

REDAKTOR NACZELNY
Krzysztof Machulec

REDAKCJA
Damian Nowak, Przemysław Małacha, Sławomir Kołodziejczyk, Honorata Nowacka, Karolina Dyja, Natalia Hebart

OSOBY WSPÓŁPRACUJĄCE Z REDAKCJĄ
Jakub Fijałkowski, Kapadocja, Siloe, Valentino, Ami, Piotr Niemirski

SKŁAD ORAZ PROJEKT OKŁADKI
Michał Olejarski, Damian Nowak

ILUSTRACJE DO OPOWIADAŃ
AcidOne

ŹRÓDŁA
Wikimedia Commons, strony autorskie i inne miejsca w internecie

LICENCJE

Wszystkie wykorzystane materiały graficzne niebędące dziełem członków redakcji zostały użyte przy wykorzystaniu licencji creative commons. Prawa autorskie należą wyłącznie do twórców.

PRAWA DO MATERIAŁÓW

Magazyn powstał w oparciu o materiały tekstowe utworzone przez członków redakcji kwartalnika kulturalnego via appia, jak również o teksty dostarczone przez użytkowników forum literackiego via-appia.pl za ich dobrowolną zgodą. W celu powielania, publikowania lub innego użycia nalezy skontaktować się z autorami lub poprzez redakcyjną skrzynkę e-mail.

KONTAKT

www.via-appia.pl
kontakt@via-appia.pl